

AN

RYSZARD **ĆWIRLEJ**  
**OFIARA TWOIM  
PRZEZNACZENIEM**

*Błyskotliwa zagadka kryminalna, a w tle widmo II wojny światowej.  
Uwielbiam lekcje historii, które od lat funduje nam Ryszard Ćwirlej!*



*Agnieszka Jankowiak-Maik, Babka od histy*

RYSZARD **ĆWIRLEJ**  
OFIARA TWOIM  
PRZEZNACZENIEM



RYSZARD **ĆWIRLEJ**  
OFIARA TWOIM  
PRZEZNACZENIEM





Copyright © Ryszard Ćwirlej, 2023

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2023

Redaktorki prowadzące: Anna Rychlicka-Karbowska, Joanna Zalewska

Marketing i promocja: Marta Kujawa

Redakcja: Beata Mes

Konsultacja historyczna: Marek Daroszewski

Korekta: Paulina Jeske-Choińska, Agnieszka Czapczyk

Skład i łamanie: Teodor Jeske-Choiński

Projekt okładki i stron tytułowych: Katarzyna Borkowska

Zdjęcia na okładce: © Mark Owen / Trevillion Images. Zdjęcie dworca pochodzi ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego.

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-67815-81-9

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl



# Prolog

Zondereigen, Belgia  
Piątek  
16 października 1914

Godzina 2.20 po południu

Hauptmann<sup>[1]</sup> Klaus Richter stał jak urzeczony. Spoglądał na boczny ołtarz, ustawiony w prawej nawie kościoła parafialnego w Zondereigen, małej przygranicznej miejscowości w prowincji Antwerpia w Belgii. Wewnątrz ołtarza, bardzo skąpego w wystroju, składającego się z dwóch kolumn stylizowanych na doryckie, przykrytych tympanonem ozdobionym motywami roślinnymi, znajdował się niewielkich rozmiarów obraz ukazujący Matkę Boską z Dzieciątkiem. Kolory były przygaszone i wyblakłe, więc wizerunek nie robił zapewne specjalnego wrażenia na tych, którzy się do niego codziennie modlili. Nawet promienie światła wpadające do środka przez wysokie, gotyckie okna, zwieńczone ostrymi łukami, nie były w stanie wydobyć barw, które pierwotnie na zagruntowanej desce położył dawny mistrz.

– Kiedyś musiały być bardziej soczyste te czerwienie, a oranże bardziej nasycone – odezwał się do stojącego obok leutnanta<sup>[2]</sup> Böhma. Ten też wpatrywał się w ołtarz, ale bez



specjalnego zainteresowania. Ot, obraz, jakich pełno w kościółkach w całej katolickiej Europie. Sam był katolikiem i przyzwyczał się już dawno do tych świętych postaci mających przyciągać spojrzenia wiernych. No a poza tym nie znał się na sztuce. Był zawodowym żołnierzem, a ci, jak wiadomo, są raczej wyznawcami sztuki wojennej, czyli najprzeróżniejszych sposobów eliminacji przeciwnika.

Richter natomiast nie był żołnierzem, ale nauczycielem, zmobilizowanym belfrem, jeszcze nieprzeistoczonym w maszynę do zabijania. Nadal bujał w obłokach, rozmyślając o artystach malujących obrazy, zamiast zajmować się czymś pożytecznym, jak choćby zabijaniem wrogów.

– Że co? – zapytał Böhm, odwracając się do ołtarza plecami. Nie znalazł w nim bowiem niczego, co mogłoby sprawić, że miałby ochotę poświęcić więcej czasu na studiowanie tego malunku. Niech tam sobie Richter patrzy.

– Muszę go obejrzeć z bliska. To może być obraz autorstwa Pietera Bruegla.

– Niemożliwe – rzucił Böhm obojętnie, spoglądając jednocześnie na swoich żołnierzy. Właśnie wychodzili z zakrystii, wynosząc z niej całe naręcza butelek. Musieli dobrać się do księżego składziku z winem mszalnym.

– Możliwe. Przecież tu niedaleko, w Antwerpii, młody Bruegel pracował w galerii Cztery Wiatry Hieronymusa Cocka. To tam właśnie powstał słynny rysunek *Wielkie ryby zjadają małe*, stylizowany na Boscha. Ale to nie z tego okresu jest ten obraz. Tu widzę wyraźne wpływy włoskiego renesansu, ten górzysty krajobraz w tle... a więc Bruegel. Chociaż on nie malował świętych, tylko zwykłych ludzi. Jeśli to on jest autorem dzieła, musiał namalować je po powrocie z podróży do Włoch. Dobrze

byłoby zobaczyć ten obraz z bliska. Nie widzę sygnatury z przodu, ale możliwe, że z tyłu, na desce...

– Chcesz mu się przyjrzeć uważnie? – zapytał Böhm.

– Tak, ale trzeba by go wyjąć z ołtarza...

– Schultze, zostaw te flaszki i chodź tutaj. Ty, Lehmann, też – polecił leutnant.

Dwaj żołnierze odstawili butelki pod ścianą i podbiegli do oficerów.

– Wejdźcie no na ten ołtarzyk i wyciągnijcie malunek, bo pan hauptmann chce mu się bliżej przyjrzeć. – Böhm wskazał im palcem obraz, żeby nie było wątpliwości. Żołnierze natychmiast podsunęli kościelną ławkę, by wspiąć się na podest. Z niego już bez trudu dosięgnęli ramy.

– Tylko ostrożnie, żeby nie zniszczyć! – zawołał Richter.

– Mocno siedzi, ale jak się wyłamie ramę... – ocenił fachowo Martin Schultze, który z zawodu był stolarzem.

– Bagnetem podważymy i pójdzie – odpowiedział mu jego kolega Jörg Lehmann.

I rzeczywiście, chwilę później deska o wymiarach mniej więcej trzydzieści na trzydzieści centymetrów została wydobyta z ram bez najmniejszych uszkodzeń. Böhm odebrał obraz od żołnierzy i podał go hauptmannowi. Ten wziął go w trzęsące się dłonie i odwrócił.

– Mój Boże! – wyszeptał. – Jest sygnowany. I jest jeszcze coś. Napis łaciński: *Sacrificium tuum praedestinatio est*. To znaczy: *Ofiara jest twoim przeznaczeniem*. I podpis Brueghel. Tak, on jeszcze we wczesnym okresie podpisywał się z „h” w nazwisku...

– Co mówisz? – zapytał leutnant.

– Trzeba go zabezpieczyć. Tu jest wojna. Może jakiś pocisk artyleryjski trafić w kościół...

Niedaleko stąd przechodziła granica rozdzielająca Belgię i Niderlandy, dlatego dziś rano Richter poczuł się trochę tak, jakby wojna właśnie się zakończyła. Niemiecka armia zajęła całą Belgię i doszła do Holandii. Ale mimo entuzjastycznych i bojowych nastrojów wojska mieli rozkaz nie przekraczać granicy i nie posuwać się ani kroku dalej. Wprawdzie tuż za tą granicą, na terenie holenderskim, znajdowało się blisko dwadzieścia enklaw należących do Belgii, jednak niemieckie dowództwo nie chciało naruszać neutralności terenu Niderlandów i skrawki Belgii na tamtym obszarze były dla Niemców nieosiągalne. Ale gdyby tylko dostali rozkaz, na pewno weszliby w to holenderskie masło jak rozgrzany nóż, choćby po to, by wykroić te belgijskie wysepki.

– Proszę natychmiast oddać ten obraz! – odezwał się ktoś piskliwym głosem, a mimo to ton polecenia był kategoryczny i zmuszający do posłuchu. Mówił po niemiecku z silnym francuskim akcentem. Obaj oficerowie się odwrócili. Dwa metry od nich stał chudy ksiądz z dłonią wysuniętą w ich kierunku. Krogulczy palec wskazywał winowajcę złapanego na gorącym uczynku.

– Pan jest proboszczem? – zapytał hauptmann.

– Jestem strażnikiem tego miejsca. Proszę zostawić ten cudowny obraz. Zostaw go i wyjdź, przeklęty boschu[3]!

– Ksiądz nic nie rozumie, to strefa wojenna. Wroga artyleria może ostrzelać ten kościół i wszystko, co jest w środku, ulegnie zniszczeniu. Trzeba ratować, co się da.

– Nie dotykaj tego obrazu, bluźnierco. Odejdźcie stąd, bo zostaniecie przeklęci!

– Zamilcz, klecho! – warknął Böhm.

– Musimy go zabezpieczyć, żeby nic mu się nie stało. To nie jest przecież jakiś zwyczajny malunek. To dzieło wielkiego

mistrza – tłumaczył hauptmann, ale te argumenty nie trafiły do księdza. Był coraz bardziej wzburzony, trząsł się cały, machał rękoma, co raz chwytając się za głowę, jakby chciał wyrwać sobie wszystkie włosy.

– Przeklęci, bądźcie przeklęci, żeby wasze ciała toczyło robactwo przez wieki.

– Zamilcz, stary durniu! – Böhm wydobył z kabury pistolet i wymierzył nim w księdza. Ale ten się nie przestraszył. Wpadł w jakiś amok wywołany świętym oburzeniem. Ruszył przed siebie, by wyrwać obraz z rąk Niemca, cały czas bluzgając przekleństwami.

– Niech was piekło pochłonie, niemieckie kanalie. Niech się ziemia rozstąpi pod wami i wciągnie was ognista czeluść piekielna. Niech wasze matki i dzieci spłoną w...

Strzał rozdarł kościelną przestrzeń, a jego odgłos, zwielokrotniony przez ściany i sklepienia, poszybował wysoko, ku gwiaźdzystemu niebu namalowanemu na suficie. Ksiądz zatrzymał się w miejscu z szeroko rozłożonymi rękoma i zdumiony spojrzał na swoją pierś. Krwista czerwień rozlewała się na śnieżnej bieli koszuli. Otworzył usta, jakby chciał dokończyć swoje przekleństwo, ale zabrakło mu na to sił. Opadł na podłogę jak ptak z rozłożonymi skrzydłami i znieruchomiał u stóp hauptmanna Klause Richtera. Leutnant Böhm schował lugera do kabury, po czym przywołał stojących nieopodal żołnierzy, by wynieśli ciało.

Oficer trzymający w dłoniach święty obraz przez chwilę spoglądał na duchownego ciągniętego za nogi w kierunku wyjścia. Nic go ta śmierć nie obeszała. Ruszył zaraz jego śladem. W końcu ciało zabitego wroga na wojnie to nic nadzwyczajnego. Przeszedł obok krwawej smugi, uważając, by nie wejść w nią i nie uwalac sobie butów.

Idąc tak, zastanawiał się, co powinien zrobić z tym przypadkiem odkrytym arcydziełem. Przecież nie będzie go woził w oficerskim kufrze...

I naraz pomyślał o swoim garnizonowym kościele w Posen. Można by go tam zdeponować na czas wojny, tym bardziej że auta zaopatrzeniowe kolumny samochodowej ich pułku przyjeżdżały na front z uzupełnieniami i wracały do domu. Bo 6 Pułk Grenadierów imienia Hrabiego Kleista von Nollendorfa, w którym służył Klaus Richter, stacjonował od momentu utworzenia w 1772 roku w Poznaniu. Znajdzie więc zapewne jakiegoś kierowcę albo konwojenta, któremu będzie mógł przekazać cenną przesyłkę wraz z listem do proboszcza. Tak, to było najlepsze rozwiązanie, mogące ocalić z wojennej zawieruchy małą część europejskiego dziedzictwa kulturowego.

Zadowolony z siebie *hauptmann* wyszedł z kościoła i sięgnął do kieszeni po fajkę. Zapalił tytoń, a potem ruszył wolnym krokiem do oberży, gdzie kwatermistrz przygotował pokoje dla kilku oficerów. Po dobrze wykonanej pracy czuł, że należy mu się odrobina odpoczynku. W końcu to dzisiaj udało im się zająć całą Belgię.

[1] *Hauptmann* (niem.) – kapitan.

[2] *Leutnant* (niem.) – porucznik.

[3] *Bosch* (franc.) – pogardliwie o Niemcu.



# Rozdział I

Międzychód

Czwartek

30 lipca 1931 roku

Godzina 3.15 rano

Lokomotywa zahamowała, po czym lekko dotknęła zderzaków pierwszego wagonu. Mimo to huk zwierającej się ze sobą stali rozerwał ciszę poranka niczym młotowity wystrzał. Parowóz szarpnął czterema wagonami klasy trzeciej, które za pół godziny miały jechać z Międzychodu do Poznania, a potem cały skład znieruchomiał.

Młody pomocnik maszynisty Zenek Jakubiak wystawił głowę na zewnątrz, żeby sprawdzić, kto tam dziś majstruje przy torze. Mimo że jeszcze było ciemno, rozpoznał zwalistą sylwetkę nastawiacza Myszorka, stojącego z fajeczką w zębach i spokojnie zaciągającego się dymem. O tym wielkim dryblasie ludzie mówili, że wysoki do nieba, a głupi jak trzeba. Obok niego był jeszcze jeden, ale tego Jakubiak nie kojarzył. Wydawał się młodszy od Myszorka, z twarzą pozbawioną zarostu, dobrze widoczną w blasku karbidówki. Trzymał ją w dłoni, oświetlając przestrzeń między lokomotywą i wagonem.

Chłopak spojrział szybko na maszynistę Wójcika, ale ten siedział na bocznym krzeselku z drugiej strony parowozu z przymkniętymi oczami, próbując złapać jeszcze trochę snu, zanim wyruszą na trasę. Takie sprawy jak przygotowanie składu do drogi, ale przede wszystkim podczepienie wagonów, zostawiał Jakubiakowi. Bo ten, choć młody, to znał się na robocie. Jego ojciec był maszynistą, dlatego chłopak właściwie wychował się na kolei, a lokomotywą jeździł od czasu, gdy tylko nauczył się stać na nogach, więc zamiłowanie do tej roboty, a i umiejętności sprawnej obsługi wszystkich tych skomplikowanych wajch i ciśnieniomierzy, wyssał z mlekiem matki. Choć w zasadzie można by powiedzieć, że wciągnął je do płuc wraz parą z komina lokomotywy.

Jeszcze raz szybko popatrzył na starego maszynistę, a potem nasunawszy na oczy daszek czapki kolejarskiej, wychylił się, wysuwając ostrożnie czubek nosa na zewnątrz. Upewniwszy się, że Myszorek cały czas stoi w miejscu, zawołał, zmieniając głos na znacznie niższy:

– A brać mi się tam za robotę, szuszwole[4] leniwe, bo ja tu nie będę stojeć i czekać, aż się przestanieta opierdalać jeden z drugim!

– A już się bieremy, panie kierownik! – odpowiedział szybko Myszorek. – Już zaczepiamy! No co tak stoisz, młody? Dalej, wskakuj pod zderzaki. – Powiedziawszy to, trzepnął swojego pomocnika w wygoloną głowę i sam pochylił się nieco, żeby było widać, że pracuje.

Młody Jakubiak zachichotał pod nosem, ale zaraz przestało mu być do śmiechu, gdy poczuł silnego pstryczka w ucho.

– Aua! – zawołał, odwracając się gwałtownie. Za nim stał maszynista, który nie wyglądał na zadowolonego.



– A co ty, szczone[5] jeden, sobie tu podśmiechujki robisz z ludzi pracy?

– Łe no, panie kierowniku, ady tam zaraz się nie śmieję, ino gonię ich do roboty! – odpowiedział, trzymając się na wszelki wypadek za ucho, gdyby szefowi zachciało się jeszcze raz go pstryknąć.

– I dlatego żeś głos zmienił? Co se myślisz, że nie słyzałem, jak żeś mnie udawał?

Chłopak zrobił zafrasowaną minę, ale w oczach nadal widać było diabelskie błyski. Chyba ucieszył się, że jego fortel został zauważony, a jak się uda, to nawet będzie doceniony. Może maszynista Wójcik, jak pójdzie jak zwykle na piwo po robocie, opowie kolegom, co młody wywinął i jak tego wielkiego Myszorka w pyry wpuścił[6]?

– Musiałem, panie kierowniku, boby mnie nie posłuchał. I pewnie jeszcze by tam stał i grzebał w kieszeni paluchami, a tak niech pan sam zobaczą.

Maszynista wystawił głowę na zewnątrz i nikogo nie dostrzegł. A to oznaczało, że Myszorek i ten drugi, z którym musiał tam być, bo przecież sam do łączenia składu nie chodził, wleźli między wagon i lokomotywę.

– No niby masz rację, ino... – potwierdził maszynista, wpatrując się w szarość poranka, podlaną obłokami pary wydobywającymi się z kotła. – A powiedz no mu co jeszcze – polecił, żeby się upewnić, że młody rzeczywiście potrafi naśladować głosy. Chłopak jakby tylko na to czekał. Zbliżył się do wyjścia i pochylił się tak, żeby go tam, na dole, lepiej było słycać.

– A długo jeszcze mam ja na was czekać, nieroby chłelerne? No dalej, ruszać się, bo zaraz jedziemy, a ja nie mam zamiaru przez was kursu opóźnić! – zawołał głosem niemal do

złudzenia przypominającym ten należący do maszynisty. Stary kolejarz złapał się za brzuch i zaczął się śmiać, ale cicho i z umiarem, nie tak, jak to zwykł czynić, głośno i tubalnie, żeby się żart nie wydał niepotrzebnie. Chłopak też zachichotał, a maszynista pociągnął go za ucho, ale tym razem delikatnie, z uznaniem dla jego talentu.

– W teatrze byś mógł występować z takimi sztuczkami. A inne głosy też byś umiał?

– Każdy głos się nada, jeśli tylko ma siłę, bo tych słabych to nie ma co próbować.

– Znaczą mój ma siłę?

– Pan kierownik jak krzyknie, to jakby z kanona walili.

– No dobra, podrzuc no węgla trochę, bo tego Ślusarczyka to ja nie widzę.

– Mówił, że na stacji wskoczy, panie kierowniku – wyjaśnił pomocnik maszynisty, którzy umówił się wczoraj z palaczem, że go zastąpi do czasu, aż pociąg nie podjedzie na dworzec.

Wziął więc szuflę i podrzucił do pieca, ale nie za dużo. Taki ogień pod kotłem, jak ten, z powodzeniem wystarczył, żeby ruszyć i dojechać do stacji.

– Panie kierowniku, wszystko *fertig!* – zawołał z dołu Myszorek. Maszynista pociągnął za rączkę gwizdka, ale nie za mocno, tak tylko, żeby ruszyć z fasonem. A potem otworzył przepustnicę i para popłynęła w tłoki, uruchamiając je powoli.

– Nie jedź! Nie jedź! Stój! – Pomocnik maszynisty usłyszał z dołu jakieś wołanie. Spojrzał na swojego szefa, a potem wychylił się z okienka. Myszorek machał ręką. Jego młody pomocnik też machał, a jeszcze przy tym podskakiwał jak małpiszon. Jakubiak uśmiechnął się pod nosem na myśl o tym małpiszonie, ale zaraz przyszło mu do głowy, że oni tam

podskakiwali wcale nie dlatego, że im się akuratnie podskakiwania zachciało.

– Oni coś tam krzyczą – wyjaśnił maszyniście, przekrzykując posapywanie lokomotywy.

– A niby co? – zapytał Wójcik. Chłopak wzruszył ramionami, bo niby skąd miał wiedzieć. Ale nie musiał już nic więcej wyjaśniać, bo wielki Myszorek wlaźł po drabince na górę i wskazując za siebie palcem, wyjaśnił:

– Tam, panie maszynista, leży nieżywy! – Powiedziawszy to, zrobił minę, jakby miał się rozpłakać, choć tak naprawdę żaden umarłak go nie poruszał. Po tym, ile trupów zobaczył w czasie bitwy pod Verdun, którą tylko cudem przeżył, żaden nieboszczyk nie robił na nim większego wrażenia. Ten zrobił tylko dlatego, że jego akurat znał i nawet miał dziś się z nim spotkać na piwie w dworcowej knajpie. Ale wszystko wskazywało na to, że będzie musiał zmienić swoje plany, bo Grzelak Marian, miejscowy przemytnik i drobny złodziejasek, nie żył.

– Kto jest nieżywy? – zapytał rzeczowo Wójcik.

– Grzelak, mój znajomy. On ma dziurę w brzuchu i chyba się wykrwawił, bo jest zimny trup.

– A ty skąd to wiesz? – pytał dalej kierownik.

– Bo ja wiem, że on wczoraj rano jeszcze żył, a dziś jest zimny i we krwi, to znaczy się, że nie żyje...

– Idziemy! – zakomenderował maszynista i ruszył w kierunku wyjścia, tam gdzie stał Myszorek. Ten od razu spuścił się w dół. Pomocnik też chciał iść, ale szef osadził go na miejscu, wymownym gestem dłoni wskazując na manometry.

– Lokomotywa pod parą. Ani mi się rusz.

Chłopak od razu zrozumiał, w czym rzecz. Maszyny samej sobie zostawić nie można, dla kolejarza to jak abecadło dla ucznia. Skinął więc posłusznie głową, choć wszystko by oddał, żeby móc zobaczyć nieboszczyka. Tym bardziej takiego, którego osobiście znał od zawsze, bo ten Grzelak to była postać znana w mieście i na kolei. Ale co było robić, jak mus, to mus. Został na górze, obserwując, jak maszynista idzie za tym młodym, którego wreszcie rozpoznał, bo zrobiło się już na tyle jasno, żeby dojrzeć te charakterystyczne odstające uszy Gustawa Pohla, szesnastoletniego pomocnika wagonowego, który do pracy przyjął się pół roku temu i marzył, aby kiedyś tak jak on jeździć na lokomotywie. Na razie jednak zajmował się objaśnianiem szczegółów znaleźiska maszyniście. Przestał już skakać, ale machał zawzięcie rękoma, wskazując coś na zboczu nasypu. Myszorek też pokazywał, ale w gestach był znacznie bardziej oszczędny.

Maszynista tylko patrzył, a potem nagle odwrócił się do obu nastawiaczy plecami i zaraz ruszył w kierunku lokomotywy. Po chwili był już na podeście. Wtedy spojrzał na chłopaków i machnąwszy ręką, przywołał ku sobie Myszorka. Ten podbiegł natychmiast.

– To wy tu pilnujcie, a my zaraz to zgłosimy – wytłumaczył i wszedł do kabiny.

– No to dalej, Zenek, jedziemy na stację, bo trupa tak zostawić byle jak się nie godzi.

– Ano pewno – zgodził się z nim pomocnik, zdziwiony, że szef zwrócił się do niego po imieniu.

– Choć to niegodziwiec był i łachudra – ciągnął Wójcik, zwalniając wajchę hamulca i ostrożnie dodając pary do tłoków. – Ale Polakowi i katolikowi pogrzeb się należy i jeszcze należy się, żeby policja winnego złapała i rozstrzelała tak samo

jak tego tam nicponia. I dlatego, uważasz, musimy zawiadomić, kogo trzeba, bo skoro żeś jest na kolejowym urzędzie, to musisz jak urzędnik się zachować i trupy wszelkie zgłaszać, żeby był porządek w kraju, a nie, żeby nam się nieboszczyki przy szynach walały.

Maszynista pociągnął za uchwyt i rozległ się gwizd ruszającej lokomotywy, który ostrzegał wszystkich, żeby zesli z drogi, bo zbliża się niebezpieczeństwo. Ale o tej porze nikt potorach nie chodził prócz ślimaków, a te, jak wiadomo, głupie są i nawet ostrzeżone gwizdaniem z szyn nie zejną.

## Poznań

Godzina 9.10 rano

– To gdzie żeście go znaleźli? – zapytał policjant, robiąc groźną minę.

Wąsaty stróż rozejrzał się bojaźliwie dookoła, jakby tu, na tym podwórku, było więcej wychodków niż ten jeden.

– No, o tam, o... – Wskazał na niewielką szopę o trojgu drzwiach przyozdobionych wyciętymi w drewnie serduszkami. Te potrójne drzwi świadczyły o tym, że mieszka tu sporo ludzi, mających swoje potrzeby i załatwiających je właśnie tutaj.

– A kto w tym sraczu robi? – zapytał trochę dla porządku posterunkowy Zenon Rzepa. Należał do policjantów szczegółarzy i wolał o wszystko wypytać, zanim na miejscu znajdą się śledczy. A ci, jak wiadomo, lubili wiedzieć wszystko od razu i to wcale nie od jakichś świadków, co to do trzech nie potrafili zliczyć, ale od policjantów, którzy już wcześniej zebrali wyjaśnienia i zeznania. Taki oficer rozsiadał się zazwyczaj

tam, gdzie można było się rozsiąść wygodnie, zapalał papierosa i popijał piwo, a posterunkowy musiał mu tłumaczyć, co i jak. Dopiero po objaśnieniu szczegółów decydował, z którym ze świadków chce osobiście porozmawiać. Rzepa wiedział to doskonale, bo w policji pracował już dwanaście lat, to jest od samego początku, kiedy to Straż Ludowa, w której służył od wybuchu powstania poznańskiego, przeszła w całości do tworzących się policyjnych struktur. I dlatego już przy niejednym śledztwie asystował i niejedno widział. Ale żeby w sraczu obraz Najświętszej Panienki ktoś utopił, z tym się jeszcze nie spotkał, jak żyje. I dlatego wolał zebrać jak najwięcej informacji, zanim przyjdzie śledczy. Bo że przyjdzie, nie miał najmniejszych wątpliwości. W końcu sprawa była, tak mu się przynajmniej zdawało na pierwszy rzut oka, jak najbardziej polityczna.

– Że niby jak? – Stróż nie zrozumiał, w czym rzecz.

– No chyba gadam po polsku, nie? – Rzepa podkreślił węża, a potem wsunął prawą dłoń pod połę kurtki mundurowej, jak to zwykł był robić cesarz Napoleon. On nie znał Napoleona ani nawet nie wiedział nic o słynnym napoleońskim geście, ale widział, jak dowódca pułku, w którym służył, często tak czynił, zwłaszcza podczas porannych apeli, na które lubił przychodzić, by przyglądać się musztrze. Stał tak z tą założoną ręką, a w drugiej zazwyczaj trzymał fajkę. Rzepa też by chętnie trzymał, ale mu właśnie wczoraj cybuch odpadł i nie zdążył jej nareperować, dlatego rękę miał wolną. Niewiele się więc zastanawiając, trzepnął stróża w gębę, aż ten odskoczył do tyłu zdziwiony, a nawet przestraszony. Widać mało miał do czynienia z policjantami.

– No to kto tam sra? Gadaj mi tu szybko, bo ja nie na ksiuty[7] tu przyszedłem, ale na śledztwo w sprawie świętougkradztwa, znaczy w sprawie wagi państwowej, za którą złodziej na stryczek pójdzie, a jego pomocnicy to zgniją w więzieniu bez chleba, wody i bez komunii nawet. Bo takich obesrańców, co kościoły okradają, to żaden ksiądz nie dopuści do sakramentów. I bardzo dobrze zrobi, bo ręka podniesiona na Kościół to to samo, co na Polskę. Rozumiesz, łachudro niemyta?

– Rozumiem. – Stróż szybko przytaknął, trzymając się dłonią za policzek. Nie żeby go bolało, bo to trzaśnięcie wcale takie mocne nie było. Ale chytry cieć wolał się zabezpieczyć i zasłaniając twarz, mieć pewność, że policjant drugi raz nie uderzy. Ale ten nie miał zamiaru go lać. W pysk dał tylko na wszelki wypadek, tak żeby ten tu stojący przed nim człowiek sobie nie myślał, że można coś kręcić i czegoś nie powiedzieć urzędnikowi policyjnemu na służbie.

– Tu srają wszyscy – wyjaśnił w końcu, bo po tym policzku naraz mu się rozjaśniło we łbie i zrozumiał, o co chodzi policjantowi. Ten uśmiechnął się zadowolony z potwierdzenia skuteczności swoich metod.

– Wszyscy z lewej i prawej, i tej tylnej też. – Stróż przejechał palcem po fasadach trzech odrapanych trzypiętrowych oficyn.

– A ci? – Posterunkowy wskazał kciukiem za siebie, czyli tam, gdzie mieściła się kamienica główna, ta, której lico wychodziło na piękną, zabudowaną stylowymi domami ulicę Augustyna Szamarzewskiego. Tam było bogato i dostojnie, ale wystarczyło tylko przejść główną bramą na podwórko, by znaleźć się w innym świecie. Tu, w tych trzech czynszówkach, żyli ludzie, których nie stać było na luksusy. Byli w stanie opłacić jedynie miesięczny czynsz za jedno- czy dwuizbowe

mieszkania, gdzie gnieździły się wielopokoleniowe rodziny. Oni wszyscy musieli korzystać z tego przybytku ozdobionego trzema wyciętymi w deskach serduszkami.

– Tam to w każdym mieszkaniu jest wychodek – stwierdził z pewną dumą w głosie stróż. – Nie tylko można w domu robić, ale nawet się kąpać, bo mają tam specjalne pokoje kąpielowe z żeliwnymi wannami – wyjaśnił. – No i ma się rozumieć jest ciepła woda i zimna. A krany w pokoju kąpielowym i nawet w kuchni też mają dwa kurki porcelanowe.

– A w kuchni to niby po co? – Policjant Rzepa się zdziwił. Jako człowiek obyty w świecie wiedział, że oszuści wymyślają różne głupoty, które są tylko po to, żeby naiwnych naciągnąć, jak choćby ta ciepła woda w kuchni.

Stróż wzruszył ramionami. Nie miał pojęcia, po co komu w kuchni jest potrzebny kran z gorącą wodą, bo przecież każdy wiedział, że wodę się grzeje na piecu, a nie w kranie.

– Widać nie mają na co bejmów[8] wydawać – odpowiedział zgodnie ze swoimi przekonaniem na temat marnotrawstwa ludzi majątnych, którzy tylko na pozór dbają o swoje pieniądze, a w rzeczywistości szastają nimi na prawo i lewo.

– A w zasadzie to co mnie to obchodzi? – rzucił w końcu policjant. – Wy mi zaraz gadajcie... – przerwał i spojrzał uważnie na ciecia – jak wy się właściwie nazywacie, co?

– Kulas Antoni, na rozkaz.

– O, w wojsku byliście, Kulas? – Policjant spojrzał na wąsacza pierwszy raz nieco życzliwiej, ale gdy usłyszał odpowiedź, cały niewielki zasób sympatii wyparował.

– Melduję, że tak jest, znaczy się służyłem w 40 Pułku Piechoty z Rzeszowa.

– Łe tej. – Rzepa machnął ręką. Skoro to Galicyjok, to żaden z niego żołnierz, pomyślał, bo gdzież tym poddanym Franza



Josepha równać się z pruskimi pułkami. W jednym z nich sam miał zaszczyt służyć.

– To powiadacie, że kto obraz znalazł? – Znienacka zadał pytanie, które mogło zbić z tropu stróża, ale ten najwyraźniej tylko na to czekał.

– Melduję, że niejaki Cholewiak Wincenty znalazł obraz, wyciągnął go z gówna i pewnie chciał go ukraść, ale nie daliśmy mu Świętej Panienci wynieść. Został zdybany przez Jadwigę Malutką i Teodorę Kurzępę i one mu obraz odebrały, jak go mył pod kranem. O, tam. A te dwie to w maglu pracują i akuratnie też pod kran szły z wiadrami, i onego zobaczyły, jak wodę leje na gębę Najświętszej Panienci i gówno zmywa z obrazu. To jemu zaraz go odebrały, a onego zamknęły.

– Jak zamknęły? – zdziwił się policjant.

– No normalnie – wyjaśnił nieco zdziwiony cieć, bo w zamknięciu złodzieja nic złego nie dostrzegł.

– No zamknęły go, żeby nie uciekł. A ja zem kłódkę założył i posłałem chłopaka na policję meldować, tak jak przykazane jest, żeby o wszystkim meldować, i tak to pan posterunkowy mógł przyjść do nas sprawdzić, co i jak.

– A obraz to gdzie? – zapytał policjant.

– Melduję, że baby do magla wzięły, żeby z gówna dostatecznie go odczyścić.

– A złodziej gdzie?

– Złodziej w sraczu siedzi w dalszym ciągu. – Stróż wskazał na drzwi z serduszkem.

– Jak to? To znaczy się on tam cały czas jest zamknięty?

– No pod Bogiem, że tam jest. Może przysnął tylko trochę, bo jak my jego zamykali, to był jeszcze mocno opity.

– A, to rozumiem. – Policjant pokiwał głową. – Skoro był opity, to może tak i cały dzień siedzieć. Trzeba go będzie

w takim razie doprowadzić do porządku, bo pewnie utyłany jest od tych gówień, co w nich grzebał, i zabrać na komisariat.

– Już trochę obmyty. Znaczy się sam obmył, jak stał przy kranie z wodą.

– No to wskażcie mi celę, znaczy się sracz, gdzie on siedzi.

Kulas skinął głową i ruszył ku środkowym drzwiom. Podszedłszy do nich, pochylił się nad kłódką i zaczął przy niej majstrować. Policjant tymczasem wziął się pod boki i przyjął postawę godną i władczą, żeby złodziej z wychodka od razu zrozumiał, z kim ma do czynienia. Zrobił jeszcze groźną minę, zmarszczywszy brwi, i kiedy drzwi się otworzyły, spojrzał srogo na świętokradcę...

Ale wewnątrz nikogo nie było. Była za to dziura po wyłamanej desce, przez którą było widać spory fragment sąsiedniego podwórka. Wszystko stało się więc jasne. Zatrzymany raczej nie utopił się w wychodku.

## Międzychód

Godzina 12.30 po południu

Starszy przodownik Joachim Pulina otarł chusteczką pot z czoła, po czym włożył ją na powrót do kieszeni spodni. Na dworze już było ciepło, a można by nawet powiedzieć, że skwarnie. Pulina nie przepadał za upałami i dlatego dziś wolał pracować za biurkiem na swoim posterunku, w budynku magistratu, a nie chodzić po mieście. Dzięki temu, że były tu grube ściany, w pokoju dało się jako tako wysiedzieć.

Mimo że pogoda była dziś nadzwyczaj niesprzyjająca jakimkolwiek działaniom śledczym, trzeba było wyjaśnić

sprawę nieboszczyka postrzelonego w brzuch, który umarł z wykrwawienia tuż przy torach. Musiał wziąć się sam do roboty, bo jego podoficerowie śledczy nie bardzo potrafili cokolwiek z tej zagadki wycisnąć, mimo że mieli doświadczenie i sroce spod ogona nie wypadli.

Pulina spojrział najpierw na jednego, potem na drugiego i pomyślał, że ci dwaj to jednak cymbały. Bo on jak zwykle zadowoliliby się czymkolwiek, ale oni tego czegośkolwiek nie byli w stanie mu dostarczyć. Nie miał wyjścia, musiał ich obsztorcować, bo inaczej jego cały autorytet komendanta posterunku Policji Państwowej w Międzychodzie ległby w gruzach.

Z przodownikami Rochem Waloszczykiem i Anatolem Matuszkiem poznał się jeszcze w wojsku. W czasie powstania wielkopolskiego służyli razem w I Brygadzie Żandarmerii Krajowej, z której większość żołnierzy po wojennym czasie została skierowana do pracy w nowo powstałej policji. Ci dwaj już wtedy zapowiadali się na cwaniaków i obiboków, jednak wspólna służba w wojennym czasie sprawiała, że na takie drobiazgi jak lenistwo przymykało się oczy. Ale teraz oczu przymknąć nie mógł, bo wiedział, że oni w sprawie nie zrobili nic, a tylko udawali zapracowanych. Jego znajomy, właściciel restauracji dworcowej Jan Martyński, nie omieszkał mu powiedzieć, że Waloszczyk i Matuszek od rana siedzieli u niego w knajpie, popijając piwo.

– No to powiedzcie mi, gołąbeczki, co żeście ustalili? – zapytał słodkim tonem i to powinno im dać do myślenia. Ale oni chyba czuli się nazbyt pewnie, bo Waloszczyk podkręcił sumiastego wąsa i zrobił krok naprzód, skracając służbowy dystans trzech metrów od biurka komendanta. Ten zrobił wielkie oczy i wciągnął z sykiem powietrze, co sprawiło, że

podoficer zrozumiał swój błąd. Wycofał się zaraz i znów stanął w jednej linii z drugim śledczym.

– Ty mi zaraz gadaj! – Wskazał na tego wyrywne go Waloszczyka. Przodownik spojrział w dół na świeżo wypastowaną podłogę, jakby z tych dębowych desek mógł wyczytać coś mądrego. Nie był jednak znawcą drewnianych sło i niczego interesującego tam nie znalazł, poza jednym szczegółem. Po podłodze szedł sobie spokojnie czarny prusak, z fasonem poruszający wielkimi czułkami. I wtedy Waloszczyk doznał olśnienia.

Fakty były takie, że od stwierdzenia śmierci delikwenta przy torach w zasadzie nic nie zrobili, bo im się zwyczajnie nie chciało. Zresztą komu by się chciało w upalne dni łązić po torowisku i szukać jakichś śladów. Byli przez chwilę w miejscu, gdzie kolejarze znaleźli nieboszczyka, a zaraz potem poszli do restauracji dworcowej, żeby się naradzić. No i tak się naradzali przez całe przedpołudnie, żeby mieć na wszelki wypadek jakieś wspólne stanowisko. Tego jednak też nie udało im się wypracować, bo między jednym a drugim piwem mieli ważniejsze zajęcia w postaci gry w karty. I jakoś im ten czas zleciał, a gdy wrócili na posterunek, nawet nie pomyśleli, żeby coś wydumać. Gdyby mieli jeszcze chwilę, to kto wie, ale komendant zawołał ich niespodziewanie, kazał stanąć przed biurkiem i meldować.

Teraz Waloszczyk przypomniał sobie, co zaczęli ustalać, ale przerwali, gdy kelner przyniósł im piwo. No wtedy właśnie Matuszek powiedział, że zabicie tego tam przy torach to musi być robota Niemców. A on się z nim zgodził, bo niby czyja miałyby być? No i teraz ten prusak na podłodze właśnie mu o tym przypomniał.

– Ja melduję – zaczął ostrożnie Waloszczyk – że to tego tam, jak on się nazywał... – Podrapał się po podgolonej głowie, bo nie miał pojęcia, jak się nazywa nieboszczyk. Znał go z widzenia, ale nazwisko jakoś mu nigdy nie zasiedziało się w głowie.

– Grzelak Marian, syn Mariana – przypomniał mu Matuszek, który miał dość dobrą pamięć do nazwisk.

– O, o właśnie to miałem powiedzieć, że to Grzelak jest tym zabitym. No to my żeśmy wykryli, że jego musieli postrzelić Niemcy – wyrzucił z siebie z wyraźną ulgą.

– Niemcy, powiadasz? A ty co o tym myślisz? – zapytał drugiego śledczego komendant.

– Niemcy – potwierdził bez zająknięcia i odrobiny jakichkolwiek wątpliwości Matuszek.

– A niby to skąd wiecie?

– Pytali my tego wielkiego Myszorka. – Waloszczyk przypomniał sobie, jak do ich stolika podszedł ten nastawiacz wagonów, usiadł bez pytania i upiwszy łyk piwa, zagadnął przyjaźnie o wynik śledztwa.

– Wynik jest taki, że nic jeszcze na razie nie wiadomo – rzucił na odczepnego Waloszczyk. Nie podobało mu się, że ten Myszorek czuje się tu jak u siebie i jeszcze przysiada się jak do swoich. A wiadomo, że oni nie swoi, bo przecież są służbowymi personami, a nie jakimiś kolejarzami od ustawiania zderzaków.

– No tak – przyznał Myszorek. – Na razie nie może być wiadomo, bo czasu za mało jeszcze, żeby wszystko sprawdzić. Ale mnie się widzi, że on z Niemiec szedł.

– A skąd to niby wiesz? – zainteresował się Matuszek.

– Bo jak tak leżał, to plecami na zachód, a głową na wschód, znaczy, jak padł, szedł z Niemiec.

– Niby prawda, że jak się idzie z Niemiec, to na wschód – stwierdził z miną znawcy Matuszek.

– Ale jak się jest rannym w brzuch, to można w różne strony upaść. – Waloszczyk przypomniał sobie naraz o wszystkich znanych mu kolegach, którzy umarli od postrzału w brzuch, i wyszło mu, że padali w różnych kierunkach. Dlatego na razie postanowił nie wyciągać pochopnych wniosków. – Ludzie różnie padają – oświadczył.

– Ale jak kto jest przemytnik, to upadnie tam, gdzie idzie. – Myszorek miał najwyraźniej swoją teorię. – Znaczy, jak on szedł ranny w bebechy, to gdzie szedł? No przecież z raną nie laźłby do Niemiec, bo i po co? Jak był ranny, to wracał do chaty, żeby szukać pomocy. Bo od Niemców to mógłby się raczej drugiej kuli spodziewać.

Na takie argumenty obaj policjanci musieli przystać. Logika Myszorka była bezbłędna i nijak nie dawało się jej obalić. Ranny zawsze lezie do siebie, a nie do przeciwnika, więc musiał dostać postrzał z niemieckiego karabinu.

– Jak kto jest ranny, to wraca do domu. – Zadowolony Waloszczyk popatrzył na komendanta z miną, na której malował się tryumfalny uśmiech zwycięzcy. – Musiał od Niemców uciekać.

– A gdzie jego worek? – zapytał naraz komendant, a dwaj śledczy natychmiast znów spuścili oczy. – Bo jak to jest przemytnik, to gdzie miał przemyt? Musiał coś nieść do Polski i dlatego mógł dostać kulkę od Niemców. To gdzie jest ten worek, co?

Odpowiedzią było milczenie.

– No to jak nie wiecie, gdzie jest worek, to ja wam powiem. Jest na granicy, tam gdzie on dostał strzał. I dlatego teraz, wy dwa ćwoki patentowane, pójdziecie na granicę i przeszukacie każdy centymetr ziemi i bez worka mi nie wróćcie. Zrozumiano?

Śledczy pokiwali głowami, zadowoleni, że mogą już się oddalić. Czekali więc tylko na rozkaz odmeldowania, ale się nie doczekali. Komendant jeszcze nie skończył.

– A jak ja się dowiem, że siedzicie sobie w restauracji dworcowej, chlejecie piwsko i rżniecie skata, to lepiej by było dla was, żeby was rodzona matka nie urodziła. Bo jak ja tam wpadnę, to nogi z dupy powyrywam i będzie po was. A wy już dobrze wiecie, że policjanci bez nóg na służbie państwowej się nie sprawdzają, bo policjant musi mieć nogi silne i szybkie, żeby móc za przestępcą w pogoń się puścić. No więc bez nóg to wy, cholerne obiboki, kariery w Policji Państwowej nie zrobicie. Więc lepiej fyrajcie<sup>[9]</sup> mi oba nad granicę i z workiem Grzelaka tu wróćcie, żebyśmy wiedzieli, za co szkiebry<sup>[10]</sup> go zastrzeliły. A jak nic nie znajdziecie, to lepiej by było dla was, żeby was rodzona matka...

Pięć minut później obaj śledczy jechali w kierunku granicy, oparci o kierownice służbowych rowerów. Do przejścia granicznego mieli jakieś dwa kilometry, więc woleli ten kawałek przejechać, zamiast schodzić zelówki. W zasadzie byli zadowoleni, bo komendant nawet ich specjalnie nie obsztorcował. Musieli teraz tylko znaleźć ten cholerny worek, a jeśli go nie znajdą...

– Jak worka nie będzie, to coś się wymyśli – stwierdził Waloszczyk, który jako urodzony optymista wyszukiwał zawsze pozytywne aspekty każdej sprawy. Matuszek pokiwał

głową. Nie mógł się nie zgodzić z kolegą. Zawsze w końcu coś się wymyślało, bo nigdy tak nie było, żeby jakoś nie było.

## Schönlanke<sup>[11]</sup>

Godzina 1.00 po południu

Restauracja dworcowa w Schönlanke nie należała do najwykwintniejszych przybytków gastronomicznych. Trzeba było dużo dobrej woli, żeby w ogóle nazwać ją restauracją. W każdym innym nieco większym mieście takie miejsce byłoby nazywane zwyczajnie dworcowym barem albo poczekalnią z bufetem, ale nie tu. Właściciel był wszak człowiekiem o rozległych horyzontach i równie szerokich ambicjach. Co z tego, że Schönlanke to zadupie na samych kresach cywilizacji i kultury, tłumaczył swojemu znajomemu, pracownikowi kolei Hermanowi Paschke, August Böckstiegel.

– Widzisz, Herman, to miejsce, w którym Niemcy mają specjalną misję. – Postukał palcem w blat, żeby dobitnie pokazać, o jakie miejsce konkretnie mu się rozchodzi. Potem z tego blatu barowego kontuaru starł odrobinę wilgoci ścierką, położył okrągły kartonik z wydrukowaną na białym tle zieloną reklamą miejscowego schloßbrauerei, a na nim postawił kufel jasnego piwa z grubą pianką.

– No w zasadzie, to jakby to w każdym razie, można by... – Kolejarz spróbował powiedzieć coś mądrego, ale nie był takim światowcem jak restaurator, więc uciekł od tematu, zanurzając w piwie usta i nastroszone wzorem pruskich dragonów wąsy.



– Masz rację, Herman, masz całkowitą rację. – Böckstiegel pokiwał głową, zarzucając sobie ścierką na ramię. – Bo stąd rozchodzi się jasne światło niemieckiej cywilizacji, którą Niemcy muszą nieść dalej, na wschód, by dawać przykład tej dziczy, co to mieszka tuż za naszą granicą, a niekiedy nawet tu u nas, w sąsiednim domu. – Powiedziawszy to, zrobił nieokreślony ruch ręką, wskazując wszystko i nic.

Nie mógł się odnieść do żadnego konkretnego miejsca, bo w Schönlanke mieszkało tylu Polaków, co i Niemców. Jak to w tych pogranicznych miasteczkach bywało, oba żywioły mieszały się ze sobą, kotłowały, a często krzyżowały na tyle skutecznie, że trudno było określić, kto tu jest Polakiem, a kto Niemcem.

– I z tym burdelem trzeba by zrobić porządek, zaczynając od tego, co jest u nas. Nie sądzisz, Herman?

– Tak, tak, jak najbardziej – przyznał kolejarz i znów upił łyk piwa. Te wywody Augusta go peszyły i deprymowały, ale nie miał innego wyjścia, musiał ich słuchać i się zgadzać, bo gdyby tego nie robił, to mógł się spodziewać ostrej reprymendy, jak ci wszyscy, którzy próbowali wchodzić w polemikę z Böckstiegelem. On nie wchodził, bo było mu wszystko jedno. Chciał tylko spokojnie wypić piwo, a potem jeszcze ze dwa, zagryźć parówką z bułką i zapłacić jak najmniej. A na zniżkę mógł w tym lokalu liczyć tylko prawdziwie miłujący Rzeszę Niemiec. Dlatego Paschke miłował, pił i jadł, a gdy trzeba było, zgadzał się z restauratorem.

– Tu u nas nawet nazwiska nie świadczą o niczym. Można być dobrym Niemcem i nazywać się Kowal, jak ten nauczyciel ze szkoły powszechnej. Znasz go przecież, nie?

Kolejarz pokiwał głową, mimo że nie znał. Co go obchodził jakiś nauczyciel? Piwo go obchodziło.

– On przecież zaraz po Wielkiej Wojnie, jak była w Posen ta polska rewolucja nacjonalistyczna w dziewiętnastym roku, to pierwszy zaciągnął się do Freikorpsu. Albo weźmy w drugą stronę, takie nazwisko Meyer znasz?

Znał wielu Meyerów, więc znów pokiwał głową i upił piwo.

– No to ten Franz Meyer, urzędnik magistratu, gada po niemiecku tak samo jak ja i ty. Rozumiesz to? Tak samo mówi, a jak mówi, to i myśli po naszemu. I do tego wszystkiego mieszka tu z nami, niedaleko stąd, na Kościelnej, a co wtorek jeździ do Schneidemühl<sup>[12]</sup> i wiesz, co on tam robi w te wtorki? On, wyobraź sobie, chodzi na próby chóru! Polskiego chóru, co się nazywa Halka i skupia samych polskich buntowników. A na tych próbach to oni śpiewają wiesz co? *Jeszcze Polska nie zginęła* i różne inne polskie pieśni. Możesz to sobie wyobrazić?

Kolejarz najwyraźniej mógł, bo wyobraźnię miał jak każdy kolejarz należycie rozwiniętą. Przecież w jego fachu trzeba było umieć sobie wyobrazić wszystko, ale przede wszystkim konsekwencje zaniedbań i braku odpowiedzialności mogące doprowadzić do kolejowej katastrofy. Dlatego znów skinął głową i dopił piwo do końca. Restaurator od razu zauważył, że kufel jest pusty, i bez pytania napełnił go miejscowym pilssem.

– I ja ci powiem, mój drogi, że on jest głupcem. Na co mu ta Polska? Przecież wszyscy wiedzą, że to jest państwo przejściowe, sezonowe i prędzej czy później się rozleci, bo przecież ci Polacy nigdy nie byli w stanie rządzić się samodzielnie. Owszem, potrafili walczyć, bić się krwawo, ale chyba do końca nie wiedzieli o co. Na cholere im taka wolność, z którą nie wiedzą, co zrobić. Nie mają nawet szacunku do

siebie samych i do wybranych przez siebie władz. Zaczęli przecież już na samym początku od zabicia własnego prezydenta, a to, co działo się później, to jeden wielki ciąg niepowodzeń i porażek politycznych ze stale upadającymi rządami. Nie, ten kraj nie ma przyszłości. Zgadzasz się ze mną, Herman?

Paschke się uśmiechnął i wskazał na garnek stojący na piecu, za plecami Böckstiegela. Ten się odwrócił i zaraz uderzył otwartą dłonią w czoło.

– Tak to jest, jak się gada na takie pasjonujące tematy, przyjacielu. Człowiek o świecie zapomina i o wszystkim w ogóle przez tych cholernych Polaczków.

Parówki musiały się już dawno ugotować. Zdjął więc ścierkę z ramienia, chwycił przez nią rączkę garnka i przesunął naczynie na bok pieca, tam gdzie żeliwna płyta była najmniej rozgrzana. Podniósł pokrywkę, a ze środka natychmiast buchnęła para.

– No mało brakowało, a by popękały. Ale nie, na szczęście są w sam raz – stwierdził zadowolony. – Ile ci nałożyć, dwie czy od razu trzy? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, wrzucił trzy na talerz. Dołożył solidną łyżkę musztardy i z kosza wiklinowego wydobył dwie bułki. Kolejarz nie należał do ludzi, którzy mieli umiar w jedzeniu. Pił i jadł za dwóch, a to zamiłowanie do uciech stołu wyraźnie widać było w podwójnej linii podbródka.

– Dam radę z trzema – wyjaśnił zupełnie niepotrzebnie. Restaurator znał go przecież nie od dziś. Ten bar o odrapanych ścianach, pomalowanych żółtą farbą olejną, prowadził od dwunastu lat, czyli rok dłużej niż kolejarz pracował na stacji.

Postawił przed nim talerz z parującymi kiełbaskami i natychmiast odwrócił się w prawo, spoglądając za okno. Widok stąd rozciągał się na pierwszy peron, ten, na który pociągi przyjeżdżały z granicznej stacji Kreuz[13].

Lokomotywa, sapiąc i dysząc kłębami pary, wolno wtoczyła się na dworzec, ciągnąc za sobą trzy zielone wagony trzeciej klasy. Pociąg jechał dalej do Schneidemühl, a tutaj zatrzymywał się tylko na dziesięć minut. Zbyt krótko, żeby któryś z pasażerów mógł wyjść i zrobić w restauracji jakieś solidne zakupy. Nikt też na pewno nie będzie zamawiał jedzenia. Co najwyżej ktoś może wyskoczyć po papierosy czy butelkę piwa.

Kolejarz odsunął się na sam koniec kontuaru. Tak na wszelki wypadek, żeby nie dać się popchnąć jakiemuś pasażerowi, który wpadłby tu zdyszany. Ale zupełnie niepotrzebnie. Nikt z pasażerów nie miał zamiaru odwiedzać dworcowej knajpy. Poza jednym.

Szczupły, dość wysoki, bo mierzący nieco ponad sto siedemdziesiąt centymetrów, mężczyzna o ciemnych, zaczesanych do tyłu i ułożonych za pomocą brylantyny włosach, ze smukłą twarzą, ozdobioną na czarno upomadowanym, podkreconym na dwóch końcach wąsem, ubrany był w lekką wełnianą marynarkę koloru kawy z mlekiem, nieco ciemniejsze spodnie, wiśniowe, wyglancowane i z daleka świecące się buty i niemal identycznego koloru kamizelkę. Wchodząc do środka, zdjął kapelusz z głowy. Restaurator obrzucił go taksującym spojrzeniem, próbując natychmiast ocenić zawartość portfela tego gościa. Nie wyglądał na przemysłowca ani na urzędnika. Raczej na człowieka uprawiającego wolny zawód. Świadczyć mogła o tym niewielka muszka zapięta pod szyją. Urzędnicy

nosili bowiem krawat na gumce, ludzie z branży handlowej najczęściej krawaty wiązane, a muszki zazwyczaj ozdabiały szyje ludzi o mniej solidnym podejściu do pieniądza.

Gość, przystanąwszy w drzwiach, rozejrzał się po sali, jakby wypatrując jakiegoś niebezpieczeństwa, ale nie dostrzegłszy niczego, bo wewnątrz prócz barmana i kolejarza nie było nikogo, ruszył zdecydowanym krokiem w kierunku bufetu. I wtedy August Böckstiegel go rozpoznał i natychmiast wypuścił z dłoni talerz, który z brzękiem upadł na podłogę, rozbijając się w drobny mak.

Niektórzy powiadają, że roztrzaskanie porcelany na powitanie niespodziewanego i dawno niewidzianego gościa przynosi szczęście, ale właściciel dworcowej restauracji wcale nie był przekonany, że wejście tego mężczyzny może być zwiastunem dobrych nowin. Wierzyście, którym trzeba oddać pieniądze, najczęściej nie przynosili dobrych wieści.

## Schneidemühl

Godzina 2.30 po południu

Intendent oberfeldwebel<sup>[14]</sup> Peter Klutschka spojrział przez okno na plac apelowy i zaklął cicho pod nastroszonym wąsem. I wcale nie przeklinał na widok ćwiczeń musztry wykonywanych byle jak przez kilka drużyn nowych rekrutów, takich, co to nie mają pojęcia, jak się zachować, gdy pada komenda „w tył zwrot” czy „naprzód marsz”. Te gamonie będą jeszcze mylić krok przez kilka najbliższych dni, ale za jakieś dwa tygodnie pomaszerują równo obok siebie, dziarsko wybijając rytm podkutymi butami. Tak było zawsze, że rekruci

zaczynali swoją wojskową karierę nieporadnie, by po pewnym, dość krótkim czasie stać się pełnowartościowymi elementami niemieckiej armii. Dlatego Klutschka nie przejmował się tą dziadowską musztrą, bo jako doświadczony szef pierwszej kompanii III Batalionu Szczecińskiej Dywizji Reichswehry wiedział doskonale, że początki bywają trudne. Niestety, właśnie doświadczał na własnej skórze, że trudno bywa także później, w trakcie służby, kiedy człowiekowi wydaje się, że nic nie jest go już w stanie zaskoczyć. Dziś rano okazało się, że musi rozwiązać pewien problem i niestety nie bardzo wiedział, jak to zrobić. Niby był żołnierzem, czyli człowiekiem, w którego profesję wpisywało się znajdowanie wyjścia z patowej sytuacji, lecz wiązało się to najczęściej z niekonwencjonalnymi działaniami w sytuacji ekstremalnej, czyli wojennej. A w tej chwili o żadnej wojnie nie było mowy. Tymczasem on musiał szukać rozwiązania problemu tak, jakby był na froncie.

Problem pojawił się dziś rano, zaraz po porannym apelu, gdy padła komenda „rozejść się”. Żołnierze drużynami ruszyli do swoich zajęć, jedni do klas szkolnych na zajęcia teoretyczne, inni do prac na terenie jednostki, a podoficerowie do swoich magazynów i biur, zajmować się tym wszystkim, co było najpiękniejszym elementem wojskowej roboty, czyli nicnierobieniem, w tak umiejętny sposób, żeby wszyscy myśleli, że są niesłychanie mocno zapracowani. Klutschka śpieszył się do swojego kantorku w magazynie mundurowo-sprzętowym, gdzie miał biurko z maszyną do pisania, a pod blatem skrzynkę doskonałego piwa Grenzmark Spezial, którą wczoraj wieczorem przynieśli do koszar dwaj feldfeble wracający z przepustki. Chcieli mu się w ten sposób odwdziżyć za załatwienie dodatkowych sortów mundurowych w zamian za zniszczone, które podarły się

podczas jakiejś burdy w mieście. Klutschka był ludzkim szefem i wiedział, że taka przysługa nie zostanie bez nagrody, i się nie pomylił. Obaj ubrani w nowe portki i bluzy przyszli do niego z tą skrzynką piwa. Schował ją pod stół, myśląc z zadowoleniem, że zaraz po apelu przyjdzie do niego na karty Gustaw Braun, szef drugiej kompanii, i podczas tej jakże kulturalnej rozrywki wypiją po kilka butelek.

Ale ten piękny plan wziął w łeb, gdy zmierzał już do siebie. W miejscu osadził go głos majora Wittelbacha.

– Oberfeldwebel, pozwólcie no tutaj! – zawołał. Klutschka rozejrzał się wokół, żeby sprawdzić, czy aby na pewno do niego skierowane było to polecenie. Ale nie było przy nim nikogo innego. Natychmiast wyciągnął więc papierosa z ust, bo jak zwykle po apelu od razu zapalił. Nie miał go jednak gdzie wyrzucić. Najbliższa popielniczka stała przed wejściem do magazynu. Gdyby tam doszedł, to akurat skończyłby palić, ale teraz nie miał co z nim począć.

– Możecie palić. Ja nawet sam zapalę – powiedział koleżeńskim tonem Wittelbach, sięgając do kieszeni po srebrną papierośnicę. Wyciągnął z niej papierosa, a Klutschka podał mu ogień. – Ładny dzień dziś mamy, nie sądzicie? – zagadnął oficer, a intendent spojrzął nie niego podejrzliwie. Najwyraźniej ten Prusak miał do niego jakiś interes, więc trzeba było uważać. Klutschka pochodził stąd, z pogranicza, i nie przepadał za tymi sztywniakami z Berlina, którzy nie mieli pojęcia, jak się tu żyje, a przyjeżdżali do jego pułku, żeby odsłużyć swoje i uciec na powrót do stolicy na ciepłą posadę w Sztabie Generalnym. Ten facet, którego nie zdążył jeszcze poznać, bo pojawił się tu jakiś miesiąc temu, sprawiał właśnie wrażenie takiego tymczasowego oficera, po którym za pół roku

nie będzie śladu. No ale był oficerem i jeśli miał na to ochotę, mógł sobie gadać o pogodzie czy o czym tam mu się zachciało.

– Tak jest, panie majorze. Bardzo ładnie, owszem – potwierdził podoficer.

– A tak w ogóle to wy, oberfeldwebel, macie pod sobą też materiały budowlane? – zapytał major, a Klutschka poczuł, jak włosy jeżą mu się na głowie. Na szczęście nie było tego widać, bo ukryte były pod czapką. Czyżby ten major chciał go na coś złapać? Zaczął gorączkowo się zastanawiać. No bo niby skąd jakiś przyjezdny oficer może wiedzieć o tej jego budowlance, na której zarabiał od dawna, prowadząc interesy z miejscowymi przedsiębiorcami.

W batalionie niewiele się budowało, a materiały wykorzystywano tylko do doraźnych remontów w koszarach. Tymczasem na stanie magazynowym było sporo cementu, wapna, cegieł, belek i tego wszystkiego, co potrzeba do organizacji budów. I gdy się wchodziło do magazynu, rzeczywiście można było pomyśleć, że armia mogłaby z łatwością z tych zgromadzonych materiałów postawić przynajmniej jeszcze jeden koszarowy budynek. Wszystko za sprawą sprytnego ułożenia worków z cementem i cegieł, które były składowane wzdłuż magazynowej uliczki, sprawiając wrażenie, że jest tego naprawdę sporo. Tymczasem za ścianą z worków i cegłówek ziała pustka, bo wszystko zostało już dawno sprzedane na lewo.

Klutschka niespecjalnie się tym martwił, bo był przekonany, że jeśli będzie trzeba, załatwi materiały od kogoś z miasta. W końcu budowy nowych obiektów planowało się z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem, więc spokojnie mógł zapełnić magazyn za pieniądze ze sprzedaży na przykład racji żywnościowych, mundurów czy broni, której w wojsku był



zawsze nadmiar. Ale ten tu oficer pytał go o materiały budowlane, tak jakby coś podejrzewał.

– Tak jest, melduję, że mam budowlankę pod sobą.

– A stany się zgadzają?

Cholera, to grubsza sprawa, pomyślał Klutschka. Ten gość pyta o stany magazynowe, czyli sprawdził już, ile czego jest.

– Tak jest, wszystko w najlepszym porządku – potwierdził bez zająknięcia.

– To bardzo dobrze, bardzo dobrze. Bo wiecie, to, co jest w magazynie, to może być nawet za mało, więc trzeba by jeszcze dokupić sporo. Ale myślę, że macie rozeznanie na rynku i sobie z tym poradzicie.

– Tak jest, znam tu wszystkich w Schneidemühl, to i kłopotu nie będzie. Jednakowoż muszę mieć specyfikację, ile czego trzeba, no i przede wszystkim muszę wiedzieć, na co to jest potrzebne. Znaczą, jaka to budowa?

– Budowa jak budowa. Mogę wam to w zasadzie powiedzieć, że tuż nad granicą będziemy budować taką specjalną strażnicę z antenami radiowymi.

– Tak jest, rozumiem. A kiedy zaczynamy prace? Rozchodzi mnie się o to, ile mam czasu na organizację wszystkiego.

– Tyle, że wystarczy, żebyście przygotowali drużynę budowlaną, znaczą niewykwalifikowanych do noszenia i podawania cegieł i do tego kogoś, kto się zna na murarce.

– Zrobimy, co trzeba.

– No to świetnie, bardzo dobrze. W takim razie przyjdźcie do mnie, powiedzmy, tak za godzinę. Ja urzęduję w budynku sztabowym, na pierwszym piętrze, w pokoju sto dziesięć. Zapamiętacie?

– Tak jest.

– No to jak przyjdziecie, to pokażę wam plany, na mapie wskażę miejsce, a jutro będziemy mogli tam pojechać, żebyście mogli rozejrzeć się na miejscu.

– Tak jest, panie majorze. Oczywiście, zaraz biorę się za organizacyjne kwestie.

– No spokojnie, mamy jeszcze na to trochę czasu.

– Ile? – dopytywał podejrzliwie oberfeldwebel.

– Jakies dwa tygodnie. Poradzicie sobie? – zapytał, patrząc na Klutschkę.

Co miał sobie nie poradzić? Musiał, bo chyba nie miał innego wyjścia. Jeśli coś by się nie powiodło, to byłby całkowicie i nieodwołanie skończony jako intendent i szef kompanii, a kto wie, może i nawet wyrzuciliby go z wojska. Dlatego zaraz po rozmowie z majorem poszedł do swojego kantorka, w którym czekał już na niego sierżant Gustaw Brandt, gotowy do gry w skata i degustacji piwa.

– Możemy się napić, ale o kartach zapomnij.

– A to czemu? – zdziwił się kolega.

– Bo ten nowy oficer, jak on się nazywa? Wittelbach...

– Von Wittelbach – poprawił go Brandt. – To co z nim?

– Chce coś budować, a ja nie mam cementu. Wszystko żeśmy wyprzedali.

– No to trzeba cement załatwić, a von Wittelbachowi lepiej nie podpadać.

– A to czemu?

– Jak to, nic nie wiesz o nim?

– A co niby mam wiedzieć?

– No, chłopie, ten facet zajmuje się wywiadem. Jest z Abwehry.

– Nie wiedziałem. I co to znaczy?

– Ano tyle, że lepiej będzie ten cement załatwić, bo jak on coś buduje, to znaczy, że rozkazy ma bezpośrednio z Berlina. A z Berlinem trzeba zgodnie żyć. Tak mi się zdaje.

– No niby tak, tylko skąd ja mu wezmę wagon albo i więcej cementu? I to na kredyt, bo pieniędzy to ja tak od razu nie skombinuję?

– Daj no flaszkę piwa i dziękuj Bogu, że masz mnie za przyjaciela. Bo ja ci, chłopie, nie dam zginąć. Na szczęście mój szwagier potrafi załatwić wszystko. Jeszcze dziś do niego zadzwonimy.

– A ten twój szwagier to...

– To właściciel restauracji dworcowej w Kreuz. Powiadam ci, facet może załatwić, co tylko potrzeba, i to po przystępnej cenie.

Klutschka sięgnął pod biurko i wydobył dwie butelki piwa. Od razu poprawił mu się nastrój. Z takimi ludźmi jak Brandt można było konie kraść, a potem je sprzedawać i zamieniać na... na przykład na cement.

[4] Szuszwol (gwar.) – łachudra, obibok.

[5] Szczon, szczun (gwar.) – młodzieniec, gówniarz.

[6] Wpuścić w pyry (gwar.) – zrobić w konia, oszukać.

[7] Ksiuty (gwar.) – głupoty, żarty.

[8] Bejmy (gwar.) – pieniądze.

[9] Fyrać (gwar.) – uciekać.

[10] Szkiebry (gwar.) – pogardliwie: Niemcy.

[11] Schönlanke – obecnie Trzcianka, miasto w województwie wielkopolskim.

[12] Schneidemühl – obecnie Piła, miasto w województwie wielkopolskim.

[13] Kreuz (niem.) – obecnie Krzyż, miasto w Wielkopolsce.

[14] Oberfeldwebel (niem.) – starszy sierżant.



# Rozdział II

## Poznań

Godzina 3.10 po południu

– Widzisz pan, panie Oskierko, że nie mam czasu na żadne pierdoły. – Komisarz Fischer, ostrzyżony na krótko, solidnej budowy czterdziestolatek o płowych włosach, z równo przystrzyżonym wąsem pod nosem, ubrany był w stalowy garnitur, spod którego wyzierała ciemnozielona kamizelka. Już na pierwszy rzut oka widać było, że człowiek ów ruchy ma sprężyste, jak dobrze wyćwiczony na placu apelowym żołnierz, który przywykłszy przez lata służby do wojskowej postawy, nijak nie może się jej wyzbyć w cywilu. Oficer wskazał na papiery rozłożone na jego biurku.

Aspirant Oskierko zapewne nie dałby rady, gdyby musiał stanąć do walki wręcz ze swoim przełożonym, bo był szczupłym trzydziestolatkiem o niezbyt atletycznej posturze. Jednak ich szanse zapewne by się wyrównały, gdyby w pojedynku mogli posługiwać się szablami. Oskierko był kiedyś ułanem i nie lada rębaczem. Na szczęście między tymi dwoma nie dochodziło do konfliktów, którym skutecznie zapobiegały wzajemny szacunek i miejsce zajmowane na drabinie służbowej. To Fischer był od wydawania poleceń, a Oskierko od ich wykonywania.

Młody policjant spojrział na papiery i ze zdziwieniem stwierdził, że wcale nie są to akta sprawy, które zwykle leżały na biurku przełożonego. Ten wziął na tapet jakieś przewodniki po Poznaniu i kilka różnych map. Wyglądało to tak, jakby szykował się do wyprawy krajoznawczej po mieście i okolicy.

– Melduję, że ja tylko po poradę do pana komisarza w kwestii świętego obrazu, bo nie śmiałybym zabierać cennego czasu – spróbował się wytłumaczyć młody oficer. Ale Fischer już najprawdopodobniej pogodził się z tym, że przerwano mu robotę, a być może doszedł do wniosku, że przyda się odrobina odpoczynku od tego nietypowego zajęcia.

Chwycił opartą o kryształową popielniczkę ulubioną wiśniową fajkę z pogryzionym ustnikiem i włożył ją do ust. Była napełniona ubitym tytoniem i tylko czekała na odpowiednią chwilę, by umilić czas swojemu właścicielowi. Mimo że wyglądała na mocno zużytą, Fischer za nic w świecie nie zamieniłby jej na inną. Tę dostał w prezencie od ojca w szesnastym roku, gdy szedł na wojnę.

– Fajka to najlepszy towarzysz żołnierza – stwierdził stary Gustaw, dając ją synowi. – W najtrudniejszych chwilach będzie z tobą, bo w razie niebezpieczeństwa pozwoli ci zająć czymś ręce i usta. Nabijaj więc i pal, a jak będziesz szedł do ataku, będziesz miał na czym zagryźć zęby.

I rzeczywiście, gdy prowadził swoich ludzi do ataku, zawsze szedł na przedzie z fajką w zębach. To, jak tłumaczył kolegom oficerom, pozwalało mu się skupić na zadaniu, które musiał wykonać. Fajkę miał ze sobą w okopach Francji, potem po powrocie do kraju towarzyszyła mu podczas powstania wielkopolskiego, a w końcu była też z nim w czasie wojny polsko-bolszewickiej.

Gdy po wojennej zawierusze osiadł na stałe w Poznaniu, postanowił tę starą, mocno zużytą odłożyć do szuflady i kupić sobie na jej miejsce nową, znacznie porządniejszą. Jednak okazało się, że tytoń w pochodzącej z samego Berlina fajce wcale mu nie smakuje. Używał jej przez kilka dni, tłumacząc samemu sobie, że ona musi się przepalić, żeby palenie sprawiło przyjemność, ale się jakoś nie przepaliła i w końcu schował ją do szuflady, wyjmując tę wysłużoną.

Teraz pociągnął lekko, przymknął oczy i przez chwilę rozkoszował się aromatem i smakiem hamburskiego, najprzedniejszego tytoniu. Oskierko czekał cierpliwie, widząc, że jego szef, dowódca poznańskiej brygady pościgowej zajmującej się najcięższymi przestępstwami, musi zebrać myśli. W końcu Fischer podniósł się z fotela ustawionego za szerokim, ale dość mocno zużytym biurkiem, podszedł do okna i wyjrzał na ruchliwe jak zwykle o tej porze skrzyżowanie ulic Ratajczaka i 27 Grudnia. Przez chwilę przyglądał się ludziom i pojazdom w zamyśleniu, a potem odwrócił się i spojrzał na aspiranta. Ten też wstał z krzesła. Młodszy oficer był postawnym mężczyzną o słusznym wzroście, mierzącym jakieś sto osiemdziesiąt centymetrów. Ciemne włosy starannie zaczesywał na bok i utrwał tę zaczeskę odrobiną brylantyny, nadającej fryzurze delikatny, nienachalny połysk. Nie nosił wąsów, a policzki miał starannie ogolone. Ubrany był w dopasowany mundur i świecące się jak szklanki buty do jazdy konnej. Bo Oskierko był kawalerzystą, podporucznikiem Czwartej Brygady Kawalerii, odznaczonym Krzyżem Walecznych za bohaterski udział w słynnym kontrataku wyprowadzonym znad Wieprza podczas wojny z bolszewikami. A jak wiadomo, ci, którzy w tej bitwie okryli się chwałą,

później mieli otwartą szeroko bramę ku wojskowej karierze. Większość jego kolegów, z którymi ramię w ramię gnał z szablą w ręku Ruskich, dziś była już kapitanami, majorami, a i kilku pułkowników z tej dawnej kadry dałoby się znaleźć.

Tymczasem on nie dość, że nie był w wojsku, to nadal nosił stopień, z którym przyszedł do policji. Po zakończeniu wojny zaproponowano mu pozostanie w armii, a po majowym zamachu, w trakcie którego Oskierko stanął tam, gdzie uważał, że stać powinien, czyli przy marszałku, wysłano go do pracy w poznańskiej policji. Oddelegowanie nie miało jednak wcale charakteru politycznego. On nie przyjechał patrzeć na ręce miejscowym, ale został tu zesłany za karę. Wszystko przez to, że wdał się w zupełnie niepotrzebny romans z pewną majorową, i jak to w takich sytuacjach bywa, sprawa ściśle ukrywana wydała się i doszło do skandalu. Gdyby podporucznik był nic nieznaczącym żołnierzem, wywaliłoby się go z wojska na zbity pysk i byłoby po sprawie. No ale on był bohaterem znad Wieprza. Takich ludzi nie spuszczało się do rynsztoka. I w ten oto sposób młody kawalerzysta trafił pod skrzydła komisarza Antoniego Fischera z wpisanym do akt zakazem awansu do odwołania.

– Pan myślisz, panie Oskierko, że ich to w ogóle obchodzi? – Fischer wskazał palcem za siebie, na okienną szybę.

– Że niby kogo? – nie zrozumiał były ułan.

– No tych tam ludzi na ulicy?

– Ale nie wiem, o co się rozchodzi panu komisarzowi?

– O jakiś święty obrazek wrzucony do sracza. Obchodzi ich to czy nie obchodzi?

Aspirant wzruszył ramionami. Jego też to nie bardzo obeszło, choć czyste serce Polaka katolika zadrzało na samą myśl o tym, że obraz taplał się w gównie.



– Święte obrazy obchodzą naród, bo są święte.

– Święty to jest Bóg Ojciec i spokój, jaki chcielibyśmy mieć na ulicach, panie Oskierko. Niestety, w takiej instytucji pracujemy, że na spokój liczyć co nie mamy, bo wszelkie gównno, co wypłynie z wychodka, musi siłą rzeczy wpłynąć do nas. I dlatego my musimy się w nim babrać.

Komisarz, włożywszy fajkę w zęby, założył ręce z tyłu i swoim zwyczajem zaczął krążyć po pokoju. Niewiele było tu do obchodzenia, bo cały jego gabinet miał jakieś pięć na pięć metrów. Mimo to prócz biurka zmieściła się tu szafa na akta i podłużny stół, nad którym wisiał obraz w złoconej ramie. Był to oleodruk przedstawiający alpejski krajobraz z lasami porastającymi dolne partie skalistych gór i z jeleniem o rozwartym pysku, zapewne uchwyconym przez nieznanego artystę w momencie, gdy ryczał głośno, wabiąc łanię. Landshaft był pamiątką po poprzednim właścicielu tego biura, niemieckim urzędniku, który po zwycięstwie powstania wyjechał do Niemiec. Fischer zostawił ten kiczowaty malunek, bo nie miał nic innego, co mógłby powiesić w jego miejsce. Gdyby go zdjął, na ścianie zostałby ciemny ślad jego konturów. Nie było więc wyjścia, musiał zaprzyjaźnić się z ryczącym jeleniem, choć wcale nie było to łatwe.

Krzesła dostawione do podłużnego stołu pasowały do siebie tak jak ten obraz do policyjnego biura. Każde z innej parafii, wykonane przez innego stolarskiego mistrza. Jednak wystarczyło tylko dokładniej im się przyjrzeć, by dostrzec, że żaden mistrz koło nich nawet nie przechodził. Były to kiepskie siedziska, produkowane masowo z materiałów marnej jakości, takich jak sośnina czy olcha, oklejanych fornirem dębowym. Podobnie było z pozostałymi meblami zapełniającymi to pomieszczenie.

Oskierko, któremu Fischer położył dłoń na ramieniu, wskazując, by usiadł z powrotem, siedział jak przesłuchiwany aresztant. Zajmował miejsce na samotnym krześle, stojącym na wprost biurka, a służącym zazwyczaj do sadzania przesłuchiwanym w tym pokoju przestępców. Ale dzięki temu jego dowódca mógł swobodnie krążyć wokół, wyjaśniając mu, swoim zwyczajem, całą złożoność świata.

– I dlatego, panie Oskierko, z takim obrazem, nawet jeśli dla nas on nie jest święty, musimy postępować niesłychanie ostrożnie. Żyjemy w kraju katolickim i dla ludzi wszelka symbolika religijna jest ważna. Idź pan do jakiegokolwiek kościoła i zobacz, ile bab klepie zdrowaśki do maryjnych obrazów. I być może dziś w którymś z kościołów klęczą, patrząc w pustą ramę, i nie wiedzą, co mają zrobić ze swoimi modłami i do kogo je skierować. Dlatego najpierw musimy sprawdzić, czy ten obraz nie zniknął z któregoś z kościołów. Więc weź pan wyślij ludzi z posterunku na Jeżycach, niech obejdą wszystkie świątynie w pobliżu i sprawdzą, czy co nie zginęło. A jeśli nie znajdą nic w pobliżu, to niech szukają w innych kościołach. Jak się okaże, że nic nie zginęło, to mamy szczęście i obraz ze sracza oddamy do policyjnego depozytu, aż się kto po niego zgłosi. A jak się nikt nie zgłosi, to za rok go pan powieszysz w swoim pokoju. Ale jeśli zginął z kościoła, to my, panie kolego, ogłosimy policyjny sukces i informację o cudownym odzyskaniu obrazu podamy do gazet, tak żeby ludzie wiedzieli, że policja pracuje i odzyskuje. Czy pan rozumiesz, panie Oskierko, że ten obraz to dla nas wizerunkowa okazja, którą należy wyzyskać?

– Tak jest, panie komisarzu. Wyzyskamy ją niezwłocznie, a ja w takim razie wysyłam ludzi na miasto.

Oskierko wstał z krzesła i już chciał się odmeldować, ale spojrzawszy na mapy i przewodniki rozłożone na blacie, otworzył lekko usta, jakby chciał coś powiedzieć, jednak zdaje się, że nie wystarczyło mu śmiałości. Fischer natychmiast to dostrzegł.

– No i co, chciałeś pan zapytać o to – wskazał na papiery – czy aby nie planuję jakiego wyjazdu na wywczasy?

– W samej rzeczy – przyznał aspirant.

– Nic z tego. – Fischer pokręcił głową. – Żadnych wyjazdów nie będzie. Ale po Poznaniu wyprawę mam organizować, wyobraź pan sobie, wycieczkę dla niemieckiej delegacji handlowej. To się w głowie nie mieści. Zamiast zajmować się sprawami ważnymi, które wymagają moich policyjnych kwalifikacji, muszę szykować dla panów Niemców atrakcje wycieczkowe, bo oni tu, panie kolego, przyjeżdżają jakiegoś interesu załatwić, a ja mam im towarzyszyć.

– A niby dlaczego pan komisarz? – Oskierko był autentycznie zdumiony.

– Ja, a bo dlatego, że to Niemcy sami sobie mnie zażyczyli. Mnie chcą mieć za przewodnika, bo jak się okazuje, są wśród tych delegatów handlowych tacy, co mnie znają z dawnych czasów. Organizuje ten przyjazd Richardt Böhm, mój były dowódca z czasów Wielkiej Wojny. Więc wyjścia nie mam i będę im przewodnikiem tej wycieczki z Beludżystanu.

– Beludżystan? – Oskierko zrobił wielkie oczy. – Myślałem, że to chodzi o Niemców?

– A, tak w istocie... pan wtedy, gdy zjechali do nas szejkowie z Beludżystanu, jeszcze buszowałeś po warszawskich salonach. Studenci poznańscy zrobili sobie żart, przebrali się za Arabów, a wszyscy podejmowali ich tu jak prawdziwych szejków. Aż w końcu malowani Arabowie się ulotnili,

a podejmujące ich władze musiały zagryźć zęby ze wściekłości, bo śmiał się cały Poznań. Ale to nieważne. Idź pan szukać tych, co to rękę na Kościół podnieśli, a ja swoich nomadów będę w myślach oprowadzał.

Aspirant założył czapkę na głowę, zasalutował, strzelił obcasami i obróciwszy się jak na placu apelowym, wyszedł z gabinetu szefa sprężystym ułańskim krokiem.

Swoją drogą, ciekawe, gdzie leży ten Beludżystan, myślał, zamykając drzwi. Niby nazwa znana, ale gdzie dokładnie, tego nie wiedział. Postanowił to sprawdzić w jakimś atlasie.

## Granica polsko-niemiecka koło Międzychodu

Godzina 3.30 po południu

– Ej, ty! – zawołał mężczyzna w mundurze polskiego policjanta, oparty o graniczny biało-czerwony słup, ozdobiony na samej górze orłem na czerwonej tablicy. Zdziwiony młody Niemiec przystanął z malującym się na twarzy niedowierzaniem pomieszanym z niepewnością.

– No ty, do ciebie mówię! Chodź ino tu!

– *Ja... Nicht verstehe.* – Niemiec pokręcił głową.

– No patrzcie się, ludzie, biorą na granicę takich, co nawet polskiego nie znają. A jakby ci się czasem przytrafił jaki Polak i byś go musiał przesłuchać, to po jakiemu byś gadał? – Waloszczyk był najwyraźniej zdegustowany brakiem wyrobienia u niemieckiego pogranicznika. Jego kumpel, śledczy Matuszek, miał do tego obojętny stosunek, podobnie jak do wielu innych spraw, a w szczególności do tego łązenia po granicy. Dlatego gdy dojechali do przejścia i zesзли

z rowerów, to Waloszczyk postanowił zabrać się do rozmów pokojowych i transgranicznych. Matuszek ufny w kompetencje kumpla położył się tymczasem na poboczu, wydobył kartonik z papierosami egipskimi i zapalił. Nie zamierzał tracić energii na czczą paplaninę. Niech Waloszczyk gada, a on sobie odpocznie, bo jakoś dziwnie zmęczył się tą krótką jazdą. Choć droga była równa, a rowery dobrze nasmarowane i porządnie napompowane. Mimo tego czuł się nieswojo i doskwierało mu trochę to, że komendant ich opieprzył nie wiadomo za co. Przecież oni zrobili wszystko tak, jak przykazano w rozkazach i okólnikach, które przychodzą do nich na posterunek.

W jednym z takich instruktaży przeczytał, że policjant podejmuje samodzielną akcję jedynie wtedy, kiedy wymaga to udzielenia natychmiastowej pomocy i łączy się z zagrożeniem życia lub śmierci. W przeciwnym razie, gdy wyżej wymienione okoliczności nie wstępują, należy czekać na decyzje bezpośredniego przełożonego lub dowódcy akcji.

A tam, przy torach, nie było żadnego dowódcy akcji, a do tego jeszcze fakt, że ten zabity został znaleziony nad ranem i karetka przyjechała zabrać delikwenta do kostnicy, mógł oznaczać tylko jedno: że ich poszukiwania nawet nie miały pierwszego punktu, od którego by się mogły rozpocząć, bo diabli wiedzieli, gdzie ten pociąg stał, jak znaleźli nieboszczyka. No to skoro nie było wyraźnego rozkazu i konkretnego polecenia, pokręcili się trochę, a potem poszli na piwo zastanowić się, co dalej.

Dzisiaj po południu nie poszli do knajpy, ale stanęli po drodze przy składzie kolonialnym Warzechy, który z towarów z kolonii oferował tylko kawę i pieprz. Jednak nie po frykasy z Indii czy Arabii się zatrzymali. Im wystarczyło piwo z miejscowego browaru Adama. Kupili po butelce i wyszli na

zewnątrz, żeby zapalić po papierosie i podczas degustacji świeżego piwa pogadać o tym, co mieli zrobić i najważniejsze, jak się do tego zabrać.

– Ja bym wcale nie jechał na tą granicę – rzucił Matuszek, odbijając kantem dłoni porcelanowy kapsel.

– A niby co byś zrobił? – zapytał Waloszczyk, który, jako że był bardziej postawny i znacznie grubszy od swojego kolegi, wydawał się z natury rzeczy godniejszym od tego drugiego, szczupłego i żylastego, do roli przywódcy.

– Nic bym nie zrobił. – Matuszek wzruszył ramionami. – Piwa bym się napił.

– Głupiś. – Waloszczyk pochłonał spory łyk i zaraz beknął głośno, aż obejrzała się za siebie stara Marczakowa, która akurat przechodziła przed składem z kobiałką jabłek w ręce. Nic nie powiedziała, tylko splunęła przed siebie zde gustowana brakiem obycia u tych szkiełów[15]. Ale czego się spodziewać po takich, co to nie byli prawdziwymi policjantami, ale przyuczonymi do zawodu wojskowymi. Nie tak jak ci, co to za Prusaka mundur nosili i na głowach czubate pikielhauby; przypomniwała sobie tych postawnych chłopaków o zawadiacko podkręcanych wąsach. Ci dwaj prezentowali się jak zwykli szuszwole, przez przypadek tylko ubrani w mundury.

– Nie możemy nic nie zrobić, bo nas komendant zabije – stwierdził Waloszczyk. – A ja wcale nie mam zamiaru jemu się podkładać.

– To jak to załatwimy?

– Pójdziemy do Flüggera.

– Do Aloisa?

– Ja, do Aloisa. Z nim se pogadamy.

Matuszek pokiwał głową. To było jakieś rozwiązanie. Alois zawsze potrafił znaleźć wyjście z trudnych sytuacji i pewnie

teraz też będzie umiał im pomóc.

Waloszczyk przeszył młodego Niemca ironicznym spojrzeniem, a potem odezwał się do niego najczystszą niemczyzną, której nigdy się nie uczył, ale tak jak wszyscy na pograniczu znał i używał w razie potrzeby. Gdy trzeba było mówić po polsku, mówił po polsku, a gdy po niemiecku, przechodził na ten język. Tu wszyscy miejscowi tak mieli, bo ludzie tutejsi mówili dwoma językami i nikt nigdy nie słyszał, żeby ktoś się uczył jednego czy drugiego języka. Każdy znał dwa i już. Jeśli ktoś w domu mówił po polsku, to już na podwórku z kolegami mieszaniną polsko-niemiecką i w ten oto sposób miejscowi gadali i szprechali bez najmniejszych trudności.

– No to słuchajcie, szeregowy, weźcie no skoczcie do swojego posterunku i powiedzcie oberfeldweblowi Aloisowi Flüggerowi, że jego proszą na granicę.

Chłopak spojrział zdumiony na tego Polaka, który odezwał się po niemiecku tak, jakby był rodowitym Niemcem. On też przecież mówił po niemiecku, bo pochodził z Hanoweru, ale myślał, że po niemiecku mówią Niemcy, a Polacy tylko po polsku...

– To pan jest Niemcem? – zapytał zdziwiony.

– Ja jestem Polak, a ty żeś jest głupi jak but, więc nie od myślenia żeś jest, ale od roboty. I dlatego leć raz-dwa po Flüggera!

No i chłopak pobiegł, bo w tym poleceniu poczuł moc rozkazu i służbowej władzy, więc nie miał zamiaru dyskutować. Kwadrans później do granicznego szlabanu przydreptał drobny mężczyzna ubrany w czysty i porządnie wyprasowany mundur z dystynkcjami oberfeldwebla. Na

widok dwóch polskich policjantów siedzących obok przydrożnego rowu wziął się pod boki i uśmiechając się, zawołał radosnym głosem:

– A co to za dwa worki na gówno spadły z wozu i leżą przy granicy?

– Lepszy polski worek niż niemiecka dupa wołowa! – odpowiedział Waloszczyk, wstając z wyleżanej trawy. Jego kolega też się podniósł, a na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. – No patrzcie się, ludzie, jak tych niemieckich zasrańców słabo karmią, przecież ten tu podoficer jest chudy, jakby do jedzenia dawali mu tylko wodę z czarnym chlebem, ha, ha!

Niemiec i Polacy podeszli do granicznego szlabanu, a potem padli sobie w ramiona, ucałowali się z dubeltówki, klepiąc się radośnie po plecach.

– Myślałem, że głód was tu do mnie przypędził, bo sobie w tym swoim sezonowym państwie nie dajecie rady z niczym i trzeba was trochę dokarmić – stwierdził Niemiec, spoglądając na swoich dwóch dawnych podwładnych, z którymi przesiedział dwa lata w okopach na francuskich polach bitew. Dowodził plutonem, w którym służyło sporo Polaków.

– Gdyby nie nasze gęsi, co je do was przepędzają nasi przemytnicy, tobyście nie wiedzieli nawet, jak dobra gęsiną smakuje – odpowiedział mu Waloszczyk.

– I nasze świniaki także samo – dodał Matuszek.

– Gdyby nie nasze widły, tobyście nawet nie mieli czym gnoju wyrzucać, ha, ha, ha!

Roześmiali się wszyscy trzej, a Niemiec wskazał palcem za siebie.

– No to chodźcie do mnie na polską kiełbasę i polską wódkę. U nas w strażnicy zawsze coś się znajdzie dla polepszenia



nastroju – zaproponował, a obaj jego dawni podkomendni natychmiast przeleźli pod szlabanem na drugą stronę granicy. W końcu ludzie kulturalni nie odmawiają nigdy gościny, tym bardziej gdy ofiarowywana jest z dobrego serca. A ich dawny dowódca znany był z tego, że serce u niego jak u gołębia. – No i gadajcie zaraz, czego chcecie, żebyśmy na interesu nie tracili czasu, bo możemy go lepiej wykorzystać na wspominki.

– Święta prawda, Alois – zgodził się z nim Waloszczyk. – Bo po prawdzie to my mamy sprawę.

– Gardłową – poparł kolegę Matuszek. – Trzeba nam sprawę wyjaśnić do końca, żeby nie było potem niepotrzebnego gadania na posterunku.

– Ale jaką sprawę? – zapytał Niemiec.

– Idzie o to, że żeście zastrzelili przemytnika, co laźł przez granicę dziś w nocy. Ranny doszedł prawie do Międzychodu i tam wyciągnął kopyta – wyjaśnił sytuację Waloszczyk.

– Myśmy zastrzelili? – Flügger zrobił zdumioną minę.

– No przecież nie my. A jak nie my, to wy. Bo nikt inny do przemytników nie strzela.

– Nie, no ja nic nie... – Niemiec znów chciał zaprzeczyć, ale Matuszek wszedł mu w słowo:

– Albo ty myślisz, że nam się rozchodzi o tego przemytnika? W dupie go mamy. Jak kto lezie przez granicę, to się musi liczyć z tym, że dostanie kulkę prędzej czy później. Nam się rozchodzi o to, żeby śledztwo zamknąć. Ale żeby je zamknąć, musimy mieć jego worek i wiedzieć, co on tam szmugłował. Więc my do ciebie jak do przyjaciela przyszli i nie żeby kogoś oskarżać. Jak będziemy mieć worek z fantami, niby znaleziony przy zabitym albo gdzieś w krzakach przy torach, to sprawa będzie zamknięta, bo do raportu się wpisze, że przemytnik zastrzelony, a kontrabanda została przechwycona.

– No jak tak, to chyba będę mógł wam jakoś pomóc, drodzy koledzy – stwierdził Flügger, klepiąc Matuszka po plecach. – Ale oczywiście chciałbym, żebyście wiedzieli, że o żadnym zastrzeleniu jakiegoś przemytnika oficjalnie nic nie wiemy.

Polacy pokiwali głowami. Takich oczywistych rzeczy nie trzeba im było tłumaczyć. Najważniejsze, że Flügger im pomoże, a dzięki temu ich komendant będzie zadowolony. Grzelakowi będzie można wyprawić szybko pogrzeb, a nie wozić ciało do szpitala we Wronkach na sekcję i krojenie w celu szukania przyczyny zgonu. Bo teraz okaże się, że przemytnik zginął z przyczyn naturalnych, jako zabity przy przekraczaniu graniczy w celach przemytniczych, a nie z powodu morderstwa. Takich zastrzelonych na granicy przemytników od czasu do czasu się znajdowało i nikt nie robił z tego jakiejś poważniejszej afery. Przemytnicy ginęli od kul pograniczników, bo taki mieli zawód i ponosili zawodowe ryzyko.

## Poznań

Godzina 4.05 po południu

Komisarz Antoni Fischer skończył pisanie planu przechadzki po mieście i zadowolony z siebie zamknął notes. Wykonał kawał solidnej roboty, uwzględniając w nim wszystkie punkty, które warto pokazać przyjezdnym, a więc kilka zabytkowych miejsc, takich jak: katedra, ratusz, ulice staromiejskie i do tego odrobinę nowoczesności, czyli Zamek Cesarski jako atrakcję, której próżno by szukać w całych Niemczech. W końcu był to najnowszy ze wszystkich zamków cesarskich

i jedyny, w którym cesarz nie mieszkał. Zamierzał też pochwalić się Wieżą Górnoszląską, czyli architektonicznym i konstrukcyjnym majstersztykiem, który wyszedł z deski kreślarskiej znanego architekta Hansa Poelziga i stanowił ozdobę górującą nad halami i pawilonami Poznańskich Targów.

Sprawdziwszy listę, doszedł do wniosku, że jak na jeden dzień oprowadzania gości po mieście, jest tego całe mnóstwo, więc obawiać się należy, czy uda mu się ten ambitny plan zrealizować. No ale na szczęście, myślał Fischer, Poznań to nie Berlin i wszędzie tu blisko, więc powinni dać radę obejść te miejsca bez trudu i zmęczenia, a zwieńczeniem wyprawy będzie późny obiad w targowej wieży. Bo w tym niezwykłym budynku, który był wieżą ciśniem i cysterną zaopatrującą w świeżą wodę Jeżyce i Łazarz, działała też całkiem przyzwoita restauracja.

Jako gospodarz spotkania czuł się w obowiązku, by zadowolić gości, a jak wiadomo, nic tak nie cieszy poważnych przedsiębiorców jak możliwość zjedzenia czegoś wykwintnego w dobrym towarzystwie. Restauracja w Wieży Górnoszląskiej znana była ze smacznej kuchni polskiej, więc na jutrzejszy wieczór zamówił dla wszystkich kotlety schabowe, a na pierwsze danie wielkopolski żur zabielały z jajkiem. Oczywiście do tego mnóstwo sałat i zimnych przekąsek, by nikt z gości nie poczuł niedosytu.

Pomyślał, że będzie ciekawie podjąć dawnego dowódcę, zastępcę szefa sztabu batalionu, w którym służył we Francji. To właśnie Richardt Böhm zażyczył sobie, żeby jego dawny „przyjaciel” czynił honory gospodarza i był im przewodnikiem.

– Jak to w ogóle jest możliwe, że ten człowiek się o mnie dowiedział? – zapytał komisarz, gdy wpadł do niego do biura z nieoczekiwaną wizytą jego dobry przyjaciel Feliks Mikołajewski, prezes Zrzeszenia Kółek Rolniczych z siedzibą w Poznaniu, który zajmował się nie tylko rolnictwem, ale i różnymi innymi kwestiami niemającymi wiele wspólnego z uprawami, a dotyczącymi bezpieczeństwa kraju.

To on oznajmił mu, że do Poznania wkrótce przybędzie delegacja gospodarcza, którą trzeba będzie podjąć. Rozmowy w kwestii przyjazdu trwały już od jakiegoś czasu i wszystko było dopięte na ostatni guzik.

– No i wyobraź sobie, że ja negocjuję z nimi ten ich przyjazd i... – Mikołajewski rozsiadł się na krześle przy nieco już zużytych stole, sięgnął do drewnianego pudełka na papierosy, wyciągnął jednego i podpalił. Sprawiał wrażenie, jakby czuł się tutaj bardzo swobodnie. Ale cóż w tym dziwnego, w końcu z Fischerem znali się i przyjaźnili od lat. – Już czuję, że ta sprawa ma tyle wspólnego z handlem, co ja z poezją. Owszem, coś wiem, ale bardzo niewiele i tak naprawdę to wiersze mnie nie bardzo interesują...

– To co cię interesuje?

– Handel to handel – zauważył Mikołajewski. – Można handlować i zarabiać pieniądze, a jednocześnie mieć szeroko otwarte oczy.

– No dobra, rozumiem, w czym rzecz – zgodził się Fischer, powoli zaczynając odkrywać, o co chodzi z tą wycieczką. Delegacja osób zajmujących się kwestiami handlowymi musiała stanowić kościelnicę tej grupy, ale zapewne część z nich miała do wykonania jakieś zadanie związane ze szpiegostwem. Nie było w tym niczego nadzwyczajnego, bo przecież Poznań leżał na pograniczu, więc Niemcy interesowali się nim od

zawsze, tym bardziej że mieścił się tu garnizon z wojskami mającymi w razie konfliktu zapewnić osłonę granicy. Dlatego agenci niemieckiego wywiadu byli tu nadzwyczaj aktywni. Wykorzystywano każdą okazję, taką jak ta oficjalna wycieczka, by dołączyć do niej jakiegoś wywiadowcę. Jednak ta sprawa z wytypowaniem przewodnika ze strony polskiej nadal była dla niego zagadką.

– Nie rozumiem tylko – ciągnął komisarz – jaka w tym wszystkim moja rola i jak to możliwe, że oni chcą właśnie mnie?

– I tu dochodzimy do najważniejszego elementu naszej układanki, drogi przyjacielu. – Mikołajewski wstał i podszedł do starej szafy, w której Fischer trzymał akta. Postukał w drzwi, jakby spodziewał się, że dzięki temu otworzą się jak jaskinia Ali Baby. Do tego jednak nie trzeba było magicznych zaklęć, ale zgody gospodarza. Ten uśmiechnął się, bo od razu zrozumiał, o co chodzi koledze. Wstał zza biurka, podszedł do miejsca, w którym stał Mikołajewski, odsunął go lekko i otworzył drzwi. Wewnątrz, na półkach, leżały równe sterty teczek. Jednak na jednej zalegały tylko do połowy. Tam bowiem Fischer trzymał butelki z koniakiem. Dokładnie sześć butelek, w tym pięć zamkniętych i jedną już napoczętą. Raz w miesiącu delikatesy przy ulicy 27 Grudnia dostarczały mu paczkę sześciu flaszek koniaku Martell wprost z Francji. Tę ostatnią dostawę przywieziono wczoraj, więc Mikołajewski doskonale wiedział, że może się spodziewać poczęstunku, bo gdy był ostatnim razem w gabinecie komisarza, ten tylko bezradnie rozłożył ręce, twierdząc, że czeka, a towar powinien być lada moment. No więc ten moment właśnie nadszedł.

Fischer wziął butelkę z korkiem wciśniętym do połowy, chwycił dwa pękate kieliszki i postawił je na stoliku. Zaraz

rozlał koniak i podał szkło Mikołajewskiemu.

– Wczoraj przywieźli – wytłumaczył. – Od razu musiałem spróbować odrobinę. Pierwsza klasa. Ale cóż ja ci będę tłumaczył. Sam spróbuj.

Stuknęli się brzegami kieliszków, a potem każdy z nich upił odrobinę, akurat tyle, by poczuć na języku ten niepowtarzalny smak.

– Piramidalny! – pochwalił koniak Mikołajewski.

– Ty mi tu teraz mów o naszej układance, boś to sam tak nazwał jak zabawkę dziecięcą.

– Bo to jest układanka rzeczywiście, jak kolorowe klocki układane ręką dziecka. Póki nie odwrócisz na odpowiednią stronę, nie zobaczysz obrazka. No to my żeśmy Niemcom wysłali obrazek z twoją facjatą.

– Że co? – zdumiał się Fischer.

– Dokładnie to, co słyszysz. Jak się dowiedzieliśmy, kto ma być w delegacji, zaczęliśmy szukać powiązań. No i wyszło nam, że ten Richardt Böhm był oficerem sztabowym w twojej dywizji.

– Dokładniej to nawet w moim batalionie.

– No więc właśnie – zgodził się z nim Mikołajewski – dlatego postanowiliśmy mu dyskretnie przypomnieć, choć nie mieliśmy pewności, że to w ogóle dobry pomysł i że to chwyci, i podesłaliśmy do niego twoją kuzynkę Hildegardę von Bingen.

– Kogo? – Fischer zrobił wielkie, zdziwione oczy. – Tę średniowieczną filozofkę i zakonnicę?

– O, widzę, że masz rozeznanie – stwierdził z uznaniem Mikołajewski, który nie znał żadnej niemieckiej filozofki. Zresztą tej Hildegardy z Berlina też nie znał. To była postać całkowicie fikcyjna, wymyślona na potrzeby operacji i odegrana doskonale przez polską agentkę rezydującą

w stolicy Rzeszy. – No więc ta Hildegarda na pewnym raucie w Izbie Gospodarczej, gdy dowiedziała się, że szykowana jest delegacja do Posen, zwróciła się do jej szefa, czyli naszego pocziwego Böhma, żeby ten zechciał przekazać jej list do poznańskiego kuzyna, z którym od czasów tej wstrętnej polskiej rewolucji nacjonalistycznej nie ma kontaktu. Wyjaśniła mu, że wie o tobie tylko tyle, że pracujesz w policji. Zapytana o nazwisko, podała je, wywołując tą informacją zdumienie Böhma. Szybko ustalili wspólnie, że obaj służyliście w tej samej dywizji. No i Böhm obiecał jej pomoc. Spodziewaj się więc, że po przyjeździe wręczy ci list od twojej stęsknionej kuzynki, która będzie bardzo rada, jeśli przekażesz jej odpowiedź za pośrednictwem pana Böhma.

– No dobrze, ale po co to wszystko?

– Ano dlatego, że wiemy doskonale, kim jest pan Böhm.

– Kim?

– Pracownikiem berlińskiej III Ekspozytury Abwehry, która prowadzi swoje działania wywiadowcze przeciwko Polsce. Nie wiemy dokładnie, czym on się tam zajmuje, ale wiemy jedno, jest pułkownikiem. A to oznacza, że odwiedzi nas szycha w niemieckim wywiadzie.

– Ale co to ma, do cholery, wspólnego ze mną?

– Ha! No właśnie, drogi przyjacielu! Koniak doskonały. Dobrze, że przyszedłem do ciebie...

– Gadajże wreszcie! – ponaglił go Fischer.

– No i właśnie dlatego, przekonawszy się, że jesteś w Poznaniu, Böhm poprosił nas, czyli polskich organizatorów wycieczki, byś to ty oprowadził ich po mieście. Oczywiście, nie mieliśmy nic przeciwko temu. Więc twój komendant wyznaczył cię do tej roboty. Masz być przewodnikiem, ale i gwarantem

bezpieczeństwa. Któż lepiej sobie z czymś takim poradzi, jak nie policjant?

– Jak myślisz, czego ode mnie może chcieć Böhm?

– No jak to? – Mikołajewski zrobił zdziwioną minę. – Nie domyślasz się?

Fischer wolno pokręcił głową.

– Gdybym ja był na jego miejscu, zaproponowałbym ci współpracę.

– Czyli że...

– Tak, tak, przyjacielu. Jeśli o mnie chodzi, to nie mam nic przeciwko temu. Oczywiście, nie od razu, ale po przemyśleniu gruntownym propozycji. Przecież rozumiesz, że jeśli rzeczywiście by się to udało...

– Ależ z ciebie łajdak! – mruknął pod nosem Fischer.

– Może i łajdak, ale za to jaki sympatyczny. – Powiedziawszy to, kapitan uniósł kieliszek. – Twoje zdrowie, Antoni.

Komisarz Fischer schował notes z planem wycieczki do szuflady biurka i uśmiechnął się pod nosem. Ten Mikołajewski miał jednak dobre pomysły, jak to na wywiadowcę przystało. Bo pomysł z podstawieniem Böhmowi jego jako potencjalnego współpracownika był doskonały w swojej prostocie. Były dowódca musiał o nim zebrać jakieś informacje, skoro zażyczył go sobie na przewodnika. A to oznaczało, że być może przedstawi mu konkretną propozycję w zamian za coś. No ale na razie trzeba było uzbroić się w cierpliwość i poczekać na to, co przyniesie przyszłość. Rzecz miała się wyjaśnić zapewne już jutro, czyli w dniu przyjazdu niemieckiej delegacji do Poznania.



# Międzychód

Godzina 4.50 po południu

- Pana komendanta nie ma!
- A gdzie jest?
- Gdzie jest, to jest.
- Czyli gdzie?
- A pan to co się tak pyta?
- Pytam, bo chcę wiedzieć.
- A niby po co?
- Bo muszę się z nim zobaczyć.
- W jakiej niby sprawie?
- To nie wasza sprawa, posterunkowy.
- Ja jestem na służbie.
- Jak jesteście na służbie, to odpowiadajcie na pytania.
- Niby czemu?
- Bo jesteście na służbie.
- A co komu do tego?
- Do czego?
- Do tego, kto tu jest na służbie i gdzie jest komendant? Co komu do tego?
- Bo muszę wiedzieć...
- Coś mi się widzi, że za dużo chcecie wiedzieć. A jak kto chce na granicy za dużo wiedzieć, to może być przysłany na przesłpiegi. Czy wy aby nie jesteście szpieg? Pokażcie no jakiś papier.
- Co, do jasnej cholery? Czy wyście zwariowali?
- Oj, nie obrażajcie wy munduru, bo będzie z wami źle!
- Takiś mądry? No to poczekaj!

Po chwili ciszy w końcu rozległo się sapanie i jakiś zduszony jęk. Starszy przodownik Joachim Pulina uśmiechnął się pod wąsem, bo właśnie sobie wyobraził, jak ten młody Franek Krysiak, który na posterunku pracował zaledwie od trzech miesięcy, potrafi już sobie poradzić z opryskliwymi petentami i spławiać natrętów. Przed oczami stanęła mu rośła sylwetka chłopaka o okrągłej twarzy z wiecznymi rumieńcami na policzkach, który łapie gościa za kołnierz i mimo czynnego oporu wyprowadza go kulturalnie na zewnątrz, a tam, dziękując za współpracę, wymierza mu kopa w tyłek, potem otrzepuje ręce, spluwa na bruk i wraca do komisariatu, by zasiąść za biurkiem służbowym i zabrać się na powrót do studiowania i wkuwania na pamięć regulaminów.

Początkowo podwładni Puliny nie bardzo chcieli się na to zgodzić. Uważali bowiem, że już wszystkiego się nauczyli w powszechniaku, a potem na policyjnych kursach, które każdy z nich musiał zaliczyć. Ale komendant był twardy jak skała i wiedział, że policjanci muszą się samodoskonalić, żeby jeszcze lepiej wykonywać swoje obowiązki. Dlatego na posterunku wprowadził obowiązek studiowania regulaminów i rozporządzeń po to, by jego ludzie mieli o czym rozmyślać.

Jakiś rok temu zauważył bowiem, że dyżurny za biurkiem, a taką służbę musi pełnić każdy z policjantów, siada, jakby połknął kij od szczotki, i... siedzi. Niezależnie od tego, który z nich miał służbę, każdy robił dokładnie to samo, czyli nic przez całe osiem godzin. Nie czytali, nie pisali, nawet nie obgryzali paznokci, ale zwyczajnie siedzieli i gapili się przez okno na przechodzących ulicą ludzi.

– A powiedz mi ty, Waloszczyk – zagadnął wtedy swojego podwładnego – co ty robisz, jak masz służbę?

– Jak co? – zdziwił się zapytany. – No niby mam służbę.

- No tak, ale co konkretnie robisz?
- Zwyczajnie, gadam, jak kto przyjdzie, i mówię, że się nie da nic zrobić.
- Ano to słusznie, ale jak nikogo nie ma, to co robisz?
- No zwyczajnie, jak to na służbie, znaczy się siedzę.
- I niczym się nie zajmujesz?
- No jak nie? - Waloszczyk się zdumiał. - Jak mam się czymś zajmować, jak ja mam służbę?

I właśnie dlatego zabronił im w trakcie dyżurów gapić się w okno i nakazał zająć czytaniem, a co za tym idzie przyswajaniem fachowej wiedzy. Nie mieli więc wyjścia i całymi dniami ślęczeli nad papierami. No i na efekty nie trzeba było długo czekać. Jego ludzie zaczęli używać w wypowiedziach sformułowań zaczerpniętych z okólników i regulaminów. Tak jak choćby ten młody Krysiak, który przecież sam z siebie tego szpiega nie wymyślił. Musiał o nim przeczytać, a potem wziął się za wyrzucanie tego nachalnego delikwenta. Trzeba go będzie pochwalić, żeby poczuł, że nauka ma sens i że warto...

- O Jezusie Świąty! - Komendant usłyszał głos swojego podwładnego i naraz zrozumiał, że coś chyba jest nie tak. Bo w okrzyku tym dało się słyszeć jęk bólu. A to mogło oznaczać, że to nie Krysiak bije natręta, ale ten leje Krysiaka...

Zerwał się z krzesła i już chciał wyjść z za biurka, ale naraz drzwi do jego pokoju otworzyły się z hukiem, a Krysiak tym razem wezwał Najświętszą Panią na ratunek. Ta rzeczywiście przydałaby mu się do pomocy, bo wszystko wskazywało na to, że otworzył drzwi własną głową jak taranem, którym kierował, trzymający go za wykręcone ręce, jakiś mężczyzna w zielonej marynarce.

- Panie komendancie, Jezus Maria, ja nie...! - jęknął posterunkowy. Pulina chciał coś odpowiedzieć, choć nie

wiedział co. Tak był zaskoczony całą tą niecodzienną sytuacją, że jedyne, co mu się cisnęło na usta, to ordynarne przekleństwo. Ale przecież był urzędnikiem i nie mógł sobie ot tak przeklinać jak najzwyklejszy woźnica. Dlatego, widząc tę jawną napaść na urząd i posterunek, złapał leżący na stole pas z kaburą, by zastrzelić napastnika. Ten jednak puścił posterunkowego, który pchnięty lekko opadł na kolana, po czym obrzucił komendanta takim spojrzeniem, że policjantowi zrobiło się zimno.

– Pan komendant, starszy przodownik Joachim Pulina, jak mniemam? – zapytał zjadliwym tonem. – I pan komendant siedzisz sobie w swoim biurze, dłubiesz w nosie, a interesantów przyjmuje jakiś kretyn?

– Ja, ja... – Pulina próbował załapać oddech i odpowiedzieć składnie o tych wszystkich babach, co przychodzą tu z pretensjami i każą aresztować swoich mężów przepijających w szynku pieniądze zarobione ze sprzedaży jajek, sera czy masła. O tych facetach, którzy, wysiadłszy z pociągu, przybiegają z alarmem, że w wagonie został bagaż i że trzeba zatrzymać pociąg, albo o tych, co twierdzą, że zostali oszukani podczas gry w karty i żądają aresztowania oszusta i wszystkich świadków, więc jego ludzie muszą uczyć się niereagowania na zaczepki interesantów, boby inaczej nic nie robili, tylko interweniowali, a regulamin wyraźnie mówi, że policjanci... Ale nie zdążył tego wszystkiego powiedzieć ani nawet nie zdążył zastrzelić tego, który właśnie wtargnął do jego biura. Nic nie zrobił. I całe szczęście.

– Nie musicie odpowiadać, komendancie. Jestem porucznik Piotr Pikuła z Dwójki.

Komendant otworzył szeroko usta ze zdumienia. Przez chwilę patrzył na porucznika, jakby ten właśnie oświadczył, że jest

wodzem plemienia Apaczów, ale na szczęście był człowiekiem dość bystrym i umiejącym szybko kojarzyć ze sobą fakty. A te były bezlitosne dla niego i kierowanego przez niego posterunku.

Pulina zmarszczył brwi i groźnie spojrzał na posterunkowego.

– Czyś ty, Krysiak, się z koniem na łeb zamienił? Co ty żeś se myślał, że na posterunku policja napada sobie na oficerów Wojska Polskiego? Wstawaj z kolan, bo tu nie kościół. Modlić się będziesz w niedzielę na mszy. A teraz ciągnij mi stąd i żebym cię tu nie widział. A pan porucznik pozwoli łaskawie spocząć. Proszę bardzo tu siadać. – Wskazał na okrągły stół stojący pod oknem. – A może pan porucznik zmęczony po podróży i może też spragniony?

– Owszem, pić mi się chce.

– Słyszał żeś posterunkowy? Pan porucznik chce pić i jeść. Leć do restauracji do Antkowiaka, niech tu na jednej nodze dostarczą coś do picia, najlepiej zimne piwo i coś na ciepło. Kiełbaska może być, panie poruczniku? Mają tu dobrą kiszkę ze świniobicia, zawsze dobrze uwędzoną. Powiadam, palce lizać. Czemu ciągle tu stoisz, gamoniu?

Młody policjant wyciągnął rękę przed siebie i potarł palcem wskazującym kciuk w uniwersalnym geście.

– Powiedz panu Antkowiakowi, że komendant sam przyjdzie sprawy załatwiać. No dalej, leć na jednej nodze. A i drzwi za sobą zamknij, żeby, jak to mówią, muchy nie leciały.

Porucznik rozsiadł się na krześle, wyciągnął papierosa i zapaliwszy go, rozejrzał się wokół, szukając popielniczki, by wyrzucić wypaloną zapałkę. Komendant chwycił tę porcelanową ze swojego biurka i postawił przed gościem. Ten spojrzał na policjanta stojącego na wprost niego w pozie

wyczekującej, po czym uśmiechnął się zachęcająco i wskazał miejsce po drugiej stronie stołu. Gospodarz skorzystał z zaproszenia.

– Nie będziemy rozwodzić się nad niefortunnym początkiem naszej znajomości, panie komendancie, bo byłoby to nieprofesjonalne. Nie mamy przecież czasu na zajmowanie się niepotrzebnymi kwestiami. Zgadza się pan ze mną?

– Tak jest. – Policjant szybko przytaknął.

– W takim razie od razu przejdę do rzeczy. Szukam swojego człowieka, którego powinien pan znać. Miał dla mnie niesłychanie ważne informacje, ale nie pojawił się na spotkaniu. A wiem dobrze, że nie jest to człowiek, który by się nie pojawił z powodu... hm, zaniedbania obowiązków.

– O kogo tak mniej więcej się rozchodzi, panie poruczniku?

– To miejscowy przemytnik. Nazywa się Grzelak. Trzeba ustalić, gdzie on jest i czy aby nie został załapany przez Niemców. Miał być dziś na dworcu w południe, ale się nie pojawił. To do niego niepodobne, więc musiało się coś stać.

– Grzelak? – zapytał zdziwiony komendant, a potem uśmiechnął się szeroko. – Nie, Grzelak nie siedzi u Niemców. Jest u nas.

– O, to świetnie. A gdzie dokładnie? Muszę się z nim bardzo pilnie skontaktować. To gdzie go znajdę?

– No tu... – Komendant wskazał za siebie. – Grzelak leży w kostnicy, bo jest nieżywy. Znaczący zabili go Niemcy.

– Kurwa mać! – wykrzyknął Pikuła, a policjant spojrzał na niego zdumiony. W końcu od oficera, i to porucznika z Dwójki, można było wymagać, by dla innych był chwalebny przykładem. A człowiek przeklinający na pewno nie mógł być dla nikogo wzorem.

## Poznań

Godzina 5.10 po południu

– A dziś co polecacie z dań głównych?

– Dla szanownego pana prezesa myślę, że będzie dobrze spróbować kaczuszkę z modrą kapustą i pyzami, ma się rozumieć. Kaczka pierwsza klasa, świeża dostawa z hodowli w Rokietnicy. Wczoraj były bite i dziś od rana w piecu się szykują, tak że mięciutkie takie, że się rozpływają w gębie. – Starszy kelner Franciszek Zydorkiewicz przyłożył dwa palce do ust i cmoknął głośno, by klient widział, że mówi najprawdziwszą prawdę, popartą nie tylko doświadczeniem, ale i degustacją. Bo Zydorkiewicz, jako kulinarny spec, zanim polecił jakiegokolwiek danie, musiał wiedzieć, że robi to z czystym sumieniem. Dlatego dziś przed południem, gdy jeszcze nie podawali na sali jadalnej dań obiadowych, poszedł swoim zwyczajem do kuchni, by sprawdzić, jak też się mają przygotowania do obiadu i jak udało się przyrzadzić kucharzowi Wiktorczakowi kaczki. Bo w restauracji Pod Strzechą, przy placu Wolności 7, był specjalny kucharz zajmujący się tylko drobiem, dzikim ptactwem i odpowiednimi do tych dań sosami.

Zydorkiewicz podszedł do pieca, na którym stały cztery ogromne brytfanny. W każdej z nich na wolnym ogniu, pod przykryciem, piekło się po sześć kaczek. Kelner, przystanąwszy przy garnkach, spojrzął wymownie na specjalistę od ptactwa.

– I jak, panie Alfonsie? – zagadnął, a zagadnięty uśmiechnął się i podkręcił wąsa.

– No przecież wiadomo, że dobrze. Musi być dobrze, bo kaczuszki pierwszorzędne, akuratnie utuczone, jak to latem bywa. Nażarte zieleniną, więc tłuszczu na brzuchach mają tyle, że sos palce lizać.

– A mięsko? – pytał zaciekawiony kelner.

– No i co my będziemy gadać o dupie Maryni, panie Franciszku. Zamiast gadać, trzeba spróbować. Niech se pan siądzie. – Wskazał służbowy stolik, przy którym zazwyczaj odpoczywali kucharze zmęczeni całodziennym stanieniem przy garnkach. – Zaraz podam skrzydełko z sosem i bułką. Sam pan zobaczysz, jakie delicje.

No i rzeczywiście Zydorkiewicz zobaczył, a raczej poczuł na podniebieniu niepowtarzalny i niecodzienny smak i wiedział już, że kaczki są pierwszorzędne, a sposób przyrządzenia ciemnego sosu fenomenalny. Nie zostawił na talerzu ani kropelki. Wiktorczak dobrze wiedział, co robi, proponując degustatorowi świeżą bułkę. Dzięki niej można było talerz wytrzeć do sucha i zjeść wszystko, zostawiając tylko dobrze obgryzione kosteczki.

– To ja w takim razie, panie Franciszku, poproszę, tak jak pan radzi, kaczkę, skoro ona taka dobra – poprosił klient nazwany przez kelnera prezesem. Taką rangę służbową nosił właśnie ów postawny mężczyzna, w którym, pomimo że był ubrany w jak najbardziej cywilny, trzyczęściowy, popielaty garnitur z pierwszorzędnej angielskiej wełny, uważny obserwator dostrzegłby pewną sprężystość ruchów, tak charakterystyczną dla wojskowego. Bo Feliks Mikołajewski formalnie był oficerem rezerwy, a w chwili obecnej prezesem Zrzeszenia Kółek Rolniczych z siedzibą w Poznaniu. Instytucja, na której czele stał, prowadziła rozległe interesy



w branży rolno-spożywczej na polsko-niemieckim pograniczu. Jednak ta działalność, mimo że przynosząca spółce pokaźne zyski, tak naprawdę była działalnością poboczną, przykrywką dla tej prawdziwej i najważniejszej, dla której na początku lat dwudziestych została powołana. Kółka Rolnicze były bowiem instytucją zbierającą informacje wywiadowcze z całego pogranicza, a Feliks Mikołajewski był rzeczywiście oficerem, a dokładnie kapitanem Wojska Polskiego, choć w zasobach kadrowych polskiej armii figurował jako osoba dawno zwolniona do cywila. Dzięki tej mistyfikacji ludzie pracujący dla Mikołajewskiego mogli zbierać dane wywiadowcze, robiąc autentyczne interesy z Niemcami i nie wzbudzając szczególnych podejrzeń.

– A pan, panie kolego, też reflektuje na kaczkę? – zapytał Mikołajewski szczupłego, krótko ostrzyżonego mężczyznę, który studiował oprawioną w skórę zawartość menu.

– Moja mama, która pochodziła z Miejskiej Górki, zawsze mówiła, że tutaj, w Wielkopolsce, najlepszym daniem jest czernina z kluskami – stwierdził zapytany, uśmiechając się do Mikołajewskiego, i zaraz przeniósł pytające spojrzenie na kelnera. Ten tylko zatarł dłonie, zadowolony, że może nowemu klientowi zaproponować coś wyjątkowego.

– W takim razie, szanowny panie...

– Dyrektorze – podpowiedział Mikołajewski, wiedząc, jak dla kelnera istotna była ranga i pozycja klienta, żeby móc okazać mu należyty szacunek, zwracając się do niego w odpowiedni sposób. – To jest dyrektor Marcin Rybacki z naszej bydgoskiej filii.

– No tak, szanowny panie dyrektorze, pańska mamusia miała jak najbardziej rację, że u nas czernina najlepsza na świecie. A tam, gdzie biją kaczki, krew na czerninę spuszczają

i zupę robią taką, że palce lizać. Więc czernina u nas świeżutka i lepszej w Poznaniu pan dyrektor nigdzie nie uświadczy.

– To w takim razie niech będzie czernina dwa razy i dwa razy kaczka. Co pan na to, dyrektorze?

Rybacki pokiwał głową.

– A do picia niech będzie ten wasz grodzisz – zaordynował dyrektor, a kelner szerokim uśmiechem pochwalił wybór.

– Grodzisz od Huggera, ma się rozumieć – stwierdził Zydorkiewicz, a stwierdzenie to nie podlegało dyskusji.

– Czyli że pan niejako na rodzinne śmieci przyjechał tu do Poznania, skoro pańska mama jest tutejsza? – zagadnął Mikołajewski, biorąc do ręki pokal z piwem, który pół minuty wcześniej przyniósł im młody pomocnik kelnera.

– Ja niejako też jestem poznaniak. Brałem udział w powstaniu, a po wojnie z Rosją sowiecką już zostałem w Bydgoszczy. Był pan tam kiedyś?

– Nie było okazji. – Mikołajewski pokręcił głową.

– No to teraz, gdy komenda naszej placówki została przeniesiona z Poznania do Bydgoszczy, będzie pan musiał nas odwiedzić. Oferuję się za przewodnika.

– Dziękuję, poruczniku, chętnie skorzystam, tym bardziej że nie znam zupełnie miejscowych lokali, a po pracy jakoś czas trzeba spędzić w kulturalnym towarzystwie.

– Może pan na mnie liczyć, kapitanie. – Rybacki się uśmiechnął. – Tym bardziej, że kapitan Żychoń wkrótce zamierza pana zaprosić na specjalną odprawę.

– Czyżby interesował go handel przygraniczny płodami rolnymi?

– Interesuje nas wszystko, co dzieje się na pograniczu, ale to pan przecież dobrze wie. – Rybacki znów się uśmiechnął.

W sumie sprawiał sympatyczne wrażenie i Mikołajewski czuł, że chyba niepotrzebnie się do niego uprzedził. Oczywiście, był dla porucznika miły i grzeczny, jednak nie umiał ukryć lekkiej niechęci. Nie do samej osoby Rybackiego, bo tego ocenił już podczas wstępnych oględzin jako sprawnego i profesjonalnego oficera. On był zniechęcony do Bydgoszczy, która, nie wiedzieć czemu, odebrała Poznaniowi rangę pierwszoplanową. Ktoś tam bowiem w Sztabie Głównym wymyślił, że placówkę wywiadu w Poznaniu należy zlikwidować i przenieść do Bydgoszczy, tworząc tam posterunek wywiadowczy zajmujący się zachodnim pograniczem. Zlikwidowano więc instytucję, którą Mikołajewski tworzył własnymi rękoma od tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku, gdy to odkomenderowano go z Warszawy do sztabu głównodowodzącego powstania wielkopolskiego generała Dowbor-Muśnickiego. Przyjechał tu w chwili, gdy armia powstańcza dopiero przechodziła fazę reorganizacji i z luźnych oddziałów insurgenckich zamieniała się w regularne wojsko. On dostał za zadanie stworzenie sekcji wywiadu i kontrwywiadu dla wielkopolskiej armii. Z tej misji wywiązał się znakomicie, w krótkim czasie tworząc obszerną siatkę wywiadowczą, dla której pracowali Polacy po dwóch stronach powstańczego frontu, a po zakończeniu powstania mieszkańcy zachodniego pogranicza.

Mikołajewski czuł się więc ojcem tej wywiadowczej instytucji, dlatego żał mu było poznańskiego posterunku wywiadowczego, likwidowanego i przenoszonego w nowe miejsce. Choć nie wszystko zostało zlikwidowane. Na miejscu cały czas funkcjonowały jego Kółka Rolnicze, czyli instytucja, którą stworzył jako niezależny od armii i do tego jeszcze samofinansujący się byt. Kółka zostały, on nadal im prezesował i kierował swoimi ludźmi, kilkunastoma

pracownikami, którzy na handlu i wywiadzie jednocześnie znali się jak mało kto.

I teraz do Poznania przysłano mu tego Rybackiego z Bydgoszczy, więc nic dziwnego, że Mikołajewski nastawił się do niego trochę jak do jeża. W końcu nie wiedział, czy czasami ten oficer nie przywozi mu pocałunku śmierci i nie każe zlikwidować jego placówki.

– I jesteście też zainteresowani działalnością Zrzeszenia Kółek Rolniczych? Bo, jak się domyślam, kapitan Żychoń nie przysłał tu pana na kaczkę i czerninę?

– Jak najbardziej, panie kapitanie. Czernina, kaczka i pańskie miłe towarzystwo to tylko sympatyczny dodatek do tego, z czym przyjechałem.

Mikołajewski spojrzał na Rybackiego pytająco.

– Kółka Rolnicze w ocenie majora Żychonia to doskonały kamuflaż dla naszych działań. Tu nikt nie zamierza, broń Boże, wsadzać kija w tryby dobrze naoliwionej maszyny. Niech więc pan będzie spokojny. Zna pan przecież kapitana i wie, że to fachowiec, który nade wszystko ceni sobie ludzi znających się na robocie, czyli w tym wypadku pana. Kółka Rolnicze oddają nam bezcenne usługi i dobrze, żeby tak działało się nadal. I w związku z tym przysłano mnie tutaj, abyśmy wspólnie przeprowadzili pewną akcję zebrania informacji w określonych przygranicznych obszarach.

– Co to za akcja? – Mikołajewski od razu przeszedł do rzeczy, czując, że znów wrócił do gry i to bez żadnych warunków wstępnych. Jeśli miał do wykonania robotę, skupiał się na niej, a nie na dywagacjach dotyczących zakulisowych rozgrywek w dowództwie wywiadu, które według niego prowadziły donikąd i znacznie osłabiały potencjał obronny kraju. Liczył więc, że jego półprywatna placówka jakoś się

uchowa i wszystko wskazywało na to, że tak rzeczywiście się stanie. Rybacki przywiózł mu nadzieję na dalsze funkcjonowanie i jednocześnie rozkazy potwierdzające sens istnienia jego organizacji.

– Mamy informację, że w kilku punktach wzdłuż swojej wschodniej granicy wojska niemieckie wznoszą jakieś obiekty. Z tego, co udało nam się ustalić, w okolicach Człuchowa budowa jest najbardziej zaawansowana. Wygląda to na placówkę radiową ze stalowym masztem. Musimy się dowiedzieć, co to dokładnie jest i dlaczego to budują.

– A lokalizacje pozostałych? – spytał Mikołajewski.

Rybacki podsunął mu kartkę, na której równym, kaligraficznym pismem zapisano nazwy miejscowości.

– W tych obszarach trzeba uruchomić ludzi, żeby szukali wojskowych budów. Zapewne gdzieś na leśnych terenach – wyjaśnił.

– No to jest od czego zacząć. – Mikołajewski schował kartkę do kieszeni marynarki akurat w chwili, gdy kelner podszedł z wazą gorącej czerniny. Gdy stawiał ją na stole, kapitan stuknął lekko łyżeczką w pustą szklankę po piwie. – Niech pan da jeszcze pół litra żytniówki od Kantorowicza. Dobre nowiny trzeba opić. Nieprawdaż, panie kolego? – Spojrzał na Rybackiego, uśmiechając się radośnie.

– Nie mam jak najbardziej nic naprzeciwno – zgodził się porucznik, a Mikołajewski poczuł, że to całkiem sympatyczny gość, z którym da się współpracować. Byleby tylko ci z tej Bydgoszczy się nie wtrącali, a on już zrobi, co będzie potrzeba. Znał się na swojej wywiadowczej pracy i wiedział doskonale, jak ją organizować bez nikogo, kto patrzyłby mu na ręce.

[15] Szkieł (gwar.) – policjant.



# Rozdział III

## Schönlanke

Godzina 5.20 po południu

Restaurator August Böckstiegel pomyślał, że ten dzisiejszy dzień jest tak pełen niespodzianek, że w zasadzie nic go już chyba nie mogło zdziwić. Najpierw ten gość, a wkrótce potem telefon. Telefonowano do niego. To był drugi raz w jego długim życiu, kiedy ktoś łączył się z nim na odległość poprzez telefoniczny drut. Po raz pierwszy dzwoniono, żeby mu oznajmić, że jego starszy, przyrodni brat zginął i w związku z tym powinien zająć się pochówkiem. To połączenie przyszło do niego na dworzec kolejowy, do biura zawiadowcy stacji, w roku dziewiętnastym, gdy był jeszcze chłopcem bagażowym noszącym podróżnym walizki. Dzwonili z dowództwa pułku Grenzschtzu, w którym służył Oskar Böckstiegel. August dowiedział się z tej rozmowy, że brat zginął w trakcie walk z polskimi nacjonalistami i że ciało trzeba jak najszybciej przewieźć i pochować w wyznaczonym przez rodzinę miejscu, oczywiście na koszt państwa. W związku z tym, że Oskar był kapitanem, jego przełożeni zwracali się do brata o organizację pogrzebu, bo gdyby był szeregowcem, to pochowano by go w tej okolicy, w której poległ. Ale bycie oficerem dawało wymierne przywileje. Dlatego wojsko zapakowało trumnę do



wagonu towarowego i wyekspediowało ją do Schönlanke, gdzie na dworcu odebrał ją August. Brat spoczął na miejscowym cmentarzu, a on odziedziczył po nim szablę i walizkę. Szabla zawisała na ścianie w mieszkaniu, ponad zdjęciem przedstawiającym dumny portret brata w mundurze, walizka powędrowała na szafę wraz z całą zawartością, czyli nikomu niepotrzebnymi ubraniami i książkami. W zasadzie mógłby ją wyrzucić, ale jakoś mu było szkoda, bo jako bagażowy miał w sobie wyrobiony szacunek do walizek, nawet tych najnędniejszych, a ta po bracie była jeszcze w całkiem dobrym stanie.

I dobrze się stało, że jej nie wyrzucił. Któregoś dnia, kilka tygodni po pogrzebie, coś go tknęło i zdjął walizkę z szafy. Rozłożył na stole i zaczął przeglądać rzeczy. Bieliznę, koszulki i skarpety odłożył na bok, bo mogły mu się przydać, dwie koszule były wyraźnie za duże, ponieważ brat był znacznie cięższy od niego. Podobnie było ze spodniami i marynarką. To wszystko postanowił oddać kuzynowi Hansowi, który był podobnej postury jak Oskar. Na wszelki wypadek zaczął jeszcze dokładnie sprawdzać kieszenie marynarki, gdy naraz trafił na coś, czego się tam nie spodziewał. Wydobył ze środka płócienny woreczek o jakiejś brzęczącej zawartości. Ostrożnie go otworzył i wysypał wszystko na blat stołu. Przez chwilę patrzył na znalezisko jak zaczarowany. Leżało przed nim kilkanaście złotych monet, jakieś pierścionki, obrączki i łańcuszki, a do tego wszystkiego cała garść błyszczących kamieni. Nie znał się na klejnotach, ale domyślił się, że te białe to muszą być diamenty, a czerwone rubiny. Szybko schował zawartość na powrót do woreczka, potem do kieszeni, a w końcu do walizki, którą zamknął i odłożył na szafę.

Ten nieoczekiwany spadek po bracie stał się podstawą jego sukcesu. Z bagażowego szybko przeszedł na najwyższy poziom w dworcowej hierarchii, stając się właścicielem bufetu-restauracji. A tutaj już jako szanowany członek dworcowej społeczności mógł zająć się tym, co przynosiło prawdziwe pieniądze, czyli przemysłem.

Gdy dziś przyszedł do bufetu zawiadowca stacji Otto Höfner i powiedział, że ktoś do niego dzwoni, pomyślał w pierwszej chwili, że to znowu ci z wojska chcą, żeby się zajął pogrzebem, no ale zaraz uświadomił sobie, że nie ma już żadnego innego brata i wojsko musi czegoś chcieć od niego czegoś innego.

– Dzwonią ze sztabu batalionu ze Schneidemühl – wyjaśnił zawiadowca.

– Do mnie? – udał zdziwienie, choć już w tej chwili był niemal pewny, że ktoś zorientował się, że zawłaszczył skarb po bracie, będący zapewne częścią jakiegoś wojennego łupu. I teraz będą mu kazali wszystko oddać.

– Pewnie, że do ciebie. Przecież nie do mnie – stwierdził Höfner, gładząc nastroszonego wąsa.

Weszli do pokoju zawiadowcy, a ten wskazał mu aparat telefoniczny ze słuchawką odłożoną na blat stołu. Chwycił ją i przyłożył do ucha.

– Halo, Böckstiegel mówi. O co się rozchodzi?

– Halo, tu mówi Gustaw Brandt, twój kuzyn!

Usłyszawszy znajomy głos, od razu zrozumiał, że sprawa może mieć charakter poufny, dlatego odwrócił się w kierunku drzwi, przy których stał zawiadowca, nadstawiając ciekawie ucha.

– Panie Höfner, to jest rozmowa ściśle tajna, znaczy się wojskowa, i nikt nie może słyszeć, o co się rozchodzi, więc

bardzo poproszę o zastawienie mnie na osobności z telefonem – poprosił grzecznie, a zawiadowca zaszalutował do daszka czapki i natychmiast wyszedł. Wiedział, co to znaczy tajemnica wojskowa, bo co jakiś czas przez jego stację przejeżdżały wojskowe pociągi, a ich przejazdy były objęte ścisłą tajemnicą. Wiedział też, że nikt postronny, kto do tajemnicy nie był dopuszczony, nie mógł sam się do niej dopuścić, bo groziło za to więzienie. Więc jako sumienny niemiecki urzędnik natychmiast wyszedł na zewnątrz.

– Halo, Gustaw, niech cię diabli. Co tam potrzebujesz, że do mnie dzwonisz przez telefon? Rozumiem, że sprawa jest nagląca, bo dawno ześmy się nie widzieli?

– Halo, August, dobrze, żeś się pozbył tego kolejarza. Wszystko słyszałem, znaczy dobrze zrobiłeś, żeś go przegonił, tego zawiadowcę. Bo ja mam ważną sprawę do ciebie i lepiej, żeby nikt tego nie słyszał.

– Mów, w czym rzecz. Jak mogę, to pomogę oczywiście – zadeklarował.

– Chodzi o cement. Dokładnie o wagon cementu, a może nawet o dwa – wyjaśnił wojskowy.

– Cement, powiadasz? Nie znam się na takim towarze, ale rozpytam się i coś się pewnie uda zorganizować. Za jakiś tydzień, dwa być może będę coś wiedział. Wtedy zadzwoń, to już będę mógł ci choć...

– August, słuchaj, ja ten cement potrzebuję na już. Za dwa tygodnie będzie za późno i będę miał poważne kłopoty.

Restaurator zamilkł na chwilę, zastanawiając się, co może w tej sprawie zrobić, żeby jego kuzyn uniknął problemów. Jako człowiek praktyczny wiedział, że z każdej trudnej sytuacji jest wyjście, dlatego zadał w końcu proste pytanie:

– A nie można tego kupić w Schneidemühl?

– Ha, pewnie, że można. Tylko żeby kupić, trzeba mieć pieniądze. A my nie mamy. Znaczący nie w tej chwili. To znaczący będą w przyszłości, za trzy, cztery tygodnie, jak sprzedamy swój towar. Wtedy będziemy wypłacalni. Ale na razie muszę mieć ten cement... na kredyt. Ale jak już będziemy wypłacalni, zapłacimy za niego podwójną cenę.

– My? Czyli kto?

– Ja i mój kumpel, intendent jednostki Peter Klutschka. Znasz go przecież. To honorowy gość.

Böckstiegel szybko przeanalizował tę informację i wyszło mu, że może na tym niezłe zarobić. Tylko jeszcze będzie musiał znaleźć kogoś odpowiedniego do wykonania takiej roboty. I wtedy uświadomił sobie, że chyba jest w czepku urodzony. Bo człowiek, który przyjechał dziś do niego odebrać pieniądze za ostatnią partię świńskich skór, jakie wjechały z Polski do Niemiec bez cła i kontroli celnej, mógł załatwić za granicą wszystko.

Wrócił więc do sali restauracyjnej, w której zostawił swojego gościa z kuflem piwa i talerzem najprzedniejszych parówek.

– A niech mi pan powie, panie Grubiński, czy w branży cementowej też pan robi?

Przystojny brunet popatrzył na niego i uśmiechnął się pod równo przyciętym à la Ramón Novarro<sup>[16]</sup> wąsem.

– Szanowny panie, ja robię w branży finansowej, a to znaczy, że dostarczam taki towar, jaki potrzebuje klient. Zamawiasz pan cement, dostajesz cement. Pytanie tylko, na kiedy?

– Na już.

Jak na prawdziwych ludzi interesu przystało, podali sobie ręce, przyklepując zawarcie transakcji. Potem Böckstiegel poszedł za kontuar, nachylił się i wydobył spod blatu ćwiartkę wódki. Z flaszką i dwoma kieliszkami wrócił do stolika.

Umowę trzeba było opić, bo wiadomo, że bez podlania może się coś nie udać, ale gdy obie strony wypiją za powodzenie, sukces będzie murowany.

## Międzychód

Godzina 6.05 wieczorem

– To jest właśnie to, co my szukali. – Posterunkowy Roch Waloszczyk położył na blacie biurka parciany worek z doszytymi dwoma pasami do noszenia na ramionach. W ten sposób zwykły worek stawał się wygodnym przemytniczym plecakiem.

– A niby skąd taka pewność, że to jest ten worek? – zapytał komendant Pulina.

– O, bo tu jest krew. – Drugi posterunkowy Anatol Matuszek wskazał plamę niezbyt czystym palcem. Rzeczywiście brązowa plama wyglądała jak zaschnięta krew, musiał w duchu przyznać komendant, więc wstępne oględziny wypadły pomyślnie.

– Sprawdzaliście, co jest w środku? – odezwał się ktoś, kogo obaj śledczy nie znali. Mężczyzna siedział w fotelu przy stole, paląc spokojnie papierosa. Ton, jakim zadał pytanie, świadczył dobitnie o tym, że mógł je zadać. Ale komendant doszedł do wniosku, że musi na wszelki wypadek wzmocnić je własnym autorytetem.

– No to co tam jest w środku? – zapytał, bo wiedział dobrze, że ci dwaj pierwsi, co zrobili, to wsadzili tam łapy. Nie wiedział jednak, że zestaw przemytniczego towaru przyszykowali samodzielnie, przy pomocy niemieckiego kolegi.

– To co potrzebujecie, żeby tam było? – Alois Flügger spojrział to na jednego, to na drugiego ze swoich gości, którzy zasiedli za solidnym stołem, przy którym mogło z powodzeniem biesiadować ze dwudziestu chłopów. Ale dziś biesiadników było tylko trzech. Polscy policjanci usiedli na ławie ciągnącej się wzdłuż ściany z oknem, a gospodarz podsunął sobie krzesło. Wcześniej posłał młodego szeregowca do spiżarni, by ten przyniósł coś na ząb i do popicia. Chłopak chyba musiał często dostawać tego rodzaju polecenia, bo po kilku minutach wrócił z wiklinową kobiałką w ręce. Postawił ją na blacie i natychmiast się odmeldował. Oberfeldwebel zajrzał do koszyka i uśmiechnął się szeroko.

– Widzicie, że u nas gości wita się czym chata bogata – stwierdził z dumą, sięgając po pęta kiełbasy, solidny kawał szynki, bochen chleba i kilka butelek piwa. Była też flaszka wódki. Tę natychmiast otworzył, wybijając zalakowany korek. Przyniósł szklanki z szafy kredensowej i rozlał nieco mętny płyn.

– Dobra polska siwucha – skomentował Matuszek.

– A żebyś wiedział. To samogon z Polski, ale i kiełbasy, i szynka, to wszystko od was. Tyle tego ludzie przenoszą przez granicę, że nie można się oprzeć. Musimy rekwirować co jakiś czas. Ale wszystkiego nie bierzemy. Jakby się przemytnicy zwiedzieli, że bierzemy wszystko, co wpadnie w ręce, to wiecie, jaki byłby efekt?

Obaj policjanci pokiwali głowami. Wiedzieli, bo robili dokładnie tak samo. Każdy z nich znał dobrze zasadę, że owiec nie strzyże się do gołej skóry codziennie, ale tylko raz na jakiś czas. Jeśliby z jednej i drugiej strony pogranicznicy rzucili się na przemytników i zaczęli odbierać im wszystko, jak

leci, to wkrótce przemysł by ustał. A tego nikt przy zdrowych zmysłach by nie chciał. Bo policjanci, strażnicy i przemytnicy stanowili system naczyń połączonych. Jedni bez drugich nie istnieli i istnieć nie mogli.

Niemiec wyciągnął z kieszeni scyzoryk, rozłożył najdłuższe ostrze i zabrał się do krojenia grubych plastrów kiełbasy. Pokrojoną wrzucił na talerz.

– No to za spotkanie! – Uniósł szklankę, wykonał nią salut, a potem wypił bez zmrużenia oka. Siwucha musiała być mocna, bo skrzywił usta i natychmiast sięgnął po kiełbasę na zagryzkę. Jego kompani uczynili podobnie, choć żaden z nich się nie skrzywił. Znali tę miejscową specjalność doskonale, bo taką wódkę, na zacierze ziemniaczanym, pędzili tu wszyscy. Chłopi, którzy przed wojną nie myśleli nawet, że można by pędzić samogon, gdy pod nosem wyrosła im nagle granica, szybko przekonali się, że z przerzucania na drugą stronę towarów można całkiem nieźle żyć. Dlatego większość ludzi utrzymywała się tu z handlu pogranicznego, dostarczając do Niemiec wszystko, co było tam drogie i czego na rynku brakowało. A alkohol i polska kiełbasa zawsze były w cenie.

– To co wam jest potrzeba, żeby w tym worku było? – powtórzył pytanie gospodarz, otwierając jednocześnie porcelanowy kapsel od piwa. Jako zamiłowany piwosz, zawsze popijał samogon, żeby przepłukać gardło przed następną szklanką. Jego polscy znajomi poszli za tym przykładem.

– Mi się zdaje, że to musi być coś, że nikt nie powie, że to jest niemożliwe, żeby on to miał w worku.

Flügger podkręcił węża, zastanawiając się nad słowami wypowiedzianymi przez Waloszczyka.

– Ty to żeś zawsze miał dobre pomysły – pochwalił go Niemiec. – Zawsze będę pamiętał, jak żeś zarekwirował w tej

francuskiej oberży całą beczkę koniaku, tłumacząc Francuzom, że to nie do picia, ale do dezynfekcji narzędzi chirurgicznych. Najpierw nie chcieli się zgodzić, ale jak żeś powiedział, że na *Rotes Kreuz*, to nawet zaświadczenia nie chcieli.

– Bom ja powiedział, że w naszej dywizji to sami Polacy służą i że my wszyscy chcemy dać dyla do armii francuskiej – wyjaśnił Waloszczyk, a Flügger aż złapał się za brzuch z uciechy.

– No i prawda, że pomysły miałeś najlepsze, ale jak się rozchodzi o ten worek, to mam tu taki akuraty. Całkiem możliwe, że to tego waszego zastrzelonego gościa, bo jak w nocy się przekradał, to była tu u nas normalna strzelanina. Ten gnojek był uzbrojony i strzelał do moich chłopaków, co go chcieli zatrzymać. I wtedy musiał oberwać kulkę. A worek zakrwawiony znaleźli moi o świcie, tyle że tam przemytu nie było.

– A co było? – zapytał zdziwiony Matuszek.

– Jakieś ciuchy i aparat fotograficzny. No i kilka paczek tytoniu. To my se nawet myśleli, że to nie żaden przemytnik był, tylko jakiś polityczny, co to wiecie, się od nas do was przekrada, żeby ferment roznosić. Znaczą bolszewik.

– Jak bolszewik, to słusznie, że jego szlag trafił – stwierdził Waloszczyk, który z całego serca nienawdził komunistów, bo z wojny na wschodzie ledwie z życiem uszedł, pojmany przez nich i postawiony pod ścianą jakiejś stodoły na natychmiastową rozwałkę. Ale pijani bolszewicy nie potrafili sobie dać rady z oddaniem salwy i trafieniem w polskich jeńców. Ci wykorzystali okazję i rzucili się do ucieczki. Kilku z nich zasieczono szablami, ale jemu udało się uciec. Dlatego do dziś na słowo „bolszewik” aż się trząsał ze złości. – Tych



kurwich synów powinno się wszystkich wystrzelać, żeby nie kalali świętej ziemi swoimi brudnymi nogami.

– Prawda! – zgodził się z nim Flügger, ponieważ on również nie znosił czerwonych. W osiemnastym roku w Berlinie walczył z nimi na ulicach i rozstrzeliwał ich bez pardonu. – Komuniści to zaraza, którą trzeba wytłuc do ostatniego, bo inaczej, jeśli nie my ich, to oni nas. Wyście się dobrze z nimi sprawili w czasie waszej wojny, ale i my nie najgorzej, bo całą tą rewolucję Spartakusa żeśmy utopili we krwi, razem z tymi ich przywódcami, Różą Luksemburg i Karlem Liebknechtem. Całe to zaszrane szefostwo KPD utopiliśmy w Landwehrkanal. Niestety, komuniści jeszcze w Reichstagu siedzą. Ale do czasu. Przyjdzie chwila, że wszystkich ich się wsadzi i będzie po kłopotcie. A jak ten był bolszewik, to i lepiej, że już jest po nim. Ja wam dam w takim razie ten jego aparat i co tam jeszcze miał w tym worku. Wszystko wam dam i dołożę jeszcze komunistyczną bibułę, żeby tam u was od razu wiedzieli, co to z niego za ptaszek, a na koniec dam coś jeszcze...

Podniósł się z krzesła z tajemniczą miną, wyszedł z pokoju, by wrócić za chwilę z workiem przewieszonym przez ramię. W dłoni trzymał jakiś tekturowy kartonik wielkości skrzyneczki do cygar. Położył go na stole i zadowolony otworzył. Obaj policjanci pochylili się nad pudełkiem, a Waloszczyk aż jęknął z ukontentowania. Rzeczywiście, podarunek Flüggera był bardzo hojny. Pudełko bowiem wypełnione było po brzegi paczuszkami z sacharyną, towarem, którego absolutnie w Polsce nie wolno było sprzedawać i wwozić do kraju. Sacharyna jako tańsza od cukru i bardziej wydajna mogła cukier wypierać. Tymczasem w Polsce obowiązywał państwowy monopol cukrowy, więc państwu zależało na ochronie własnego rynku. Za przemyt

sacharyny można było dostać surowy wyrok, jeśli kogoś złapano na gorącym uczynku. Więc taki towar szmuglowali tylko najodważniejsi przemytnicy.

Dlatego gdy Waloszczyk i Matuszek wysypali zawartość worka przemytniczego na stół, byli przekonani, że na komendancie zrobi to odpowiednie wrażenie. I zrobiło, bo starszy przodownik aż stęknął, otworzywszy pudełko tak, jakby ono potrafiło parzyć.

– Niech pan patrzy się, poruczniku. To dopiero chytra sztuka z tego Grzelaka. Sacharynę przemycał, cholernik jeden, i pewnie...

Porucznik Pikuła nawet nie spojrzał na sacharynę. Wziął za to do ręki aparat fotograficzny niemieckiej marki Leica.

– To zabieram, a reszta mnie nie interesuje – wyjaśnił najwyraźniej zadowolony.

Komendant Pulina wzruszył ramionami. Nie mógł przecież dyskutować z oficerem, choć już mu się na usta cisnęły słowa, że w zasadzie to trzeba by było sporządzić protokół, ale w końcu machnął na to ręką. Protokół się robi z samej sacharyny. To i tak spory łup. Koledzy ze Straży Celnej zrobią wielkie oczy, jak im o wszystkim opowie. Zrobi z tego Grzelaka prawdziwego króla przemytników, specjalistę od sacharyny, i tak też go opisze w raporcie do władz zwierzchnich, że wyjdzie z tej śmierci wielki sukces policji walczącej z przemytnictwem. A aparat fotograficzny? Pies z nim tańczył. Chociaż szkoda, bo jakby ten aparat zostawił, to można by go było wpisać na wyposażenie posterunku i robić nim różne pamiątkowe fotografie. Ale w końcu i tak nie potrafił tego cuda techniki obsługiwać, więc zasadniczo strata była niewielka.

Zadowolony oficer po cywilnemu zapakował zdobycz do skórzanej torby o dwóch paskach i dwóch mosiężnych klamrach, chwycił ją w lewą dłoń, a prawą wyciągnął do komendanta.

– Bardzo mi pomogliście. Dziękuję, komisarzy. Uwzględnię waszą pracę w raporcie. Bardzo dobrze o was napiszę.

– Ku chwale ojczyzny, panie poruczniku.

Joachim Pulina chciał zaszalutować, ale przypomniał sobie, że nie ma przecież na głowie czapki z orzełkiem, a do gołej głowy salutować nie wolno. Skłonił się więc sprężyście i odprowadził gościa do drzwi. Gdy te się zamknęły, zmierzył ostrym spojrzeniem dwóch swoich ludzi stojących cały czas w postawie na spocznij, postukał ręką w pudełko sacharyny, a potem chwycił jakąś komunistyczną bibułę.

– A papiery wywalić do spalania, bo komunistycznej agitacji nam tu nie trzeba. O Grzelaku raportować nie będziemy, że miał tam jeszcze jakąś bolszewicką bibułę, boby go jeszcze ksiądz nie pochował w święconej ziemi. Niech w pamięci ludzkiej zostanie jako porządny przemytnik, a nie polityczny agitator.

Dwaj śledczy pokiwali głowami. Zgadzała się z tym całkowicie, tym bardziej że dobrze wiedzieli, jak się miała ta sprawa z agitacją, z którą Grzelak Marian nie miał nic wspólnego. W okolicy nigdy nie było żadnych wywrotowców, a ludzie nie rozumieli, o co tym komunistom się rozchodzi i dlaczego odbierają chłopom ziemię i robią jakieś kołchozy. Niech więc przemytnik spoczywa w pokoju w poświęconej ziemi, jak każdy uczciwy katolik.

Poznań

Godzina 8.15 wieczorem

Anatol Grubiński wysiadł z pociągu i od razu poszedł w kierunku ramp rozładunkowych dworca towarowego, opartego plecami o budynek ulicy Składowej. Był człowiekiem interesu i nigdy nie tracił czujności, gdy można było coś zarobić. Kiedy pieniądze same wchodziły w ręce, natychmiast wyczuwał okazję i starał się ją w odpowiedni sposób wyzyskać. A ta propozycja, którą otrzymał od Böckstiegela, od razu wydała mu się bardzo interesująca. Choć Grubiński nie miał zielonego pojęcia, skąd wziąć towar dla Niemców, od razu i bez wahania przyjął ofertę zrealizowania dostawy. Przypomniawszy sobie bowiem, że w Poznaniu na bocznicy dworca towarowego co chwilę przyjeżdżają wagony wyładowane cementem. To był właściwie codzienny widok, jeśli koło fajrantu przechodziło się ulicą Składową. To tamtędy wracali z pracy ludzie wyglądający jak szare myszy albo czarni jak diabły. W zależności od tego, co było do rozładowania, brudzili się na szaro przy cemencie albo na czarno przy węglu. Robota rozładunkowa była ciężka jak diabli i kiepsko płatna, ale miała jedną zaletę, była codziennie. Miasto potrzebowało węgla i cementu. Węgiel sprzedawał się dobrze przez cały rok, a najlepiej w czasie letniej kanikuły, kiedy zapobiegliwi poznaniacy robili zimowe zapasy. Cementem natomiast handlowało się mniej więcej od marca do października, czyli w czasie, kiedy trwały prace na miejscowych budowach.

Tolek Grubiński nigdy nie pracował jako tragarz, ale przez pewien czas miał bliskie kontakty z koleją, przede wszystkim z Dworcem Głównym w Poznaniu. Bo tu po zakończeniu wojny, kiedy przez miasto przejeżdżały transporty wojskowe

z żołnierzami niemieckimi powracającymi ze wschodu, przesiadywał codziennie i grał w karty. To było zajęcie przynoszące niezłe zyski, bo żołnierze mieli portfele wypchane żółdem i najczęściej nie potrafili grać. Tolek natomiast miał zwinne palce i umiał oszukiwać tak dobrze, że jego gra nie budziła podejrzeń.

Żeby takowych niepotrzebnie nie budzić, najczęściej grał tylko kilka partii i odchodził z gotówką od stolika, tłumacząc się, że musi kończyć, bo zaraz jego pociąg odjedzie. A że podobnie jak żołnierze oczekujący na swoje pociągi ubrany był w wojskowy mundur, więc jego karciane zwycięstwa nie kończyły się awanturami. Ci, którzy przegrywali, odchodzili ze skwaszonymi minami. Jeśli wystarczało im pieniędzy, szli jeszcze zamówić w bufecie piwo i grochówkę z kiełbasą, a potem odjeżdżali do swoich miast w głąb Niemiec. Nigdy żaden z nich nie wrócił już do Poznania, więc nie było najmniejszej szansy na zidentyfikowanie oszusta.

W tym czasie Dworzec Główny wyglądał jak obóz wojenny, bo dziennie zatrzymywało się tu kilkanaście wojskowych transportów. Każdy musiał się zaopatrzyć w węgiel i wodę, więc postoje trwały po kilka godzin. Nic więc dziwnego, że żołnierze rozchodzili się po okolicy w poszukiwaniu rozrywek w postaci piwa i towarzystwa miłych pańienek. Ci, którzy mieli ochotę się wzbogacić, szukali partnerów do gry w poczekalniach, bufetach albo wprost na peronach.

Do gry w skata nigdy nie brakowało chętnych, a Grubiński znał się na graniu jak mało kto. Większość swojej wojennej służby odbył w twierdzy Boyen, postawionej na przesmyku między mazurskimi jeziorami, w niewielkim miasteczku Lötzen<sup>[17]</sup>. Żołnierze tam stacjonujący nie mogli liczyć na jakieś szczególne atrakcje, które urozmaiciłyby im koszarową

nudę, poza tymi dostarczanymi przez dwie karczmy. Dlatego główną rozrywką, nie licząc jedzenia, były gry hazardowe, czyli kości i przede wszystkim karty. Więc Tolek, chcąc nie chcąc, nauczył się grać i doskonale oszukiwać.

Na dworcu w Poznaniu pojawiali się prócz żołnierzy także spragnieni gry pracownicy stacji, w tym tragarze po wypłacie dniówki, liczący na powiększenie swoich marnych zasobów. To wtedy Tolek poznał majstra Wojtka Madrydę. Ten wielki jak dwudrzwiowa szafa męczyzna miał jedną nogę krótszą i dlatego nie wzięli go do wojska. Nie przeszkadzało mu to jednak w budowaniu swojej legendy. Twierdził, że ta noga to efekt francuskiego ostrzału w bitwie nad Marną. Wszelkie wątpliwości żołnierzy, którzy nie zawsze mieli ochotę dopuszczać do swojego towarzystwa jakiegoś brudnego kulasa, rozwiewał, wyciągając z pugilaresu Krzyż Żelazny. Machając nim przed nosem weteranów, mówił, jak to sam generał Alexander von Kluck przypinał mu order na polu bitwy.

Jako że weterani zawsze szanują bohaterów pola walki, Madryda był dopuszczany do towarzystwa i najczęściej przegrywał. Wszystko przez to, że nie bardzo umiał liczyć, więc z jego rachunków podczas gry prawie nigdy nic nie wychodziło.

– Jak ty to robisz, że zawsze wygrywasz? – zapytał któregoś dnia Tolka Grubińskiego, z którym nie siadał do gry, wiedząc, że ten jest szczęściarzem i zawsze odchodzi od stolika z kieszenią pełną pieniędzy.

– Wiesz, w graniu potrzebne jest coś, co jest najważniejsze, jeśli chcesz grać – tłumaczył mu Tolek.

– Że niby co to jest? – pytał tragarz.

– Szczęście, chłopie. W kartach przede wszystkim liczy się szczęście.

Tolek był przekonany, że tak właśnie jest, tyle że według niego szczęście polegało na graniu z ludźmi, którzy nie wiedzą nic na temat kart i przede wszystkim są mało spostrzegawczy. A Madryda interpretował to szczęście jako swoisty fart, który graczowi przynosi Opatrzność. Jemu nie przynosiła, ale mimo to lubił na tyle ten dreszczyk emocji, że za nic nie mógł się powstrzymać od sięgania po karty.

Teraz, gdy minęło sporo lat od tej dworcowej wędrówki ludu, ani Tolek, ani jego znajomy Madryda nie grywali już z pasażerami. Tolek miał zupełnie inne zajęcia, bo na co dzień zajmował się lewymi interesami, a także włamaniami do mieszkań i okradaniem ich ze wszystkiego, co można było potem sprzedać. A majster tragarzski został kierownikiem zmiany i organizatorem robót, więc zarabiał całkiem niezłe pieniądze, bo każdy, kogo przyjmował do pracy przy rozładunku, wiedział, że nie zarobi, jeśli nie opłaci się szefowi.

– Uważaj, jak niesiesz, szuszwolu jeden! – zawołał Madryda na widok chudego mężczyzny, który ledwo trzymał worek ułożony na zgarbionych plecach. Mężczyzna, podobnie jak jego koledzy, miał na głowę naciągnięty szpiczasty kaptur, którego spora część opadała na ramiona i plecy. Te kaptury to był znany od dawna tragarzom wynalazek zasłaniający ich od pyłu, a wykonany z rozdartego worka. Przecinało się go z jednej strony wzdłuż i oto powstawało pomysłowe ubranie ochronne. Problem z tymi workami miał tylko majster, bo spod materiału nie widać było twarzy robotnika, gdyż przykrywała ją jutowa zasłona. Nie mógł więc w swoim notesie zapisać nazwiska tego, który się najbardziej opieprzał w pracy, no

chyba żeby podszedł do takiego i spojrzał mu w gębę. Ale Madryda jako stary wyjadacz wolał siedzieć sobie spokojnie na wygodnym fotelu ze skrzynek po warzywach i nie ruszając się z miejsca, zapisywać ilości wyniesione z wagonu i ułożone na rampie. Wszystko musiało mu się zgadzać co do sztuki, żeby czasami nie dać się oszwabić tym, co wypełniali listy przewozowe i lubili w nich zakłamywać rzeczywistość. Dlatego majster liczył skrupulatnie każdą sztukę, która była wynoszona z wagonów.

– Trzydzieści osiem! – zawołał Kucharek, który w środku pilnował tych, którzy wrzucali worki na tragarские plecy.

– Jakie osiem, jakie osiem? – zawołał oburzony Madryda. – Kogo chcesz robić w bambuko? Co ty myślisz, że ja to liczyć nie umiem!

– Pan wybaczą, panie kierownik, ale mi się coś chyba popierdoliło! – Usłyszał Kucharka, który od czasu do czasu lubił w ten sposób sprawdzić jego czujność. Gdyby ją stracił, wówczas jeden worek na pniu mógłby zostać sprzedany handlarzom tylko czekającym na okazję po drugiej stronie wagonów. Polowali oni przede wszystkim na rozerwane opakowania, bo te sprzedawało się na pniu za połowę ceny. Więc ludziom, co szukali tanich okazji, taki handel wybrakowanym towarem bardzo się opłacał, a rozerwane worki natychmiast trafiały na budowy w ręce majstrów murarskich. Z jednego wagonu można było pozyskać nawet ze trzydzieści worków, a jak się miało dobre układy z rachującymi majstrami, to i znacznie więcej.

– To żebyś mi się nie mylił, bo za chwilę weznę do liczenia kogoś innego – stwierdził Madryda. Sam liczył kiepsko, więc na wszelki wypadek stawiał w notesie pionowe kreski, a każdą dziesiątkę przekreślał pionową, tak by wiedzieć, na czym stoi.



System sprawdzał się, a nawet jeśli pojawiały się jakieś nieprawidłowości, to i tak nikt nie potrafił się doliczyć.

– Ty to masz ale oko – powiedział ktoś, zachodząc Madrydę od tyłu. Ten natychmiast obejrzał się za siebie i ze zdziwieniem zobaczył eleganckiego mężczyznę w lekkiej, wełnianej marynarce koloru kawy z mlekiem, wiśniowej kamizelce i kapeluszu fedora ze srebrną taśmą wokół. Przez kilka sekund patrzył na niego uważnie, aż w końcu twarz mu się rozjaśniła. W tym eleganciku z równo przyciętym, filmowym wąsem rozpoznał bowiem starego kompana od kart, Tolka Grubińskiego.

– To ja myślałem, że za twoje sprawki pan Maciejowski<sup>[18]</sup> już stryczek dla ciebie ukręcił, a ty se chodzisz po mieście jak panisko.

– Wiesz dobrze, że złego diabli nie wezną. Do piekła idą tylko ci, co z modlitwą na ustach oszukują ludzi, żeby się dorobić na krzywdzie innych.

– Poczekaj! – zawołał Madryda, spojrzawszy na rząd tragarzy. Policzył ich, a potem włożył dwa palce do ust i zagwizdał głośno.

– Panie Kucharek, zatrzymaj pan robotę. Dziesięć minut przerwy ekstra. Można ćmika zapalić i się napić wody – wytłumaczył swoją decyzję, zamknął notes i włożył go do kieszeni marynarki. – No to gadaj, co cię do mnie przywiodło. Bo że w odwiedziny żeś do starego kumpla przyszedł, to ja akuratnie nie uwierzę. Gadaj, o co się rozchodzi, bo robota czeka. Musimy jeszcze dziś dwa wagony rozładować.

Tolek uśmiechnął się zadowolony. Lubił konkretnych ludzi.

– No to wyznacz zastępcę do tych rachunków, bo ja o interesach o suchym pysku gadał nie będę. Pójdziemy tu

niedaleko, do baru na Składowej, na śledzika podlanego wódeczką i wszystko, co i jak wyłożę.

Madryda wzruszył ramionami. Nie miał nic przeciwko, tym bardziej że kolega proponował poczęstunek, a kto by odmówił napicia się i zjedzenia w trakcie pracy? Tylko wariat, a on wariatem przecież nie był.

## Poznań

Godzina 9.05 wieczorem

Aspirant Oskierko nie musiał szukać daleko. Najbliższy kościół w okolicy stał mniej więcej w odległości dwudziestu metrów od kamienicy, gdzie znalazł się obraz. Mimo że był to kościół garnizonowy, to aspirant nigdy do niego nie zajrzał. Nie bardzo mu było po drodze z księżmi, jako że jego wiara nigdy nie była zbyt silna, a poza tym jako jawnogrzesznik nawet gdyby chciał pójść w niedzielę na mszę i w jej trakcie do komunii, to nic by z tego nie wyszło. Wszystko przez to, że żaden ksiądz nie dałby mu rozgrzeszenia, bo to, jak wiadomo, dostaje się, wyrażając żal za grzechy, a on nie żałował, po wtóre cały czas w tym grzesznym stanie trwał. No a poza wszystkim był przecież dżentelmenem, a ci wszak nie zdradzają nikomu intymnych szczegółów obcowania z damami. Dlatego Oskierko za nic nie powiedziałby nawet najbardziej zaufanemu księdzu ani słowa o swojej byłej kochance.

Spotkał ją podczas jakiegoś rautu. Nie wiedział, jak się nazywa i kim jest, zauważył jednak, że cały czas asystuje jej

major Długołęcki. Wywnioskował więc, że musi to być jego żona. Gdy spojrzął na nią zupełnie przypadkowo, ich spojrzenia się skrzyżowały, więc spłoszony uciekł wzrokiem i wbił go w sałatkę jarzynową. Czuł jednak, że ona nadal patrzy na niego, mimo że zajęta rozmową, co chwilę śmieje się perliście i głośno. Miał wrażenie, że próbuje go przyciągnąć tym śmiechem jak syrena wabiąca statek Odyseusza. Czuł, że osacza go i usiłuje zahipnotyzować. A przecież nawet niespecjalnie mu się podobała. On lubił blondynki o rubensowskich kształtach, a ona była szczupłą, wysoką brunetką. Mimo to roztaczała wokół siebie jakąś aurę tajemniczości, jak baśniowa Szeherazada, o której nie sposób było nie myśleć. Więc myślał o niej intensywnie po zakończeniu rautu, choć nawet nie zostali sobie przedstawieni. Dowiedział się, że ma dwadzieścia pięć lat, pochodzi z majątku pod Lwowem, z domu nazywa się Mirecka, a na imię ma Olga. Wyszła za mąż za dwa razy starszego od niej Długołęckiego, który ponoć wziął ją bez posagu, bo tatko Mirecki był poważnie zadłużony i majątek jako tako funkcjonował tylko dzięki łaskawości wierzycieli, a teraz utrzymał się na powierzchni dzięki splątom poczynionym przez zięcia. Olga Długołęcka była więc związana z mężem węzłem małżeńskiej przysięgi i znacznie silniejszymi zależnościami finansowymi.

Gorący romans zaczął się jakiś czas potem, podczas wyścigów konnych na warszawskim Polu Mokotowskim. Porucznik Oskierko, wtedy jeszcze pięknie prezentujący się w wyjściowym mundurze oficera kawalerii, przyszedł na wyścigi wcale nie z powodu chęci obstawienia jakiegoś rumaka. Pojawił się tu, bo od czasu do czasu wypadało się pokazać. No i rzeczywiście jego przystojna twarz i sprężysta

sylwetka sprawiły, że przyciągnął uwagę, ale niestety nie dowódców, generałów czy pułkowników, którzy być może rozważyliby jego kandydaturę jako potencjalnego ordynansa. Oni jednak wpatrzeni byli w szkła lornetek, dzięki którym z fachowymi minami oceniali kondycję koni. Jego za to wzięła na celownik majorowa.

Jak to w romansach często bywa, tajemnica wkrótce wyszła na jaw, a major Długołęcki chciał zastrzelić Oskierkę, nie dając mu nawet możliwości udowodnienia swojej niewinności w pojedynku na szable. Na szczęście dla młodego oficera o skandalu szybko dowiedziano się w Sztabie Głównym, w którym pracował Długołęcki. Gdyby nie chwalebna przeszłość Oskierki i krzyż za bitwę warszawską, pewnie wylano by go z wojska na zbitą mordę. Jednak komuś tam wyżej zrobiło się żal jurnego oficera i postanowiono mu pomóc. Z wojskiem musiał się pożegnać, ale trafił na zesłanie do Poznania, do Dyrekcji Policji, pod skrzydła komisarza Fischera.

Na początku liczył na to, że po kilku miesiącach pozwolą mu wrócić do Warszawy i do pułku. Ale być może major Długołęcki był zbyt mocno ustosunkowany, bo jego dwa podania z prośbą o rozważenie powrotu zostały odesłane z adnotacją „załatwiono odmownie”. W końcu więc musiał pogodzić się z myślą, że zostanie do końca życia policjantem. Z czasem musiał przyznać, że ta robota sprawia mu coraz więcej satysfakcji. Nawet takie mało obiecujące śledztwo, jak to dzisiejsze, też dawało mu nieco emocji.

– To jest skandal, który będziemy musieli zgłosić do kurii. A kuria to już pan aspirant sam wie najlepiej, jak postąpi –

mówił oburzony ksiądz o okrągłej twarzy, z wyraźnymi łysymi zakolami na obu skroniach.

– Ksiądz wybaczy, ale nie wiem.

– Nie wie pan? – Zdziwiony proboszcz Wiesław Warguła patrzył na niego z wyraźnym brakiem sympatii, tak jakby to on osobiście podprowadził ten obraz z bocznej nawy.

– Nie wiem.

– Ksiądz biskup wsiądzie do swojej kolaski i pojedzie bezpośrednio do pana prezydenta Ratajskiego, ten zatelefonuje do naszego komendanta i komendant przybiegnie na jednej nodze do ratusza – wyjaśnił z obojętną miną znawca tematyki i miejskich stosunków, Anastazy Olkiewicz, policyjny wywiadowca w randze przodownika.

– Prawda, widzę, że pan... – Tu ksiądz spojrział z niemym pytaniem na wywiadowcę, który, jak to wywiadowcy mają w zwyczaju, ubrany był jak nierzucający się w oczy przechodzień w wytartą marynarkę, przykrótkie spodnie i kapelusz typu melon, teraz trzymany, jak na święte miejsce przystało, w dłoniach.

– Aspirat Anastazy Olkiewicz do usług – przedstawił się, lekko się uśmiechając. Nie przepadał za księżmi i zazwyczaj mówił o nich jako o pasożytach i nierobach wykorzystujących naiwność maluczkich. Więc gdy nadarzała się okazja, kpił z nich bezlitośnie. Ksiądz o czerwonej, napuchniętej twarzy najwyraźniej nie wyczuł ironii w głosie Olkiewicza.

– Widzę, że pan Olkiewicz jest obyty w tych kwestiach.

– Olkiewicz z Chwaliszewa – poprawił go Anastazy, podkreślając miejsce pochodzenia, czyli dzielnicę cieszącą się niezbyt dobrą renomą w mieście. – Obyty ze zwyczajami księdza biskupa, co to ze wszystkimi problemami zaraz leci do

pana prezydenta i mu się zdaje, że ma większą władzę od pana Ratajskiego.

Ksiądz spojrzał podejrzliwie na policjanta.

– Czyż jego władza nie pochodzi od Boga? – zapytał urażonym tonem.

– Jak ma taką władzę, to czemu kradzieże zgłaszacie policji, a nie modlicie się, żeby wam pomógł on? – Wskazał na ołtarz, uśmiechając się przy tym szelmowsko. – Skoro wie wszystko i jest nieomylny, to czemu pozwala na takie świętokradztwo, jak ukradzenie obrazu, a dwa, nie porazi gromem świętokradcy cholernego?

– Przypominam panu Olkowiczowi, że jesteśmy w kościele – rzucił ksiądz obrażonym głosem. – Już tych świętokradztw wystarczy jak na jeden dzień.

– Prawda, panie Olkiewicz. – Oskierko poparł księdza. Ostatnia rzecz, jaka mu była teraz potrzebna, to konflikt światopoglądowy. Musiał się zająć policyjną robotą i jak najszybciej znaleźć sprawcę, który ukradł obraz. – Weź no się pan rozejrzyj po okolicy i zbierz informacje, bo nam jakiś świadek potrzebny, co może widział tego, co obraz ukradł. A ja tu sprawdzę miejsce. – Wskazał na boczny ołtarz ze ślepym otworem kwadratowej ramy, z której złodziej usunął obraz w postaci dobrotliwego oblicza Niepokalanej Dziewicy z Dzieciątkiem.

Olkiewicz wzruszył ramionami, nie podejmując żadnej dyskusji, włożył melonik na głowę i wyszedł z kościoła. Na dziedzińcu przed budynkiem stał posterunkowy Zenon Rzepa, ten sam, który został wezwany rano do odnalezionego obrazu.

– A ty co tak stoisz? – zapytał Olkiewicz zadowolony, że może zaczerpnąć świeżego powietrza.

– A niby co mam robić, panie przodowniku szanowny?

– Pogadać z ludźmi, coś się dowiedzieć o złodzieju.

– A niby po co, jak ja już wszystko wiem. Wincenty Cholewiak był z obrazem widziany, jak go z gówna obmywał, a potem uciekł. No i tyle.

– A gdzie ten Cholewiak mieszka? – zapytał wywiadowca.

– O, tu. – Posterunkowy Rzepa wskazał na posesję graniczącą z kościelną działką.

– A gdzie pije zazwyczaj?

To pytanie zupełnie nie zdziwiło posterunkowego. On doskonale wiedział, w której knajpie kto pije, i ta wiedza nie raz okazywała się bezcenna.

– Jak on jest z tej kamienicy, znaczy nie z kamienicy samej, tylko z oficyny, bo te z kamienicy to nie piją w knajpach, tylko w restauracjach się goszczą, no to on musi pić tu, w tej u Gąsiora.

– Jakiego Gąsiora?

– Gąsior to jest ten gość, co kiedyś był zapaśnikiem w cyrku Olimpia i jak mu włoski zawodnik, jakiś Bartolini czy jakoś tak, złamał girę i wykręcił ją na drugą stronę, to on przestał się bić. Ale miał trochę bejmów odłożonych na czarną godzinę i mu się przydały, bo odkupił tą knajpę i od kilku lat prowadzi tu wyszynk z jedzeniem. O, tam naprzeciwno, to się nazywa Gospoda pod Gąsiorem. Dają tam piwo Kobylepole i wódkę Wyborową, a z jedzenia jest grochówka z kiełbasą, kiełbasa z wody, bigos z mięsem i kiełbasą, no i na zimno galart wieprzowy. Wszystko dobre, że można śmiało próbować. Ja osobiście to na grochówkę tam zachodzę, bo gęsta taka, że łyżka się nie zatopi, prawdziwy *eintopf*[\[19\]](#), a i chleba daje tyle, że człowiek się nafutruje[\[20\]](#) za złotówkę tak, że do wieczora można się po pełnym bebzolu klepać.

Olkiewicz przyłożył dłoń do runda kapelusza, dziękując posterunkowemu za cenną informację, bo wiedza o tym, gdzie w mieście można dobrze i tanio zjeść, była dla wywiadowcy bezcenna. Przeszedł więc na drugą stronę ulicy, kierując się do gospody. Właściciela znał z dawnych lat, bo kiedyś Anastazy Olkiewicz sam występował w cyrku Olimpia na zapaśniczej macie i miał nawet spore osiągnięcia w tej dziedzinie. Choć z Gąsiorem nie walczył, bo ten był zawodnikiem wagi najcięższej, a Anastazy należał do tych lekkich w kategorii do siedemdziesięciu kilogramów.

Wszedł do środka, oznajmiając swoje przybycie dzwonkiem zawieszonym nad drzwiami. Chudy barman o wystającej grdyce, pod którą krochmalony, sztywny kołnierzyk ozdabiała czarna muszka, spojrzął na niego niezbyt przyjaźnie. Nic dziwnego, był tu obcy, a tacy ludzie mogli być zwiastunem kłopotów.

Już chciał podejść do kontuaru, żeby na początek zamówić piwo, gdy naraz poczuł jakiś dziwny zapach. Przystanął zdziwiony i rozejrzał się wokół. Po lewej stronie od drzwi stały cztery okrągłe stoliki przykryte obrusami z ceraty, praktycznymi, bo niedającymi się wybrudzić wypadającymi z mlaskających gąb resztkami jedzenia. Na krzesłach siedziało kilku piwoszy, nienależących do miejscowej elity. Żaden nie wyglądał na profesora czy urzędnika, za to na ich twarzach malowało się niezbyt bystre zaciekawienie nowo przybyłym, takie jakie pojawia się, gdy do pokoju wlatuje duża mucha i trzeba stoczyć wewnętrzną walkę, czy wstawać po packę, czy dać jej szansę, by wyleciała sama.

Przy jednym stoliku siedział gość bez towarzystwa. Piwo w kuflu było do połowy dopite, a talerz po grochówce wylizany do czysta. Anastazy wciągnął jeszcze raz powietrze nosem i już



wiedział, co to za zapach, a właściwie smród. Podszedł do faceta o smutnej twarzy wyleniałego kota, przystanął przed nim i wskazał palcem.

– Jak się nazywasz? – zapytał ostrym tonem.

– A kto pyta? – mruknął mężczyzna.

– Jak się pytam, to nie po to, żeby nie odpowiadać, znaczy się mam prawo pytać. – Wyciągnął policyjną blachę na skórzanym pasku i machnął nią przed nosem siedzącego.

– Wincenty, znaczy Cholewiak

– Tyś ten obraz z wychodka wyciągnął?

– A skąd to niby wiadomo?

– Bo śmierdzisz gównem – odpowiedział zgodnie z prawdą Olkiewicz. – A jak człowiek kulturalny idzie do knajpy, to powinien się najspierw umyć, żeby porządny ludzom jedzenia nie obrzydzić.

## Poznań

Godzina 11.45 przed północą

Sierżant Zenobiusz Antkowiak zaklął pod nosem, dopił ostatni łyk kawy zbożowej z aluminiowego wojskowego kubka i wstał od stołu. Dochodziła północ, więc jako człowiek, który znał swoje obowiązki, wiedział, że nie może całej służby przesiedzieć w strażnicy i musi od czasu do czasu ruszyć na tory, żeby sprawdzić, co tam się dzieje. Ale na szczęście zazwyczaj nie działo się nic. Tragarze rozładowujący na stacji węgiel, cement czy ziarno już dawno rozeszli się do okolicznych knajp, wypili, co mieli wypić, i poszli spać, żeby jutro o szóstej stawić się na powrót do pracy. Musieli

pracować, bo robota dawała im zarobek, który mogli potem przepić w knajpie, i tak w kółko.

Nocą bocznicą dworca towarowego świeciła więc pustkami, no chyba że na któryś z torów podstawiano nowe składy do porannego rozładunku i w tym samym czasie zabierano te, które już były puste. Ale to był normalny ruch, którym nie interesowała się straż kolejowa. Ta miała inne zadania. Strażnicy mieli pilnować, by nie dochodziło do kradzieży. Wagony wypchane po brzegi towarami, pozornie pozostawione bez opieki, stanowiły łakomy kąsek dla tych, co chcieli się szybko i w miarę bez wysiłku dorobić. Dlatego Antkowiak robił patrole strażnicze co dwie godziny, a bywało nawet, że i co godzinę, jeśli towarów do rozładowania było szczególnie dużo.

Dziś właściwie nie było czego pilnować. Na torach stały w oczekiwaniu na rozładunek zaledwie dwa składy z cementem. Do tego był to cement sypki, nie w workach, więc raczej nienadający się do kradzieży. Złodzieje musieliby przesypywać proszek szypami na podstawione wozy, a to byłoby dość trudne.

Sierżant Antkowiak zaklął pod nosem, ale zrobił to raczej z przyzwyczajenia, a nie dlatego, że miał jakieś trudne zadanie do wykonania. Jak się szybko uwinie, to za pół godziny wróci do strażnicy i położy się spać, a na patrole co godzinę będą chodzić jego podwładni, teraz wylegujący się na pryczach. Niech se śpią chłopaki, pomyślał, patrząc na podkomendnych. Jak odpoczną, będą bardziej czujni.

Założył sukienną rogatywkę na głowę, na ramieniu zawiesił karabin, po czym wyszedł na zewnątrz.

Noc nie była ciepła, ale przyjemna. Od zachodu czuć było lekki wietrzyk, być może zapowiadający w najbliższym czasie deszcz. Musiało się coś w końcu zmienić z tą pogodą po

lipcowych upałach. Antkowiak rozważał te kwestie jak każdy szanujący się rolnik. Bo mimo że nie miał gospodarstwa i od dziesięciu lat mieszkał w mieście, to sentyment do ziemi, na której się wychował, pozostał i mocno w nim tkwił. Dlatego, jak na chłopskiego syna przystało, jego postrzeganie świata było mocno powiązane ze zmianami pogody.

Spojrzał w niebo, na którym nie było widać śladu chmur, więc gwiazdy były doskonale widoczne wraz z księżycem w pełni, rozświetlającym nocny mrok. To znaczyło, że jeszcze przynajmniej kilka dni utrzyma się ciepło, czyli jego ziomkowie z Lisabonu i Karolina pod Szamotułami dadzą radę zebrać zboże, a on będzie mógł do nich pojechać jak co roku na dożynki.

Minął pusty skład, rozładowany tego wieczora i czekający teraz na przetoczenie na bocznice, by zrobić miejsce wagonom ze Śląska, które miały być podstawiane rano. Zdziwił się trochę. Na końcu nie widać było małej lokomotywy do przetaczania. Dostrzegł ją za to dwa tory dalej. Stała pod parą, a wokół niej kręciło się kilku ludzi w roboczych drelichach.

Coś tu jest nie w porządku, pomyślał sierżant i na wszelki wypadek skrył się za wagonem na sąsiednim torze. Ale że z tego miejsca niewiele widział, wdrapał się po kilku schodkach na górę, do otwartej budki strażniczej, zainstalowanej na platformie wagonu. Wszedł do środka, rozsiadł się wygodnie na ławeczce i zaczął przeglądać się uważnie temu, co dzieje się obok.

Mała lokomotywa do przetaczania wagonów buchała parą, a maszynista co chwilę wyglądał na zewnątrz, kontrolując pracę nastawiaczy. Jeden z nich wszedł w przestrzeń pomiędzy lokomotywą a pierwszym wagonem, dwaj inni stali obok i palili papierosy. Po chwili dojrzał jeszcze kolejnych,

którzy znajdowali się dwa wagony dalej. Byli zajęci robotą, bo wchodzili i wychodzili spomiędzy wagonów. Ta praca wyglądała mu na dość chaotyczną. Napatrzył się już przez lata służby wartowniczej przy dworcu na robotę ludzi, którzy zaczepiali i rozszczepiali wagony. Robili to zazwyczaj bardzo sprawnie i w kompletnej ciszy. Natomiast ci przez cały czas coś do siebie pokrzykiwali. Antkowiak był jednak za daleko, żeby usłyszeć, o czym mówią, dlatego postanowił opuścić swój punkt obserwacyjny. To wszystko, czego był świadkiem, wydało mu się na tyle podejrzane, że musiał to dokładnie sprawdzić.

Wyszedł z budki strażniczej, zeskoczył na ziemię i zaczął przesuwac się wzdłuż wagonów oddzielających go od toru, gdzie stała lokomotywa i pracowali podejrzani faceci. Po chwili był na wysokości tych dwóch palących papierosy. Liczył na to, że będą zajęci rozmową, i się nie zawiódł. Odwróceni do niego plecami nie widzieli, jak wchodzi pod wagon i podpełza pomiędzy szynami jak najbliżej. Gdy był tuż za nimi, przywarł mocno do drewnianych podkładów i tłuczni między nimi. Nawet się nie musiał specjalnie wysilać, żeby usłyszeć, o czym mówią.

– Masz dwa wagony pełne cementu sypkiego. Na pewno nie potrzebujesz trzech?

– Nie. Co miałbym z nim zrobić, jak zamówienie jest na dwa?

– No wiesz, idzie o to, że jak tu teraz jesteśmy, to za jednym zamachem by my mogli machnąć trzy i w razie czego nie trzeba by zachodu i nowej roboty. Bo jakby my jeszcze raz musieli organizować taką akcję, to będziesz musiał zapłacić znów taką samą stawkę.

– Słuchaj, a jak ja nie sprzedam trzech?

– To jak nie sprzedasz, to pies trącał ten jeden wagon. Ty bierz trzy i nie gadaj po próżnicy, tylko się ciesz, że dają. Ej ty, Grochol, chodź no tu, ino migiem!

Grochol? Sierżant znał tego gościa. To był jeden z tragarzy od Madrydy. I naraz uświadomił sobie, że ten człowiek wołający Grochola też był mu znany. To właśnie Madryda, czyli brygadzysta od wyładunku, dysponował takim tubalnym głosem. Więc to jego ludzie przetaczali wagony. A skoro robili to w nocy, to musiało być w tym coś podejrzanego. No i jeszcze ta sprawa z dodatkowym wagonem. Przecież Madryda nie dawał temu typkowi ze swojego, a dokładał dodatkowy towar jak handlarz inwestujący w klienta.

Tu najwyraźniej coś śmierdziało. Musi wrócić do strażnicy, postawić na nogi śpiących chłopaków i razem z nimi zasadzić się na tych gości. A czasu nie było za dużo, bo zaraz zaczną doczepiać ten trzeci wagon i miniskład odjedzie gdzieś na drugą stronę dworca. Może tam, gdzie zestawiali pociągi na jutro do wyjazdu. A wtedy szukaj wiatru w polu. Nigdy już nie znajdzie tych trzech wagonów.

– Słuchaj no, Grochol, pan Grubiński życzy sobie jeszcze jeden wagon z cementem podjąć.

– Dopiero co my go odpięli, panie majster.

– To go podepnijta. Co ty mi tu w ogóle gadasz? Jak jest potrzeba, to się robi! Nie, Tolek?

Tolek? Tolek Grubiński! Naraz sierżant uświadomił sobie, z kim ma do czynienia. Ten brygadzysta Madryda stał tu sobie najspokojniej w świecie z jednym z najśłynniejszych poznańskich złodziei. Grubiński był znany w całym Poznaniu z tego, że kradł wszystko, co mu wpadło w ręce, a do tego jeszcze potrafił otwierać kasy pancerne. Należał więc do bandycko-złodziejskiej elity. I jeśli ten facet stał teraz

z Madrydą przy torach, to znaczyło, że właśnie na jego oczach dochodziło do zuchwałej kradzieży wagonów z cementem. Trzeba było działać i łapać bandziorów na gorącym uczynku. Jak się pośpieszy, to w pięć minut będzie tu z powrotem ze swoimi chłopakami. Przyskrzynią wszystkich, wsadzą ich do aresztu, a rano zameldują policji, że mają złodziei pochwyconych w trakcie kradzieży. A za taki wyczyn to, kto wie, czy nie dostanie czasami jakiejś premii finansowej. A może nie tylko nagrodę, ale i awans...?

Uskrzydłony tymi myślami wypełzł spod wagonu i powoli zaczął iść wzdłuż torów, osłonięty przed tamtymi stojącymi koło lokomotywy przez rząd pustych wagonów. Gdy był już w odległości pozwalającej na głośniejsze tupanie, przystanął jeszcze na chwilę, spojrzął za siebie i już chciał rzucić się biegiem w kierunku strażnicy, gdy naraz tuż przed nim wyrósł jak spod ziemi oficer w stopniu kapitana.

– A wy dokąd, sierżancie?

– Ja... – Stał na baczność, zastanawiając się, co odpowiedzieć. – Bo tam kradną cement. Madryda i Grubiński, i jeszcze jakaś banda złodziei.

– Słuchajcie, sierżancie, ja jestem kapitan Mikołajewski z Dwójki.

– Tak jest, panie kapitanie. A ja jestem sierżant Antkowiak z Kompanii Kolejowej.

– To słuchacie, Antkowiak, idźcie sobie do strażnicy i najlepiej połóżcie się spać.

– Ale jak to?

– No normalnie. Idźcie i nie wychodźcie ze strażnicy do, powiedzmy, szóstej rano.

– Ale tam kradną...

– Jeśli nawet ktoś co kradnie, to wyście nic dziś nie widzieli.

- Jak nie...?
- Nic, zrozumiano?
- Tak jest!
- No to znikajcie, Antkowiak.

Sierżant zsalutował i ruszył przed siebie sprężystym krokiem. Jak miał nic nie widzieć, jak wszystko widział, zastanawiał się, zmierzając do swojej strażnicy. To wszystko było cholernie podejrzane. Ale z drugiej strony, ten kapitan i to z Dwójki? A z Dwójką lepiej nie zadzierać. Postanowił więc, że dziś zgodnie z rozkazem położy się spać i pośpi do szóstej, a jutro... jutro się zobaczy.

[16] Ramón Novarro – meksykański aktor, gwiazda kina niemego w Hollywood (1899–1968).

[17] Lötzen – obecnie Giżycko.

[18] Stefan Maciejowski, pierwszy kat II Rzeczypospolitej, mający na swoim koncie ponad sto wykonanych egzekucji przez powieszenie.

[19] *Eintopf* (niem.) – potrawa jednogarnkowa, zastępująca cały obiad.

[20] Nafutrować (gwar.) – najeść, napchać.





# Rozdział IV

Schneidemühl

Piątek

31 lipca

Godzina 8.30 rano

Za oknem, na placu apelowym, jakiś feldwebel próbował bezskutecznie sprawić, by drużyna poborowych zrozumiała, na czym polega komenda „w tył zwrot” i w jaki sposób trzeba się po niej zachować. Jego krzyki nie robiły najmniejszego wrażenia na zastępcy dowódcy pułku, który przez czterdzieści lat swojej służby widział już niejedną taką scenę. Ona była dla starego żołnierza jak szum przepływającej rzeki, która musiała w końcu porwać tę niewycwiczoną hałastrę i za jakiś czas uczynić z niej pełnowartościowe wojsko, które z radością będzie potrafiło oddać życie... No właśnie, kiedyś umierało się za Cesarza, a teraz za kogo? Nawet nie ma w tym kraju za kogo umierać, zastanawiał się rozżalony oficer. No chyba że za Wielkie Niemcy, myślał, spoglądając niezbyt życzliwie na tego majora, którego przysłano mu tu z Berlina.

– A po co nam taka budowa? – zapytał w końcu oberst<sup>[21]</sup> Gregor von der Marwitz majora Wittelbacha. Oficer zatrzymał się dwa metry przed ciężkim, rzeźbionym biurkiem, na którym

stał aparat telefoniczny, kryształowa popielniczka i leżała rozłożona wczorajsza szczecińska gazeta „Vossische Zeitung”. Major stał jak student przed egzaminującym go profesorem. Różnica była taka, że było mu obojętne, na jaką ocenę zda ten egzamin.

– Nam po nic, panie oberst – wyjaśnił Wittelbach.

– Bardzo proszę jaśniej, panie majorze, bo ja nie jestem w nastroju do rozwiązywania szarad.

– Kiedy to właśnie jest coś w rodzaju szarady. – Major ucieszył się, nie okazując po sobie radości, jak na pruskiego oficera przystało. Był jednak zadowolony, że jego nowy dowódca był takim osłem, którego wyprowadzała z równowagi jego własna ignorancja. Gdyby przeczytał list z Berlina, adresowany do niego osobiście i podpisany przez kierownika wydziału operacyjnego Abwehry, majora Fürstenwalda, toby wiedział wszystko i nie musiałby teraz pytać. Ale chyba ten stary cap nie miał zamiaru zniżać się do czytania korespondencji podpisanej przez jakiegoś majora z Berlina. W końcu to on był tutaj najwyższym rangą wojskowym, który lada moment spodziewał się zostać awansowany na pierwszy generalski stopień. Tak przynajmniej myślał on sam, ale przysłany tu, na tę wysuniętą pograniczną placówkę major Wittelbach wiedział, że jego nowy przełożony nie ma na to najmniejszych szans. Wyjaśnił mu to przed wyjazdem Fürstenwald.

– Ten Marwitz to dureń, ale nie mamy teraz możliwości zastąpienia go kimś innym na stanowisku zastępcy dowódcy pułku. Zresztą dla dowódcy pułku urzędującego w Stettin[22] taki zastępca o miernych właściwościach intelektualnych jest na rękę, bo sam nie podejmie żadnej decyzji i niczego nie

popsuje. Na razie musimy odczekać i robić swoje, dlatego posyłam tam ciebie. To, co mamy do wykonania, jest ważniejsze niż wszystko, co dzieje się w tych koszarach w Schneidemühl. To zapomniany przez Boga i ludzi garnizon i pewnie jeszcze tak będzie przez jakiś czas, ale jak coś się w naszym kraju zmieni, wtedy armia przypomni sobie o tym mieście. I wówczas powrócą tam różne jednostki wojskowe, a żołnierze wielu specjalności będą paradować po placach apelowych kilku koszar, tak jak to było przed wojną. Podsumowując, robimy swoje, czyli zajmujemy się naszą robotą, a ten von Marwitz niech myśli, że ma wpływ na wszystko, podczas gdy to ty faktycznie będziesz robić to, co masz tam do zrobienia, najlepiej bez jego wiedzy.

– Nie podobają mi się szarady, bo ja jako dowódca naszych wojsk nad samą granicą muszę być o wszystkim informowany.  
– Von Marwitz powiedział to tonem suchym i beznamiętnym, jednocześnie stukając otwartą dłońią w blat biurka. – A jeśli się to panu nie podoba, to możemy tę sprawę załatwić natychmiast, rozmawiając ze *Stettin*. – Wskazał palcem na aparat telefoniczny. – Wystarczy, że się połączę ze sztabem...  
To co, mam dzwonić?

– Wydaje mi się to zupełnie niepotrzebne, panie oberst.  
– Czyli że co ma tam powstać, majorze? – zapytał von Marwitz.  
– Melduję, że to będzie stacja nasłuchowa.  
– Stacja nasłuchowa? A cóż to takiego?  
– Będą tam zainstalowane aparaty, które mają za zadanie słuchać tego, co mówią Polacy.  
– Jak? Wszyscy Polacy?  
Major pokręcił głową.

– Wszystkich się nie da, ale będziemy mogli dzięki tej aparaturze słuchać tych, którzy nas interesują.

– A, to ciekawe. – Ta informacja zrobiła szczególne wrażenie na dowódcy. Od razu wyobraził sobie, że będzie można podsłuchiwać to, co dzieje się w salonach towarzyskich w Posen albo nawet w Warschau. To by mogło być ciekawe doświadczenie zajrzeć do tego świata, w którym jeszcze cały czas funkcjonują jego przedwojenni znajomi, teraz mieszkający w innym kraju. – Czyli że moglibyśmy na przykład posłuchać, co dzieje się w... hmm... – zaczął się zastanawiać, jaki przykład wybrać, żeby nie wyjść na ciekawskiego podsłuchiwacza – hmm, na przykład w koszarach w Posen?

– Nie, panie oberst. Tak daleko jeszcze nasz radiowywiad nie sięga. Nie da się podsłuchiwać tego, co dzieje się za ścianami domów czy koszarowych budynków. Jednak mocno wierzę, że w miarę postępu technicznego i rozwoju radiofonii będzie to możliwe. Ale na razie będziemy słuchać tego, co Polacy nadają na falach eteru.

– Czyli polskiego radia? Przecież do tego wystarczy zwykły odbiornik. Niekiedy przełączam na fale Radia Posen. Szczególnie wieczorem koncerty z restauracji poznańskich są bardzo udane. A wszystko to robią na żywo, tak jak radio z Berlina. Szybko się od nas uczą kultury, ci Polacy. No ale do rzeczy. Więc te stacje podsłuchiwania mają powstać tu u nas i gdzieś tam jeszcze...

– Tak, wzdłuż granicy...

– Dobrze, panie majorze. Nie wchodźmy w szczegóły, bo to kwestie radiowe, a ja przecież nie jestem od radia, ale od artylerii. Radia można sobie słuchać dla przyjemności, ale

prawdziwa muzyka dla oficerskiej duszy jest wtedy, gdy zagrają działa. Tu musi się pan ze mną zgodzić.

– Tak jest, panie oberst – potwierdził z radością major Wittelbach, przekonawszy się, że Marwitz nie jest specjalnie zainteresowany jego misją i co ważniejsze, nie ma zielonego pojęcia o radionasłuchu. Dzięki temu, jeśli tylko będzie omijał go szerokim łukiem i nie będzie rzucał się w oczy, jest duża szansa, że oberst da mu spokój.

– W takim razie niech pan robi, co do pana należy, a o postępach proszę mnie informować podczas poniedziałkowych narad sztabowych. Chcę wiedzieć wszystko w najdrobniejszych szczegółach, dlatego proszę o drobiazgowo raporty pisemne. Nie musi pan niczego referować. Papier – postukał palcem w egzemplarz gazety – papier to dokument, a dokument to szczegółowa wiedza na temat wszelkich działań. Więc tylko na papierze, panie majorze.

Major potwierdził otrzymany rozkaz i wyszedł z gabinetu dowódcy. W sekretariacie czekał już na niego ordynans Marwitza, hauptmann Glück. Gdy zobaczył majora, natychmiast odłożył papierosa do popielniczki stojącej na blacie jego służbowego biurka, wstał i poprawił mundur, który wcale tego nie wymagał. Wittelbach od razu dostrzegł na bluzie, przełożoną przez guzik na piersi, czarno-białą wstążkę Żelaznego Krzyża. Oznaczało to, że ten Glück to nie żaden pierdzistołek i dekownik, ale człowiek, który, podobnie jak on podczas Wielkiej Wojny, przelewał krew. To od razu usposobiło go dobrze do ordynansa.

– I jak, panie majorze, oberst zainteresował się pańskim projektem? – zapytał z lekką nutą zaciekawienia. Musiał przejrzeć eksplikację, która przyszła z Berlina, by

zapropnować ją do czytania dowódcy, więc wiedział, że jego przełożony nie był nią szczególnie zainteresowany.

– No wie pan, mam wrażenie, że pan oberst byłby zadowolony, gdybym budował tu wieżę z armatą na dachu.

– O, tu ma pan całkowitą rację. To stary artylerzysta, który bardzo liczy na to, że jeszcze sobie postrzela. Ale na razie, jak pan wie, ograniczenia traktatowe sprawiają, że mamy do dyspozycji tylko jakieś stare graty z czasów Wielkiej Wojny. No ale pewnie to się w końcu zmieni.

– Może być pan pewny, że już niedługo – potwierdził major, który znał doskonale nastroje wśród oficerskiej kadry, a co więcej, miał też wiedzę o potajemnym odbudowywaniu Reichswehry.

– Proszę mi wierzyć, majorze, że na to wszyscy tu liczymy. No i też trzymam kciuki za powodzenie pańskiej misji. Proszę śmiało zgłaszać zapotrzebowanie na wszystko, co będzie panu potrzebne podczas tej budowy. Postaram się, żeby niczego panu nie zabrakło, czyli materiałów i ludzi przede wszystkim. Rozumiem, że z intendentem Klutschką już pan się zaznajomił?

– Tak jest. Przygotowuje dla mnie właśnie specyfikację materiałową. To znaczy sprawdza, co ma w magazynie, a co ewentualnie trzeba by dokupić...

– Dokupić, powiada pan... – Hauptmann zrobił strapioną minę. – Tu niestety dostrzegam jednakowoż pewien problem, ponieważ w pułkowej kasie nie ma pieniędzy na ekstrawydanki. To znaczy są pieniądze na bieżące kwestie, ale na budowy nowych obiektów... Tego w planach nie mieliśmy. Więc obawiam się, że będzie pan musiał zadowolnić się tym, co jest. Ale Klutschka to obrotny fachowiec, który z niejednego pieca jadł chleb.

– Finansami proszę się nie kłopotać. W tutejszym banku mam możliwość otwarcia szerokiej linii kredytowej gwarantowanej przez Berlin.

– W takim razie widzę, że pańskie zadanie to niezwykle istotna sprawa, skoro ma pan możliwość brania pieniędzy garściami.

– Bez przesady, panie kolego, nie powiedziałbym, że garściami, ale na pewno mogę sobie pozwolić na wiele, oczywiście pod warunkiem, że nie będę kupował armat czy czołgów.

Hauptmann Glück uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– Na czołgi, panie majorze, jeszcze przyjdzie czas, a jak już je będziemy posiadać, to cały świat wstrzyma oddech.

Wittelbach założył na głowę czapkę i zasalutował młodszemu stopniem koledze. Cenił ludzi, którzy tak jak on mieli zdroworozsądkowe podejście do życia, a do tego trafnie oceniali rzeczywistość.

## Poznań

Godzina 9.30 rano

– Gdzie jest szef? – zapytał porucznik Piotr Pikuła, wchodząc do kancelarii. Ubrany w popielaty letni garnitur nie wyglądał na żołnierza. Zresztą w tym budynku był nie porucznikiem, ale zastępcą prezesa do spraw handlowych Poznańskiego Zrzeszenia Kółek Rolnych i Gospodarskich. Biuro mieściło się w modernistycznej willi na poznańskim Sołaczu. Ludzie, którzy w tym budynku pracowali, niewiele mieli wiedzy na temat rolnictwa, tak jak sam prezes tych Kółek Feliks

Mikołajewski. Za to znali się doskonale na przeprowadzaniu różnych akcji wywiadowczych i kontrwywiadowczych na pograniczu. Tak jak podoficerowie Stachowiak i Zielonka. Pracowali z Mikołajewskim od samego początku, to znaczy od chwili, kiedy to wówczas jeszcze porucznik Mikołajewski przyjechał do Poznania, skierowany tu do zorganizowania wywiadu i kontrwywiadu wojskowego przy Sztabie Dowódcy Naczelnego Wojsk Powstańczych, generała Dowbor-Muśnickiego. Utworzył więc sprawnie działające biuro wywiadowcze ukryte pod przykrywką VIII Wydziału Intendentury. Dwaj podoficerowie zostali skierowani do tej Intendentury, bo oficer personalny nie bardzo wiedział, co ma z nimi zrobić. Za to oni doskonale wiedzieli, czym powinni się zająć. Błyskawicznie urządzili całe biuro, wyposażając je we wszystkie niezbędne sprzęty i zdobywając dodatkowo pieniądze na prowadzenie wywiadowczej działalności. Po zakończeniu zmagania powstańczych VIII Wydział Intendentury działał w dalszym ciągu. Jego ludzie zbierali informacje wywiadowcze na całym pograniczu, ale co najistotniejsze, także w samych Niemczech. Mikołajewski dumny był więc ze swoich osiągnięć i raportów, które sporządzane w jego biurze przez młodych, dobrze rokujących oficerów szły co kilka tygodni do Warszawy. Jego placówka działała z takim rozmachem, że stawała się za bardzo widoczna i w końcu sam Mikołajewski doszedł do wniosku, iż czas najwyższy, żeby skończyć z tą niemal jawną działalnością. A on i jego ludzie przenieśli się na Sołacz do pewnej niepozornej willi.

– To jak się tera będziem nazywać, panie poruczniku? – zapytał go wtedy sierżant Stachowiak.



– Poznańskie Zrzeszenie Kółek Rolnych i Gospodarskich – wyjaśnił Mikołajewski.

– A co to za cholera? – zdziwił się Zielonka.

– A wy, Zielonka, przecież jesteście ze wsi. Tam Kółek Rolnych nie było?

– Były, ale one to miały radę główną czy jakoś tak...

– No widzicie, a nasze mają zrzeszenie. Kółka to kółka. Rolne to rolne i tyle. Branża rolnicza.

Na twarzach obu podoficerów pojawił się uśmiech.

– Znaczy, że możemy zboże i pyry sprzedawać?

– Jak najbardziej! Handel nadgraniczny albo pograniczny. – Mikołajewski pokiwał głową. – Branża rolna ma przyszłość, panowie. Wiecie, w czym rzecz?

– Tak jest! – odpowiedzieli zgodnie, choć na temat przyszłości branży rolnej nie mieli zielonego pojęcia. Za to każdy z nich wiedział, że na różnicach cen między Polską a Niemcami można zarobić, a oni przecież nic innego nie robili od trzech lat, jak tylko kombinowali, by ich przykrywka była jak najbardziej szczelna i by nikt nie domyślił się, że kwestie ekonomiczne są tu zdominowane przez sprawy wywiadowcze. Przez kilka lat ich Kółka stały się prężną instytucją, zatrudniającą prawie dwadzieścia osób. Jakiś czas temu do zespołu dołączył były aspirant policji Pikuła, który pracował wcześniej z komisarzem Fischerem. Ktoś taki był Mikołajewskiemu potrzebny ze względu na to, że jego firma musiała współpracować z policją. Pikuła jako znający realia policyjne doskonale się do tego typu pracy nadawał. Formalnie był nadal policjantem, ale odkomenderowanym do armii, która go urlopowwała, by mógł zacząć pracę dla Mikołajewskiego.

Dwaj pracownicy biura, Stachowiak i Zielonka, podnieśli oczy znad papierów i spojrzeli na Pikułę.

– Szef jeszcze śpi u siebie na Grotgera – wyjaśnił Zielonka.

– Aha, no to zadzwońcie do niego i powiedzcie, że mam zdjęcia.

– Jakie zdjęcia? – zainteresował się Stachowiak.

– Zdjęcia obiektu spod Międzychodu. A dokładniej z drugiej strony granicy.

– O, znaczy, że nasz przemytnik zrobił dobrą robotę – ucieszył się Stachowiak, który osobiście zlecał zadanie Marianowi Grzelakowi.

– Robotę owszem – zgodził się z nim Pikuła. Tylko że nie do końca mu się wszystko powiodło.

– Czyli że jak, panie prezesie? Zrobił te zdjęcia, czy nie zrobił? – zapytał Zielonka, który jakiś czas temu zwerbował Grzelaka do pracy wywiadowczej. Pochodził bowiem z Międzychodu i w swojej rodzinnej miejscowości znał wszystkich, więc dobrze wiedział, że nikogo bardziej obrotnego i jednocześnie lepiej obeznanego z przemytniczą działalnością nawet ze świecą by się nie znalazło.

– Zdjęcia mamy. Wszystko jest tak, jak miało być z tymi fotografiami. Czyli zadanie zostało wykonane. Problem tylko w tym, że fotograf nie żyje.

– Jak? Co? – wykrzyknęli obaj kanceliści, ale Pikuła nie zdążył im niczego wyjaśnić. Do kancelarii wszedł bowiem prezes Kółek Feliks Mikołajewski.

– Coś się stało? – zapytał od progu.

– Nasz człowiek, znaczy współpracujący z nami przemytnik, się odnalazł. Tyle że martwy.

– Ten z Międzychodu? – domyślił się Mikołajewski.

– W rzeczy samej – potwierdził Pikuła.

- Kto go zabił? – pytał dalej prezes.
- Wszystko wskazuje na to, że Niemcy.
- A materiały?
- No właśnie, to jest dziwne, bo dostałem wszystko, co miał przy sobie. Więc Niemcy raczej się nie zorientowali, z czym mają do czynienia.
- Aparat fotograficzny?
- W całości. Kliszę zdążyłem wywołać i odbitki fotografii również. – Powiedziawszy to, Pikuła uniósł ku górze skórzaną, brązową torbę.
- Czyli że to być może zupełnie przypadkowa śmierć? – zapytał prezes.
- Tak to wygląda. Postrzał w brzuch. Nasi policjanci mówią, że postrzelono go podczas przechodzenia granicy, a on dowlóknął się do torów kolejowych i padł na nasypie. A worek z jego rzeczami znaleźli gdzieś tam w pobliżu. No i miał w tym worku aparat i jeszcze sacharynę. Jakieś pięć kilo...
- No to niezły kozak z niego. Za pięć kilo sacharyny dostałby... – Prezes próbował szybko obliczyć w myślach wartość przemytu, ale ubiegł go Zielonka.
- Kilo sacharyny to jakieś sto złotych, czyli że wyszłoby jakieś pięć stówek za to. – Powiedziawszy to, pokiwał głową z uznaniem. Kółka Rolne oficjalnie zajmowały się tylko legalną działalnością, ale obaj współpracownicy Mikołajewskiego nie gardzili żadnym zarobkiem. Jednak ta znajomość cen wydała się prezesowi nieco podejrzana.
- Chyba nie chcecie powiedzieć, że handlujemy sacharyną? – zapytał zdziwiony, a Zielonka i jego towarzysz natychmiast pokręcili głowami. Trochę za szybko, jak mu się zdało. Pogroził im więc palcem, a oni zrobili miny niewinnych i dodatkowo dotkniętych do głębi krzywdzącymi supozycjami.

– Pamiętajcie, że państwo zabrania używania sacharyny, bo zależy mu na sprzedaży cukru, który jest dobrem narodowym. Wiecie, że cukier krzepi, więc trzymajcie się z daleka od sacharyny, bo jak wpadniecie, to nic was nie uratuje. Zrozumiano?

Nie oczekiwał odpowiedzi, bo wiedział, że ci dwaj i tak będą robić swoje, a te wszystkie interesy przebiegały na granicy prawa. Ostrzegł ich tylko, tak na wszelki wypadek, a potem machnął ręką na Pikułę, by ten podążył za nim. Wiceprezes posłusznie ruszył za szefem. W gabinecie rozsiadł się na krześle za okrągłym stołem. Na blacie położył teczkę, odpiął klamrę i wydobyl z niej aparat, a potem kopertę z fotografiami. Natychmiast zaczął je układać jedna przy drugiej, by przedstawić efekt swojej działalności i żywy dowód skuteczności. Mikołajewski tymczasem podszedł do biurka, chwycił stojącą tam szklanę i napełnił ją wodą z syfonu. Czuł pragnienie, bo wczoraj nieco przesadził z alkoholem, który spożywał w towarzystwie Tolka Grubińskiego. Musiał więc nawilżyć wyschnięte gardło, żeby wrócić do równowagi, zanim zaaplikuje sobie właściwe lekarstwo, czyli kawę z odrobiną koniaku.

– Wczoraj żeśmy ukradli trzy wagony cementu. Wyobrażasz to sobie? – powiedział, jakby chciał się usprawiedliwić przed podwładnym.

– Jak to ukradli? – zdziwił się Pikuła.

– Ano tak, normalnie, ze stacji towarowej. Z Tolkiem Grubińskim wyekspedujemy je do Niemiec i sprzedamy niemieckiemu odbiorcy, który na gwałt potrzebuje cementu. Ten odbiorca to intendent z jednostki wojskowej w Schneidemühl. Będą coś budować, a my im dostarczymy na

budowę materiały. Dzięki temu dowiemy się, co oni tam kombinują.

– Może kolejną stację? – Pikuła postukał palcem w fotografię z Międzychodu.

– Tak przypuszczam. Piła jest na liście niemieckich stacji, które mają powstać do podsłuchiwania nas. Nie wiem jeszcze, jak bardzo są zaawansowane. Ale skoro budowy idą w najlepsze, to myślę, złamali któryś z naszych szyfrów. A to może być interesujące...

– Jak to interesujące? Trzeba by je zmienić!

– A po co? Wystarczy tylko nadawać informacje nieprzydatne i wprowadzające w błąd. Grunt, że wiemy, że oni wiedzą. A jeśli jeszcze dowiemy się, jak działają te stacje, będziemy wiedzieli, czego dokładnie słuchają.

– A jak się tego dowiemy?

– Nad tym właśnie pracujemy.

Zamknięte przed chwilą drzwi otworzyły się i do środka wszedł ubrany po cywilnemu Antoni Fischer. Pikuła poderwał się z miejsca na jego widok, ale jego były przełożony machnął tylko ręką na znak, żeby nie robił ceregieli.

– No jak tam, panowie? Jesteście gotowi na przyjazd delegacji z Niemiec? – zapytał wesołym głosem, ale wystarczyło mu tylko jedno spojrzenie, żeby zrozumieć, że jego przyjaciel Mikołajewski nie czuje się najlepiej. Trzeba było mu więc pomóc, jak najszybciej wybawiając go z kłopotu.

– Wyglądasz jak zdalasiały kociamber<sup>[23]</sup> – stwierdził Fischer, a potem wskazał na szafę do akt, w której Mikołajewski trzymał butelki z alkoholem. – Więc, jak to mówią, klin klinem leczyć należy. Nalej no po kieliszku martella, bo mam jeszcze trochę czasu, zanim berliński pociąg przyjedzie na dworzec.

## Poznań

Godzina 10.30 przed południem

Elegancko odziany młody mężczyzna, wsparty na bambusowej laseczce, wpatrywał się w grupę kilkunastu ubranych w wygodne podróżne garnitury mężczyzn. Wspomagani przez bagażowych wysiadali z wagonu pierwszej klasy. Pośpieszny berliński wjechał na peron czwarty bez najmniejszego opóźnienia i teraz z pociągu zaczął wylewać się tłum podróżnych wracających ze stołecznej metropolii, obładowanych zakupami albo przyjeżdżających na przygraniczną prowincję w poszukiwaniu wrażeń i tanich towarów. Ci w ciemnych garniturach nie wyglądali ani na jednych, ani na drugich. Nie rozglądali się ciekawie, nie pokrzykiwali, nie chodzili nerwowo, szukając wyjścia z peronu. Oni stali w niewielkich dwu-, trzyosobowych zespołach, paląc papierosy i oszczędnymi słowami, a częściej gestami, instruując bagażowych, co mają robić i gdzie znosić ich walizki. Uważnie przyglądali się wynoszonym na peron kufrom, które zgodnie z wytycznymi, odstawiano w jednym miejscu. Widać było od razu, że to jakaś zorganizowana grupa, która będzie z dworca jechała w konkretne miejsce. Nic więc dziwnego, że co chwilę podchodzili do nich dryndziarze proponujący swoje usługi. Gdy przekonywali się, że podróżni mówią po niemiecku, natychmiast przechodzili na ten język, proponując szanownym panom komfortową jazdę najlepszą bryczką w Poznaniu. Ci jednak odmawiali stanowczo, najwyraźniej czekając na jakiś zbiorowy transport tych wszystkich bagaży, które już teraz tworzyły solidną stertę

ustawioną pod ścianą z czerwonej, a właściwie bordowej ze starości cegły. Do oczekujących podchodzili też młodzi chłopcy z zawieszonymi na piersiach drewnianymi tackami, oferując rozłożone na nich tytki<sup>[24]</sup> z orzechami lub cukierkami, papierosy na sztuki i pudełka zapalek. Handlarze napojami proponowali butelki piwa, oranżady i wody mineralnej. Z napojów korzystano chętnie, bo mimo wczesnej pory czuć już było nadciągający upał, a i po podróży trzeba było czymś przepłukać gardło.

Mężczyzna z laską w dłoni w końcu ruszył ku grupie oczekujących. Wyglądał najwyżej na dwadzieścia pięć lat, bez zarostu na twarzy, w drucianych okularach, ubrany w brązowe trzewiki, jasnopopielate spodnie i lnianą, przewiewną marynarkę, z kapeluszem panamskim na głowie. Podeszedł zdecydowanym krokiem do przyjezdnych, obrzucając ich uważnym, taksującym spojrzeniem. Wreszcie w grupie dostrzegł szpakowatego mężczyznę wzrostu raczej mizernego, za to słusznej tuszy, świadczącej o dostojności i powadze jej właściciela. Gość, dojrzwawszy młodzieńca, machnął do niego, zdejmując z głowy granatową fedorę.

– Czy mam zaszczyt z panem prezesem Richardtem Böhmem? – zapytał młodzieniec. Zagadnięty grubas pokiwał głową, a potem wskazał kapeluszem w głąb peronu.

– Jakież dziwne obyczaje tu macie na tym Wschodzie. Jak to, szanowny panie...

– Johann Alfred von Vietzleben, młodszy radca Konsulatu Rzeszy Niemieckiej w Poznaniu.

– A więc, panie von Vietzleben, mówię o dziwnych obyczajach tu panujących, bo chyba przyzna pan, że gdy do tego miasta przybywa delegacja Izby Gospodarczej z Berlina, to warto by

było jakiś komitet powitalny tutaj posłać, żeby zachować protokół i w ogóle.

Młodzieniec zdjął kapelusz, przyłożył go sobie do serca, a potem lekko się skłoniwszy, chrząknął, jakby musiał przeczyścić gardło przed wygłoszeniem mowy. Richardt Böhm spojrział na niego, podobnie zresztą jak kilku dostojnych delegatów, oczekujących, że odda się im należne honory. Zawiedli się jednak srodze, bo młody człowiek ograniczył się tylko do technicznych wskazówek.

– Szanowni goście, witamy w Poznaniu. Bardzo proszę o przejście na główny plac przed dworcem. Tak znajduje się postój dorożek i taksówek. Zależnie od tego, jak sobie panowie życzą, można pojechać albo pojazdem mechanicznym, albo konnym. No chyba że ktoś woli oddać bagaż do przewiezienia, a sam miałby ochotę udać się na przechadzkę, bo Hotel Bazar jest całkiem niedaleko stąd.

– Jak to Hotel Bazar? – zdziwił się jakiś wysoki i szczupły mężczyzna o postawie kawalerzysty, którego nogi po latach codziennej jazdy przestały być proste i wygięły się w pałąk. Widać musiał mieć jakąś wiedzę na temat poznańskich realiów, bo zaraz wykazał się szczegółowym, aczkolwiek mocno nieaktualnym rozeznaniami. – Przecież najlepszym hotelem i to wybudowanym przez Niemców jest Hotel de Rome! To tu jeszcze od przedwojennych czasów gościli niemieccy przemysłowcy i politycy przyjeżdżający do miasta. Dlaczego nie zakwaterowano nas w tym hotelu? Ja stanowczo protestuję. Ten Bazar to hotel polski, gdzie zbierał się polski nacjonalistyczny żywioł. Powinniśmy, panowie, zabrać swoje bagaże i pójść do hotelu naszego, dokładnie naprzeciwko tego ich Bazaru.



– Pan wybaczy, ale nic mi nie wiadomo, aby w Poznaniu był jakiś Hotel de Rome – oświadczył von Vietzleben. – Goście, którzy do nas przyjeżdżają, zazwyczaj goszczą w Bazarze i muszę powiedzieć, że sobie go całkiem chwala.

– Hotel Rzymski jest naprzeciwko – próbował mu wytłumaczyć ten chudy kawalerzysta, ale na nic się to zdało.

– Niestety, nie znam historii tych miejsc. Przyjechałem tu zaledwie dwa lata temu i...

– I przysyłają nam na powitanie młodzieńca, który nie zna miejscowej specyfiki – podsumował Böhm.

– Nie na powitanie, szanowny prezesie. Ja mam tylko panom pomóc dotrzeć do hotelu.

– No trudno, choć godniej by było, gdyby witano nas tu odpowiednio do rangi naszej wizyty.

– Niestety, takiego powitania konsul nie przewidział. Zresztą i tak nikogo u nas nie ma, bo to czas kanikuły i konsulat pracuje tylko w sprawach nagłych. Wszyscy są na letniskach.

– No patrzcie się, panowie. – Böhm z oburzeniem malującym się na twarzy zmierzył spojrzeniem swoich towarzyszy niedoli, którzy, przejechawszy dystans z Berlina do Poznania, doczekali się takiego afrontu. Wszyscy w skupieniu kiwali głowami, dzielając jego święte oburzenie.

– Panowie, jedziemy do Hotelu de Rome! – zawołał kawalerzysta. – Do tej oazy niemczyzny!

– Jeśli panowie zamierzają spędzić noc w polskiej Księgarni Świętego Wojciecha, to to jest jak najbardziej dobry wybór – odezwał się naraz postawny mężczyzna, przypominający swoim wyglądem zapaśnika, który tylko jakimś cudownym zrzędzeniem losu wbił się w płócienną marynarkę. Ta wyglądała tak, jakby zaraz z trzaskiem miała pęknąć w szwach. Był to jednak pozór, bo marynarki komisarza

Fischera były szyte na miarę w ten sposób, by podkreślać jego atletyczną sylwetkę. Policjant zdjął z głowy swój czarny kapelusz z lekko podwiniętym rondem, przypominający kapelusze znane z kowbojskich, amerykańskich filmów, odsłaniając krótko przystrzyżone, na modłę wojskową, jasne włosy.

– Witam szanownych panów w Poznaniu – powiedział, a Böhm wyciągnął rękę i ruszył ku Fischerowi z szerokim uśmiechem malującym się na twarzy.

– Pan porucznik Anthon Fischer! Jakże się cieszę, że mogę pana po latach uściskać. Panowie, to właśnie jest pan Fischer, jeden z moich najdzielniejszych oficerów. Dwakroć odznaczony Krzyżem Żelaznym za dzielność w polu!

Przedarłszy się przez stertę waliz i paczek, podszedł do komisarza i chwycił go w ramiona, po czym złożył na jego policzkach dwa dość oszczędne, aczkolwiek szczere pocałunki.

– Naprawdę nie ma pan pojęcia, jak się cieszę, że pana widzę. Sam prosiłem o to, żeby to właśnie pan nas przyjmował. Wiem, wiem, trochę rozeszły się nasze drogi, ale cóż, czas najlepiej wpływa na takie rozejścia. Myślę, że nie żywi pan do nas wrogich uczuć, co, poruczniku?

– Ależ szanowny panie majorze, co złe minęło, a co dobre, na zawsze z nami pozostaje. Będzie mi bardzo miło móc gościć panów i sprawować pieczę nad waszym pobytem.

– A to jest pan von Vietzleben z konsulatu. – Böhm przedstawił młodego człowieka. – Proszę sobie wyobrazić, że przysłano go tu, żeby nam pomógł w...

– W dotarciu do hotelu – stwierdził dyplomata. – Bardzo się cieszę, że mogę pana poznać, komisarzu. Wiele dobrego o panu słyszałem. Zwłaszcza w sprawie zaginięcia naszego wicekonsula. Niefortunny wypadek.

– Tak, to prawda, słusznie pan to ujął – zgodził się z nim Fischer, który kilka miesięcy temu nadzorował śledztwo dotyczące zaginięcia niemieckiego dyplomaty. Ta historia mogła doprowadzić do międzynarodowego skandalu. Na szczęście Fischerowi udało się szybko znaleźć tych, którzy winni byli zaginięcia i śmierci wicekonsula von Pieskowa, i udowodnić, że nie stały za tym żadne polskie siły[25].

– W konsulacie mówi się, że pańską zasługą jest niedopuszczenie do poważnych konsekwencji dyplomatycznych – stwierdził z uznaniem von Vietzleben.

– Nie ma co wracać do starych spraw. Cieszymy się tym, co jest dzisiaj – zaproponował Fischer, a wśród stojących na peronie delegatów rozległ się pomruk aprobaty. – W takim razie zapraszam na postój dorożek i taksówek. – Wskazał palcem za siebie, tam gdzie kończył się dworcowy budynek i widać było szeroką przestrzeń dworcowego placu. – I oczywiście Hotel Bazar, panowie, to bardzo dobry wybór, więc nie będziecie rozczarowani.

– A co z naszym niemieckim hotelem? – zapytał kawalerzysta.

– Nic, stoi, jak stał, tyle że jako własność niemiecka został przez polskie władze skonfiskowany i przekazany Towarzystwu Świętego Wojciecha na potrzeby religijne. To wydawnictwo i drukarnia bardzo zasłużone dla sprawy polskiej.

Kawalerzysta zaklął pod nosem, a Fischer wzruszył ramionami. Jako człowiek praktyczny wolałby, żeby budynek hotelu, wybudowany na potrzeby hotelarskie, zachował swoją funkcję, a katolickie wydawnictwo z powodzeniem mogło przecież drukować swoje pisma w którymś z licznych poznańskich kościołów. Ale w końcu to nie była jego sprawa.

## Poznań

Godzina 11.10 przed południem

– Panie szanowny, daj pan jeszcze dwa piwa – poprosił Tolek Grubiński chudego barmana, wskazując na siebie i niezbyt rosnącego kolejarza, któremu czarny mundur dodawał powagi, a co za tym idzie respektu w otoczeniu. Edmund Feliksiak, człowiek o twarzy indyka, ze zwisającym drugim podbródkiem, właściciel knajpy U Okonia, nieśpiesznie udał się do kranu z piwem. Napełnił powoli najpierw jeden, potem drugi kufel i z naczyniami podszedł do stolika. Tolek kiwnął tylko głową, a Feliksiak dobrze rozumiał, że nie powinien się odzywać, widząc swojego gościa obgadującego interesy. O tym, że to była sprawa, która się właśnie załatwiała, wiedział doskonale, bo Grubiński rozmawiał z nieznajomym, popijając piwo. Gdy przyklepią wspólny interes, zaordynuje wódkę i zagryzkę w postaci kotleta na zimno albo galartu, w zależności od dzisiejszego apetytu. Jeśli nie dojdą do porozumienia, to skończy się na piwie, facet pójdzie do domu, a Tolek wróci do stolika, przy którym siedzą jego ludzie, bracia Leon i Walek Kaźmierczakowie, czyli najbliżsi wspólnicy w złodziejskich sprawkach. Oni towarzyszyli mu we wszystkich włamaniach i kradzieżach, które organizował. Bo to Grubiński był mózgiem całego tego złodziejskiego interesu, który dzięki stałej współpracy z policją i od pewnego czasu także z wywiadem prosperował nadzwyczaj dobrze.

Ci dwaj siedzieli w przeciwnym kącie sali i sączyli piwo, popalając przy tym papierosy. Byli czujni i cały czas ukradkiem obserwowali swojego szefa, żeby w razie jakiegoś

zagrożenia ruszyć Grubińskiemu z pomocą. Ale wszystko wydawało się w porządku, bo mężczyzna w kolejarskim mundurze nie wyglądał na szemranego gościa, ale raczej na zielonego, który zrobi taki interes, na jaki Tolek mu pozwoli.

– To teraz kolejną będzieta jeździć? – zagadnął Kaźmierczaków Feliksiak. Spojrzeli na niego zdziwieni. Bo niby skąd mieli wiedzieć? Ani jeden, ani drugi nie zajmowali się strategią ich przyszłych działań. To była robota Tolka, ale często też i Feliksiaka. Bo to on był nieformalnym członkiem ich bandy, człowiekiem odbierającym od ludzi zlecenia, segregującym je i odrzucającym te trefne albo nazbyt ryzykowne. Te najciekawsze i najpewniejsze przynosił do Tolka. Potem razem omawiali sposób rozpracowania zlecenia i podział zysków. Wypłatę dostawał zlecający, najczęściej właściciel jakiegoś sklepu czy mieszkania, który chciał otrzymać odszkodowanie z firmy ubezpieczeniowej, albo ktoś z domowej służby, kto zamierzał się odegrać na swoich pracodawcach. Prócz tego procent inkasował Feliksiak, a resztę pieniędzy dzielili się po równo, jednak Kaźmierczaki ze swojej równej części musieli opłacić się szefowi, żeby było jasne, kto dowodzi i dzięki komu mają na chleb. Obaj bracia do chwili, gdy Tolek nie przekazał im informacji na temat przyszłego zadania, nie mieli pojęcia o robocie. No ale głupio tak było temu Feliksiakowi powiedzieć, żeby się odczepił, zwłaszcza że pili u niego ze specjalną zniżką, jaką dawał tylko swoim współpracownikom.

– Jak Tolek każe, to ja mogę być nawet maszynistą – zażartował Leon.

– Ty to co najwyżej się nadajesz na palacza, bo szypą[26] ino umiesz robić. Ale maszyny bym ci w ręce nie oddał, bo zaraz zepsujesz. – Walek, który jako że był o dwa lata starszy od

brata, mógł sobie pozwolić na takie niewinne docinki, zaśmiał się.

– Uważaj, żebyś tą szypą nie dostał w kalafę[27] – rzucił Leon, zaciskając pięść.

– Jak chcecie się łać, to idźta se na ulice, tam na placu pod kościołem jest miejsce na mordobicie. Ale tu jest porządna gospoda – wyjaśnił Feliksiak, szczególnie akcentując słowo „porządna”, które kłóciło się nieco z obrazem zadymionego wnętrza, w którym przy kilkunastu stolikach siedziało może z pięćdziesięciu degustatorów trunków, z rzadka tylko spożywających jakieś wykwiłtne danie, takie jak mielony czy śledź. Samo picie wychodziło taniej i było zdrowsze, mówili pijacy. Ich zdaniem, jak się człowiek nafutruje i potem napije na pełny żołądek, to wynikają z tego same straty. Raz, że się wolniej upija, a po drugie, całe żarcie i tak pójdzie na zmarnowanie, jeśli po wypiciu trzeba będzie się wyrzygać. Tak więc picie bez jedzenia było najbardziej popularną formą rozrywki w barze U Okonia, choć, na szczęście dla właściciela tego przybytku, bywali jednak tacy jak Tolek, którzy potrafili docenić urok alkoholu zagryzanego dobrą i przede wszystkim świeżą zakąską.

Grubiński właśnie podniósł dłoń i strzelił dwa razy palcami. Feliksiak od razu zrozumiał, w czym rzecz, i pośpieszył do baru. Zrozumieli to też Kaźmierczakowie. Dopili piwo do końca i podeszli do stolika, przy którym Tolek siedział z kolejarzem.

– A to są właśnie moi kuzyni, Walek i Leon. – Wskazał braci, a oni skinęli głowami na potwierdzenie. Obaj sprawiali wrażenie mężczyzn eleganckich i zadbanych, bo spodnie nosili na szelkach, a mimo to spinali je jeszcze na brzuchu skórzanymi paskami. Ubrani byli w białe koszule bez kołnierzyków, a na nie zakładali kamizelki z poślizgiem. Ich

westki bowiem miały ten jedyny w swoim rodzaju lekki blask, który brał się z tego, że przednie poły wykładane były połyskliwą bawełną o niezwyklej świetlistości i głębi kolorystycznej. Leon nosił westkę butelkowozieloną, a Walek znacznie stateczniejszą, czarną. Prawie jak na komendę zdjęli z głów kraciaste lujówki i położyli je na blacie, siadając po obu stronach stołu.

– Bardzo jest mi oczywiście miło – powiedział kolejarz, ocierając czoło kraciastą chusteczką. Widać, że nie przywykł do przebywania w takich miejscach. Ale jako maszynista musiał przecież być przyzwyczajony do wysokich temperatur, tymczasem tutaj było duszno i gorąco, ale nie na tyle, by się pocić. A to mogło oznaczać jedno, myślał Tolek, obserwując swojego rozmówcę. Ten facet najwyraźniej się bał. Tyle że nie miał innego wyjścia i musiał go wtajemniczyć w sprawę, żeby nie robił kłopotów. Lepiej było mieć maszynistę po swojej stronie i do tego dobrze opłaconego, niż gościa, który nic nie wiedział i przypadkowo odkrył, że jego pociąg powiększył się o trzy wagony.

– Pan maszynista Tokarek wykazał się dużą roztropnością, moi panowie, w związku z tym będziemy mogli skorzystać z jego pomocy – zaczął wyjaśniać Grubiński, ale zaraz przerwał, bo do stołu podszedł Feliksiak, trzymając w dłoni dwie flaszki czystej z czerwoną nalepką, czyli z wytwórni Kantorowicza przy Grochowych Łąkach. W drugiej ręce miał platerową tacę, na której poukładał równo w wieniec plastry szynki, grube kawałki kiełbasy polskiej i krojone na pół kotlety siekane. Wewnątrz tego kręgu leżały jajka w majonezie i krojone wzdłuż kiszzone ogórki.

– O! – powiedział na widok tych specjałów kolejarz, bo dawno nie widział na jednym talerzu takiego bogactwa. Tolek

uśmiechnął się na widok miny swojego gościa. Lubił zadawać szyku i robić wrażenie na tych, z którymi musiał współpracować i w jakiś sposób był zależny od ich pracy. W tym wypadku kolejarz w jego planie pełnił dość ważną funkcję. Bez niego przedsięwzięcie mogło się nie powieść, a jemu za bardzo zależało na tym interesie.

– No to, panowie, za powodzenie naszych planów! – Tolek wznosił kieliszek, Kaźmierczakowie natychmiast zrobili to samo, choć jeszcze nie wiedzieli, jakie to plany, ale to akurat najmniej ich obchodziło. Robili, co do nich należało, bo taką mieli pracę. A że dodatkowo jeszcze nie musieli się w tej robocie specjalnie przemęczać, nie trzeba było wstawać rano i można było pić do nocy, to czegoż mogli więcej chcieć od życia.

– Czy aby się wszystko powiedzie? – zapytał bojaźliwym głosem kolejarz Tokarek i rozejrzał się dookoła, jakby ktoś ich mógł podsłuchać. Ale nie było takiej możliwości. Stolik, przy którym siadywał Tolek, stał zaraz przy wyjściu z lokalu, ze względów praktycznych, gdyby trzeba było się szybko ewakuować, a poza tym najbliższy stół był oddalony od tego, przy którym siedzieli, o dobre trzy metry. Rozmowa prowadzona półgłosem nie miała więc szansy trafić do niewłaściwego ucha, bo tonęła w ogólnym gwarze knajpy.

– Pan się nie bój o powodzenie – wyjaśnił jeszcze raz Tolek. – Wszystkie listy przewozowe są oryginalne i wystawione na dworcu Poznań Główny. Kwity zakupu są oryginalne.

– To czemu pan nie wyślesz tych wagonów normalnie, przez dworcową ekspedycję?

– Szanowny panie Tokarek, jak ja bym chciał wysłać te wagony normalnie, tobyś pan nie zarobił ani grosza. Ale ja panu daję zarobić dzisiaj, w ciągu jednego kursu, sto



pięćdziesiąt złotych. No to czy pan nie widzisz, że to jest złoty interes dla pana?

– No jest! – przyznał kolejarz.

– No to w takim razie nic się pan nie martw, bo ani niemieccy, ani polscy celnicy nie będą specjalnie zainteresowani, żeby sprawdzać pana pociąg.

– Jak to?

– Cud, panie kolejarz, prawdziwy cud. A jak wiadomo, w naszym kraju cuda się zdarzają częściej niż gdzie indziej.

Kolejarz pokiwał głową, nakładając sobie na talerz szynkę, kiełbasę i kilka jajek. Z tymi cudami, musiał przyznać, było coś na rzeczy. Jeszcze wczoraj modlił się do Najświętszej Paniienki, żeby pozwoliła mu spłacić dług w wysokości stu złotych, zaciągnięty rok temu na zakup mebli do nowego mieszkania. Modląc się, nie bardzo jednak wierzył w nadprzyrodzoną pomoc, aż tu nagle przychodzi do niego jakiś człowiek i mówi, że ma do zarobienia grube pieniądze pod warunkiem, że nie jest strachliwy. No to powiedział, że nie jest, i naraz okazało się, że musi tylko przewieźć dodatkowo trzy wagony do Niemiec za sto pięćdziesiąt złotych. I jak tu nie wierzyć w cuda? Spłaci długi, a te pięćdziesiąt złotych ekstra podaruje na kościół, w którym się modlił o cud. Niech Najświętsza Paniienka wie, że ma swój honor.

## Poznań

Godzina 12.05 po południu

Dwa koziołki zderzyły się po raz ostatni rogowymi głowami, by po chwili wjechać do swojej stajenki na ratuszowej wieży. Gdy

drzwi się za nimi zamknęły, ludzie, którzy obserwowali to widowisko z dołu, zaczęli powoli się rozchodzić. Nic ciekawego już nie miało się wydarzyć, a jeśli ktoś chciałby obejrzeć ten pojedynek mechanicznych kozłów jeszcze raz, musiał odczekać dwadzieścia cztery godziny.

W grupie widzów tej codziennej atrakcji Poznania stał przewodniczący niemieckiej delegacji handlowo-przemysłowej Richardt Böhm i jego przewodnik Antoni Fischer.

Gdy delegacja przyjechała do Hotelu Bazar, jej przewodniczący poprosił Fischera o dotrzymanie mu towarzystwa podczas krótkiego spaceru po okolicy. Policjant nie mógł odmówić. Wprawdzie ich wspólna wycieczka przewidziana była w planie dopiero na jutro, jednak Antoni poczuwał się w pewien sposób do odpowiedzialności za powierzonych mu ludzi. Zabrał Böhma na Stary Rynek, tym bardziej że dochodziło południe, a więc miał odbyć się pokaz z koziołkami w roli głównej, a była to niewątpliwie jedna z największych atrakcji miasta.

– Poznańskie koziołki trykają się tylko raz na dobę. – Komisarz Fischer wskazał dłonią drzwiczki u szczytu ratuszowej wieży, a Böhm pokiwał z uznaniem głową. – Mieszkańcy Poznania tak się do tego widoku przyzwyczaili, że nie potrafią sobie wyobrazić, by hejnałowi wygrywanemu codziennie przez strażaka trębacza nie towarzyszył ten kozi pojedynek – ciągnął dalej gospodarz. – Mało kto jednak pamięta, że stosunkowo niedawno, bo rok przed wybuchem Wielkiej Wojny, koziołki pojawiły się przed oczami zdumionych mieszkańców po raz pierwszy od dwustu trzydziestu ośmiu lat. W siedemnastym wieku w tę wieżę uderzył piorun, który nieco ją nadwyreżył, a dla mechanizmu zegarowego okazał się

zabójczy. Zegar stanął na dobre, a kozły zostały uwięzione w swojej stajence.

– A dlaczegoż tak długo nie naprawiano tego cudu techniki?  
– zapytał Böhm.

– Zawsze w mieście były ważniejsze wydatki niż zegar i koziołki. W końcu jednak zabrano się za tę naprawę, a mechanizm właściwie zbudowano od nowa. Bo ten, który powstał w szesnastym wieku w warsztacie zegarmistrza Bartłomieja Wolfa z Guben, do niczego się już nie nadawał. Ale na szczęście w Poznaniu mamy dobrych rzemieślników, którzy poradzili sobie z tym wyzwaniem.

– Powiedział pan „Wolfa”? – ucieszył się Böhm. – To znaczy, że wilk nie pożarł kozłów, ale dał im życie wieczne. Bo gdyby nie ten piorun...

– W rzeczy samej, to pierwszy w historii przypadek, że wilk spłodził kozły. – Fischer zaśmiał się głośno, aż kwiaciarka sprzedająca bukiety u stóp pręgiarza spojrzała na niego zdziwiona, zastanawiając się przez chwilę, czy aby ten wesolek nie zamierza kupować u niej świeżych róż, bo kto wie, być może właśnie się oświadczył? Ale widząc obok niego drugiego mężczyznę, szybko straciła zainteresowanie, fachowo oceniając, że tym dwóm raczej żadnego bukietu się nie sprzeda. Na nich co najwyżej zarobi dziś jakiś restaurator podający dobre, zimne piwo, bo jak wiadomo, na upały jest najlepsze, gdyż jak żaden inny napój gasi pragnienie. Dlatego sięgnęła do wiadra, gdzie trzymała zanurzone w wodzie kwiaty, i wyciągnęła chłodzącą się tam butelkę grodziskiego. Sprawnie otworzyła flaszkę, zdejmując porcelanowy kapsel, i wypła spory łyk.

Fischerowi przyszło do głowy, że i jemu przydałaby się butelczyna czegoś zimnego. Rozejrzał się wokół, szukając

odpowiedniego przybytku. Na Starym Rynku było przecież kilkanaście lokali gastronomicznych serwujących chłodne napoje. Musiał jednak dokonać odpowiedniego wyboru, żeby nie wprowadzić swojego gościa do jakiejś speluny.

– Ale ciekawe jest to, drogi kapitanie... – Niemiec z niezrozumiałych dla Fischera powodów wolał go tytułować stopniem wojskowym niż policyjną rangą. Komisarz nie miał nic przeciwko temu. W końcu stopnia kapitana dosłużył się na froncie polsko-bolszewickim, a nie siedząc za biurkiem. Był to więc powód do prawdziwej dumy. – Ciekawe, że ten mechanizm z kozami skonstruował Niemiec. Nie uważa pan?

– Niczego dziwnego w tym nie dostrzegam – odparł Fischer, nie wyczuwając jeszcze, o co chodzi gościowi. Wysunął rękę w przód, wskazując delikatnie kierunek, w którym powinni podążać. Böhm ruszył, a komisarz natychmiast się z nim zrównał.

– No jak to, drogi panie kapitanie, przecież to oczywiste, że to my Niemcy przynieśliśmy wyższą kulturę na te tereny. Słowiańszczyzna zawsze była dzika i stepowa. W końcu Słowianie przywędrowali tu zapewne z Uralu, a może nawet z Syberii. A my tu byliśmy tu zawsze. Za czasów Cesarstwa Rzymskiego już radziliśmy sobie nieźle, tworząc swoją własną kulturę.

– Ha, gdyby nie Rzymianie, to nasza kultura niemiecka byłaby dalej kulturą plemienną, podobnie jak te słowiańskie – stwierdził Fischer.

– To prawda – zgodził się z nim Niemiec. – Podstawą jest zjawisko dyfuzji kulturowej, czyli wytwarzania się na styku dwóch kultur tej trzeciej, która z dwóch składowych wybiera najlepsze elementy. To jak dobra grochówka. Można jeść świetną kiełbasę albo gotowany groch. Ale jeśli się je połączy

ze sobą, dodając jeszcze kilka innych ingrediencji, otrzymujemy efekt w postaci grochówki, czyli królowej wszystkich zup! I mamy właśnie przepis na mieszanie się kultur. A z tą polską było podobnie. Od nas otrzymywała ten wkład w postaci kiełbasy, przypraw, bo sama oferowała tylko groch i wodę. Ale najważniejsze, że do ugotowania tego wszystkiego zrobiliśmy rzecz najważniejszą, daliśmy kocioł. To właśnie jest niemiecka kultura, drogi panie.

– Być może ma pan rację. – Fischer pokiwał głową. – Ale to naród, do którego należę. – Tu wskazał ręką rząd wozów wypełnionych płodami rolnymi, z których chłopci sprzedawali swoje towary mieszkańcom miasta, tłum ludzi kupujących i sprzedających, oglądających i szukających okazji, próbujących, pakujących i dobijających targu. – Ten polski żywioł dał swoją determinację i umiejętność sprawnego mieszania w tym niemieckim kotle. Tu, drogi panie, jest pogranicze. Niemcy z Polakami mieszkają od setek lat i każdy z tych narodowych żywiołów daje coś od siebie, w ten sposób tworząc jednolity organizm, który co i raz próbują dla swoich korzyści rozbijać na drobne części politycy, przeciwstawiając jednych drugim.

– A pan, drogi kapitanie, jest chyba...

– Jestem najlepszym przykładem na to, że pewnych elementów, które się zrosły, rozdzielić się nie da – wszedł mu w słowo Fischer. – Ja jestem, jak ten poznański żywioł, Polakiem i Niemcem jednocześnie, który na to, że ulepiono go z dwóch glin, nie miał żadnego wpływu i nie miał możliwości dokonywania jakiegokolwiek wyboru. Więc z niemieckością przodków w polskim sercu żyć muszę, ale nie jest mi z nią źle. Bo my tu wszyscy, drogi panie, jesteśmy jak kundle, w których

płynie krew różnych ras, ale właśnie dlatego jesteśmy lepiej przygotowani do walki o swoje niż psy o czystej rasowo krwi.

Minęli targowisko ciągnące się wzdłuż podcieni starego ratusza i skręcili w bramę wiodącą w wąską uliczkę Kurza Noga.

– Może nie jest to najbardziej wykwintne miejsce w Poznaniu, ale mówił pan tak obrazowo o grochówce, że od razu wyobraziłem sobie ten niemiecki kocioł i zapach zupy przyplłynął nie wiadomo skąd. A tak się szczęśliwie składa, że tu, przy tej wąskiej uliczce, w restauracji pana Szymańskiego podają najlepszą grochówkę w Poznaniu. Co pan na to?

Richardt Böhm z uznaniem pokiwał głową.

– A wie pan, że o tym samym pomyślałem, gdyśmy sobie gawędzili o tych naszych sprawach narodowych. A tak nawiasem mówiąc, moim zdaniem naród to wyzwanie, ale i obowiązek.

– Całkowicie się z panem zgadzam – potwierdził Fischer, otwierając drzwi restauracji i puszczając gościa przodem.

– Czyli kwestie patriotyzmu postrzegamy podobnie – ucieszył się Böhm.

– Jak najbardziej. – Fischer przytaknął.

– Witam szanownych panów, czym mogę służyć? – zapytał kelner po niemiecku, słysząc, że wchodzący goście rozmawiają w tym języku.

– Stolik dla nas dwóch, dwa zimne piwa i dwie miski słynnej grochówki Szymańskiego.

– Jak najbardziej, proszę za mną. – Kelner ruszył przodem, a obaj goście podążyli za nim. Po chwili zasiedli przy kwadratowym stole przykrytym białym obrusem w zielone pasy. Wewnątrz panował przyjemny chłód, który restauracja

zawdzięczała starym, grubym murom i zapobiegliwości obsługi, przezornie zasłaniającej okna kotarami.

– Można się tu poczuć jak u siebie, drogi panie Anthonie – oznajmił zadowolony Niemiec. – Ludzie mówią tu niemieckim językiem bez żadnych obcych akcentów, a i grochówka, mam nadzieję, będzie konkurować z najlepszymi berlińskimi. Zakładam, że i piwo macie tu dobre.

– Najlepsze – odparł Fischer z pełnym przekonaniem.

– To może ta polska rewolucja nacjonalistyczna, która oderwała to piękne miasto od Rzeszy, to była pomyłka?

– Być może... – Komisarz nie dokończył, bo kelner podszedł do stolika i postawił na blacie dwa solidne kufle wypełnione bursztynowym płynem z grubym kożuchem piany. Spragnieni natychmiast chwycili za szklane ucha i podnieśli naczynia do ust. Mówi się, że pierwszy łyk zimnego piwa w upalny dzień jest jak kąpiel w górskim strumieniu, więc obaj poczuli prawdziwą rozkosz.

[21] *Oberst* (niem.) – pułkownik.

[22] *Stettin* – niemiecka nazwa Szczecina.

[23] *Zdalasiały kociamber* (gwar.) – wynędzniały kot.

[24] *Tytka* (gwar.) – papierowa torebka.

[25] Więcej o tym w powieści *Śmierci ulotny woal*.

[26] *Szypa* (gwar.) – szufla.

[27] *Kalafa* (gwar.) – twarz, gęba.





# Rozdział V

## Poznań

Godzina 1.10 po południu

– Ja nic nie wiem, panie policjancie.

– Jak to nic nie wiesz? – zdziwił się wywiadowca Olkiewicz. – Przecież ja wiem, że ty wszystko wiesz, Cholewiak. Ja nawet ci więcej powiem. Ty wiesz wszystko, a nawet jeszcze więcej, i dlatego ja ci powiem, żebyś ty szanował mój czas i nie wprowadzał w błąd policji, bo za to można pójść do paki na dłużej.

– Kiedy jak naprawdę nic nie wiem.

– To powiedz no mi o tym, o czym ty nie wiesz, Cholewiak.

– Ja o niczym nie wiem.

– Bardzo dobrze, to ty opowiadaj, jak nic nie wiesz, a my sobie tu z panem aspirantem chętnie posłuchamy.

Zatrzymany od wczoraj Cholewiak, bezrobotny stolarz, spojrzał zagubionym wzrokiem na przesłuchującego go niewysokiego, nieco łysiejącego mężczyznę w średnim wieku, którego okrągłą twarz przystrajał wypomadowany czarny wąs, równo przycięty i kończący się wraz z linią ust. Olkiewicz, jak na wywiadowcę przystało, ubrany był w szarą, nierzucającą się w oczy marynarkę, nieco spłowiałą czarną kamizelkę i białą koszulę z dopinanym, krochmalonym kołnierzykiem,

który spięty był popielatym krawatem na gumce. Przodownik siedział za starym odrapanym biurkiem, z ustawioną na nim lampą na pałaku, którą w razie czego można było zaświecić przesłuchiwanemu w oczy. W wypadku Cholewiaka nie było to konieczne, bo ten wydawał się łatwym przeciwnikiem dla tak doświadczonego śledczego. On już niejednego przestępcę złamał podczas przesłuchania, używając metod perswazji psychologicznej i siłowej. Na tego niepotrzebna była psychologia. Przodownik wiedział, że po nocy spędzonej w celi za chwilę opowie mu wszystko, co tylko będzie chciał wiedzieć. Trzeba go tylko jeszcze podejść i zaatakować znienacka siłą argumentów.

– A pan aspirat to myśli sobie, że pogoda jest dzisiaj ładna? – Olkiewicz zagadnął do Oskierki, który rozpostarł na blacie poranne wydanie „Kuriera Poznańskiego”.

– Jak dla mnie, to mogłoby być zdecydowanie zimniej. Lubię chłód i rześki wiatr. Jak tak powieje w twarz, to zaraz mi się przypomina, jak pędziliśmy za bolszewikami i rąbaliśmy ich szablami, a ci, wyjąc jak tatarska dzicz, spadali z koni.

– Pamiętam tą bandę oberwańców – przypomniał sobie Olkiewicz, który też brał udział w wojnie bolszewickiej. Po zakończeniu walk powstańczych wraz ze swoim pułkiem został załadowany do wojskowych eszelonów i wysłany na wschód. Szczęśliwie, wyszedłszy z tych zmagania bez szwanku, dotrwał do końca, czyli tego niefortunnego pokoju w Rydze, który oddawał bolszewikom wszystko, co chcieli, i nawet jeszcze więcej. Jak mówili sami żołnierze, którzy musieli wycofać się z zajętych linii i oddać kawał polskiej ziemi Rosji, po raz pierwszy w historii zwycięzca zgina kark przed przegranym i zamiast go dobić, godzi się na wszystko, czego ten przegrany żąda.

Ale wtedy Olkiewicz chciał tylko spokoju i jakiejś dobrej pracy, żeby móc zarobić na rodzinę. I praca znalazła go sama. W koszarach, jeszcze przed demobilizacją, pojawił się oficer w granatowym mundurze, jakiego jeszcze Anastazy nie widział. Podoficerów zgoniono do świetlicy, usadzono na ławach i kazano czekać. W końcu po kwadransie wszedł do pomieszczenia ich dowódca, kapitan Fischer i ten mężczyzna ubrany na granatowo.

– To jest pan podkomisarz Walczewski z Warszawy, który wam opowie o Policji Państwowej i możliwościach, jakie ta służba otwiera przed ludźmi dobrze przygotowanymi do pracy dla utrzymania porządku. A wy, jako że jesteście ostrzelani, ale i dobrze wyszkoleni, możecie się nadać, więc słuchajcie uważnie, bo policja potrzebuje dobrych fachowców. A od siebie wam powiem, że jeszcze podczas powstania ja sam byłem odkomenderowany do tworzenia policji w Poznaniu. Ale jak wojna na wschodzie się zaczęła, to policyjny mundur schowałem do szafy i znów założyłem wojskowy. I tyle wam jeszcze powiem, że ten policyjny na mnie czeka i zaraz po zakończeniu służby wracam do policyjnej roboty. No to co, panie podkomisarzu, niech pan im powie, czy się mogą do czegoś nadać. A ci, którzy się zgłoszą, niech się wpisują na listę, co ją sporządzi sierżant Olkiewicz. Tych zaraz będziemy kierować do cywila i od razu do służby w policji zwalniać ekstraordinaryjnie.

No i po wysłuchaniu wykładu podkomisarza Walczewskiego o możliwościach pracy, awansu i zarobkach, może niezbyt wielkich, ale pewnych, bo państwowych, Olkiewicz wpisał się na listę pod numerem pierwszym. Oprócz niego jeszcze ze trzydziestu podoficerów poszło od razu do służby. Problem był

tylko taki, że żaden z nich nie mógł liczyć na posadę w Poznaniu czy Wielkopolsce. Kadry policyjne potrzebne były w centralnej i wschodniej Polsce, a w Poznańskim weteranów chętnych do służby było aż za wielu.

Kilka dni później Anastazy Olkiewicz obejmował posterunek w niewielkim Majdanie Sopockim niedaleko Tomaszowa Lubelskiego. Po czterech latach pracy na prowincji udało mu się w końcu przenieść do Poznania, gdzie trafił do pracy u swojego frontowego dowódcy Antoniego Fischera.

– A tych bolszewickich sukinsynów to można lać niezależnie od pogody tak samo – stwierdził Olkiewicz, uśmiechając się pod wąsem. – Najważniejsze, żeby na zimno mieć coś, co człowieka od środka rozgrzeje, i już można na warcie stać albo w okopie walić do nacierającego wroga.

– Prawda – zgodził się z nim Oskierko i naraz jego spojrzenie padło na artykuł w gazecie, który sprawił, że na twarzy oficera wykwitł szeroki uśmiech. – O, patrzcie się, ludzie, co to się tu porobiło! – rzucił z przejęciem.

– Że niby co? – zapytał wywiadowca.

– Ano tyle, że jesteśmy już mocarstwem morskim.

– Czyli że oddadzą nam wreszcie dawne niemieckie kolonie?  
– domyślił się Anastazy, bo słyszał jakiś czas temu, że Polsce należą się dominia niemieckie, które po wojnie zajęli Anglicy i Francuzi. On chętnie by taką kolonie przyjął, zwłaszcza że w tych tropikalnych krajach wyrabiano cygara i rum, więc dlaczego by nie mieć takich zamorskich prowincji. Jednak Oskierko pokręcił głową na znak, że sprawy mają się inaczej.

– Słuchaj pan, co tu piszą. – Dotknął palcem artykułu.

*W niedzielę 2 sierpnia odbędzie się w Cherbourgu uroczystość podniesienia polskiej bandery wojennej na pierwszej naszej łodzi podwodnej „Ryś”, która została zbudowana we Francji i przekazana polskiej marynarce wojennej. „Ryś”, którego dowódcą jest kapitan Edward Szystowski, przybędzie w połowie sierpnia do Gdyni wraz z drugą łodzią podwodną „Wilk” i obejmie służbę na Bałtyku. Podniesienie bandery na „Wilku” nie zostało jeszcze ustalone, ale nastąpi w jakieś dziesięć dni.*

– I co pan na to? – Podekscytowany aspirant spojrział na podoficera znad gazety.

– Znałem jednego gościa, co służył na u-boocie, ale już go nie znam – przypomniał sobie Olkiewicz. – Bo jego okręt przepadł bez wieści i chłop nawet nie ma swojego grobu. Ja tam bym za nic nie dał się zamknąć w takiej żelaznej puszcze. A ten tu Cholewiak – popatrzył groźnie na aresztanta – dał się zamknąć w sraczu, jak ten mój znajomek w tej podwodnej trumnie.

Zatrzymany uniósł spojrzenie, wcześniej wbite w podłogę, a potem wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że może zacząć współpracować, bo jest mu wszystko obojętne.

– No gadaj, człowieku, bo ja tu nie zamierzam cały dzień spędzić w oczekiwaniu na twoje opowieści! – ponaglił go Oskierko.

– Bo to było tak, że miałem sraczkę w nocy. No to polazłem do kibla i skręciłem se ćmika, a potem to już siedziałem i wtedy zobaczyłem przez szparę, że do wychodka obok ktoś włązi. Alem nie widział, kto to był. Ino słyszałem, jak ten ktoś tam włązi, potem podnosi całe siedzisko i wrzuca coś do środka, a potem se już poszedł i tyłem go widział.

– A która to mogła być godzina? – zainteresował się aspirant.

– No bo ja wiem, ale było widno, to pewnie po szóstej, ale tak dokładnie to nie wiem, bo ja to zegarka nie mam.

– I co dalej? – ponaglił go Olkiewicz.

– No to wyszłem ze swojego wychodka i poszłem zobaczyć, co on tam wrzucił. Bo że wrzucił, to wiedziałem, bo aż chlupnęło.

No i ja się patrzę do środka, a tam na mnie patrzy gęba Najświętszej Paniienki. No to aż się przeżegnałem, bo to strach tak w święty obraz patrzeć, co w gównie leży. I poleciałem zaraz do śmietnika po jakąś deskę i tą deską wyciągnęłam obraz, a potem to poszłem zaraz go myć pod kran. No i wtedy te dwie cholery się napatoczyły i dalej na mnie, że obraz ukradłem. A ja gdziebym miał kraść, jak ja ten obraz uratowałem, bo jakby tam kto inny wszedł i zaczął co robić, toby obraz utonął w gównie całkowicie, tak że moja zasługa jest, że on jest uratowany. Ale one nie chciały słuchać, obskoczyły mnie i wepchnęły do kibla, a obraz zabrały. No i jeszcze ten cieć zamknął mnie na kłódkę. I to pod Bogiem wszystko.

– A czemuś nie poczekał grzecznie, aż policja cię z kibla wyciągnie? – zadał mu podchwytliwe pytanie Olkiewicz.

– A co, miałem się dać aresztować za niewinność?

Wywiadowca pokiwał głową. Cholewiak miał rację. Uciekł, żeby nie trafić do aresztu, ale i tak trafił na Olkiewicza, który takich jak ten tu łachudrów wsadzał bez litości.

– Czyli nie widzieliście, kto to był? – zapytał Oskierko.

– Nie, bo nie widziałem onego – stwierdził Cholewiak. – Ino że go słyszałem, jak kaszle. Bo on tak kaszle, bo ma suchoty.

– Kto? – Olkiewicz spojrzał uważnie na Cholewiaka. – Kto ma suchoty?

– No ten, co wrzucał obraz do sracza. On ciągle tak kaszle.

– To wiecie, kto to był? – Oskierko najwyraźniej był zdumiony.

– No przecie powiadam, że go nie widział, ale słyszał ten kaszel, jak cherla tak jak zawsze. No tom od razu rozpoznał,

że to mój sąsiad Lehmann Jörg. Najlepiej, jak mnie wypuścicie i się jego sami zapytacie, czy to on wyrzucił obraz. Mieszka w mojej oficynie na drugim kiju[28].

Policjanci spojrzeli na siebie, a Olkiewicz dodatkowo zapisał imię i nazwisko złodzieja i świętokradcy. Potem zamknął notes i zmierzył groźnym wzrokiem zatrzymanego.

– No widzisz, nie lepiej było po dobroci wszystko powiedzieć?

– Lepiej.

– No i dobrze, w takim razie teraz wrócisz do celi, a jak ten tam Jörg, czy jak mu tam, potwierdzi, co żeś powiedział, to cię będziemy mogli uwolnić na wolność. Ale żebyś se nie myślał, że policję można bezkarnie zwodzić i nie gadać wszystkiego, to jeszcze urzędową pieczęcią muszę cię podbić.

– Niby jak?

– A tak! – wyjaśnił rzeczowo Olkiewicz, podszedł szybko do zatrzymanego i naraz z całej siły przywalił mu na odlew dłonią po głębie. Cholewiak jęknął zaskoczony.

– Żebyś se zapamiętał! – warknął podoficer i wtedy na delikwenta spadł kolejny silny cios. – Że oszukiwanie policji jest nadaremne, bo policjanci zawsze wiedzą, z jakim to szuszwolem mają do czynienia.

## Schneidemühl

Godzina 2.30 po południu

Intendent Klutschka lubił te chwile spokoju, kiedy nikt od niego niczego nie chciał. Najlepszym momentem był obiad w wojskowej kantynie. Nigdy nie przychodził jeść razem ze wszystkimi, bo nie znosił tłoku i hałasu, jaki robili młodzi

żołnierze. Gadali, śmiali się i komentowali zawartość swoich talerzy, wszystko to robiąc głośno, jakby cały czas jeszcze byli w szkole. Dlatego, żeby uniknąć tego niepozwalającego mu się skupić gwaru, przychodził do stołówki wtedy, gdy ostatni pluton opuszczał już pomieszczenie. Na sali zostawali tylko dyżurni z drużyny pełniącej tego dnia służbę. Oni nie rozmawiali i nie pokrzykiwali. Znosili to wszystko, co zostało na stołach, zgarniali resztki do wiader, które wypełniały się jedzeniem przeznaczonym dla świń w wojskowym chlewie, i zamiatali. Wtedy do sali wkraczał intendent Klutschka, szedł do stolika pod oknem, z którego widać było płot, a za nim Krojanke StraÙe, szeroką ulicę wiodącą na pobliskie lotnisko. Po drugiej stronie rozciągał się miejski cmentarz, na którym nagrobki kryły się pomiędzy drzewami. Lubił patrzeć na tę zieleni i oddawać się myślom o sensie życia. Zapatrzonej w dal, zastanawiał się równie¿ nad swoj¹ świetlan¹ przyszłości¹. Bo że taka będzie, nie wąpił.

Przede wszystkim wiedział, że musi się dorobić. Dlatego od dawna kradł, ile się dało, a pieniądze zamierzał odkładać na jakiś wa¿ny cel. Tyle że jak dot¹d niczego nie odłó¿ył, bo przegrywał wszystko w karty. No ale liczył na to, że w koñcu uda mu się co¿ zaoszczdzić i wtedy kupi dom w centrum miasta, najlepiej na miejskim rynku. Na dole otworzy piwiarnię z kuchni¹ do przyr¹dzania tradycyjnych potraw, bez których nie mogli się obejść biesiaduj¹cy piwosze, czyli gęstych zup i kiełbas białyh i czarnych, no i oczywiœcie parówek. Tak, to było jego marzenie, które zamierzał zrealizować, a gdy ju¿ będzie miał na to pieniądze, rzuci wojsko i się o¿eni.

Z tym o¿enkiem był pewien kłopot, bo na razie nie miał jeszcze ¿adnej panny na oku, ale wiedział, że to akurat jest



najmniejszy kłopot. Wiele dziewcząt chciałoby się wydać za atrakcyjnego i solidnego byłego wojskowego z własnym domem i piwiarnią. Jak tylko ją kupi, zaraz się rozejrzy za jakąś babą. Byleby tylko nie była za chuda, bo chudzielców nie lubił. No i musi być robotna, żeby pracować mu w kuchni, a poza tym dobrze by było, żeby miała jeszcze wielkie cycki... Rozmarzył się i naraz z zamyślenia wyrwał go głos:

– Pan kucharz unteroffizier[29] Fuchs zapytuje, czy pan intendent życzy sobie zacząć od zupy, czy tylko drugie danie mam podać?

– A jaka jest zupa? – zapytał Klutschka.

– Owocowa z makaronem.

– To niech będzie zupa. A na drugie co macie dzisiaj?

– Na drugie jest pieczona kiełbasa z cebulką, do tego kartofle i zasmażana kwaśna kapusta.

– Dobra, dawaj wszystko, jak leci. I to szybko, bom już zgłodniał – pogonił dyżurnego szeregowca ubranego w białą służbową bluzę, jaką musieli zakładać żołnierze na służbie w kantynie, by z daleka odróżniać się od tej całej hałustry głodomorów przychodzących tu jeść.

Jeszcze raz spojrzął na cmentarz po drugiej stronie ulicy, ale zaraz doszedł do przekonania, że w zasadzie nie powinien zajmować się rozmyślaniami o pięknej przyszłości, ale musi przejść do czynów i zacząć tę przyszłość budować. A żeby w ogóle była jakaś przyszłość, to trzeba zrealizować rozkazy dotyczące budowy tej cholerniej stacji, służącej nie wiadomo do czego. Nie miał jednak wyjścia i musiał wykonać to, czego chciał od niego major Wittelbach.

Dziś w południe kazał mu się zameldować w swoim biurze z księgami mówiącymi o stanie zaopatrzenia w materiały budowlane. Klutschka poszedł więc do niego z drżącym

sercem. Bo gdyby ten major znał się na kwestiach magazynowych, łatwo mógł dojść do wniosku, że te wpisy nijak się miały do rzeczywistych zapasów. Ale Wittelbach nie był biegłym intendentem ani nawet buchalterem. On, na szczęście dla Klutschki, był tylko organizatorem i nadzorcą.

– Proszę siadać, oberfeldwebel. – Major wskazał mu krzesło na wprost biurka. Klutschka posłusznie wykonał polecenie. Teczkę z papierami położył sobie na kolanach, jakby chciał pokazać, że nie ma tam nic do ukrycia i w każdej chwili jest w stanie wyciągnąć jakikolwiek dokument, który w tym momencie będzie potrzebny. Ale jednocześnie liczył na to, że w razie czego będzie mógł opowiedzieć o przesunięciach worków między magazynem w koszarach a tym na lotnisku, który w tej chwili był pusty, ale major o tym nie musiał wiedzieć.

Najgorsza była kwestia cementu, bo tego w zasadzie w magazynie nie było wcale. Sprzedał wszystko jeszcze w zeszłym roku na budowę tego nowoczesnego kościoła Świętego Antoniego. Firma wznosząca świątynię nigdzie nie mogła dostać cementu, a budowa miała się wkrótce zakończyć. Więc szukali i znaleźli w wojskowym magazynie. Nieźle się wtedy obłowił. Już wtedy, gdyby był mądry, za zarobione pieniądze mógł kupić dom na Nowym Rynku. Postanowił jednak, że zaczeka z tym jeszcze trochę i sumę, jaką wtedy zainkasował za towar, podwoi albo potroi w kasynie w Zoppot. Pojechał nad morze do tego pięknego Grand Hotelu i przegrał wszystko. Wyjeżdżając, musiał jeszcze prosić o pożyczkę, bo zabrakło mu pieniędzy na opłacenie pobytu.

No i teraz musiał ten cement odzyskać. Na szczęście był blisko osiągnięcia sukcesu. Nie wiedział jeszcze tylko jednej rzeczy, jak zapłacić za towar. Ale to była kwestia drugorzędna. Najważniejsze, że wagony z cementem miały wkrótce dotrzeć do jego magazynu.

– No więc, jak już widzieliście, ten plac ma dogodny dojazd od szosy na Plotzensee, umiejscowiony jest w lesie i w odległości zaledwie trzech kilometrów od granicy.

Klutschka skinął głową. Widział tę polankę i musiał przyznać, że nie bardzo go zachwyciło to miejsce. Ale major, który go tam przywiózł, był zadowolony. Twierdził bowiem, że idealnie spełnia ich potrzeby.

– Trzeba tam dowieźć prócz materiałów budowlanych także ludzi, no i wodę, dużo wody – zaczął głośno analizować Klutschka.

– Tym bym się nie martwił. – Major nie widział żadnych przeszkód. Jeśliby mógł, to zapewne od razu przystąpiłby do budowy. – Przecież dysponujemy samochodami ciężarowymi. A beczkowóz można napełniać nad pobliskim jeziorem.

– Owszem, ale na transport samochodowy musi się zgodzić sam szef. – Klutschka wymownie spojrział na sufit, bo gabinet dowódcy mieścił się piętro wyżej.

– O to się proszę nie martwić. Pułkownik udzielił nam daleko idących pełnomocnictw w tej kwestii.

– Nam? – zdziwił się oberfeldwebel.

– Tak właśnie. Was też dotyczą specjalne uprawnienia. Może pan zamawiać w kolumnie transportowej wszystko, co będzie panu potrzebne.

Natychmiast zarejestrował w głowie tę informację. Wiedział dobrze, jak cenny jest w mieście transport samochodowy. Mając do niego swobodny dostęp, będzie mógł wynajmować

wojskowe ciężarówki cywilnym firmom i zarabiać na tym kokosy. Jego analityczny umysł już zaczął liczyć zyski.

– No i dlatego ten las jest nam tak niezbędny, rozumiecie? – zapytał major, a oberfeldwebel skinął głową, ale nic nie odpowiedział, bo zajęty myślami o ciężarówkach, nie dosłyszał tego, co major powiedział wcześniej.

– Na tej niewielkiej polanie postawimy dwa budynki, jeden to będzie stacja elektryczna, bo musimy doprowadzić tam prąd, a drugi to właściwa stacja nasłuchowa. Obok stacji, na specjalnej betonowej platformie, będzie stał maszt stalowy, wyższy od drzew, ale schowany w zieleni. Dla postronnych obserwatorów będzie właściwie niewidoczny.

– Aha, to by go trzeba pomalować na zielono – podsunął praktyczne rozwiązanie. Miał bowiem w magazynie sporo zielonej farby, którą mógłby wykorzystać i wykazać, że poszło więcej niż w rzeczywistości, a wygospodarowane w ten sposób nadliczbowe beczki sprzedać. Rynek zawsze potrzebował farb.

– Proszę spojrzeć tu. – Major otworzył teczkę z napisem „ściśle tajne”. Zaciekawiony nachylił się nad biurkiem, gdy Wittelbach rozłożył jakąś płachtę. To był rysunek techniczny na kalce, przedstawiający konstrukcję masztu.

– Tak właśnie będzie wyglądał. Wysoki na trzydzieści metrów. Trzeba by obliczyć, ile farby będzie potrzeba do pokrycia całości.

– Musiałbym znać dokładne wymiary – zauważył Klutschka.

– Tak, oczywiście. To się da zrobić. Ale żeby to wyliczyć, musi pan skorzystać z planów, a one nie mogą opuścić tego pokoju. Więc zrobimy tak, że po godzinach mojej pracy zostawię was tu i wtedy będziecie mogli popracować nad planami i wyliczyć, ile czego potrzeba do tej budowy. Dacie sobie radę, oberfeldwebel, czy mam pomóc w tych obliczeniach?

– Poradzę sobie. Nie takie plany się analizowało – stwierdził chełpliwie, choć nigdy żadnych planów nie analizował i nie przeliczał projektów na konkretny towar. Wiedział bowiem, że to i tak nie ma żadnego znaczenia. Trzeba zamawiać więcej, niż było to konieczne, budować, a każdą nadwyżkę można było sprzedać, wykazując, że materiały zostały zużyte podczas prac. Wszelkie budowy to prawdziwy raj dla intendentów.

– Owocowa z wiśni. – Młody kelner postawił przed nim talerz, a Klutschka wrócił natychmiast do obiadowej rzeczywistości. Gdy zaczął jeść słodką zupę, pomyślał, że ta budowa jest tym, co pozwoli mu wreszcie stanąć na nogi. Musi tylko jeszcze znaleźć sposób, żeby jakoś zadowolić tego handlarza z Polski, który ma mu dostarczyć cement. Może by chciał w rozliczeniu wziąć jakąś armatę? Tę dałoby się w koszarach znaleźć, bo tych niepotrzebnych nikomu wojskowych sprzętów było tu dość sporo. Jedyne problem z tymi wszystkimi karabinami, armatami czy minami był taki, że nie było na nie zbytu na cywilnym rynku.

## Bydgoszcz

Godzina 4.50 po południu

Porucznik Marcin Rybacki ubrany w dobrze dopasowany mundur oficera piechoty chwycił za klamkę i otworzył jedno skrzydło solidnych podwójnych drzwi, wiodących do dużego pokoju, którego głównym i chyba najważniejszym meblem był podłużny stół. Ustawiono przy nim po cztery krzesła z każdej strony, ale gdy wymagała tego sytuacja, z powodzeniem można było posadzić tu więcej osób. Stół pełnił bowiem funkcję

mebla niezbędnego do prowadzenia narad i roboczych spotkań, których uczestnicy potrzebowali sporo miejsca do rozkładania notatników, map i planów.

Tym razem blat był niemal pusty, bo znajdowała się na nim tylko porcelanowa popielniczka, obok której leżał notatnik, gruby brulion należący do dowódcy Ekspozytury Numer 3 Sztabu Głównego, kapitana piechoty Jana Żychonia. Postawny trzydziestolatek o wysokim czole, nieco zbyt długim nosie i wąskich ustach na widok wchodzącego do pokoju Rybackiego uśmiechnął się i machnął ręką, tak by nowo przybyły wiedział, że w tym gronie niepotrzebne są sztywne wojskowe konwenanse i nie musi się oficjalnie meldować.

– Siadaj. – Wskazał na krzesło naprzeciwko. Porucznik obszedł stół i usiadł, położywszy rogiatywkę na stole. Żychoń tymczasem sięgnął do kieszeni kurtki i wydobył z niej srebrną papierośnicę. Nie poczęstował podwładnego, bo wiedział, że Rybacki nie pali. Ten jego rówieśnik, obaj urodzili się w tysiąc dziewięćset drugim roku, był zwolennikiem zdrowego trybu życia. Nie używał tytoniu, alkohol pijał tylko przy specjalnych okazjach, a do tego wszystkiego był jeszcze jaroszem. Nie jadał mięsa wcale nie z powodów zdrowotnych, ale raczej ze światopoglądowych. Uważał bowiem, że świat byłby lepszy, gdyby ludzie nie byli drapieżnikami. Dość osobliwy to pogląd jak na oficera służby czynnej, ale mógł sobie na to pozwolić. Żaden z kolegów nie ważył się na docinki przez szacunek dla młodego oficera, który mimo młodego wieku zdążył walczyć w powstaniu wielkopolskim, powstaniu śląskim i na koniec w wojnie z bolszewikami. Zaczynał swoją wojskową karierę bardzo wcześnie, tak jak i jego dowódca. Żychoń bowiem jako dwunastolatek uciekł z domu do Legionów Piłsudskiego, a Rybacki przyłączył się do oddziału powstańczego w wieku

szesnastu lat. Mieli więc podobną historię swoich wojennych dokonań i być może to sprawiło, że w pracy wywiadowczej rozumieli się doskonale.

– Jak było w Poznaniu? – zapytał kapitan, wkładając do ust papierosa. Rybacki się skrzywił, ale jego szef nic sobie z tego nie robił. Nie miał zamiaru nie palić w swoim pokoju narad tylko dlatego, że temu tam siedzącemu naprzeciwko człowiekowi to się nie podobało. Zresztą Rybacki nigdy w życiu nie przyznałby otwarcie, że przeszkadza mu palenie w jego towarzystwie. W końcu ludzie palą wszędzie i jeśli by się chciało uciec od zapachu tytoniowego dymu, trzeba by najprawdopodobniej zaszyć się w klinice dla suchotników. Ale atmosfera takiego miejsca nie bardzo by mu odpowiadała.

– W Poznaniu? Poznań ładne miasto.

– Tyś jest poznaniak, nieprawdaż?

– Niedokładnie. Z Miejskiej Górki pochodzę. To taka miejscowość niedaleko Rawicza. Tam, gdzie to więzienie ciężkie się mieści.

– To dlaczego mi się zdawało, żeś jest z Poznania?

– Bo w czasie wojny bolszewickiej byłem w poznańskich pułkach. Pamiętasz, w tych Rogatych Diabłach, o których gadano, że rznęli bolszewików jak barany.

– Tak, pamiętam. Jak najbardziej. Patrzyło się na was z zazdrością, bo nie dość, że byliście porządnie umundurowani, to jeszcze ta niemiecka dyscyplina, te równe szeregi i karabiny ustawiane w kozły...

Rybacki uśmiechnął się do tych wspomnień.

– Mój macierzysty 55 Poznański Pułk Piechoty, który stacjonuje teraz w Lesznie, w trakcie powstania nazywał się 1 Pułk Strzelców Wielkopolskich. Służyłem w nim od

pierwszego dnia powstania, a ten Mikołajewski, do którego mnie posłałeś, to również powstaniec.

– Liczyłem, że dzięki temu szybko złapiecie wspólny język. I jak, udało się?

Porucznik pokiwał głową.

– Musiałem trochę ocieplić atmosferę i poświęciłem się, zjadając zamówioną przez niego czerninę i kaczkę. Nie chciałem, żeby od razu się do mnie uprzedził, więc dla dobrej sprawy...

– Doceniam, choć kaczkę zazdroszczę.

– Bał się, że przywożę mu hiobowe wieści i że zlikwidujemy mu te jego Zrzeszenia Kółek Rolniczych czy jak to się tam nazywa.

– Jest podejrzliwy jak każdy wywiadowca. – Żychoń uśmiechnął się pod nosem, przypominając sobie tego przystojnego oficera z Poznania, który od dawna działał pod przykrywką, ale dzięki temu osiągał doskonałe rezultaty w płytkim wywiadzie, infiltrując swoimi agentami całe wielkopolskie pogranicze, od Kępna aż po Ujście. Handel produktami rolnymi na obszarze kresowym wymagał znajomości tematu i rozbudowanej sieci informatorów, a tym wszystkim dysponował Mikołajewski.

– Ale robi doskonałą robotę. Bylibyśmy głupcami, gdybyśmy chcieli ugotować rosół z kury, co nam znosi takie jajka.

– Bardzo ucieszyła go moja deklaracja, że nie zamierzamy się wtrącać w jego robotę.

– No może nie do końca będzie tak, jak mówisz. Trochę się jednak musimy powtrącać.

– Ale on musi być przekonany, że to nie pchanie nosa w nie swoje sprawy, ale przede wszystkim pomoc, którą mu oferujemy. Tak mu to przedstawiłem.



– I bardzo dobrze żeś zrobił. – Żychoń pokiwał głową, spoglądając jednocześnie na zdjęcie przedstawiające marszałka Piłsudskiego, wiszące na ścianie za plecami Rybackiego. Zmarszczone brwi naczelnika martwiącego się losem Polski były dla wiernych żołnierzy zachętą do zwiększenia wysiłków na rzecz obrony niepodległości. Ale kapitana Żychonia nikt nie musiał zachęcać. Ani marszałek, ani wiszący obok prezydent Mościcki, ani ten biały orzeł w ramce za szkłem pomiędzy nimi. On znał swoje obowiązki aż za dobrze, dlatego chciał, aby w podległych mu posterunkach wywiadowczych na zachodnim pograniczu praca szła sprawnie, a efekty były jak najbardziej zadowalające. – A jak sprawa tych niemieckich budowli? Co zamierza przedsięwziąć?

– Podałem mu te namierzone lokalizacje i oczywiście potwierdził, że roześle tam ludzi. Tu nie było żadnej dyskusji. Powiedział, że w każdym z tych miejsc ma swoich agentów, więc nie widzi przeszkód.

– Bardzo dobrze, bo to sprawa dość pilna. Mamy informacje, że być może wydarzyło się coś niepokojącego. – Kapitan odpalił kolejnego papierosa i zaraz odkaszlnął. Wiedział, że za dużo pali, ale w tej robocie inaczej się nie dało. Tu palili wszyscy. No może poza tym jednym siedzącym naprzeciwko oficerem.

– Co takiego się dzieje?

– To jeszcze niepotwierdzone do końca, ale przyszło z samego Berlina. Zameldował mi dziś o tym właśnie Mikołajewski telefonicznie. Być może Niemcy zaczęli czytać nasze szyfrówki. Nie wiemy, ile i od jak dawna, ale jest coś na rzeczy. Jednak w tej chwili nie da się jeszcze oszacować naszych strat. Jeśli połączyć to z ich aktywnością budowlaną, to być może mają

zamiar zająć się tym radionasłuchem na większą skalę i wyłapywać wszystko, co nadajemy.

– To trzeba natychmiast zmienić nasze kody, sposoby szyfrowania! – Rybacki aż krzyknął z przejęcia. Na zagrożenie reagował błyskawicznie i natychmiast brał się do roboty, by jak najskuteczniej mu przeciwdziałać. Żychoń jednak był zwolennikiem chłodnej analizy, dlatego jego akcje przypominały dobrze rozegrane partie szachów.

– Tak by było najprościej, tyle że nic byśmy na tym nie zyskali.

– Czyli chcesz... – Na twarzy porucznika pojawił się lekki uśmiech. On teraz też dostrzegł szansę, jaka się przed nimi maluje.

– Rozegrać z nimi partię szachów. I co więcej, zamierzam ją wygrać.

– W jaki sposób?

– W taki, żeby to oni myśleli, że są górą.

– Niech cię diabli, Janie! – zawołał porucznik. – Jeśli dobrze to rozegrać, to rzeczywiście możemy osiągnąć więcej, niż gdybyśmy zmienili szyfry.

– Ha, ha! I o to właśnie chodzi. I dlatego Poznań jest nam w tym bardzo potrzebny. A dokładniej Mikołajewski i jego Kółka Rolne. On musi sprawdzić te lokalizacje budów, żebyśmy wiedzieli, co tam powstaje i jak to będzie działać. A my z naszej strony przygotujemy odpowiedź. Dlatego cię tu dziś poprosiłem. Chcę, żebyś się zajął organizacją całej akcji. Będiesz naszym koordynatorem.

– Oczywiście, jak najbardziej – zgodził się porucznik. – Ale jest jeszcze coś, co może w jakiś sposób nam się przydać. Choć jeszcze nie wiem jak, ale...

Żychoń wstał z krzesła, podszedł do okna i otworzył je na oścież. Być może zrobiło mu się żal podwładnego, który musiał wytrzymać kontakt z jego kolejnym papierosem. Zapalił i usiadł z powrotem.

– Być może będziemy mieć próbę werbunku na wyższym szczeblu.

– Kogo werbujemy i gdzie?

Rybacki pokręcił głową.

– Nie my. Oni. Możliwe, że będą chcieli zwerbować pewnego człowieka z Poznania.

– A ten człowiek, cóż to za persona?

– Ja go nie znam, ale Mikołajewski ręczy za niego. Zresztą to koronkowa robota. To właśnie Mikołajewski im go podsunął, a oni być może połknęli haczyk. Tego na razie nie wiemy.

– A ten werbowany?

– To komisarz policji o polsko-niemieckich korzeniach i nazwisku niemieckim. Nazywa się Fischer. Antoni Fischer.

Kapitan Żychoń przekręcił lekko głowę w geście zdumienia. Znał dobrze to nazwisko. Co więcej, znał również właściciela nazwiska. Spotkali się w ubiegłym roku, gdy rozpoczęła się akcja Wózek, w której ów policjant oddał wywiadowi bardzo cenne usługi. Jeśli więc Niemcy będą chcieli go zwerbować, trzeba zrobić wszystko, żeby się im udało. Ale w tym wypadku mógł chyba liczyć na przebiegłość Mikołajewskiego i zdrowy rozsądek Fischera.

## Poznań

Godzina 6.30 wieczorem

– I to właśnie, co panowie widzą z tarasu widokowego, to połączenie placów i hal wystawowych. Na tych targowych terenach pokazuje się każdego roku to, co najlepsze i najwartościowsze w branżach przemysłowych w tym kraju powstaje. Ale nie tylko wyroby krajowe można tu oglądać. Bo Poznański Targ to przede wszystkim okazja do wymiany myśli i spotkań z ludźmi, którzy przyjeżdżają tu z różnych zakątków świata. Dość powiedzieć, że każdy Targ odwiedza kilkadziesiąt tysięcy osób, które chcą się przekonać, jak wygląda nowoczesny świat. Bo ten świat mamy tu właśnie w pigułce.

– A ta wasza Wystawa Krajowa? – zapytał szczupły trzydziestolatek w okularach. – Słyszałem, że sporo ludzi się tu przewinęło. – Powiedziawszy to, przesunął ręką przed sobą, omiatając spory obszar targowej przestrzeni. Grupa wycieczkowa obserwowała bowiem wszystko z wysokości pięćdziesięciu metrów, z okien Wieży Górnos Śląskiej.

– Prawda, trochę tych gości tu było. Proszę sobie wyobrazić, że w ciągu kilku miesięcy dwudziestego dziewiątego roku, bo to właśnie wtedy z okazji dziesięciolecia odzyskania niepodległości przez Polskę zorganizowano tę wystawę, odwiedziło ją ponad cztery i pół miliona ludzi. Ale nie tylko Polaków. Mieliśmy w Poznaniu dwieście tysięcy gości z zagranicy, w tym prawie sto tysięcy Niemców i osiemdziesiąt tysięcy Czechosłowaków. – Fischer na chwilę zamilkł i spojrzał na zdumione twarze niemieckich gości, na których te liczby musiały zrobić wrażenie. – A to miejsce, z którego teraz możemy podziwiać panoramę miejską i cały obszar targowy, to moim skromnym zdaniem obiekt, o którym śmiało możemy powiedzieć, że stał się wizytówką Poznania i chyba jest najbardziej znanym na świecie budynkiem miejskim.

– Czyżby? – zdziwił się Richardt Böhm. – Cóż w tej wieży takiego nadzwyczajnego?

– Przede wszystkim fakt, że wznosił ją w tysiąc dziewięćset jedenastym roku jeden z najwybitniejszych niemieckich architektów modernistycznych Hans Poelzig, i to głównie w celach funkcjonalnych, bo jako wieża ciśień zapewnia wodę dwóm okolicznym dzielnicom miasta, czyli Jeżycom i Łazarzowi. Ale ze względu na swoją niezwykłą konstrukcję o masie prawie tysiąca czterystu ton stała się ważnym punktem miejskiej tkanki i niejako wizytówką Poznania, którą widać już z daleka, gdy wjeżdża się do miasta. A teraz ciekawostka, o której zapewne nikt z panów nie wie. Otóż wizerunek naszej Oberschlesischer Turm wykorzystano w filmie Fritza Langa *Metropolis*. Ten film znają panowie zapewne doskonale, ale nie wiedzieliście, że filmowa wieża Babel to nasza wieża z Poznania. Tu, u nas, mieszkańcy rozpoznali ją natychmiast, a byli i tacy, którzy na ten film chodzili po kilkakroć, żeby porównać filmową konstrukcję z tą rzeczywistą.

– I jak wypadło porównanie? – zapytał brodaty mężczyzna reprezentujący kupców drzewnych.

– Tylko nieco została w filmie zmieniona, dla potrzeb scenograficznych, jednak zasadnicza bryła nie uległa zmianie – wyjaśnił zadowolony z siebie Fischer. Miał bowiem wrażenie, że rzeczywiście swoją opowieścią o mieście zainteresował wycieczkowiczów. Teraz należało ich jeszcze nakarmić. Ale z tym nie było problemów. Restauracja na dolnej kondygnacji wieży miała dobrą renomę. – I tu, szanowni panowie, nasza wycieczka po mieście dobiegła końca, ale nie koniec atrakcji oczywiście – oświadczył komisarz. – Teraz zejdziemy na parter, do restauracji na posiłek. Bardzo było mi przyjemnie móc

oprowadzać panów i pozostaję w nadziei, że moje opowieści przypadły panom do gustu i nie zanudziłem was zbytnią rozwlekłością wypowiedzi.

– Nie, skąd, było naprawdę interesująco. – Przewodniczący niemieckiej delegacji Richardt Böhm podszedł do Fischera i uściśnął mu dłoń. – Drogi Anthonie, pozwól, że zanim zejdziemy na dół, jeszcze zamienię z tobą dwa słowa. Rozumiesz, tu mamy ciszę i spokój, a tam ludzi aż nadto.

Komisarz pokiwał głową i wskazał ławeczkę stojącą na wprost okien wychodzących na dworcowy most. Tu widok rozciągał się na spory fragment śródmieścia, a także na obszar Wildy. Usiedli, a Böhm wydobył z kieszeni marynarki złotą papierośnicę, otworzył ją i podsunął Fischerowi. Ten rzadko palił papierosy. Zdecydowanie wolał swoją fajkę, ale dawnemu dowódcy nie wypadało przecież odmówić. Poczęstował się i włożył papierosa do ust, a Böhm podał mu ogień, przypalając również złotą zapalniczką. Przez chwilę palili w milczeniu, zaciągając się aromatycznym dymem. W końcu gość przerwał ciszę:

– Wojna jest straszna, ale ma też w sobie pewne piękno, o którym wiedzą tylko żołnierze.

– Mówi pan o braterstwie broni? – domyślił się Fischer.

– Tak, jest w tym uczuciu coś niezwykłego. Ludzie, którzy nigdy wcześniej się nie widzieli, ale którzy w ogniu walki mogą liczyć tylko na siebie, po wyjściu z opresji stają się przyjaciółmi. Oni stają się braćmi, bo wiedzą, że jeden może na drugiego liczyć. Tworzy się między nimi więź, której nic nie jest w stanie rozerwać. Zna pan to uczucie, drogi Anthonie?

Policjant pokiwał głową, przypominając sobie swojego przyjaciela Carla, tak jak on podporucznika piechoty, z którym kończyli razem kurs oficerski i obaj trafili do tej

samej dywizji. W okopach jedli z jednej menażki, dzielili się ostatnim papierosem i z jednej flaszki pili zdobyczny koniak. Carl mieszkał teraz całkiem niedaleko, w Schneidemühl, czyli zaledwie sto kilometrów od Poznania, ale nie widywali się zbyt często. Każdy żył własnymi sprawami, każdy miał swoją pracę i rodzinę, ale gdy tylko to było możliwe, organizowali odwiedziny. Tym bardziej miłe, że ich żony były przyjaciółkami. Te więzy koleżeństwa zrodziły się w okopach Francji.

– Ma pan rację. Ten straszny czas miał też swoje piękne strony. Tak to już jest, że o tym, co okropne, staramy się zapomnieć, wypieramy złe przeżycia z pamięci, a pozostawiamy te dobre, warte wspomnienia.

– A pamięta pan pewnego gońca, który służył w pańskiej kompanii? Nazywał się Adolf Hitler.

Fischer przez chwilę milczał. Powrócił myślami do tego dnia, gdy jego kompania po raz kolejny znalazła się pod angielskim gazowym ostrzałem, kiedy to oddał swoją maskę przeciwgazową gońcowi, zwijającemu się w konwulsjach na przedpolu. Człowiek musiał wpaść w gazową chmurę i wciągnąć sporo tego świństwa do płuc. Każda sekunda była więc droga. Fischer, niewiele myśląc, zerwał swoją maskę z twarzy, założył ją na twarz kaprała, a potem, cały czas wstrzymując oddech, wydobył z chlebaka jeszcze jedną maskę. Tę drugą zabrał z okopów na wszelki wypadek, gdyby pierwsza nie zadziałała, co zdarzało się bardzo często.

Przez chwilę patrzył na szczupłego gońca, który pod wpływem oczyszczonego powietrza zaczął wracać do równowagi, choć oddech nadal miał niespokojny i zachłannie wciągał powietrze bez trucizny.

– Spokojnie, kapralu, zaraz pana stąd wyniesiemy.

– Pan porucznik Fischer... – Rozpoznał go po głosie, bo oczy miał zamknięte. Musiały zostać mocno podrażnione, bo lży łały się z nich strumieniami.

– Tutaj, sanitariusz z noszami do mnie! – zawołał Fischer na widok kilku sylwetek żołnierzy transportujących rannych na ich pozycje. – Ritter, tutaj! – krzyknął, rozpoznawszy podoficera. Ten natychmiast podążył w kierunku głosu dowódcy.

– Dziękuję, panie poruczniku. – Podtruty goniec chwycił go za rękę i mocno ścisnął.

– Wszystko będzie dobrze. – Fischer poklepał go po ramieniu, a potem dźwignął się z kolan, gdy podszedł do niego sanitariusz z noszami. We dwóch ułożyli rannego i ponieśli go w kierunku własnych linii. Przed okopem oddał nosze któremuś ze swoich ludzi. Gdy chciał już odejść, ranny goniec odezwał się chrapliwym głosem:

– Panie poruczniku, proszę...

– Co?

– Nigdy panu tego nie zapomnę.

– Dobrze, kapralu...

– Nazywam się...

– W porządku, nic nie mówcie, odpoczywajcie.

Nie interesowało go jego nazwisko, a tylko fakt, że był jego żołnierzem. Później dane personalne kaprala znalazły się obok jego danych w rozkazie dziennym, w którym decyzją dowódcy armii został odznaczony drugim już Krzyżem Żelaznym za dzielność na polu walki. Tym samym krzyżem odznaczono również tego kaprala, Hitlera, za odwagę podczas przenoszenia meldunków pod wrogim ostrzałem.

– Tak, pamiętam – odrzekł Fischer, a Böhm natychmiast się rozpromienił.



- To cenna znajomość w naszych trudnych czasach.
- O czym pan mówi? – zdziwił się komisarz. Wiedział, że ten jego podkomendny robi polityczną karierę, ale co go to mogło obchodzić?
- Niedługo pan Hitler i ludzie z jego partii będą rządzić w naszym kraju, panie komisarzu. A wtedy będziemy układać na nowo stosunki z naszymi sąsiadami.
- Co to znaczy dla nas?
- Tyle, że Polska i Niemcy muszą przestać ze sobą walczyć. Czas na zbudowanie nowej polityki wschodniej. Prawdziwy wróg naszych dwóch państw jest na wschodzie. O tym musimy rozmawiać, żeby postawić europejską tamę wschodniemu barbarzyństwu. Kto tego nie widzi, jest ślepcem. Ale pan Hitler dostrzega to doskonale. Co więcej, wie o tym również pan Piłsudski. Dlatego, gdy nadejdzie czas i nasza partia obejmie władzę, może się pan spodziewać, że te nasze głupie wojenki gospodarcze się skończą i przyjdzie wreszcie czas na realną współpracę.
- Nie jestem politykiem – rzucił Fischer, chcąc zmusić Böhma, aby ten przeszedł do rzeczy. Nie lubił rozmawiać o mrzonkach. – Nie rozumiem, dlaczego pan mi o tym wszystkim mówi?
- Drogi przyjacielu, wielkie czasy to wielkie wyzwania. A do ich realizacji potrzeba wielkich ludzi. Potrzeba ludzi zdecydowanych, potrafiących wielkie idee wprowadzać w życie. Nie muszę przecież wcale domniemywać, bo mam pewność, że kto jak kto, ale pan jest i będzie w przyszłości orędownikiem zbliżenia naszych dwóch narodów.
- To chyba oczywiste, zważywszy na moje korzenie.
- I właśnie dlatego myślę, że możemy coś osiągnąć wspólnie, współpracując dla dobra tego zbliżenia.

– W jakim charakterze miałaby ta współpraca się odbywać i na jakich instytucjonalnych podstawach opierać?

– No nie, panie Anthonie drogi. Tu nie o instytucje chodzi, ale o serce. Róbmy wszystko, by godzić, a nie dzielić. Potrzebni nam są tacy ludzie jak pan, żeby tę ideę szerzyć, by robić grunt pod przyszłe współdziałanie. Mam nadzieję, że w tym względzie mogę na pana liczyć?

– Owszem, dlaczego by nie.

– A co do szczegółów, to jeszcze pogadamy. Na razie nie mogę panu zdradzić wszystkiego, ale proszę być pewnym, że w niedługim czasie odezwie się do pana któryś z moich współpracowników i zaręczam, że wtedy będzie pan naprawdę zadowolony. – Poklepał Fischera po kolanie i wstał. – A teraz do restauracji – zakomenderował. – Trzeba się najeść i odpocząć, bo jutro mamy ciężki dzień. Spotkania handlowe to przeważnie nudne nasiadówki. Już nie będzie tak sympatycznie jak podczas zwiedzania, ale co zrobić. W końcu przyjechaliśmy tu rozmawiać o współpracy gospodarczej, a nie tylko się objadać.

Komisarz musiał się z nim zgodzić. Dobrze, że jego rola kończyła się tutaj i nie będzie musiał uczestniczyć w tych jutrzejszych spotkaniach. A teraz nie mogli dłużej siedzieć i rozmawiać o polityce, gdy tam, na dole, podawano już zapewne przystawki. Fischer, który konsultował menu z restauracyjną kuchnią, wiedział, że dzisiejszy obiad zacznie się od tataru z jajkiem i kieliszka wódki. Tego luksusu nie miał zamiaru sobie odpuszczać, więc trzeba było już zasiąść do stołu. Ruszyli ku stalowym schodom, wiodącym w dół wieży wąskim korytarzem tuż przy ścianie cysterny z wodą, która zasilała sąsiednie dzielnice. Fischer przepuścił gościa przodem. Wpatrzony w jego plecy zastanawiał się nad tym, co

powiedział mu Böhm. Odwołanie się do jego polsko-niemieckiego patriotyzmu świadczyło dobitnie, że jego dawny dowódca czegoś od niego chce. Wszystko wskazywało na to, że Niemiec na razie bada grunt. Za chwilę jednak może zarzucić wędkę.

## Schönlanke

Godzina 9.50 wieczorem

Niemiecki celnik miał szkliste oczy, ale raczej nie z powodu choroby. Z daleka czuć było od niego wódkę, a ludzie pijani często zachowywali się nieprzewidywalnie. Dlatego maszynista Tokarek pomyślał, że może mieć kłopoty, jeśli ten pijak będzie chciał przeprowadzić skrupulatnie kontrolę jego wagonów.

– Pokaż no te papiery przewozowe – zażądał celnik, stukając palcem w biurko. Kolejarz zasiadł na krześle naprzeciwko i położył przed urzędnikiem teczkę. Nie otworzył jej jednak, tylko podsunął w jego stronę. Przysunął się trochę bliżej i jeszcze wyraźniej poczuł wódczany odór. I wtedy dostrzegł małą odznakę wpiętą w klapę marynarki mundurowej. Na okrągłej, emaliowanej przypince widać było czarną swastykę na białym polu, otoczoną czerwonym kołem. Był na nim jakiś napis, ale Tokarek siedział za daleko, by go rozszyfrować.

- Co się tak gapisz? – zapytał Niemiec.
- No bo patrzę na odznakę, co masz przypiętą do kieszeni.
- Nie podoba ci się?
- A co mi się ma podobać czy nie podobać.
- To jest odznaka partyjna. Bo ja jestem w partii.
- Jakiej partii? – zainteresował się maszynista.

– Tu jest napisane. – Celnik wskazał palcem przypinkę i zatoczył palcem kółko.

– A, na tym czerwonym jest napis. – Kolejarz pokiwał głową.  
– Tyle że ja nic nie widzę. Za małe litery jak dla mnie.

– Tu jest napisane Narodowosocjalistyczna Niemiecka Partia Robotników.

– Aha. A co to znaczy?

– To znaczy, że to jest partia dla prawdziwych Niemców.

– To rozumiem. Taka nacjonalistyczna.

– Narodowosocjalistyczna.

– Czyli że co ta partia chce?

– Chce, żeby Niemcy wreszcie wstali z kolan.

– To Niemcy są na kolanach? A niby dlaczego?

– Jak dlaczego? Nie widzisz, że nas potraktowali ci, co ustalili te europejskie traktaty, jak byśmy byli jakimś małym, nieliczącym się krajem. Ale my im pokażemy, że z Niemcami nie można tak ostro pogrywać. Jeszcze im pokażemy, tym europejskim elitom, co znaczą dumne Niemcy.

– A czemu partia jest socjalistyczna?

– Bo dbamy o naszych robotników i chłopów. Damy wszystkim pracę i zbudujemy potężne Niemcy. Tylko musimy wygrać wybory. Ale to już niedługo nastąpi, a wtedy, jak obejmiemy władzę, to zobaczysz...

– A czemu narodowa?

– Bo kochamy Niemcy, kochamy nasz kraj, naszą historię i tradycję i jesteśmy dumni z tego, że jesteśmy Niemcami, a nie jakimiś francuskimi dziwkami z paryskiego burdelu.

Drzwi od kolejowego biura otworzyły się i do środka wszedł zawiadowca stacji Otto Höfner. Zdjął czapkę i powiesił ją na drewnianym wieszaku. Potem podszedł do stojącego pod oknem biurka, usiadł za nim i zaraz pochylił się, by odnaleźć

coś w szafce pod blatem. Zabrzęczało szkło i w dłoni kolejarza pojawiła się butelka piwa. Otworzył porcelanowy kapsel i przyłożył flaszkę do ust. W ciszy, jaka zapanowała w biurze, słychać było, jak przełyka piwo. Celnik też przełknął głośno, ale własną ślinę, bo piwa to raczej nie miał pod stołem. Jeśli było, to zapewne zdążył już je wypić. Ale teraz musiał poczuć pragnienie na widok pijącego zawiadowcy. Höfner tymczasem odstawił pustą flaszkę na blat, otarł usta wierzchem dłoni, a potem beknął głośno.

– No to ja już jestem po robocie – stwierdził zadowolony. – Mój dyżur się właśnie kończy. Wagony z cementem, co przyjechały z Polski, są już na bocznicy, a te z towarem powrotnym się w tej chwili zestawiają. Pojedzie pan do Polski z sześcioma wagonami, z tego cztery przewożą meble z tutejszej fabryki, a dwa są z jakimś żeliwnymi wyrobami z odlewni. Chyba jakieś rury i kolanka hydrauliczne. Papiery na ten towar ma celnik Dietrich. – Powiedziawszy to, wskazał urzędnika siedzącego naprzeciw Polaka. Ten znów przełknął ślinę wpatrzony w pustą flaszkę opróżnioną przez kolejarza. – Prawda, panie Dietrich?

– Co?

– Że masz pan papiery na transport do Polski.

– Jakie papiery? – zdziwił się celnik.

– No dajże pan spokój! Jak to jakie? Te od mebli i rur żeliwnych. Sam żeś pan to wszystko odprawiał.

– A tak właśnie. Papiery mam...

– No to podaj je pan maszynie, bo pewnie musi jeszcze sprawdzić, czy wszystko mu się zgadza.

– Tak, tak. Już je tu mam. – Mówiąc to, celnik sięgnął po brązową skórzaną teczkę, która stała na podłodze oparta o nogę biurka. Przez chwilę w niej pogrzebał, aby w końcu

wydobyć na wierzch kopertę wypełnioną dokumentami. – O, proszę, tu wszystko jest, jeśli się rozchodzi o te graty, co jadą do Polski. A te z cementem, co żeście przywieźli, to ja jeszcze muszę pieczęcie przystawić, jeśli wszystko w porządku i nie ma tam ukrytej kontrabandy. – Podsunął maszyniście specyfikację towarową. Ten zgarnął papiery niedbałym ruchem. Zawiadowca tymczasem schował butelkę do szafki, wstał z krzesła i podszedł do wieszaka, żeby wziąć z niego czapkę. Założył ją na głowę i sięgnął po zegarek schowany w kieszeni marynarki.

– Za trzy minuty będzie dziesiąta, to znaczy, że moja służba się kończy. Pociąg wypuści ze stacji mój kolega Adolf, co zaraz przyjdzie. O, chyba właśnie idzie...

Drzwi otworzyły się, ale nie był to kolejarz. Do środka wszedł ubrany po cywilnemu mężczyzna. Na nogach miał letnie, brązowe spodnie za kolana, zielone kolanówki i brązowe trzewiki. Marynarka też była zielona, krojona w stylu myśliwskim. Głowę przykrywał mu zielony kapelusz z piórkiem, więc swoim wyglądem sprawiał wrażenie leśnika. Brakowało mu tylko jeszcze dubeltówki w dłoni i mógłby śmiało ruszać na polowanie, pomyślał na jego widok maszynista Tokarek.

– A pan co tak późno, panie Böckstiegel? – zapytał zdziwiony widokiem restauratora zawiadowca. – Myślałem, że tacy jak pan to się wylegują w łóżku wieczorem z żonką i mają pracowników, żeby oni mogli stać za barem. A tu co, sam pan dziś przychodzi o tej porze?

– He, he, he! Pan to jak coś powie, to już powie, panie zawiadowco – rzucił radosnym głosem restaurator. – Za barem teraz stoi mój pracownik Joseph. I ma pan całkowitą rację, że nie po to człowiek jest pracodawcą, żeby samemu siedzieć tam

cały dzień. Ale przyjść musiałem dziś wyjątkowo, bo do mnie z Polski transport cementu miał przyjechać i chciałem się w związku z tym dowiedzieć, czy cement przyszedł. Trzy wagony.

– A, przyszedł, przyszedł – potwierdził zawiadowca. – Wagony już odczepione na bocznicy. Tylko jeszcze pieczęć urzędową trzeba przystawić na listach przewozowych, ale pan celnik Dietrich jakoś się dziś nie pali z robotą.

– Co się nie pali? Robi się jak zwykle – rzucił celnik głosem ochryłym i dziwnie suchym.

Maszynista pomyślał, że ten człowiek będzie jeszcze ze trzy godziny zbierał myśli, jeśli się szybko czegoś nie napije. Wstał więc z krzesła i spojrzał na właściciela baru.

– To, jak słyszę, bar jest otwarty jeszcze? Można by się tam piwa napić?

– A dlaczego by nie można? – zdziwił się przebrany za leśnika restaurator. – Może pan iść i się napić.

– Napiłbym się, ale pan celnik jeszcze mi papierów nie opieczętował, znaczy z tym cementem, że wszystko jest w porządku. Muszę czekać, aż je przejrzy i sprawdzi, czy aby nie przywiozłem jakiejś ukrytej armaty.

– He, he! A to dobre, armata w cemencie. – Böckstiegel się roześmiał. – Pan Dietrich przecież nie będzie robił ceregieli, prawda, panie celniku?

– Ja mam swoją robotę... – zaczął wyjaśniać celnik, ale restaurator wszedł mu w słowo.

– To co, panowie, jak już żeście skończyli, to zapraszam do mnie do restauracji. Jajecznicę na kiełbasie zrobimy i piwko zimne się znajdzie, a może, jak kto woli, to nawet sznaps.

– Ja jajecznicę bardzo chętnie, a i piwa się napiję, ale za wódkę dziękuję, bo na służbie pić nie wolno – ucieszył się

polski kolejarz.

– Prawda, służba to służba – potwierdził zawiadowca. – Ale ja już po służbie.

– No to zapraszam, panowie, zapraszam – ponaglił Böckstiegel – A pan Dietrich chyba już też skończył na dzisiaj, czy jeszcze idzie pan szukać armaty?

Celnik wzruszył ramionami, a potem przystawił pieczęć wjazdową świadczącą o przebadaniu całego cementu pod kątem wwozu do kraju nielegalnych towarów, których obecności nie stwierdzono.

W ten sposób zakończyła się odprawa celna, a zaczęła się kolacja, podczas której celnik, maszynista, restaurator i zawiadowca zjedli jajecznicę z dwudziestu jaj i czterech kiełbas, popili najpierw piwem, a potem doskonałą wódką Goldwasser. Jak stwierdził Böckstiegel, złote interesy należy opijać złotą wódką. Tylko polski kolejarz Tokarek się nie skusił. Zadowolony poszedł dopilnować właściwego zestawiania jego powrotnego składu. Miał powody do radości, bo przewóz trefnego towaru poszedł doskonale, a on już czuł, jak miło będzie dotykać obiecaną gratyfikację w wysokości stu pięćdziesięciu złotych.

[28] Drugi kij (gwar.) – drugie piętro.

[29] *Unteroffizier* (niem.) – sierżant.





# Rozdział VI

Schönlanke

Sobota

1 sierpnia

Godzina 9.30 rano

Pociąg wolno wtoczył się na tor przy peronie pierwszym, zasnuwając oczekujących na przyjazd pasażerów kłębamii pary wydobywającej się z kotła lokomotywy. Maszynista zadał w gwizdek, by ostrzec tych, którzy nieopatrznie zbliżyliby się do krawędzi peronu. Lepiej było zachować bezpieczny dystans, bo nigdy nic nie wiadomo. O wypadki przecież nietrudno, a jak się stoi za blisko wjeżdżającego pociągu, to różne sprawy mogą się zdarzyć. W zeszłym roku w „Berliner Illustrierte Zeitung” pisano o kobiecie, która przekroczyła białą linię bezpieczeństwa, namalowaną na skraju peronu, i uderzyły ją drzwi otwarte przez któregoś z niecierpliwych pasażerów przed zatrzymaniem się pociągu. Trafiły ją w głowę, a że pociąg jechał jeszcze dość szybko, impet uderzenia zabił ją na miejscu. W gazecie były nawet zdjęcia ciała kobiety i wstrząśniętych tragedią ludzi na peronie. Śledztwo policyjne doprowadziło do ujęcia winnego, zbyt niecierpliwego pasażera, ale mężczyzna ów nie został skazany, bo udowodniono, że nie

miał żadnych złych zamiarów, a drzwi otworzył przez przypadek, ponieważ zdawało mu się, że pociąg już staje.

W każdym razie zawiadowca stacji w Schönlanke, stojąc na peronie, miał w usta włożony gwizdek, aby być przygotowanym, gdyby któryś z pasażerów za bardzo się zbliżył do wjeżdżającego kolosa. Był czujny i uważny, bo nie chciał, żeby na jego służbie doszło do wydarzenia, o którym pisałaby później prasa w całych Niemczech. Pociąg z Kreuz do Schneidemühl, ciągnący trzy wagony, dwa drugiej i jeden trzeciej klasy, zatrzymał się, a zadowolony kolejarz stwierdził, że i tym razem obyło się bez wypadku. Ludzie zaczęli wysypywać się na peron, a ci, którzy dopiero mieli rozpocząć podróż, stali grzecznie, czekając na możliwość wejścia i zajęcia miejsc, najlepiej przy oknie, żeby móc obserwować to wszystko, co będzie przez nie widać.

Z pierwszego wagonu drugiej klasy wysiadł elegancko ubrany mężczyzna, w kapeluszu fedora, opasanym srebrną taśmą, w szarej marynarce i takichż spodniach, których nogawki opierały się na lśniących brązowych butach. W dłoni trzymał elegancką skórzaną teczkę, świadczącą o tym, że nie przyjechał tu na dłużej, na wczasy nad jeziorem, ale zapewne w interesach. Rozpiął marynarkę, ukazując ukrytą pod nią wiśniową kamizelkę, z kieszeni której wydobył zegarek na łańcuszku. Sprawdził godzinę, popatrzył na zegar dworcowy i z uznaniem pokiwał głową. Jego czasomierz chodził bez zarzutu. Schował go więc i wolnym krokiem ruszył do baru. Nim zdążył przejść połowę dystansu dzielącego go od tego przybytku, drzwi restauracyjne otworzyły się i na zewnątrz wyszedł August Böckstiegel, za którym podążał podoficer piechoty w wyjściowymi mundurze. Restaurator, widząc

nadchodzącego mężczyznę, zdjął kapelusz i pomachał nim nad głową.

– To jest właśnie pan Grubiński z Poznania – oznajmił podoficerowi. – A to jest bardzo dobry kolega mojego kuzyna, pan oberfeldwebel Klutschka ze Schneidemühl.

– Słyszałem, że towar dotarł bez problemów – rzucił na powitanie Grubiński, nie tracąc czasu na zbędne uprzejmości.

– Tak, jak najbardziej – potwierdził Böckstiegel. – Wszystko sprawdzone, czyli dokładnie tak jak w zamówieniu.

– Jak się zamawia u solidnego przedsiębiorcy, to się dostaje solidny towar, moi panowie.

– W rzeczy samej – zgodził się z nim żołnierz. – A solidni przedsiębiorcy biorą się często z solidnego, wojskowego podejścia do życia. Pan, panie Grubiński, był w wojsku, jak się domyślam?

– Byłem. – Skinął głową Polak, zdumiony przenikliwością podoficera. – W twierdzy Boyen byłem.

– Bo jak tylko pana zobaczyłem, dostrzegłem pewne podobieństwo, a teraz to już wiem na pewno. Pan był w Boyen i proszę sobie wyobrazić, że ja też tam byłem. Jestem Klutschka, wtedy kapral Klutschka z zaopatrzenia.

Zdumiony Grubiński zaczął mu się uważniej przyglądać, by po chwili wybuchnąć gromkim śmiechem.

– Ty żeś jest... Klutschka, który miał pod sobą piekarnię. Niech cię diabli! Pamiętam ciebie i tych twoich kamratów, bo żeście cały czas grali w karty. Ale z nami nie graliście, bo my, zwykli żołnierze, nie mieliśmy niczego, co można by od nas wygrać. Co za przypadek, że los nas znowu zetknął z sobą!

Obaj weterani podali sobie ręce i pokleпали po ramionach. Widać było, że i jeden, i drugi cieszą się z tego spotkania. Ich też na zawsze połączyło wojenne braterstwo, choć mieli

szczęście i nie musieli przelewać krwi. Twierdza mazurska była przez całą wojnę oazą spokoju i nie padł tu ani jeden strzał wymierzony we wroga. Bo inne strzały padały tu często, szczególnie podczas pijackich awantur, no i oczywiście ćwiczeń na strzelnicy, które miały zabijać forteczną nudę. Zabijały jednak tylko muchy czy komary, które siadały na tarczy albo przelatywały, swą trajektorię nieszczęśliwie krzyżując z torem lotu żołnierskich pocisków.

– Ale przecież nie będziemy tu stać jak kołki w płocie – wtrącił się w to czułe, wojskowe powitanie Böckstiegel. – Pano-  
wie, przed dworcem stoi dorożka. Zamówiona, żeby zawieźć nas nad jezioro. Tam przy piwie omówimy nasze wspólne interesy.

Położył im ręce na ramiona i lekko popchnął w kierunku furtki dworcowej, przy której stał kasjer sprawdzający bilety przyjezdnym i tym, którzy po nich wyszli. Bo każdy, kto pojawiał się na peronie, musiał mieć wykupiony bilet kolejowy na przejazd albo peronówkę, która uprawniała do wejścia na stację. Dzięki temu unikało się szwędających po dworcowych zakamarkach pijaków i żebraków, którzy mogliby nagabywać pasażerów i prosić ich o pieniądze.

Oddali swoje bilety, kolejarz zasalutował, a oni poszli ku stojącym przed budynkiem dorożkom. Pół godziny później wszyscy trzej siedzieli na tarasie Strandhalle, restauracji położonej nad malowniczym brzegiem Zaskersee, które miało miejską plażę z pomostami i wydzielonym kąpieliskiem.

Żaden z nich nie miał ochoty na kąpielowe szaleństwa, mimo że pogoda była jak najbardziej odpowiednia, a żar dosłownie lał się z nieba. Na szczęście restauracja, prosty drewniany pawilon o wielkich oknach od strony kąpieliska, znajdowała się w leśnym zaciszu, a stoliki na zewnątrz ustawiono

pomiędzy pniami sosen, których rozłożyste korony dawały ożywczy cień.

Ubrany w białą płócienną marynarkę kelner przyniósł do stolika, przy którym usiedli, trzy kufle zimnego piwa. Nie pytał ich nawet, czy mają na nie ochotę. Widać, przyjrząwszy się im w chwili, gdy wchodzili do restauracji, musiał stwierdzić, że raczej nie wyglądają na miłośników nawet najlepszej lemoniady.

– Drogi kolego, bardzo się cieszę, żeśmy się mogli zobaczyć i że to właśnie z tobą robimy ten wspólny geszeft – zaczął z pełną kurtuazją Klutschka.

– Najlepsze interesy robi się z dawnymi kolegami z wojska – stwierdził Tolek, upijając łyk piwa. Musiał przyznać, że było znakomite, ale przede wszystkim zimne.

– A ja się cieszę, że mogłem pomóc w takim ważnym, międzynarodowym przedsięwzięciu – odezwał się Böckstiegel na wszelki wypadek, żeby żaden z tych dwóch nie zapomniał, że to on służył tu za pośrednika, będąc ważnym ogniwem tej transakcji.

– Nic się nie bój, bo bez ciebie nie byłoby nas tu dzisiaj – uspokoił go żołnierz.

– Prawda, gdybym nie przyjechał odebrać tego, co zapomniałeś mi oddać, to nie świętowalibyśmy dziś udanej transakcji – przypomniał mu Tolek, znajdując w tej złośliwości niekłamaną przyjemność. Niesolidni dłużnicy powinni być cały czas świadomi, że wierzyciele pamiętają. A Tolek nigdy nie zapominał o ludziach, którzy byli mu winni pieniądze.

– Najważniejsze, że już wszystko uregulowane, prawda? – zapytał pojednawczym tonem Böckstiegel.

– Nie zatrzymujemy się nad tym, co się zakończyło, idziemy do przodu – stwierdził Grubiński, spoglądając na

oberfeldwebla Klutschkę. Ten uśmiechnął się, a jego uśmiech wyglądał jak wyraz pewnego zakłopotania. Tolek natychmiast zorientował się, że ten nie ma dla niego dobrych nowin.

– Hmm, no więc, kolego drogi, no więc sytuacja wygląda tak, że ten cement kupuje od ciebie wojsko, co potwierdzają wystawione kwity.

Tolek pokiwał głową.

– I te kwity mają przedłużony termin płatności do trzech tygodni, czyli do czasu, aż kasa pułkowa będzie miała pieniądze na wypłacenie tych należności. Ale, jak wiesz, to jest armia, która zawsze płaci swoje zobowiązania.

– Czyli że chcesz mi powiedzieć, kolego, że nie dostanę dziś swoich pieniędzy za mój towar, który ci przysłałem, i co więcej, musiałem zapłacić za jego ekspedycję?

– Ależ skąd, dostaniesz wszystko co do grosza, a za zwłokę jeszcze coś dołożymy. Ale dziś tylko dziesięć procent, bo taką kwotę dysponuję w chwili obecnej. – Klutschka wił się i łgał, bo na razie nie miał pojęcia, skąd weźmie resztę pieniędzy. Wiedział, że w końcu będzie je miał, bo coś tam uda mu się sprzedać z zasobów magazynowych. Najlepiej na rynku szła wojskowa bielizna, spodnie, buty i płaszcze, więc już jutro złoży propozycję pewnemu handlarzowi ze Schneidemühl. No ale to trochę potrwa, więc teraz musiał przekonać dawnego kolegę, że nie powinien się martwić. – Najważniejsze jest wzajemne zaufanie – ciągnął Klutschka, ale Tolek wyczuł, że ten coś kręci. I naraz przypomniało mu się to, co powiedział któregoś razu jego znajomy, kapitan Mikołajewski, z którym od czasu do czasu zdarzało mu się współpracować przy różnego rodzaju niezbyt legalnych przedsięwzięciach, kiedy wojsko potrzebowało jego fachowej, branżowej wiedzy i niezwykłych umiejętności pokonywania najbardziej

skomplikowanych zamków. Mikołajewski powiedział mu o rzeczach niemających ceny, na których można całkiem nieźle zarobić, a które niekiedy mogą przypadkowo wpaść mu w ręce, na przykład przy opróżnianiu z zawartości jakiejś kasy ogniotrwałej.

– Widzisz pan na ten przykład jakieś papiery, co nie są papierami wartościowymi, czyli akcjami, obligacjami czy kwitami dłużnymi, ale jakimiś planami albo rysunkami. To pod żadnym pozorem nie zostawiaj ich pan w takiej kasie, tylko dawaj mi znać, że coś takiego w ręce wpadło. Jeśli to ważne dokumenty, zrobi się z nich odpowiedni użytek, a jak będą coś warte, to ja już się postaram, żebyś pan był zadowolony.

– A co to się będzie budować w Schneidemühl, że wojsko tak na gwałt potrzebuje cementu? – zapytał jakby nigdy nic Tolek.

– No wiesz, wojsko ciągle coś tam buduje – odparł wymijająco podoficer.

– No tak, to prawda, że ciągle coś, ale do zamurowania dziury w wojskowym murze wystarczy dziesięć worków, a z trzech wagonów to i całe koszary dałoby się postawić.

– Z trzech wagonów to co najwyżej trzy budynki i to niezbyt duże – stwierdził Böckstiegel, który nieco znał się na budowlance, bo robił interesy przemytnicze na wszystkim, na czym się dawało je robić, a więc na materiałach budowlanych również.

– Czyli budujecie małe koszary? – pytał dalej Grubiński.

Klutschka machnął ręką. Widać było, że nie w smak jest mu ten temat, ale co było robić? Nie mógł zignorować dostawcy, bo ten miał go w garści.



Dwie kobiety, starsza i młodsza, ubrane w letnie jasne sukienki i słomkowe kapelusze, prowadzące dziecięcy wózek o bokach wyplecionych z wikliny, przystanąły tuż za płotem restauracyjnego ogródka, i nachyliwszy się, zaczęły piskliwymi głosami przemawiać do płaczącego dziecka.

– Nie, to nie koszary. – Klutschka na wszelki wypadek ściszył głos. – W lesie przy granicy się stawia domki z masztami. Wiecie, radiostacyjne. Żeby nadawać i odbierać przez te anteny. Pamiętasz, mieliśmy w twierdzy Boyen taki maszt i tam był telegraf bez drutu.

Tolek skinął głową, bo rzeczywiście pamiętał, że z tego miejsca można było się porozumieć z najdalszymi zakątkami, w których Niemcy prowadziły wojnę. Radiotelegrafista Kunze powiedział mu kiedyś, że odbiera nawet meldunki z u-bootów pływających na Atlantyku. Więc jeśli coś takiego budowali w Schneidemühl, to musiało to być coś ważnego. I to na dodatek nie w koszarach, ale w lesie, czyli chcieli to ukryć przed okiem ciekawskich.

– Dobrze, więc zrobimy tak – zaczął Tolek, uśmiechając się do swojego dawnego kolegi – mogę poczekać te kilka tygodni na pieniądze. Jakoś przeżyję. Ale muszę coś dać w zamian mojemu szefowi. A on nie lubi czekać i może się zdenerwować. – Kłamał jak z nut, bo żadnego szefa przecież nie miał nad sobą. – I w związku z tym, żeby się nie wściekał, musi coś dostać w zamian, co go zainteresuje.

– Może by go zainteresowała armata, mam na zbyciu kilka – zaproponował nieśmiało Niemiec.

Tolek wyjaśnił im obu, co miał na myśli. A Klutschka tylko wzruszył ramionami, uznając, że to w zasadzie żadna cena za prolongatę spłaty. Przez trzy tygodnie powinien sobie poradzić

z zebraniem tych pieniędzy i rozliczeniem się z Polakiem. A na razie da mu to, czego ten chce.

Böckstiegel, widząc, że negocjacje dobiegły końca, machnął na kelnera i kazał podać dla wszystkich porcje smażonej kiełbasy z kapustą kiszoną, do tego powtórzyć piwo, no i na opicie dobrego interesu dołożyć butelkę jägermeistra, wódki, którą lubił szczególnie, bo kojarzyła mu się z lasem i polowaniem, a on jako człowiek wychowany na leśnych terenach kochał las całym sercem, prawie tak bardzo jak pieniądze...

## Poznań

### Poniedziałek

### 3 sierpnia

Godzina 11.30 przed południem

Aspirant Oskierko patrzył z niedowierzaniem na rozbitą głowę księdza i podłogę zalaną krwią. Przyszło mu do głowy, że ta czaszka wygląda jak rozłupana skorupka, z której wystaje gotowy do zjedzenia orzech.

Tfu, co mnie za głupoty przychodzą do łba, skarcił sam siebie w myślach i się odwrócił. W drzwiach stał Anastazy Olkiewicz, z którym już tu, u tego samego księdza, raz byli. Wtedy Olkiewicz poszedł na poszukiwania prowadzone we własnym zakresie, a on został z proboszczem. No i teraz ten proboszcz najwyraźniej nie żył. Co ważne, nie żył już od przynajmniej kilku godzin, bo ciało było zimne i sztywne, a na ranie pojawiły się już larwy much, a te od stadium jajka do

larwy potrzebują kilku godzin. Więc był to zimny trup. Tylko czym mu tę głowę rozbito?

– Siekierą mu łepetynę rozrąbał ten no, ten, co to zrobił – wyjaśnił Olkiewicz, jakby czytał w myślach śledczego.

– A niby skąd wiadomo, że siekierą? – zapytał niezbyt pewnie Oskierko.

– Ano stąd, że to widać, że rana jest rąbana. Niech pan aspirant spojrzą na brzegi. – Anastazy podszedł, wyciągnął z kieszeni ołówek i pochyliwszy się, dotknął brzegów rany na wysokości czoła, odganiając przy tym drugą ręką muchy. – O, tu, dotąd weszła siekiera, a była dobrze naostrzona, bo rozpruła skórę, jakby ciął nożem.

– Znacie się na ranach, panie Olkiewicz – stwierdził z uznaniem Oskierko.

– Łe, no pewnie. Ale przecież i pan aspirant też się zna. Jak kto był na wojnie, to nie może się nie znać. My tu wszystkie w Dyrekcji Policji to były wojskowe przecież.

– Każcie więc ludziom, żeby przeszukali cały okoliczny teren w poszukiwaniu siekiery – polecił. Olkiewicz skinął głową, ale jakoś tak bez przekonania.

– Macie jakieś wątpliwości? – zapytał aspirant.

– Nie, wątpliwościów to ja nie mam, ino że myślę se, że to po próżnicy będą łązić.

– A niby dlaczego?

– Bo nikt normalny dobrej, ostrej siekiery nie wyrzuci. Dobra siekiera w każdym domu się przyda. A ten, co nią rąbnał tego klechę, musi siekiery mocno lubić, skoro on ją tak naostrzył, że weszła w łeb jak w masło. To i ja se myślę, że nic z tego nie będzie, boby takiego cacka nie zostawił.

– No to jak już żeście się wygadali, to idźcie i każcie ludziom szukać tej siekiery wokoło plebanii i na sąsiednich

podwórkach. Może jednak, wbrew waszym przewidywaniom, uda się ją znaleźć. A jak się znajdzie, żeby mi nikt jej nie dotykał, bo taki przedmiot trzeba poddać analizie daktyloskopijnej.

– Ano tak! – Olkiewicz podrapał się po głowie. – To ja się też pójdę rozpytać ludzi, bo może ktoś co zauważył.

Oskierko skinął głową przekonany, że jego wywiadowca pójdzie jak zwykle do najbliższej knajpy i stamtąd przyniesie garść świeżych informacji. Sam usiadł na krześle i wyciągnął paczkę egipskich.

– Przodownik, weźcie no jeszcze tę gospodynię z kuchni mi tu przyślijcie. Jak już przestała ryczeć, to niech tu przyjdzie, żebym ją rozpytał o wszystko.

– Tak jest! – zawołał Olkiewicz z korytarza plebanii.

Zapaliwszy papierosa, Oskierko rozejrzał się po pokoju. Na prawo od niego, na podłodze tuż przy oknie, leżał ksiądz z dziurą w głowie. Obok stał kwietnik, na którym ustawiono doniczkę z paprotką. Na prawo od okna był klęcznik. Na jego blacie leżała oprawna w czarną skórę Biblia, a obok czarny różaniec.

Wyżej, nad tym klęcznikiem, powinien być wisieć jakiś obraz, żeby ksiądz nie musiał zanosić modłów do ściany. Ale żadnego obrazu tam nie było. Widoczna za to była jaśniejsza plama na zielonej tapecie w kwieciste wzorki. Obraz tu wisiał jakiś czas temu, ale ktoś go zdjął. Ciekawe kiedy, zastanawiał się policjant wpatrzony w ślad po ramie.

Podszedł bliżej, by uważnie się przyjrzeć. Dotknął linii rozdzielającej jaśniejszy i ciemniejszy fragment, a potem spojrzał na swoje palce. Była na nich odrobina kurzu. Skoro był kurz, który zbiera się w miejscu, gdzie obraz styka się ze ścianą, to znaczy, że musiał on wisieć tu całkiem niedawno,

bo kreska kurzu zostaje zaraz po zdjęciu obrazu, a po jakimś czasie może zniknąć wywiana skutecznie przez ruch powietrza, który wzbudzają przechodzący przez pokój ludzie albo przeciąg po otwarciu okna, analizował sytuację Oskierko, używając do tego celu całego swojego zasobu policyjnej wiedzy, która nie była zbyt mocno podbudowana teorią, a jedynie zdroworozsądkowym podejściem do rzeczywistości.

– Łe jery! – Usłyszał rozpaczliwy okrzyk kobiety za swoimi plecami. Obejrzał się i dostrzegł stojącą w drzwiach gospodynię księdza, która trzymała się jedną ręką framugi, żeby nie upaść, drugą dłoń przyłożyła do ust, a spojrzenie wbiła w zakrwawione ciało księdza, chude i blade nogi, białą nocną koszulę i przede wszystkim w ranę na głowie. Oskierko nie pomyślał nawet, że ten trup może zrobić takie wrażenie na kobiecie. W końcu to ona go znalazła i powiadomiła policję, więc powinna już przyzwyczać się do widoku zamordowanego. Ale zadaje się, że była dość wrażliwa, z czego aspirant zdał sobie sprawę dopiero w tym momencie.

– Niech się pani uspokoi, bo te płacze księdza do życia nie wróca.

– Kiedy on taki dobry był, święty człowiek i jaki pobożny. Co dzień od rana na klęczniku się modlił...

– Do kogo się modlił? – zapytał Oskierko.

– No jak do kogo. Do Najświętszej Paniienki przecież, co tam wisi... – Wyciągnęła chudą rękę i wskazała na ścianę. – O Jezusie Nazareński. Ukradli, jak Boga kocham, ukradli, skurwysyny pierdolone!

– No właśnie! – ucieszył się Oskierko, zadowolony, że jego przypuszczenia się potwierdzają. – A więc powiadacie, że tam wisiał obraz. A co było na obrazie?

– Jak co, no przecie powiadała, że Najświętsza Paniienka z Jezuskiem. Przecie, że jakby Paniienki nie było na obrazie, toby się do niczego nie modlił.

– Prawda. A ten obraz to czemu ktoś by chciał kraść? – spytał policjant.

– No jak to? – Kobieta była najwyraźniej zdumiona. – Przecie to jasne jak klara[30]. Taki obraz się kradnie, bo on jest święty.

– Ano tak – zgodził się z nią policjant. – Tylko czy dla jakiegoś świętego obrazu zabija się księdza siekierą?

– Dla obrazu i dla pieniędzy – potwierdziła gospodyni. – Kasetki z bejmami też nie ma.

– Jakiej kasetki?

– No tej, co do niej ksiądz proboszcz wkładał bejmy. Ona była tu zawsze tutaj, wew tym kredensie. To jak ja zobaczyła, że ksiądz nie żyją, tom poleciała sprawdzić, czy jest kasetka ogniotrwała z żelaza, ale jej nie było, znaczy się złodziej zabrał.

Policjant podszedł do solidnego dębowego kredensu, założył cienkie skórzane rękawiczki, a potem ostrożnie otworzył wskazane drzwi szafki. Wewnątrz były tylko jakieś papiery.

– O, tu właśnie była kasetka, ale jej nie ma.

– A ksiądz czasami nie mówił nic o tym, że się kogoś boi?

– A jakże. Gadał, że się boi Boga i głupich ludzi.

– A kogoś konkretnie?

– Konkretnie to nie powiadał nic, ino że pieniędzy mało dają na tacę i niedługo głód zajrzy nam w oczy, jak ludzie nie będą mieli Boga w sercu. A potem gadał jeszcze, że dobrze zrobił, że tą Najświętszą Paniienkę wziął z kościoła i kazał tam powiesić drugi obraz.

– Zaraz, bo nie rozumiem. Proszę dokładnie wyjaśnić, w czym rzecz.

– No bo ksiądz proboszcz Warguła to kazał zdjąć ten obraz cudowny, co wisiał w ołtarzu bocznym, i nakazał zrobić kopię taką na olejowo. I miał biedaczek rację, bo jak się okazało, to te szuszwole, co ukradły obraz z kościoła i go wyrzuciły do sracza, to ukradły ten oleo... olejo... druk.

– Oleodruk?

– No, w rzeczy samej. Ukradli ten drugi, co był wydrukowany, a ten z kościoła to wisiał tutaj. – Wskazała ścianę nad klęcznikiem. – No i teraz tego też go ukradli, skurwiałe syny.

– A kiedy proboszcza żeście widzieli ostatni raz?

– No jak kiedy? W sobotę do południa. Zrobiła ja mu obiad i poszła do domu.

– A w niedzielę? Ksiądz mszę odprawił?

– Pewnie, że odprawił. Ino nie on, ale ten młody wikary. Taki chudziaczek z tego naszego wikarego Józia Pytlika.

– Czyli w niedzielę już nie widzieliście księdza Warguły?

– No jak nie odprawiał, to nie, bo w niedzielę był młody. Znaczy, że proboszcz w niedzielę odpoczywał. I dopiero dziś, jak ja tu weszła, to ja onego znalazła. No i masz ci los. Już się nie obudzi.

Do pokoju wszedł uśmiechnięty od ucha do ucha Anastazy Olkiewicz. Wraz z nim do wnętrza wsunęła się aromatyczna smuga dymu z papierosa, którego przygryzał w zębach. Nie wyciągnąwszy go nawet, podszedł do oficera i zasalutował do ronda kapelusza.

– Melduję, że siekiera się znalazła.

– Ha, a nie mówiłem! – ucieszył się Oskierko. – Mówiłem, że się znajdzie. Czyli nie sprawdziło się wasze przewidywanie. Porzucił ją...

– Melduję, że w żadnym wypadku. Dobrej siekiery się nie zostawia byle gdzie. I ten, co zabił księdza, też jej nie zostawił. Bo chciałem zameldować, że mamy siekiereę razem z tym gościem, co tej siekiery używał. Znaczy się chyba mordercę my złapali, tego, co nam o nim powiadał ten Cholewiak. A gość się nazywa Jörg Lehmann i mieszka tam, gdzie mówił Cholewiak, i tak jak zeznał, ten chłop kaszle na potęgę, znaczy jest suchotnik.

## Bydgoszcz

Godzina 3.30 po południu

Budynek dworcowy sprawiał dobre wrażenie. Był pomalowany na lekko żółtawy kolor, którego nazwy nigdy w życiu nie odnalazłby w zakamarkach pamięci, mimo że przecież w szkole powszechnej uczono go tablicy kolorów. Przyszło mu więc do głowy, że jest to bladożółty, który poszarzał pokryty patyną czasu.

Solidną bryłę gmachu dworcowego wieńczyły dwie wieże, przypominające nieco baszty warowni. W takim stylu budowało się dworce w całych Niemczech. Podobnie wyglądała stacja w Schneidemühl, gdzie zdarzało mu się wysiadać z pociągu, choć była znacznie mniejsza.

Fischer na podróż założył wygodny, ale elegancki popielaty garnitur, czarne trzewiki i kapelusz z szerokim rondem. W rękę niósł porządną, skórzaną walizkę, spiętą dla bezpieczeństwa dwoma pasami. Nie przewoził co prawda skarbów, ale zawsze takie solidne zabezpieczenie dawało



większą gwarancję, że złodzieje nie dobiorą mu się do bagażu podczas jazdy, gdy zmruży oczy.

By wydostać się na zewnątrz obszaru kolejowego, komisarz musiał wejść do dworcowego tunelu, wyłożonego białymi kaflami z dodatkiem pasa w kolorze głębokiej, butelkowej zieleni. Zarówno płytki na ścianach, jak i te podłogowe, z wyżłobieniami mającymi zapobiegać ślizganiu się, wyprodukowano w słynnej fabryce Villeroy&Boch.

Z tunelu droga wiodła na plac rozciągający się przed dworcem. Fischer miał nadzieję, że znajdzie tam dorożkę. W zasadzie mógł iść pieszo, bo sprawdził na planie miasta, że hotel Pod Orłem, w którym zarezerwował pokój, jest całkiem niedaleko. Ale pogoda nie sprzyjała spacerom. Nabrzmiałe chmury zwiastowały deszcz, który mógł spaść w każdej chwili, więc nie zamierzał ryzykować zmoczenia garderoby.

Trzygodzinna podróż z Poznania do Bydgoszczy nie była zbyt męcząca czy uciążliwa, a Fischer należał do tych pasażerów, na których równomierny stukot kolejowych kół działa jak środek nasenny. Nic więc dziwnego, że przespał niemal całą drogę, od czasu do czasu zastanawiając się nad tym, co go też czeka w tym mieście, w którym wcześniej bywał tylko przejazdem. Teraz miał spędzić tu kilka najbliższych dni. Przyjechał, bo takie polecenie przekazał mu jego przyjaciel Mikołajewski, gdy zrelacjonował ostatnią rozmowę ze swoim byłym niemieckim dowódcą Böhmem.

– Przecież pan nie może być zadowolony z tego, jak pana tu traktują – stwierdził Böhm, uśmiechając się chytrze. Fischer spojrzał na niego zdumiony.

– Nie bardzo rozumiem, o co panu chodzi, panie majorze?

– Pułkowniku – poprawił go były dowódca. – Teraz już pułkowniku, drogi kapitanie. Jest pan kapitanem, jeśli idzie o stopień wojskowy, a w policji zaledwie komisarzem. U nas byłoby to nie do pomyślenia, żeby człowiek takich talentów jak pańskie był w taki sposób traktowany przez swoich przełożonych.

– Naprawdę, nie bardzo wiem... – Chciał jeszcze zaprzeczyć, ale Böhm nie dał mu dojść do słowa, uśmiechając się przy tym przyjaźnie.

– Drogi panie Anthonie, pan wybaczy tę poufałość, ale znamy się przecież tyle lat, więc możemy sobie oszczędzić jakiegoś kluczenia i jak starzy wojskowi uderzać prosto do celu. Otóż wracając do kwestii zasług, to można powiedzieć, że jest pan prawdziwym frontowym bohaterem. Wszak to z Wielkiej Wojny przywiózł pan dwa Żelazne Krzyże nadane za wyjątkową odwagę. Ten drugi to już w ogóle coś niepojętego, czego nie zrozumie żaden człowiek, który na wojnie nie był. Chcąc uratować zwykłego gefrajtra, który tracił przytomność, nawdychawszy się gazu bojowego, założył mu pan własną maskę przeciwigazową, żeby mógł dojść do siebie. To niebywały wyczyn, godny naszych germańskich herosów. I to dla zwykłego żołnierza takie poświęcenie. Ale ja śmiem przypuszczać, że ten pański ówczesny gest miał jakiś głębszy sens. Uratował pan wtedy człowieka, który dziś może uratować Niemcy! Ja widzę w tym pańskie wielkie przeznaczenie.

– Nie zrobiłem nic niezwykłego – stwierdził skromnie Fischer, sięgając po filiżankę z kawą.

Siedzieli w gabinecie jego mieszkania przy Matejki. Böhm pojawił się w jego domu, niemalże wpraszając się na wieczór i jak sam to powiedział, na rozmowę o dawnych czasach. Nie

mógł odmówić kierownikowi niemieckiej delegacji, ale zaznaczył, że gość nie może liczyć na żadne luksusy, ponieważ dom stoi pusty. Jak to w okres wakacyjny bywało, żona siedziała na wsi niedaleko Schneidemühl, w niewielkim majątku, który otrzymała w spadku po swoim wujku. Dwójka ich dzieci spędzała ten czas z matką, a on jak zwykle musiał zajmować się sprawami służbowym, a te nie pozwalały na myślenie o wiejskim *dolce far niente*<sup>[31]</sup>. Miał nadzieję, że uda mu się wyrwać z Poznania na ostatni tydzień sierpnia, by dołączyć do rodziny i potem wrócić wraz z nimi.

Wieczorny gość musiał się więc zadowolić tym, co oferowała skromna kuchnia słomianego wdowca, czyli kawą zaparzoną w dużym dzbanku i koniakiem, którego zapas jak zawsze stał w kredensie. Böhm oświadczył, że jako stary żołnierz przyzwyczajony jest do spartańskich warunków, a kawa i koniak, doprawione dymem z cygar, mogą tylko przypomnieć im obu dawne czasy. Fischer pomyślał, że aby odtworzyć tamte warunki, musieliby jeszcze zanurzyć się w beczce gówna, ale jako człowiek delikatny zostawił ten sarkazm dla siebie. W końcu Böhm jako oficer sztabowy nigdy nie leżał z nim i jego ludźmi w błotnistej mazi wypełniającej okopy.

– I tu się pan myli. Można by powiedzieć, że w pewnej chwili miał pan w swoich rękach losy całych Niemiec. Co ja mówię, może nawet całego cywilizowanego świata. Bo niech pan spojrzy na to z drugiej strony. Gdyby wtedy nie dostrzegł pan umierającego gefrejtra i wrócił do okopu... Albo gdyby pan go dostrzegł i nie miał odwagi zdjąć maski, by dać mu szansę na ożywczy oddech? Z pańskiej perspektywy nic by się nie zmieniło. Ów goniec kompanijny skonałby w leju po artyleryjskim pocisku, a pan, nawet nie wiedząc o jego

śmierci, żyłby sobie dalej odznaczony tylko jednym Żelaznym Krzyżem. I tak byłby pan bohaterem wojennym, bo przecież odznaczano pana za wojnę z bolszewikami. Z tego, co wiem, dostał pan Virtuti Militari i Krzyż Walecznych. No więc wszystko wyglądałoby tak jak teraz. Tyle że na świecie nie byłoby jednego wybitnego człowieka. Tego, który niedługo wyprowadzi Niemcy z chaosu i sprawi, że ten kraj stanie się europejską potęgą.

– Przecenia pan moją rolę, pułkownika.

– Wcale nie, wcale nie, panie kapitanie. Wszak historię budują wybitne jednostki, Aleksander Macedoński, Juliusz Cezar, Napoleon Bonaparte i ci wszyscy, którzy potrafią porwać za sobą miliony. Ludzie tacy jak nasz pan Hitler. Słuchał pan kiedyś jego przemówień? To prawdziwy demiurg hipnotyzujący słuchaczy. Musi pan go kiedyś koniecznie posłuchać...

Böhm przerwał i sięgnął po kieliszek koniaku. Upił solidny łyk, a potem chwycił cygaro odłożone do popielniczki. Fischer podał mu ogień.

– Niezbyt często zastanawiam się nad historią, panie pułkownika – odezwał się gospodarz, wykorzystując moment ciszy. – Żyję tym, co dzieje się wokół. Sprawy zwykłych małych ludzi są dla mnie tym, co przyciąga moją uwagę i sprawia, że ruszam do działania.

– I w tym jest całe zagadnienie, panie kapitanie. Pan nie może przejść obojętnie wobec krzywdy ludzkiej. To pańska wrażliwość kazała pomóc Hitlerowi, który dusił się na polu walki, ta wrażliwość każe panu zajmować się sprawami krzywdzonych ludzi i szukać sprawiedliwości, łapiąc przestępców. Ktoś taki jak pan w Niemczech już by był na dyrektorskim stanowisku. Ja bym pana widział na

Alexanderplatz[32], w dyrektorskim gabinecie. A tu, co pan robi w tym kraju, panie Fischer?

– Jestem u siebie – odpowiedział stanowczo, jednocześnie lekko się uśmiechając. Wiedział doskonale, że Böhm próbuje go urobić, jak garncarz kawałek gliny, z której wkrótce ulepi uchwyt do garnka, a później będzie można za niego łapać i ciągnąć w każdą stronę zgodnie z wolą właściciela. On chciał go najwyraźniej kupić, opowiadając o tych wszystkich zasługach.

– Pan jest u siebie i tu, i tam. To wszystko dookoła to miejsce, do którego pan przynależy. Ale to miejsce zależnie od perspektywy, którą się przyjmie, różnie można nazwać. Dla jednych to Polska, dla innych to Niemcy.

– Dla mnie nazwa zawsze jest taka sama – rzucił Fischer.

– Jaka to nazwa, panie kapitanie?

– To jest mój *Vaterland* – powiedział i zaraz dostrzegł, że jego rozmówca spogląda na niego z nieukrywanym podziwem.

– Myślę, drogi panie Anthonie, że wiele pan może osiągnąć, bardzo wiele. Życie mamy tylko jedno, więc trzeba wsłuchać się w sygnały, jakie daje nam świat, i odpowiedzieć na ten skierowany specjalnie do nas. Czeka pana wielka przyszłość!

– Pan Antoni Fischer? – Z zamyślenia wyrwał go głos młodego człowieka o krótko ostrzyżonych włosach, ubranego w szary, letni garnitur. W lewej dłoni trzymał modny kapelusz typu fedora, prawą zaś wyciągał ku Antoniemu.

– Tak, a z kim mam przyjemność?

– Jestem porucznik Rybacki. – Uścisnęli sobie dłonie, a Fischer z satysfakcją stwierdził, że porucznik uścisk miał mocny i zdecydowany. – Pozwoliłem sobie wyjechać po pana. Wzięłem dorożkę, żeby nie musiał pan niepotrzebnie dźwigać

bagażu, ale widzę, że zabrał pan tylko najpotrzebniejsze rzeczy.

– Taki wojskowy nawyk – stwierdził policjant. – Wie pan, żeby dużo nie pakować w czasie odwrotu.

– Proszę się nie obawiać. Tu, w centralnej Polsce, może się pan czuć całkowicie bezpiecznie. Pojedziemy najpierw do naszej siedziby, żeby poznał się pan z naszymi ludźmi. Kapitan Żychoń będzie obecny dopiero wieczorem. Urzędujemy w wynajmowanym mieszkaniu, ale podobno mają nas przenieść niedługo do czegoś znacznie godniejszego, tym bardziej że potrzeby są duże, a w zasadzie to coraz większe.

Powiedziawszy to, wskazał dorożkę stojącą przy krawężniku. Wąsaty woźnica obrzucił obu niechętnym spojrzeniem. Ciekawe, jak to jest, że w każdym mieście dorożkarze wyglądają tak, jakby pracowali za karę, pomyślał Fischer. A może ten akurat wyczuł, że skoro przyjechał tu gość z Poznania, to raczej nie ma się co spodziewać jakiegoś ekstrazarobku?

Woźnica poczekał, aż pasażerowie usadowią się na kanapie, chwycił lejce w dłonie i cmoknął na szkapę, która w odpowiedzi prychnęła głośno.

– No, starucha, jademy! Ino mi nie bręcz, a ruszej girami, bo wiara ni mo czasu na ksiuty!

Nigdy bym nie przypuszczał, że w Bydgoszczy mówi się po poznańsku, pomyślał komisarz, usłyszawszy, jak dryndziarz zwraca się do swojej starej kasztanki.

## Schneidemühl

Godzina 4.10 po południu

Od rana padał deszcz, więc żołnierze zajmowali się dziś czyszczeniem broni i własnego wyposażenia. Nikt w deszczowy dzień nie miał ochoty na zajęcia z musztry czy tym bardziej na ćwiczenia taktyczne na pobliskich łąkach, choć takie przydają się od czasu do czasu rekrutom, bo dzięki nim nabierają hartu ducha i ogólnej sprawności.

– Nic tak nie cieszy podoficerskiego oka, jak widok szeregowców czołgających się w błocie. – Lubił powtarzać oberfeldwebel Klutschka, kiedy jeszcze nie był intendentem, ale zwykłym unteroffizierem. – Słuchajcie, wy kundle zasrane, im więcej potu wylejecie na ćwiczeniach, tym mniej krwi waszej później popłynie na prawdziwej wojnie. A ta wybuchnie prędzej, niż się spodziewacie, bo przecież ta nasza, którą niby to przegraliśmy, wcale się nie skończyła. Jeszcze wyrównamy rachunki z Francuzami, więc ćwiczcie, zasrańcy, aż wam pot będzie zalewał oczy – mawiał wtedy do swoich żołnierzy Klutschka. Ale od trzech lat nie miał okazji tak się zwracać do szeregowców, bo nie ćwiczył już nikogo na poligonie. Teraz od takich spraw byli inni, a on zajmował się kwestiami organizacyjnymi i robił to z prawdziwą pasją i oddaniem.

– Więc tak, pojedziesz do sklepu meblowego Güntera Hellwiga na Kleine Kirchenstraße, wiesz gdzie? Przy skrzyżowaniu z Nowym Rynkiem. I tam ci zapakują ciężarówkę meblami. Zabierzesz, ile wlezie, a jak wszystkiego nie da się zmieścić na pace, to będziesz musiał pojechać jeszcze raz.

– A co to za towar? – zapytał kierowca ciężarówki, unterfeldwebel Herman Gruschka, zastępca szefa kompanii transportowej, której podlegały wszystkie samochody należące do pułku i stacjonujące w tych koszarach. Był dobrym

szoferem, doskonale sprawdzającym się za kierownicą, dlatego Klutschka brał go do swoich tajnych robót. Poza tym miał jeszcze jedną, istotną cechę, był człowiekiem dyskretnym i nikomu nie opowiadał o tym, jakie interesy robią na boku. Milczał, bo zdawał sobie sprawę, że gadatliwość może ukrócić ich działalność, a to nikomu by się nie opłacało.

– Towar jak towar, nie nasza sprawa. – Klutschka wzruszył ramionami. Co go mogło obchodzić, jakie meble będzie chciał przewozić Hellwig. – Niech przewozi szafy i stoły albo krzesła, albo diabli wiedzą, co tam jeszcze chce. To nie nasz interes. On i jego ludzie pakują ci do auta wszystko, co potrzebują, a ty siedzisz sobie za kierownicą i palisz papieroski. A jak skończą, to dwaj pracownicy meblarni pojedą z tobą pod wskazany adres i tam te graty wyładują. A ty nawet palcem nie kiwniesz, bo żeś nie jest od noszenia, ale od jeżdżenia. A jak już będzie po wszystkim, to ten meblarz ci zapłaci do ręki za kurs, a ty po powrocie odpalasz mi połowę, a drugą wkładasz se do kieszeni i idziesz na piwo. Co, jak ci się to podoba?

– Uczciwie. – Kierowca pokiwał z uznaniem głową. – Czyli z ręki do ręki i po zabawie?

– Tak jest ustalone. – Intendent przytaknął i klepnął Gruschkę w ramię. Ten odwrócił się na pięcie, chwycił klamkę i już miał wyjść z magazynu, gdy usłyszał za plecami głos starszego stopniem kolegi:

– Poczekaj, bobym zapomniał! – zawołał oberfeldwebel. – Mam tu coś jeszcze dla Hellwiga.

– Niby co?

– On jest strzelcem. Znaczy się strzela ze swojego pistoletu, bo chodzi na strzelnicę. No wiesz, lubi sobie postrzelać, no to ja mam dla niego prezent.



Otworzył szufladę biurka, zajrzał do środka i zaraz wydobył z niej kartonowe pudełko.

– To są naboje? – zapytał na wszelki wypadek Gruschka, choć doskonale wiedział, co przechowuje się w takich podłużnych paczuszkach.

– No tak. Naboje do lugera. Weź i daj mu tę paczkę. No wiesz, to taki prezent na dobry początek współpracy. Bo jak dobrze pójdzie, to on będzie nas ciągle wynajmował. Jego stolarnia nie ma jeszcze swoich aut meblowych, a coraz więcej produkują, więc będą potrzebować transportu. A teraz, gdy mamy stały rozkaz wyjazdu w sprawach budowlanych, to trzeba to wykorzystać, nie?

– Racja. – Gruschka wziął paczkę i włożył ją do kieszeni. Nie widział niczego złego w tym, że dzięki dostępowi do naboji można ułatwić wzajemne relacje handlowe drobnym prezentem. A czego jak czego, ale amunicji do pistoletów i innego rodzaju akcesoriów mieli tu pod dostatkiem.

– Tylko nie zapomnij mu dać – pouczył go Klutschka.

– Spokojna głowa. Jak mi tylko zapłaci, ja dam mu naboje. Niech se chłop postrzela trochę!

Gruschka wyszedł z kantorka, a Klutschka zatarł dłonie. Był z siebie bardzo zadowolony, bo w ten oto sposób piekł dwie pieczenie na jednym rożnie. Przede wszystkim zaczął robić interesy w branży meblowej, a w Schneidemühl było kilka stolarni. Miał nadzieję, że wojskowe ciężarówki będą wkrótce rozwozić towar dla innych producentów. A to pozwoli im sporo zarobić. Była jeszcze jedna kwestia, w której potrzebny był mu Hellwig. Chodziło o sprawę rozliczenia z tym Polakiem, który dostarczył mu cement.

Gdy rozmawiali w restauracji nad jeziorem, ten zaproponował mu, że jego szefostwo może poczekać i odroczyć

terminy płatności pod warunkiem, że dostanie coś w zamian. Mogą to być jakieś wojskowe papiery, które w Polsce będzie można dobrze sprzedać. No i Klutschka wpadł na pomysł, że może mu zaoferować plany budowy stacji nasłuchowej.

– Budujemy taki punkt w lesie, z którego będzie się prowadzić nasłuch radiostacji. I ja mam dostęp do planów – wyjaśnił Niemiec. Polak wzruszył ramionami.

– Ja tam się na tych wszystkich dokumentach nie wyznaję, ale są tacy, co za takie kwity dobrze płacą. No i dlatego możemy spróbować. Tyle że trzeba to zrobić niezwykle starannie. Znaczą się, jak są jakieś plany, to trzeba je sfotografować, stronę po stronie. Umiesz robić fotografie?

– Oczywiście. Mam nawet swój własny aparat marki Leica. Zrobię zdjęcia i przekażę błonę fotograficzną komuś, kogo wskażesz.

– Szkoda, że nie masz planów jakiegoś tanka, ale co tam, może być stacja radiowa na sam początek.

No i Klutschka musiał stanąć na wysokości zadania. Trzy godziny temu zameldował się u majora Wittelbacha.

– Ja względem tych papierów, co to trzeba z nich zrobić wykaz materiałów – wyjaśnił cel swojego przybycia.

– A tak, w porządku. Tyle że ja idę zaraz na obiad do kasyna, więc będziecie sobie musieli radzić sobie sami – wyjaśnił major. Wyciągnął z kieszeni pęk kluczy, włożył jeden do kasy ogniotrwałej, przekręcił dwa razy i drzwiczki się otworzyły. Nie była to jakąś specjalnie skomplikowana kasa pancerna, bo nie miała nawet cyfrowego zamka. Tu wystarczył jeden klucz.

Major wydobył niebieską papierową teczkę i położył ją na biurku.

– Możecie z niej korzystać tutaj, bo wynosić nie wolno. Ale po co mielibyście wynosić? Róbcie sobie notatki, a po tym, jak zakończycie, włóżcie z powrotem do kasy ogniотrwałej, zamknijcie tym kluczem – odczepił jeden klucz z pęku – a potem idźcie na dół do podoficera dyżurnego i mu oddajcie. A, i powiedzcie, że żeście skończyli pracę, to on tu przyjdzie i zamknie drzwi od pokoju. Macie jakieś pytania? Widzę, że nie macie. Zresztą co niby bym miał wam mówić? Sami wiecie lepiej, na czym polega wasza robota. To ja już idę do kasyna, bo mi tam wszystko zjedzą...

Klutschka wyciągnął z kieszeni papierosa, zapalił i podszedł do okna. Po chwili dojrzał majora, jak przebiega przez plac apelowy. Deszcz właśnie przestał padać, więc nie zmoknie, idąc do kasyna, które położone było w niewielkiej willi przy Brombergstraße. Zajdzie tam w jakieś dwadzieścia minut. Obiad będzie jadł zapewne około godziny, a jeśli znajdzie kogoś, z kim będzie mógł porozmawiać, to na pewno zajmie mu to dłużej, jakieś dwie godziny. A potem może wrócić do koszar, a może nie będzie mu się już chciało? A to oznaczało, że on tu w tym jego biurze ma sporo czasu na swoją robotę. Ale najważniejsza była pierwsza godzina, bo to ten czas, kiedy na pewno major nie wróci. Trzeba więc było działać szybko.

Otworzył teczkę i wydobył z niej plany budowlane narysowane na złożonych na czworo arkuszach kalki technicznej. Rozłożył projekt na blacie biurka i na wszelki wypadek włączył jeszcze lampkę, żeby doświetlić rysunek. Gdy uznał, że ekspozycja jest taka, jak być powinna, wyciągnął ze swojej podoficerskiej skórzanej torby niewielki aparat fotograficzny. Szybko ustawił przesłonę i czas naświetlania, a potem zrobił zdjęcie, jedno i dla pewności drugie. Czynność tę powtórzył piętnaście razy, bo tyle było arkuszy projektu.

Skończywszy, schował aparat do torby i spojrzął na swój ręczny zegarek. Od chwili wyjścia z pokoju majora Wittelbacha minęło dokładnie trzydzieści siedem minut.

– No i co, wszystko załadowane? – Gunter Hellwig zapytał swoich dwóch pomocników, którzy przez ostatnią godzinę ładowali na wojskową ciężarówkę nowiutkie meble zamówione przez pewnego lekarza, który w najbliższych dniach zamierzał sprowadzić do nowego mieszkania swoją rodzinę z Berlina. W sklepie meblowym Hellwiga kupił więc wszystko, co było mu potrzebne do szczęścia domowego, a właściciel wytwórni mebli musiał mu towar dostarczyć. Dlatego ten był wdzięczny losowi, że zetknął go z Klutschką. Dzięki temu będzie mógł korzystać z taniego i wygodnego transportu samochodowego, żołnierze zarobią, a dodatkowo jeszcze będzie mógł przysłużyć się swoim znajomym z Polski.

– Załadowane, panie Hellwig – potwierdził wysoki i barczysty Dieter.

– To pojedziecie teraz z panem kierowcą na Brombergstraße sześćdziesiąt jeden i wniesiecie wszystko na pierwsze piętro.

– Tak jest – potwierdzili obaj i ruszyli na ulicę, gdzie stał zaparkowany samochód. Gospodarz skinął palcem na żołnierza siedzącego na krześle i czekającego na swoje pieniądze. Ten podszedł do kontuaru, za którym stał Hellwig. Meblarz podał mu kilka banknotów. Gruschka natychmiast schował je do kieszeni, z której wydobył pudełko z nabojami. Położył je na kontuarze, skinął głową i wyszedł. Hellwig otworzył kartonik, przerywając papierową szarą taśmę. Zajrzał do środka i uśmiechnął się. Wszystko się zgadzało. Wewnątrz było czternaście naboji do parabellum. Zamiast piętnastego była opakowana w czarny, nieprzepuszczający światła papier

klisza fotograficzna. Przynajmniej wiedział, że powinna tam być, ale nie zamierzał tego sprawdzać i rozwijać jej z obawy o naświetlenie. Niech to zrobią w Polsce w atelier fotograficznym. A on musi tylko zadbać, by film trafił do odpowiednich rąk. To nie będzie trudne, bo za chwilę pojedzie motocyklem do Usch, które po drugiej stronie granicy nazywa się Ujście. Tam przekaze paczkę naboju znajomemu kolejarzowi, ten przetransportuje ją jeszcze dziś do Poznania, a na miejscu zanieśli pod umówiony poznański adres i zostawi odbiorcy. Kurier kolejarz nie ma zielonego pojęcia, co przewozi, ale wie, że to nie jakaś tania kontrabanda, ale ważna przesyłka. Hellwig robił to wszystko bardzo chętnie, bo mimo niemieckiego imienia i nazwiska był Polakiem i polskim patriotą, więc jeśli mógł przysłużyć się swojemu krajowi, robił to bez zadawania niepotrzebnych pytań.

## Poznań

Godzina 4.15 po południu

Olkiewicz podrapał się po głowie. Skoro ten facet zabił księdza, to czemu został w domu, dlaczego nie uciekł? Przecież wiadomo, że każdy przestępca po popełnieniu zbrodni natychmiast daje nogę. A ten co zrobił? Zabił, okradł i najzwyczajniej w świecie poszedł się napić? Nachlał się i padł na łóżko, tak żeby policja mogła go sobie zgarnąć?

– Coś to mi nie gra w tym wszystkim – stwierdził Anastazy głośno, tak żeby aspirant Walenty Oskierko mógł usłyszeć. Ten tymczasem zajmował się przesłuchiowaniem stróża. Ciec z dużym oddaniem starał się wyjaśnić wszystkie okoliczności.

A wynikało z nich, że w zasadzie to on nic nie wie i niczego nie widział, chociaż jakby widział, to oczywiście zaraz by wszystko panom policjantom wyśpiewał.

– Jak Boga kocham, że ja nic nie widziałem, bo spałem. W nocy to ja śpię, ale sen to mam czujny i w razie czego się budzę. Bo to pan aspirant wiedzą, jak to w kamienicy. Za dnia każdy przez bramę se przejść może, bo takie jego prawo. Ale na noc to się kamienicę zamyka, żeby byle łachudra nie wlaźła w podwórko i nie naszczała. Bo te gnoje pijane łażą po ulicy i tylko patrzą, gdzie by się tu odlać – wyjaśniał stróż Kulas Antoni.

Olkiewicz nie widział ani stróża, ani Oskierki, bo ci byli w tej chwili w kuchni. Zostawił ich i poszedł do pokoju, gdzie na łóżku spał nieprzytomny gospodarz. Anastazy słyszał jednak każde słowo i w zasadzie był przekonany, że stróż rzeczywiście niczego nie zauważył, tym bardziej że czuć było od niego wódą na kilometr, jakby właśnie wrócił ze zmiany w gorzelni. Facet, który chleje przez cały dzień, w nocy musi się wyspać i dlatego wywiadowca był skłonny uznać, że mężczyzna nie miał zielonego pojęcia o niczym.

– Co wam nie gra? – zapytał Oskierko.

– Wszystko mi gra, panie oficerze – odpowiedział szybko cieć.

– Nie was pytam? Przodowniku, słyszycie?

– Słyszę.

– To co? – chciał się dowiedzieć oficer.

– To ja już mogę se iść? – domyślił się Kulas, gdy rozmowa przestała go dotyczyć.

– Nie możecie. Siedzieć i nie gadać! – polecił aspirant. – Czyli że co? – ponaglił Olkiewicza. Oskierko nie był policjantem z krwi i kości, ale brak wiedzy nadrabiał entuzjazmem. I dobrze wiedział, że uczyć się trzeba od fachowców. Kimś

takim niewątpliwie był Olkiewicz ze swoim dziesięcioletnim doświadczeniem wywiadowcy.

– Czyli że po pierwsze stróż nic nie widział w nocy, bo spał nachlany.

– Ja! Nigdy w życiu! Pod Bogiem...

– Zamknąć się! – krzyknął Oskierko i stróż posłusznie zamilkł.

– To jest pijanica, co chleje codziennie. Niech pan aspirant go powącha. Śmierdzi jak szczur, co pływa w kadzi z zacierem.

– Jak Boga...

Znów chciał coś powiedzieć, ale ostre spojrzenie oficera sprawiło, że pozostał z rozdziawioną gębą.

– Znaczy się, że jeśli ktoś przychodził tu w nocy, to on nawet tego nie wiedział. A wie pan czemu? Bo brama była otwarta.

– Zamknięta! – zaprotestował stróż.

– On wcale nie zamyka bramy, ino idzie spać, jak se sprawi śrubę, znaczy po południu. Dlatego w bramie tak śmierdzi, bo szuszwale nachlane z okolicy wiedzą, że w tej kamienicy można się odlać. To po pierwsze primo, panie aspirancie odnośnie zapijaczanego ciecia. A po drugie primo, w kwestii tego, co tu leży w pokoju, nieprzytomny pijany gnojek jest na miejscu i nie uciekł. I to właśnie jest najbardziej podejrzane – wyjaśnił Olkiewicz, spoglądając na posapującego faceta, ubranego w brudne kalesony i zakrwawioną podkoszulkę. Leżał odkryty z rękoma złożonymi jak do modlitwy, wciśniętymi pod policzek. Był tak pijany, że nie wiedział o bożym świecie i nie reagował na żadne tarboszenie ani krzyki nad głową. Olkiewicz nie mógł wybudzić śpiącego właściciela siekiery znalezionej w jego kuchni, w wiadrze na węgiel. Krwawe ślady na ostrzu mówiły same za siebie. Ale i to wydało się Olkiewiczowi podejrzane i nazbyt oczywiste.

– Melduję posłusznie, że przyprowadziłem babę! – Usłyszał głos posterunkowego Zenona Rzepy. W śledztwie dotyczącym świętokradztwa Rzepa uczestniczył od samego początku, więc jako dobrze zorientowanego w sprawie Oskierko wziął go do pomocy, gdy dziś rano dowiedzieli się, że ksiądz, ten od obrazu, był całkowicie i nieodwracalnie pozbawiony życia. Gdy przyszli tu do tego domu, Oskierko kazał posterunkowemu przesłuchać sąsiadów na okoliczność tego, co widzieli i słyszeli, ale nie spodziewał się jakichś rewelacji.

– A co to za baba? – zapytał aspirant. Tymczasem Olkiewicz szturchnął jeszcze raz śpiącego złoczyńcę, który najwyraźniej nie miał się ochoty obudzić. Postanowił więc zastosować bardziej radykalne metody. W tym celu musiał się jednak udać do kuchni. Wszedł do środka i w przejściu natknął się na posterunkowego i grubą kobietę w fartuchu i chustce na głowie, związanej po miastowemu ponad czołem.

– Baba mieszka tu, wew suterynie – wyjaśnił posterunkowy.  
– No powiedzcie, coście widzieli? – Szturchnął ją w bok łokciem. Chyba za mocno, bo odskoczyła od niego jak oparzona.

– Jak się nazywacie? – zapytał spokojnym głosem Olkiewicz, bo wiedział, jak z takimi trzeba postępować. Najpierw trzeba było przestraszonej kobiecie pozwolić wejść na twardy grunt. A imię i nazwisko to było coś, co znała na pamięć i dzięki temu mogła się skupić na odpowiedzi.

– Janina Gałązkowa jestem, jak Boga kocham...

– Wy mi tu z Bogiem nie wyjeżdżajcie, ino gadajcie, co żeście widzieli w nocy – ponaglił ją wywiadowca. Oskierko tymczasem usiadł na taborecie przy oknie i sięgnął po papierosa. Zapalił i zaciągnął się dymem, czekając, aż Olkiewicz wydobędzie z kobiety jakieś zeznanie. Sam nie



bardzo rwał się do jej przesłuchiwania, bo rozmowy z takimi prostakami niespecjalnie mu wychodziły. On mógłby dyskutować o literaturze albo filozofii, od biedy nawet o geografii, choć tu nie czuł się szczególnie dobrze, ale te wszystkie kwestie, czyli: kto co, jak i dlaczego były zbyt trywialne i tu zdecydowanie wolał oddać pole Olkiewiczowi. Wywiadowca znajdował wspólny język z ludźmi z nizin, którego nie rozumiał ani nie chciał się nauczyć Oskierko.

– W nocy to ja spałam se. Ja zawsze śpię w nocy. No i chyba że mnie co zemgli albo jak. No i jak spać nie dają rady, to nie śpię.

– A w sobotę to nie daliście? – domyślił się Olkiewicz.

Baba pokręciła głową.

– Najsampierw to nie, znaczy się tak, znaczy, że poszła ja spać, a potem się obudziła, bo mnie w brzuchu burczało. A jak burczy w brzuchu, to trzeba zleźć z wyra i iść się wypróżnić, bo inaczej ze spania to już nic nie będzie.

– I poszliście?

– No i poszłam.

– A dalej?

– Dalej to siedziałam i takie tam...

– Dobra, bez szczegółów – upomniał ją przesłuchujący.

– No i jak już świtało, to ten Jörg przylazł z czymś pod pachą. Co dokładnie to było, tom nie widziała, bo ta dziurka, co przez nią można szpicować[33] na podwórko, to taka mała, ale jakem go zobaczyła, tom przyłożyła ślepie i patrzę, a to on. I jeszcze do tego idzie i cherla jak zwykle. No tom już wiedziała, że to jest Jörg. I niósł taką płaską paczkę.

– Jak obraz? – podrzucił jej Olkiewicz.

– W rzeczy samej jak obraz, i siekierę w łapie jeszcze miał. Tom nawet się zdziwiła, że po nocy z siekierą łązi, ale co mnie

do tego. Ja innym do zupy nie zaglądam, to nie wiem co...

– I co zrobił? – Policjant skierował ją na właściwą ścieżkę.

– I dalej zrobił... tyle że nakaszłał i polazł na górę. No i wtedy już poszła ja do siebie. Ale potem to ja zobaczyła jeszcze coś. Znaczą się już za dnia wyszła wew południe do kościoła, jak to w niedzielę się należy. I wtedy ja zobaczyła, jak ten Jörg znowu z tym pakunkiem stoi pod chatą na chodniku i się rozgląda. No to przeszła ja na drugą stronę, tam pod zakład fotograficzny, i se patrzę, na co on tak czeka. I naraz podjechał taki czarny samochód, a z niego wysiadł taki jeden obcy w garniturze, statecznie ubrany, i w kapeluszu, i jeszcze w rękawiczkach. W lecie, a w rękawiczkach, hi, hi. No i Jörg jemu dał ten pakunek, a ten elegant dał jemu jakąś małą paczuszkę, ale Jörg nie był zadowolony, bo chciał mu tą dużą paczkę odebrać, to ten go uspokoił, bo wyglądało tak, jakby się mieli pobić. Ale się nie pobili. Auto odjechało, a Jörg se poszedł gdzieś, a ja poszła po sprawunki. I tyle, znaczą się *fertig*.

Olkiewicz spojrział na aspiranta, ale ten pokręcił tylko głową. Nie miał więcej pytań do przesłuchiwanej sąsiadki, która okazała się bardzo przydatna w ich śledztwie. Wywiadowca wskazał więc jej palcem drzwi.

– To będzie na razie wszystko. Możecie już iść, Gałązkowa.

– No to z Bogiem – pożegnała ich i wyszła zadowolona, że tak szybko się z nią załatwili. A przodownik spojrział na stróża, który siedział nieruchomo przy kuchennym stole zastawionym brudnymi garnkami i flaszками po wódce i piwie.

– No to chcecie coś dodać w tej sprawie panie, Kulas?

– Zdaje mi się, że mogli mieć klucze dorobione do bramy... – zaczął wyjaśniać tonem oskarżonego niesłusznie, całkiem niewinnego człowieka.

– Spierdalajcie, Kulas, pókim dobry, bo coś mi się widzi, że do waszej kamienicy można wchodzić jak do obory! – Anastazy nie wytrzymał.

Stróż natychmiast wstał, nacisnął na głowę sfatygowaną maciejówkę i wyszedł pośpiesznie z mieszkania.

– I co sądzicie? – Oskierko spojrzał na Olkiewicza, podczas gdy ten zaczął przyglądać się garnkom. Wszystkie były puste albo zawierały jakąś zaschniętą maź. W końcu spojrzał na wiadro stojące przy piecu. Skrzywił się, bo wypełnione było do połowy śmierdzącymi resztkami i szczynami. Widać, właścicielowi mieszkania nie zawsze chciało się chodzić do wychodka. Wody w mieszkaniu nie było, a jedyny kran znajdował się na podwórzu. Czyli policjant nie miał innego wyjścia.

– W końcu ten pijany gnojek śpi już cały dzień – powiedział Olkiewicz, jakby chciał się usprawiedliwić.

Chwycił kubek z pomyjami i poszedł z nim do pokoju, gdzie na łóżku leżał rozłożony Lehmann.

– Ej ty, zasrańcu, wstajesz czy nie? – zapytał, ale nie doczekał się reakcji.

Uniósł wiadro więc obiema rękoma i wylał zawartość na głowę śpiącego.

Przez trzy sekundy nic się nie działo, ale naraz do świadomości pijaka dotarła przez sen informacja niepokojąca i jednocześnie trzeźwiąca natychmiast. Przyśniło mu się bowiem, że wpadł do wychodka i zaczyna się topić. Więc jak każdy topiący się człowiek zaczął machać rękoma i nogami, potem otworzył usta, by zaczerpnąć powietrza, i to sprawiło, że zaczął kaszleć. Wykaszlawszy się, otworzył oczy i naraz dostrzegł stojącego nad nim i trzymającego się pod boki człowieka z sumiastymi wąsami i w meloniku na głowie.

Okrągła twarz była uśmiechnięta, przez co wydawała się przyjazna.

Spojrzał na policjanta i zrobił to, co powinien był zrobić w tym momencie. Poderwał się i uderzył go z byka, a gdy ten padł, wbiegł do kuchni, powalił kolejnego zaskoczonego policjanta patelnią, która stała na piecu, i wybiegł na schody. Gdy był na podwórku, z okna rozległy się pistoletowe strzały, ale żadna z kul nie go dosięgła. Po chwili zniknął w podcieniu bramy, która jak zawsze była otwarta.

[30] Klara (gwar.) – słońce.

[31] *Dolce far niente* (włos.) – słodkie nicnierobienie.

[32] Na Alexanderplatz w Berlinie mieściło się Prezydium Policji.

[33] Szpycować (gwar.) – podpatrywać, podglądać.



# Rozdział VII

## Bydgoszcz

Godzina 6.30 wieczorem

– A wie pan, że w czerwcu dwudziestego pierwszego roku to był tu sam pan marszałek Piłsudski – powiedział portier z wyraźną dumą w głosie. Mężczyzna ubrany w zieloną kamizelkę, założoną na białą koszulę, miał starannie zaczesane do tyłu włosy, pociągnięte brylantyną. Na dłoniach nosił białe rękawiczki.

– Tak, wiem. Czytałem o tym w gazecie. W Poznaniu też był.

– A nie o to się rozchodzi, znaczy się o miasto, ale o miejsce. Tu był, w naszym hotelu. Zorganizowano uroczysty raut. Powiadam panu, ile znakomitości się tu zjechało. I wszystkie fiske z władz miasta. Nawet ci, co urzędują na rynku w ratuszu. A jakie jedzenie, po prostu poezja. Pamiętam jak dziś, bo wtedy byłem jeszcze hotelowym boyem.

– Tak to bywa na rautach. – Fischer pokiwał głową i jednocześnie poczuł, że jest głodny. To jedzenie, o którym mówił portier, sprawiło, że naraz przypomniał sobie ostatni posiłek zjedzony rano w Poznaniu. Owszem, miał ze sobą dwie bułki z szynką i butelkę oranżady, kupione w bufecie na dworcu przed samym wyjazdem, no ale to były tylko przekąski. Teraz pora była już taka, że trzeba było pomyśleć

o jakiejś kolacji. Musiał powiedzieć o tym temu sympatycznemu porucznikowi, który gdzieś się zawieruszył. Przyszedł z nim aż tu, do portierni, ale gdy Fischer zaczął rozmowę z młodym człowiekiem, gdzieś zniknął.

– To pan szanowny będzie łaskawy podać swoją godność?

– Oczywiście, Antoni Fischer. Piszemy przez „sch” – wyjaśnił na wszelki wypadek, bo niejednokrotnie zdarzało mu się, że gdy przebywał poza Wielkopolską, zapisywano go przez polskie „sz”.

– Ależ, szanowny panie, ja jestem z Bydgoszczy. My tu wszyscy chodziliśmy do niemieckich szkół. I ja mówię po niemiecku. Dlatego mam posadę w hotelu i mogę zapisywać gości w księdze, bo posługuję się językiem ludzi do nas przyjeżdżających z zagranicy – wyjaśnił portier z pewną dumą w głosie. Fischer z uznaniem pokiwał głową. Nie był to jednak ten rodzaj uznania przekładającego się na napiwek. Chłopak robił swoje, a za to Fischer nie płacił dodatkowo.

– Pański zawód?

– Urzędnik państwowy. – Nie miał w zwyczaju ujawniać, że jest policjantem. Takie rzeczy zachowywało się w tajemnicy.

– Ma pan pokój na drugim piętrze od strony podwórka, więc nie będzie słychać przejeżdżających tramwajów.

– O, bardzo to uprzejme – pochwalił recepcjonistę.

– Będzie pan uprzejmy złożyć autograf, o tu, w tym miejscu.

– Chłopak wskazał palcem rubrykę, gdzie należało się podpisać. Fischer z satysfakcją dostrzegł na białej rękawiczce niewielki ślad kleksa i uśmiechnął się pod nosem. A więc portier nie był doskonały. To ta niedoskonałość sprawiła, że pomyślał o nim cieplej i sięgnął do kieszeni. Gdy otrzymał drewnianą gruszkę z doczepionym kluczem, położył na księdze meldunkowej złotówkę, a młodzieniec natychmiast ją

zgarnął i schował. Być może w obawie, że jakiś starszy pracownik odbierze mu jego łup.

– Schody za szanownym panem – wyjaśnił. – I życzę przyjemnego pobytu w naszym pięknym mieście – dodał, gdy Fischer już się odwrócił. Od razu natknął się na porucznika Rybackiego.

– No właśnie, dobrze, że pana widzę, bo wie pan, że mam już pokój i w związku z tym...

– Szanowny panie komisarzu, proszę pójść do numeru, rozpląszyc się, umyć po podróży i zaraz potem zejść do restauracji. Za chwilę będzie tu kapitan Żychoń, który zaprasza pana na poczęstunek.

– O, to wybornie, bo zdaje się, że nieco zgłodniałem. W takim razie do zobaczenia za kwadrans.

Sala restauracyjna miała dwa skrzydła prowadzące na prawo i lewo od drzwi. To po prawej ozdobione były wielkimi oknami wychodzącymi na oświetloną neonami ulicę. Lewe kończyło się ścianą z obrazami przedstawiającymi jakieś pejzaże. Gdyby udać się na wprost, znajdowały się tam szerokie schody, wygrozdzone z dwóch stron drewnianymi pilastrami w stylu art déco. Można było wspiąć się po nich na antresolę zapewniającą znacznie więcej dyskrecji niż oba skrzydła dolnej sali. Tu stoliki były zapełnione ludźmi oddającymi się uciechom stołu i radości słuchania muzyki fortepianowej, dobiegającej z parteru, gdzie na niewielkim podwyższeniu stał czarny instrument, a przy nim siedziała piękna kobieta o czarnych włosach, obciętych krótko na pazia, z ustami mocno podkreślonymi karminową szminką. Ubrana po męsku we frak i spodnie, na stopach miała jednak jak najbardziej damskie szpilki. Grała płynnie i z polotem najnowszy



szlagwort Ordonki *Milongera*[\[34\]](#). To był tango, a słowa do niego napisał sam Julian Tuwim. Nie śpiewała jednak, a tylko grała samą melodię. Robiła to tak pięknie i przyjemnie dla ucha, że kilku mężczyzn siedzących nieopodal przy stolikach siedziało zasłuchanych, pogrążonych w zadumie i wpatrzonych w pianistkę jak w obraz.

– To nasza Paderewska – wyjaśnił, uśmiechając się szeroko, Rybacki.

– Że co? – W pierwszej chwili Fischer nie zrozumiał, o co chodzi. Zaraz jednak zreflektował się, że mowa o pięknej pianistce. Musiał zapatrzeć się w nią, podobnie jak ci, co otaczali ją wieńcem wielbiących spojrzeń, i przez chwilę zapomniał, gdzie jest i co robi.

– Gra jak sam mistrz. Nazywa się Anastazja Marks, ale występuje pod pseudonimem Roksana.

– Pięknie gra.

– Widać syreny wabiące Odyseusza jeszcze nie wyginęły całkowicie, choć niektóre zamiast głosów używają do zawracania z drogi żeglarzy instrumentów – skomentował jego chwilowe zauroczenie porucznik. – Trzeba na nią uważać, komisarzu.

– A kapitan Żychoń też tu będzie?

– Oczywiście. Zapraszam pana na antresolę. – Rybacki wskazał schody. – Tam jest zdecydowanie dyskretniej.

Fischer jeszcze raz popatrzył na pianistkę i w tym momencie ich spojrzenia się spotkały. Poczował, że kobieta przeszywa go swoim magnetycznym wzrokiem, więc wbił spojrzenie w plecy porucznika i podążył za nim na schody.

Na antresoli było mniej ludzi, a i stoliki tutejsze ukryte były pomiędzy wygodnymi kanapami z wysokimi oparciami, które uniemożliwiały innym gościom zaglądnąć do sąsiednich

przedziałów. Ich użytkownicy mogli jednak obserwować to, co działo się na dole. Rybacki podprowadził gościa do trzeciego stolika w rzędzie. Siedział tam rozparty wygodnie mężczyzna, ubrany w ciemny garnitur, poprządkany białymi prążkami. Na widok podchodzących poderwał się natychmiast, odkładając zapalonego papierosa do popielniczki. Nie musieli się sobie przedstawiać. Znali się od jakiegoś czasu, kiedy to Fischer nawiązał ściślejszą współpracę wywiadowczą z kapitanem Mikołajewskim.

– Witam pana komisarza w naszych skromnych progach.

– Panie kapitanie, jeśli to miejsce to synonim skromności, to znaczy, że ja jadam w Poznaniu w restauracjach dla biedoty.

– Mamy tu kilka niezłych lokali, ale Pod Orłem czuć ten światowy blichtr. Nie uważa pan?

– Owszem, nawet bardzo – zgodził się z nim Fischer, mając na myśli klasę pianistki Roksany.

– Siadajcie, panowie, zapraszam. – Żychoń wskazał miejsce naprzeciwko.

Komisarz wsunął się na kanapę i spojrzał w dół. Pianistka grała nadal, ale tym razem jakąś inną melodię, której nie potrafił zidentyfikować. Nie należał do ludzi specjalnie muzycznych. Był natomiast wrażliwy na piękno, szczególnie piękno kobiecych kształtów i subtelnych rysów.

– Za chwilę podejdzie tu kelner i złożymy zamówienie, ale pierwsze już nam przyniesiono. – Żychoń wskazał na karafkę wódki ustawioną w srebrnym wiaderku. – Nic tak nie przełamuje lodów jak zimny Baczewski – stwierdził, wyciągając flaszkę z lodziarki. Szybko nalał wódkę do trzech kieliszków, by zaraz podać je nowo przybyłym. – No to, panowie, za spotkanie! – Uniósł swój kieliszek i stuknął nim

w dwa pozostałe. – Dziś świętujemy, a jutro bierzemy się do roboty!

– Na świętowanie zawsze jest dobry czas, kapitanie. Ale o robocie musiałbym coś wiedzieć, żeby móc się przygotować, no rozumie pan, chodzi o to, że nie bardzo wiem... Już dzisiaj pan porucznik był łaskaw zapoznać mnie z pewnymi kwestiami dotyczącymi szyfrów, gdy byliśmy w waszej siedzibie.

– Panie komisarzu, obawiam się, że dziś będziemy musieli zająć się przyjemnościami, bo inne kwestie nie mogą być roztrząsane przy tym stoliku – powiedział Żychoń, spoglądając w lewo. Fischer odwrócił głowę przekonany, że podszedł kelner, by odebrać zamówienie. Jakież wielkie było jego zdumienie, gdy okazało się, że tam, gdzie spodziewał się kelnera, stoi piękna pianistka, trzymająca w dłoni długą szklaną lufkę, w której osadziła papierosa.

– Czy któryś z panów poda mi ogień? – zapytała głębokim, zmysłowym głosem, patrząc w oczy Fischerowi. Poczuł, że to jej spojrzenie przeszywa go na wylot, jak szpilka preparatora przygotowującego nowy okaz motyla do umieszczenia w gablocie.

## Poznań

Godzina 10.45 wieczorem

Dzieci spały od dwóch godzin w pokoju obok, więc mieli czas, żeby trochę pogadać. Jedli na kolację żurek. Właściwie to Tolek jadł, tak jak lubił, z grubo pokrojoną kiełbasą i przeciętymi na połówki jajkami na twardo. Jego żona Kryśka

trochę wodnistego żuru naląła sobie do kubka i w nim maczała skórki od chleba, niedojedzone przez dzieciaki.

– Krychna, czemu ty nie zjesz jak człowiek? – zapytał ją, unosząc łyżkę.

– No przecie jem. – Wskazała kawałkiem chleba biały kubek, ozdobiony czerwonymi różyczkami.

– Co to za jedzenie? Ino dzióbiesz jak ptaszek. Zjadłabyś choć trochę kiełbasy.

Pokręciła głową.

– Nie chce mi się.

– A możeś ty chora czy jak?

– Nie, wszystko jest dobrze. Nie ma o czym gadać – próbowała go zbyć, ale on znał Kryskę bardzo dobrze i wiedział, że jak się czymś martwi, to zawsze przekłada się to na jedzenie. Traciła wtedy apetyt, a oczy robiły się jej wielkie i smutne.

– Mów mi tu zaraz, co cię boli, bo ja się nie mogę tobą martwić, jak na robotę idę. Wiesz, że człowiek, jak pracuje, to musi mieć wolną głowę od kłopotów. I dlatego powiadaj, w czym rzecz, żebyśmy zaraz razem coś wymyślili.

Potarła nos wskazującym palcem. Wiedział, że się zastanawia, walcząc sama ze sobą. Trzeba było więc dać jej trochę czasu i nie naciskać. Jeśli myślała, co powiedzieć, to w końcu powie.

Dojadł zupę do końca. Kawałkiem chleba osuszył dokładnie talerz i chciał jak zwykle zażartować, że już go nie musi myć, ale spojrzawszy na nią, zrozumiał, że nie czas na żarty, że ona jeszcze rozważa wszystkie za i przeciw. Sięgnął więc po butelkę piwa, zdjął porcelanowy biały kapsel i upił spory łyk.

– To Kobylepole całkiem dobrego pilznera robi – stwierdził z uznaniem. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale Kryśka weszła

mu w słowo:

– Byłam u Milczkovej, no wiesz, tej starej, co mieszka na Grobli wedle gazowni i z kart wróży.

– Byłaś u wróżki? A po jaką cholere?

– No wiesz, czasem człowiek musi się dowiedzieć, co go w przyszłości czeka...

– Krychna, przecież ciebie czeka, co najlepsze! No, kochana, nie widzisz, w jakich luksusach żyjesz? Mamy własne mieszkanie, nie wynajmowane, ale kupione za ciężko zarobione pieniądze. A to skarb. No pomyśl, kto ma własne cztery kąty? Tylko bogacze. A jak się ma własne mieszkanie, to nigdy w życiu cię nikt z niego nie wyrzuci. A ty masz trzy pokoje. No powiedz, kogo na to stać? Nawet ty sama mi powiadałaś, że trzy pokoje to zbytek, ale pamiętasz, że ja się zaparłem i powiedziałem, że moja rodzina musi mieć wszystko, co najlepsze. Bo trzy pokoje to już jest prawie pałac. Jest pokój dla dzieciaków, jest nasza sypialnia, jest nawet salon, gdzie możemy gości przyjmować!

Kryśka pokiwała głową. Prawda, że miała tu jak w raju, w tym ich własnym gniazdku przy Wielkich Garbarach. A kuchnia, w której teraz siedzieli, to było coś, o czym nawet nie śmiała marzyć, z piecem żeliwnym, wielkim stołem na środku, przy którym przyrządzała potrawy, kroїła, tłuła i siekała, czyli wszystko to, co się w kuchni robi. Do tego był jeszcze wielki kredens pomalowany na biało, z dwiema szafkami za szkłem, gdzie mogła postawiać talerze na sztorc, żeby wszyscy widzieli, jakie są piękne. Ale nie stawiała ich w ten sposób, bo nie miała jeszcze takich, które by się na taką ekspozycję nadawały. To jednak nie miało znaczenia, bo wierzyła, że prędzej czy później się dorobi tego, co jej się wymarzyło. Bo jej Tolek zarabiał bardzo dobrze. Tyle że miał

pracę niebezpieczną, jak to w złodziejskim fachu bywa, więc bała się, że któregoś razu nie wróci do domu, bo wpadnie na jakiejś robocie i wsadzą go do więzienia na dziesięć lat, a ona zostanie sama z dziećmi. Dlatego co niedzielę chodziła do kościoła i wrzucała po kilka złotych na tacę, żeby w ten sposób wzmocnić prośby modlitewne o pomyślność dla męża. Ale to pomagało tylko na chwilę. Wracała do domu uspokojona, pokrzepiona modlitwą, lecz po jakimś czasie lęki wracały. I dlatego poszła w końcu do wróżki, żeby się dowiedzieć, jak będzie wyglądać jej przyszłość. Postanowiła, że weźmie wróżbę najsilniejszą, tę za dziesięć złotych, żeby poznać wszystkie szczegóły.

Wiedziała, że tej Milczkowej można zaufać, bo już kiedyś była u niej i wszystko sprawdziło się, tak jak kobieta wyczytała w kartach. Wtedy jeszcze pracowała jako dziewczynka do towarzystwa na ulicy i nie miała w zasadzie żadnych perspektyw, że kiedyś uda się jej wyrwać z tego paskudnego ulicznego świata. Wróżka powiedziała jej wtedy, że ledwie się śmierci wywinie, ale uda jej się przeżyć, a jak już będzie na dnie rozpaczy, to pozna czarnookiego mężczyznę, który ją wyciągnie z tego dna i będzie traktował jak królową. I tak właśnie było. Spotkała na swojej drodze Tolka w chwili, gdy jej koleżanka została zamordowana, a ona ledwie uszła z życiem. I Tolek ją uratował, a na dodatek pokochał ją, a ona jego. No i teraz poszła rozpytać o tego swojego czarnookiego królewicza, który nie mógł jej zostawić za nic na świecie.

Milczkowa chuchnęła na dwie piątki podane jej przez Kryskę, potem potasowała karty i rozłożyła je na stole. Przez chwilę wodziła nad nimi palcem, powtarzając coś po cichu, a Kryśka z tego mamrotania niczego nie mogła

zrozumieć. Jednak, gdy zobaczyła oczy staruchy, zrozumiała, że jest dobrze.

– Twój czarnooki nie zostawi cię nigdy ani mu się nawet gira nie poślizgnie i do więzienia go nie wsadzą. Będziecie razem przez długi czas i nic nie będzie mogło zmaćić waszego szczęścia. Ale mogę ino powiedzieć, co będzie się działo przez te lata do samej wojny. Bo jak wojna przyjdzie, to ja takiej mocy nie mam, żeby zobaczyć, co z ludźmi będzie się wtedy działo.

– Jaka wojna? – Zdziwiona Kryśka popatrzyła na nią z niedowierzaniem i lękiem. – Przecież wojna to już była.

– Wojna jak to wojna. Jedna się skończyła i jest pokój, ale ludzie na dupach usiedzieć nie mogą i nie cenią sobie spokoju, dlatego wojna musi wybuchnąć prędzej czy później.

– Kiedy?

Stara wzruszyła ramionami, a potem szeroko się uśmiechnęła, ukazując cztery ostatnie zęby.

– Jak ja bym wiedziała, kiedy będzie ta wojna, tobym ja była bogata jak Rockefeller. Ale takiej wiedzy to ja nie mam, bo karty tylko mówią, że coś się wydarzy, ale kiedy, to nie powiedzą nigdy. No chyba żeby spróbować wybrać z kart dzień, miesiąc i rok.

– To niech pani tak zrobi.

Stara wzruszyła ramionami, a potem pokręciła głową.

– Wróżba bez pieniądza nie pójdzie. Nic się nie da wywróżyć, jak się na karty nie położy pieniądza.

Sięgnęła do pugilaresu, gdzie miała drobne na zakupy targowe. Wyciągnęła złotówkę, ale stara znów pokręciła głową.

– Złocisza za dzień, złocisza za miesiąc i złocisza za rok.

Kryśka nie była skora do wydawania pieniędzy, ale przemogła, się, bo była strasznie ciekawa tej wojny. No

i Milczkova wywróżyła jej datę...

– To co ci wywróżyła ta wróżka?? – zapytał Tolek, wstając od stołu. Sięgnął po marynarkę wiszącą na oparciu krzesła. Musiał się powoli zacząć zbierać, bo miał na dziś nagrany robotę. Dwaj bracia Kaźmierczakowie siedzieli już pewnie U Okonia i pili piwo, czekając na niego. Jeszcze jakiś czas temu chodziło z nimi na robotę także dwóch szczonów, trzeci, najmłodszy z Kaźmierczaków, Krystek, i jego najbliższy kumpel, Zenuś Brodziak. Ale teraz obaj byli w wojsku, Brodziak odsługiwał służbę, a Zenuś został na zawodowego. I jak te smyki siedziały w woju, to trzeba było się dowiedzieć, kiedy ta wojna ma być, żeby im powiedzieć. Bo w wojsku taka wiedza się przydaje.

– Że dwudziestego siódmego sierpnia trzydziestego dziewiątego będzie wojna – powiedziała z przejęciem Kryśka.

– A kto na nas napadnie, Niemcy czy Ruscy?

– Tego to nie wiem, ale ma być wojna.

– No dobra, zapisz to na kartce, żebyśmy nie zapomnieli, bo trzeba naszym chłopakom w wojsku powiedzieć, że mają tam na siebie uważać. Choć to jeszcze kupa czasu do tej wojny. Ale powiadała, że mi się noga nie powinie?

– Tak mówiła.

– To czym się zajmujesz?

– No jak czym? Wojna będzie.

– Za tyle lat, to my się zdążymy jeszcze odkuć i do Ameryki wyjechać.

– Do Ameryki? – Kryśka przeżegnała się szybko. – A my tam po co?

– No jak po co? Żeby na wojnie nie zginąć. No dobra, Krychna, to ja już... – Nie dokończył, bo rozległo się pukanie



do drzwi. Podszedł do nich i otworzył. Na klatce schodowej stał jakiś nieznany mu mężczyzna w mundurze kolejarza.

– Pan Grubiński? – zapytał. Tolek pokiwał głową.

– A kto pyta?

– *Onkel*<sup>[35]</sup> Gerhard ze Schneidemühla.

Usłyszawszy umówione hasło, przez chwilę zastanawiał się, co ma odpowiedzieć, ale na szczęście zdołał jakoś sobie przypomnieć.

– A ciotka Gertruda ma podagrę?

– Ma i przesyła maść na odciski. – Kolejarz dopowiedział ostatni człon umówionego hasła i wcisnął do ręki Tolka niewielką paczuszkę, zawiniętą w gazetę i zawiązaną sznurkiem pakowym. Zasalutował i zniknął na schodach. Tolek włożył pakunek do torby na narzędzia i już chciał wyjść, ale zatrzymała go Kryśka.

– Po co ci maść na odciski?

– No wiesz, może się kiedyś przydać – odpowiedział i zaraz wyszedł na klatkę schodową. Wiedział już, że jego kontrahent wywiązał się z części zapłaty. Ale musiał jak najszybciej dostarczyć to do Mikołajewskiego. A więc jego kompani muszą uzbroić się w cierpliwość. Najpierw musi skoczyć na Grottgera, a dopiero później mogą iść na Wildę, do mieszkania, gdzie tej nocy nie miało być nikogo. Tak przynajmniej obiecywał stróż, który naraił im tę robotę.

## Bydgoszcz

Godzina 11.45 wieczorem

*My, pierwsza brygada,*

*strzelecka gromada,  
na stos rzuciliśmy  
swój życia los,  
na stos, na stos!*

Kapitan Żychoń mimo morza wypitego alkoholu śpiewał mocnym głosem, nie gubiąc ani jednej nutki z legionowej pieśni. Za to krok jego był chwiejny, więc porucznik Rybacki trzymał swojego dowódcę mocno, złapawszy go pod ramię. Gdyby nie jego pomoc, Żychoń mógłby w niekontrolowany sposób polecieć do przodu i wbić się z impetem w witrynę sklepu obuwniczego po drugiej stronie ulicy. Rybacki uchwyt miał pewny i zdecydowany, bo jako człowiek z natury wstrzemięźliwy nie nadużywał alkoholu, w odróżnieniu od swojego szefa, który należał do tych, co to nie wylewali za kołnierz.

– A ty czemu nie śpiewasz? – Nieco zdziwiony kapitan spojrział na porucznika. – Co, nie podoba ci się nasza pieśń legionowa?

– Nie mam takiego głosu jak pan kapitan. A jak wiadomo, nie ma nic gorszego dla patriotycznej pieśni jak profanowanie jej fałszywą nutą – wyjaśnił spokojnie Rybacki.

– Żaden szanujący się poznaniak nie będzie śpiewał hymnów pochwalnych dla marszałka – odezwał się zza ich pleców Fischer oparty o framugę hotelowych drzwi, przy których powinien stać odźwierny szwajcar w swoim szamerowanym uniformie. Ale zapewne widząc to rozśpiewane towarzystwo, wolał dyskretnie się ulotnić, żeby nie narazić się na jakieś przykrości, których zawsze można było się spodziewać od wychodzących z restauracji pijanych klientów.

– To ty też nie śpiewasz? – zdziwił się po raz kolejny Żychoń.

- Ja też mam głos zużyty nieco - stwierdził z uśmiechem komisarz. Nie zamierzał przecież wchodzić w tej chwili w polemikę polityczną z Żychoniem, o którym zdążył się już dowiedzieć, że ten jest zdeklarowanym piłsudczykiem i legionistą z krwi i kości. Fischer natomiast do Legionów jako takich nie miał żadnego stosunku. Fakt, że ci ludzie z Galicji walczyli po stronie austriackiej przeciwko Rosji, był znamienity i budzący w nim raczej pozytywne skojarzenia. Uważał bowiem od zawsze, że Rosja jest przyczyną wszelkich polskich nieszczęść i ona jest głównym wrogiem narodu. Dlatego ci wszyscy, którzy walczyli z Rosją, czy to carską, czy bolszewicką, byli w jakimś sensie jego towarzyszami broni. Ale z drugiej strony Legiony to był przecież Piłsudski, który według niego, a też i wielu poznaniaków, nie był bohaterem ich historycznej opowieści. Miał, owszem, niebagatelne zasługi dla odrodzenia Polski i utrzymania jej niepodległości, ale w momencie, gdy w Poznaniu wybuchło powstanie, zostawił walczących samych sobie i nie zadbał o to, by z Polski przyszła pomoc. I to mieli mu za złe powstańcy poznańscy, a niektórzy, najbardziej radykalni spośród nich, uważali go nawet za zdrajcę sprawy narodowej na zachodnich kresach.

Fischer jako wojskowy potrafił analizować sytuację wojenną na poziomie taktycznym, ale również umiał ocenić ją z poziomu strategicznego. A strategia była dla powstańców bezwzględna. Polska pod wodzą Naczelnika nie mogła otwarcie angażować się w konflikt z Niemcami w momencie, gdy trwała walka o granicę wschodnią. Pozostawienie więc powstańców samych sobie to było wybranie mniejszego zła. Fischer rozumiał to doskonale, ale nie potrafił wybaczyć. Stąd jego niezbyt entuzjastyczny stosunek do marszałka. Podobnie

zapewne musiał myśleć porucznik Rybacki, wymawiający się od śpiewania *Pierwszej brygady*.

*Mówili, żeśmy stumanieni,  
nie wierząc nam, że chcieć to móc,  
laliśmy krew osamotnieni,  
a z nami był nasz drogi Wódz!*

Znów zaśpiewał kapitan i wskazał ręką na lewo.

– W takim razie, jeśli nie chcecie śpiewać, panowie pozwolą, że się oddalę. Zawołaj mi, proszę, dorożkę! – zwrócił się do Rybackiego.

– Kapitanie, ale my jesteśmy Pod Orłem. – Porucznik wskazał oświetlone wejście do hotelu.

– O, Pod Orłem! – Kapitan znowu się zdziwił. Popatrzył za siebie, dostrzegł Fischera, a potem, spojrzawszy w górę, upewnił się, że na szczytowej attyce jest figura orła z rozpostartymi skrzydłami. – A to w takim razie pardonsik! – W związku z tym, że mieszkam tuż obok, o, w tej to właśnie kamienicy, co ją widać tu na lewo, to jednakowoż nie będę jechał do domu. Zamierzam pójść pieszo. Zapraszam więc do mnie na wódeczkę. No chyba nie skończymy tak nagle tej pięknie zapowiadającej się nocy?

– Pan kapitan pozwoli, że się jednak pożegnam – odpowiedział Fischer, bo miał już dość pijaństwa. Wypił z Żychoniem dość sporo, choć zdecydowanie mniej od kapitana. Niemniej jednak wolał pójść się wyspać, niż dobijać się kolejną porcją wódki.

– Trudno, jak chcesz! – zawołał kapitan. – Rybacki, w prawo zwrot, naprzód marsz, idziemy do mnie!

Porucznik skłonił się komisarzowi, a jego mina świadczyła o tym, że trochę mu głupio, ale cóż miał zrobić. Taki już los

żołnierza niższego stopniem, że dowódcę musi odstawić do domu. Uchwycił więc mocno Żychonia pod ramię i pociągnął w kierunku sąsiadującej z hotelem kamienicy.

*O ileż mąk, ileż cierpienia,  
o ileż krwi, przelanych łez,  
pomimo to nie ma zwątpienia,  
dodaje sił wędrówki kres.*

Wędrówka zakończyła się po chwili, gdy obaj oficerowie zniknęli w bramie. Widać stróż musiał już czekać w środku, gotowy wpuścić krzykliwego lokatora. Fischerowi przyszło do głowy, że był dobrze zorientowany w zwyczajach kapitana i być może to dobre zorientowanie świetnie mu się opłacało.

Przez chwilę postać jeszcze przed wejściem do hotelu, zastanawiając się nad tym, co usłyszał od kapitana, zanim ten upił się i rozmowa zeszła na sprawy damsko-męskie. Bo te oczywiście były nieodzownym elementem żołnierskiego picia wódki. Tym bardziej że miejscowa gwiazda fortepianu spędzała przy ich stoliku każdą przerwę w swoim recitalu. Grała kilka piosenek, najmodniejszych ostatnio szlagierów, które znane były wszystkim z radiowej anteny, a potem przychodziła do ich stolika na papierosa i kieliszek wódki. Fischer czuł, że kobieta zagięła na niego parol, ale jako człowiek będący ojcem rodziny i szczęśliwym małżonkiem nie miał ochoty na bliższe stosunki z panną Roksaną. Rozmawiał więc z nią uprzejmie i niezobowiązująco, dając do zrozumienia, że owszem, jest pod urokiem jej urody i talentu muzycznego, ale podziwianie z daleka najzupełniej mu wystarczy.

Gdy wróciła do fortepianu, Żychoń nachylił się ku niemu, nalewając wódkę do kieliszka.

– Chyba wpadłeś jej w oko – powiedział, mrużąc swoje. – Uważaj na nią, bo to prawdziwa harpia. Zjada mężczyzn z butami.

– Jestem odporny na mitologiczne stwory – odpowiedział ze śmiechem Fischer. – Choć nie powiem, żeby mi się nie podobała.

– Tym bardziej uważaj, bo nie potrzebujemy kłopotów.

– Jakich kłopotów?

– No wiesz, romanse nie służą naszej pracy, oczywiście pod warunkiem, że nie są z tych mogących się jej przysłużyć.

– Naszej pracy? – Komisarz spojrział na wywiadowcę z lekkim rozbawieniem. Na razie ten wyjazd, spotkanie i jego następstwa traktował jako ciekawą przygodę, wprowadzającą w jego monotonne życie trochę więcej kolorytu i dodatkowych emocji. Ale Żychoń powiedział o pracy. Czyli że...

– Jutro o tym pogadamy, bo chyba zbliża się twoja harpia.

Już było jutro. Z Żychoniem miał się spotkać w jego biurze o dziesiątej. Ciekawe, zastanawiał się, czy kapitan do tego czasu dojdzie do siebie. Jeśli będzie niezdrów, dobrze by było, żeby dał mu znać, że przekłada spotkanie na późniejszą godzinę.

Wszedł do hotelu i ruszył w kierunku schodów. Skinął głową portierowi siedzącemu za recepcyjnym kontuarem i obserwującemu uważnie hol, w którym nic się nie działo... Nic się nie działo? Naraz zdało mu się, że mignęła gdzieś w korytarzu prowadzącym do restauracji znajoma sylwetka pianistki. Pożegnał się z nią godzinę temu i w duchu musiał przyznać, że bardzo dobrze zrobił, ucinając to *tête-à-tête*. Gdyby został z nią dłużej... Czuł, że przestaje myśleć racjonalnie, a wypity alkohol sprawia, że patrzy na nią jak na

potencjalny obiekt pożądania. Teraz dostrzegł ją, ale zaraz zniknęła. Za to nie zniknął mężczyzna, który stał w jej towarzystwie. Przez chwilę spoglądał w jego kierunku z niedowierzaniem, bo przecież nie powinno go tu być. Ten facet miał być już od niedzieli w Berlinie.

– Cóż za spotkanie, mój drogi Anthonie. Góra z górą się nie zejdzie, a człowiek z człowiekiem... Nic nie mówiłeś, że się wybierasz do Bromberg[36].

Rzeczywiście, podczas spotkania u niego w domu przeszli na ty, ale to skrócenie dystansu przez dawnego dowódcę trochę go zdziwiło. Zresztą zaskoczyła go cała ta niecodzienna sytuacja.

– Ty również nie mówiłeś, że się wybierasz tutaj.

– No tak, korzystając z okazji, chciałem odwiedzić stare kąty. Przed wojną służyłem przez kilka lat właśnie w tym mieście, więc to niejako podróż sentymentalna. No ale cóż, będziemy tu stać na tym korytarzu? Zapraszam cię na szklaneczkę czegoś mocniejszego...

Nie miał ochoty na alkohol i kombatanckie pogawędki. Czuł się zmęczony drogą i świętowaniem spotkania, a nade wszystko nie chciał jutro walczyć z katzenjammerem[37].

– Z największą przyjemnością, ale dziś już chyba nie jestem w stanie.

– Jeden kieliszek koniaku? – kusił Böhm.

– Nic z tego. Za dużo już dziś wypilem. Ale jutro przecież też jest dzień.

– No skoro nie, to nie będę cię namawiał. Ja jednakowoż jeszcze pójdę do baru.

Obiecali sobie, że jutro koniecznie muszą się spotkać, tym bardziej że obaj będą w mieście jeszcze przez jakiś czas.

Poszedł do pokoju, szybko rozebrał się i założył pidżamę. Nie było mowy o tym, by przed spaniem brać jeszcze kąpiel. Tę przyjemność zostawił sobie na rano. Ledwie złożył głowę na poduszce, zasnął natychmiast, śniąc o pięknej pianistce, która grała mu do snu tango *Milongera*. Śnili mu się też jacyś zamaskowani ludzie z pistoletami w dłoniach, jak w gangsterskim filmie, ale nie wiedział, do kogo chcą strzelać, bo przepędziła ich piękna Roksana.

Poznań  
Wtorek  
4 sierpnia

Godzina 2.00 w nocy

Brama była otwarta, czyli stróż dobrze się sprawił. Mieszkanie, które mieli obrobić, znajdowało się na trzecim piętrze. Gdy tylko weszli na klatkę schodową, bez słowa usiedli na wyłożonej ozdobnymi kafelkami podłodze i zabrali się do zdejmowania butów. Członkowie złodziejskiej szajki Tolka Grubińskiego zawsze przestrzegali ustalonych już dawno temu zasad. Pierwszą z nich było bezszelestne poruszanie się na miejscu przeprowadzanej akcji. Zdjęcie butów było jak złodziejskie abecadło. Wprawdzie ludzie o tej porze spali snem głębokim, więc byli najmniej podatni na odbieranie sygnałów z zewnątrz. Niekiedy spali tak mocno, że można było w czasie ich obecności obrabiać mieszkanie. Ale ostrożności nigdy za wiele. Dziś jednak nie trzeba było się przejmować gospodarzami. Ci, według słów stróża, wyjechali na wyuczasy



do Jastarni. Dlatego Grubiński i Kaźmierczakowie mieli robotę pewną i bezpieczną. Ale buty trzeba była zdjąć i zawiesić na szyi, żeby stukotem zelówek nie obudzić sąsiadów, bo ci mogliby podnieść alarm i wtedy robota szła na marne. Musieliby się zwijać, nic nie zabrawszy z mieszkania. A to stało przed nimi otworem. Stróż bowiem miał klucze, więc pożyczył je Grubińskiemu, żeby ten mógł je sobie dorobić. Tolek jako człowiek ślusarsko uzdolniony sam wycinał klucze i je szlifował w swoim niewielkim warsztaciku, w szopce przy kamienicy, w której mieszkał. Tam miał imadło i narzędzia, dzięki którym powstawały kopie kluczy, a także wytrychy potrzebne do robót, gdy nie mieli współpracownika w kamienicy.

Dziś wchodzili do mieszkania dzięki dorobionym kluczom, ale i tak mieli przy sobie obcęgi, kombinerki i druciane szpilorki do grzebania w zamku. Na sam koniec roboty, w chwili, gdy będą już opuszczać mieszkanie, musieli porysować szyldy i pozostawić ślady, żeby nikt się nie domyślił, że weszli jak do siebie.

W samych skarpetkach wdrapali się szybko na pierwsze piętro, nie czyniąc najmniejszego hałasu. Żaden z trójki włamywaczy się nie odezwał ani nawet nie sapnął głośniej. Byli w końcu profesjonalistami.

Tolek wy dobył z kieszeni dwa klucze, jeden zwykły, tradycyjny, do zamka pod klamką, a drugi nowoczesny typu yale. O ile te stare dorabiało się bez żadnych problemów, bo ich końcówki nie były skomplikowane, o tyle te nowe, amerykańskie, które stawały się ostatnio coraz bardziej popularne, były bardziej wymagające, bo wyżłobienia trzeba było docinać co do milimetra. Ale Tolek bez większego trudu

radził sobie z takimi detalami. Jego klucze chodziły bez zarzutu, być może nawet lepiej niż wyrobione oryginały.

Przekręcił klucz w górnym zamku, potem drugi w dolnym, nacisnął klamkę i drzwi ustąpiły. Weszli do środka, po czym ostatni z nich, Leon Kaźmierczak, zamknął zamek od środka. Tolek zapalił latarkę sygnałową, w której obiektyw przesłonięty był czerwoną blendą. Jego kompani zrobili to samo. Może światło nie było tak intensywne jak to białe, ale czerwień nie dawała poświaty widocznej z zewnątrz. Mogli więc bez problemów zająć się penetracją wnętrza. Doskonale wiedzieli, co każdy z nich ma robić. Ustalili to przed skokiem. Stróż dostarczył bowiem ręcznie naszkicowany plan. Wiedzieli więc, że na lewo od korytarzyka prowadzącego w głąb mieszkania jest kuchnia. Ta nie bardzo ich interesowała. Za kuchnią była jadalnia, z której można się było podwójnymi drzwiami przedostać do salonu. Po prawej stronie korytarza znajdowała się słuźbówka, dalej gabinet, a na końcu sypialnia. Kaźmierczakowie wzięli na siebie sypialnię i salon, a Tolek jak zwykle podążył do gabinetu. To był jego teren, tym bardziej że wiedział, czego ma tu szukać. Za obrazem przedstawiającym jakiegoś starego dziada znajdowała się wmurowana w ścianę kasa ogniotrwała. Nie miał pojęcia, co tam znajdzie, ale jedno było pewne, w kasie powinny być jakieś pieniądze. Tak przynajmniej twierdził stróż, który znał właściciela i wiedział, że ten jest poważnym handlarzem, załatwiającym większość swoich interesów handlowych w domu. Musiał więc tu trzymać gotówkę. W końcu po coś tę kasę ma, tłumaczył cieć Grubińskiemu, zaklinając się na wszystkie świętości, że widział, jak gospodarz wyciąga stamtąd pieniądze za każdym razem, gdy płaci mu za jakieś drobne naprawy i doraźne remonty.

– Ostatnim razem, w zeszłym tygodniu, jakem tam był u pana Jabłońskiego, to wew środku były paczki z pieniędzmi. Jak Boga kocham, całe paczki. Tom se pomyślał, że jak kto ma tyle bejmów, to może się podzielić z biedakami, bo na co mu aż tyle – wyjaśnił, a na jego twarzy pojawił się chytry uśmieszek. Tolek znał ten typ cieciów, którzy wszystko wiedzą o swoich lokatorach i patrzą tylko, jakby ich rąbnać, gdy nadarzy się okazja. Nie lubił takich ludzi, bo według niego nie posiadali ani odrobiny honoru. Uważał bowiem, że człowiek honorowy nie okrada tych, którzy mu płacą. Ale co zrobić, w swoim złodziejskim fachu mógł się kierować honorem, jednak współpracować musiał z takimi szcurami jak ten cieć.

– No dobra, a ile sobie szanowny pan winszuje za tę robotę?  
– zapytał stróża.

Ten zatarł ręce i oblizał spierzchnięte usta.

– No uczciwie to by było pół na pół.

– Co? Toś pan się chyba gorzoly napił na śniadanie zamiast mleka. Ja i moi ludzie odwalamy robotę, a pan tylko nas wpuszczasz i śpisz sobie bez ryzyka. Dostaniesz za nagranie tego włamu osiem procent.

– Osiem? Jak osiem? To przecie rozbój w biały dzień. Za osiem procent to ja palcem nie kiwnę.

Kiwnął. Tolek mu wytłumaczył, że osiem procent od dużego zarobku to jest więcej niż procent od żadnego zarobku i niech bierze to, co dają, bo drugiej okazji mieć nie będzie. Przyniósł więc Tolkowi klucze, modląc się, żeby zarobek był jak najwyższy. Zgodzili się na to, że rozliczą się następnego dnia, kiedy stróż przyjdzie knajpy U Okonia, gdzie będzie można ze spokojem zakończyć współpracę.

Zdjął obraz, ustawił go pod ścianą i poświecił sobie latarką, by zobaczyć, z czym ma do czynienia. Była to prosta kasetka z cyfrowym pokrętle. Dla amatora praktycznie nie do otwarcia. Ale Tolek nie był amatorem. On był prawdziwym wirtuozem. Potrafił otworzyć niemal każdy cyfrowy zamek i wszystko to robił metodą na słuch.

Sięgnął do skórzanej torby, ukradzonej kiedyś z domu pewnego lekarza. Strzykawkę i pęsety nie były mu potrzebne, więc ten bezużyteczny sprzęt zostawił właścicielowi. Jego zainteresowała tylko torba zapinana na zatrzask od góry i rozwierająca się jak paszcza jakiegoś stwora. Wtedy też zabrał doktorowi stetoskop, który do dziś był jednym z najważniejszych narzędzi w jego pracy.

Wydobył medyczne słuchawki, wetknął gumowe oliwki w uszy, a głowicę przyłożył do drzwiczek kasy, po czym powoli i uważnie zaczął obracać gałkę w prawo. Potem zrobił to jeszcze kilka razy, okręcając ją w jedną i drugą stronę. Pięć minut później już wiedział, jaka jest kombinacja czterech cyfr otwierających zamek.

Wybrał więc po kolei jedynekę, dwójkę, potem trójkę i na koniec czwórkę; za każdym razem po najechaniu wskazówką tarczy na odpowiednią cyfrę wciskał gałkę, a w słuchawkach słyszał lekkie stuknięcie. Układ cyfr świadczył o tym, że właściciel sejfów nie należał do ludzi, którzy mają dobrą pamięć. Ciąg taki był dość popularnym sposobem na zapamiętanie szyfru i w zasadzie można by było bez słuchania kliknięć spróbować wrzucić taki układ, przyszła mu taka odkrywczą myśl do głowy po raz nie wiadomo który. Zawsze tak było, kiedy okazywało się, że otwierał kasę z tak ustawionym kodem.

Chwycił niewielkie pokrętko z lewej strony drzwiczek i odkręcił je w lewo. Kasa się otworzyła. Zajrzał do środka. Wewnątrz, tak jak zapowiadał stróż, było kilka kupek banknotów powiązanych papierowymi banderolami. Oceniał fachowo, że może tu być ze trzydzieści tysięcy, co znaczy, że cieć będzie bogatym człowiekiem. Przypomniała mu się lisia gęba stróża i pomyślał, że właściwie ten szczur nie powinien nic dostać. Ale gdyby tak się stało, mógłby zacząć gadać, a wieść o nieuczciwym rozliczeniu mogła rozejść się po mieście. Nie, trzeba było dać mu to, na co uczciwie zapracował.

Wrzucił pieniądze do torby i wtedy jego spojrzenie padło na schowany na dnie pakunek, który miał oddać Mikołajewskiemu. Zaniósł go na Grottgera, ale nie zastał nikogo. I w tej sytuacji powinien paczkę odnieść do domu, a dopiero potem iść na juchtę. No ale koledzy czekali w knajpie U Okonia i gdyby zmitrężył jeszcze więcej czasu, to może nie byłoby już z kim iść do roboty. Zdecydował więc, że obrobią mieszkanie, a potem znowu pójdzie do prezesa Kółek Rolnych...

W kasie były jeszcze jakieś papiery, ale nie przyglądał im się zbyt uważnie. To, co wyglądało jak weksle czy obligacje, zabrał, a co przypominało umowy i zapiski, zostawił, bo i tak nie miałby co z tym zrobić. Nie było żadnych teczek z dokumentami, na które uczulał go Mikołajewski, więc mógł kończyć robotę. Jego kompani na pewno przetrząsnęli już pozostałe pokoje w poszukiwaniu sreber i jakichś wartościowych przedmiotów. Mieli brać tylko te cenne i lekkie, żeby nie nosić do domu żadnych ciężarów. Tym bardziej że nie wracali dorożką. Ich stały dryndziarz leżał chory w domu,

a obcego nie chcieli zabierać na akcję, więc nie można było przesadzić z wagą łupów.

Tolek wyszedł z gabinetu na korytarz i ruszył w kierunku sypialni. Tam powinien jeszcze myśkować Leon Kaźmierczak. I wtedy usłyszał, że ktoś zakaszłał na schodach. Zamarł w bezruchu. Kaszel się nie powtórzył, więc albo mu się zdawało, albo jakiś kaszlący gość poszedł sobie do mieszkania, albo zamierzał wyjść z domu... Ale o tej porze? Przecież była druga w nocy. Tak wcześnie nie wstawiała nawet służba w takiej porządnej kamienicy. Ruszył powoli w kierunku wyjścia, by spojrzeć na schody przez judasza.

I wtedy drzwi otworzyły się z hukiem, a jedno skrzydło z impetem uderzyło pochylonego Tolka w głowę. Padł natychmiast na podłogę jak rażony gromem, a jego myśli przeniosły się wprost do ciemnego tunelu, który wciągnął go w czeluść składów amunicyjnych twierdzy Boyen.

## Poznań

Godzina 2.10 w nocy

No prawda, czuł się trochę jak złodziej, ale przecież nie miał innego wyjścia. Musiał zrobić to, co robił w tej chwili. Przeszedł w nocy na plebanię, mimo bolącej głowy, którą obwiązano mu bandażem, i zażądał otwarcia części mieszkalnej należącej do zamordowanego proboszcza Warguły.

– Ale przecież teraz jest noc – powiedział zdziwiony ksiądz Józio Pytlik, tutejszy wikary.

Przecież to jeszcze dziecko, pomyślał Oskierko, patrząc na zaspaną, pryszczatą twarz o delikatnych rysach.

– Jak jest służba, to nieważne, czy jest dzień, czy noc – rzucił nieznoszącym sprzeciwu tonem. Takich odpowiedzi, kategorycznych i zdecydowanych, uczył się na co dzień od Olkiewicza, ale nie stosował ich prawie nigdy, bo zazwyczaj w takich sytuacjach wyprzedzał go jego wywiadowca. Ale tym razem nie było go w pobliżu, więc sam musiał stanąć na wysokości zadania.

– A pan policjant to chyba był już na przeszukaniu? – zauważył chłopak, otwierając szerzej drzwi. Oskierko wszedł do środka i rozejrzał się po niewielkim korytarzyku.

– Byłem, ale nie na przeszukaniu, ale na zabezpieczaniu śladów zbrodni.

– Ano tak. Rozumiem, że chodzi o linie papilarne?

Policjant spojrział zdumiony na księdza, a ten speszony zaraz spuścił wzrok. Oskierko podążył za tym spojrzeniem w dół, lecz nie dojrzał tam niczego ciekawego prócz chudych nóg w zdeptanych laczkach i kościstych kolan, wystających spod białej koszuli nocnej.

– To ksiądz się zna na kryminalistyce?

– Nie żebym się znał. Ale czytuję Sherlocka Holmesa i jeszcze o Herkulesie Poirot też czytam. A i polskie powieści, choćby *Strzał Nasielskiego*, po prostu są fenomenalne. Ale są i bardzo złe. Bo weźmy na ten przykład *Czerwonego błazna* Błażejowskiego. To szmira, jakich mało. A proszę, nawet film z tego zrobili. Wolę zdecydowanie *Nasielskiego*, bo jest znacząco wiarygodny. Ja bardzo lubię takie kryminalne zagadki.

– A wolno księżom oddawać się takim lekturom?

– Przecie tam nic zdroźnego nie da się wyczytać. A na zbrodni można się natknąć nawet na własnej plebanii – odparł wikary, a Oskierko musiał się z nim zgodzić. Nie liczył

na jakieś specjalne znalezisko, ale postanowił przyjść na plebanie, bo raczej nie miał innego wyjścia. To znaczy w zasadzie miał, ale nie chciał mieć tego drugiego, bo było dla niego dalece krępujące.

To wyjście, z którego nie chciał i nie zamierzał skorzystać, zapukało tego wieczora do drzwi jego domu. Było krótko po dziewiątej i Oskierko szykował się właśnie do wieczornej toalety. W swoim dwupokojowym mieszkaniu miał całkiem obszerną łazienkę ze sporych rozmiarów żeliwną wanną. A jako że był mężczyzną ceniącym sobie bardzo higienę osobistą, kąpał się dwa, a niekiedy, w razie potrzeby, i trzy razy w tygodniu. Dziś też miał zamiar skorzystać z wanny i gorącej wody, ale na swoje nieszczęście poszedł otworzyć drzwi. Był przekonany, że to stróż przyszedł mu zawracać głowę jakimiś nieistotnymi kwestiami dotyczącymi zakupów. Bo żona stróża robiła dla niego sprawunki spożywcze, kupowała chleb i mleko, jakieś sery i co jakiś czas kawałek suchej kiełbasy, żeby miał w domu coś do zjedzenia, gdy wróci wieczorem z pracy. Co kilka dni stróż przychodził z rozliczeniami i wtedy trzeba mu było płacić za zakupy, za fatygę żonie i jeszcze jemu dać do łapy na piwo. Ostatni raz był z rozliczeniem w ubiegłą sobotę, więc chyba już nadszedł czas na kolejne.

Oskierko otworzył drzwi szeroko, chcąc jak najszybciej załatwić sprawę, i zamarł przerażony. W progu nie było stróża. Zamiast niego stała tam Olga Długołęcka, *femme fatale*<sup>[38]</sup> jego życia, kobieta, która spowodowała, że zamiast brylować na warszawskich salonach, spędzał samotne wieczory nad szklanką piwa zagryzanego suchą kiełbasą.

– Mój kochany! – krzyknęła na jego widok i rzuciła mu się w ramiona z płaczem. Pochwycił ją, bo co miał zrobić. – Och,



mój najdroższy, jesteś ranny! – Dotknęła jego bandaża, ale natychmiast zapomniała o takim nieistotnym drobiazgu.

– Ale ty, skąd ty tutaj? – zapytał, bo to jedyne, co mu przyszło do głowy.

– Mój drogi Walenty, w tobie cała nadzieja. Zaraz ci wszystko opowiem po kolei. Lecz najpierw poczekaj chwilę. Gdzież jest ten dorożkarz? Halo, dobry człowieku, jesteście tam? – zawołała, wychylając się na klatkę schodową.

– Już pani, się idzie, idzie się, ino że te klunkry<sup>[39]</sup> ciężkie jak jasna cholera.

– Ależ wyrażajcie się, dobry człowieku. Walenty, bądź tak łaskaw i zapłać dorożkarzowi za fatygę. O, właśnie, niech pan wniesie kufer do sypialni. Masz chyba sypialnię, mój drogi?

I w ten oto sposób majorowa Długołęcka wdarła się bezceremonialnie i bez pytania w jego spokojne życie, a jego samego wzięła w jasyr. Choć nie do końca. Od razu pomyślał o ucieczce z tej nieoczekiwanej niewoli.

– Wyobraź więc sobie, że on, ten sadysta, mój mąż, robił mi stale awantury. Czy ty to rozumiesz? Awantury właściwie o wszystko. O to, że z kimś tańczyłam na balu albo z kimś tam rozmawiałam zbyt długo na raucie, albo jeszcze o to, że co chwilę ktoś do mnie telefonował, a ja z tym człowiekiem rozmawiałam zbyt przychylnie. Czy ty to możesz pojąć, mój drogi? Te nieustanne sceny zazdrości były, powiadam ci, nie do wytrzymania. Musiałam coś w końcu przedsięwziąć i powiedziałam mu, że jeśli będzie dalej się tak zachowywał, to wyjadę i nigdy nie wrócę.

– I co on na to?

– No tu muszę przyznać, że zachował się całkiem przyzwoicie. Wyszedł z domu, trzasnąwszy drzwiami,

a następnego przedpołudnia wrócił z bukietem stu róż i prosił o przebaczenie.

– Więc przebaczyłaś mu?

– Owszem, ale na krótko, bo potem był ten bal w Juracie. Trzy dni temu byłam na tym balu i wyobraź sobie, że kilka tańców poświęciłam takiemu niezwykle miłemu niemieckiemu dyplomacie. I w mojego męża jakby diabeł wstąpił, bo w hotelu zrobił karczemną awanturę, oskarżając mnie nieomal o szpiegostwo. Wyobrażasz to sobie, ja niemieckim szpiegiem? I dlatego porzuciłam go i przyjechałam wprost do ciebie, jako mojego wiernego, najstarszego ... no i co tu dużo gadać, jedyne oddanego przyjaciela.

Jedyny przyjaciel zapewnił Olgę, że może u niego zostać tak długo, jak tylko sobie będzie tego życzyła, ale sam niestety musi jak najszybciej udać się do Dyrekcji Policji, ponieważ ma służbę nocną.

Było to wierutne kłamstwo, ale Oskierko wiedział, co robi. Musiał uciekać, bo nie zamierzał znów wpadać w tarapaty. Postanowił przemyśleć wszystko na spokojnie, ale do budynku policji pójść nie mógł, bo leżanka dla dyżurnego oficera była zajęta. Mógł oczywiście wybrać się do jakiegokolwiek hotelu, lecz szkoda mu było pieniędzy. I wtedy przyszedł mu namysł zamordowany proboszcz. Tam, w tym księżym mieszkaniu, przecież nikogo nie było. Mógł pójść właśnie na plebanię i pod pozorem nocnego przeszukania przespąć się na kanapie nieboszczyka, by rano stawić się w pracy i rzucić się w jej wir, odsuwając od siebie jak najdalej majorową Długołęcką i problemy, jakie ze sobą przywoziła.

– A niech mi ksiądz powie, jak to było z mszami w niedzielę? To znaczy, czy ksiądz proboszcz nie miał jakiejś odprawiać?

– Hmm. – Wikary spuścił wzrok. Przez chwilę milczał, potem odkaslnął i w końcu zebrał się na odwagę.

– W niedzielę miał proboszcz odprawiać, ale nie wyszedł ze swojego mieszkania. Myślałem, że znowu... znaczy się... jak nad ranem usłyszałem tam jakieś huk i trzaski, to sobie pomyślał, że ksiądz znów się upił. Dlatego przed południem w niedzielę zapukałem do niego, ale nie otworzył. Tak nieraz z proboszczem bywało, że sobie za dużo pociągnął i trzeba było za niego pracować.

Oskierko pokiwał głową ze zrozumieniem. Ksiądz pijak to nie było nic nadzwyczajnego. W końcu każdy z nich ma do czynienia z alkoholem na co dzień, więc łatwo im się wciągnąć.

– A długo pan policjant zamierza to przeszukiwanie robić? – zapytał młody ksiądz, otwierając na oścież drzwi do mieszkania proboszcza Warguły.

– Nie wiem. Będę szukał do skutku, aż coś się interesującego znajdzie.

– A co takiego jest dla pana interesujące? – zapytał ksiądz.

– Wszystko – rzucił Oskierko, bo nie miał pojęcia, czego miałby tu szukać. W zasadzie to nic go nie interesowało, prócz możliwości przespania się. Ale przecież o tym nie mógł powiedzieć temu młodzieńcowi, entuzjastycznie nastawionemu do śledztwa i rozwiązywania kryminalnych zagadek. Że też mu się przytrafił akurat taki przewodnik. W tym kraju wszyscy traktują literaturę kryminalną jak powieści brukowe gorszego sortu, a ten tu kocha kryminały. Pewnie jakiś nienormalny...

– A ja może wiem, jaką zagadkę chce pan rozwiązać, panie komisarzu – rzucił ksiądz, patrząc na niego z błyskiem w oku.

– No jaką niby? – odpowiedział aspirant, którego po raz pierwszy ktoś nazwał komisarzem i musiał przyznać, że

całkiem mu się to spodobało. A poza tym wikary rozbudził jego ciekawość. Co też ten tu mógł wiedzieć, jeśli on sam tego nie wiedział?

– Ano taką, że pana interesuje ten obraz, co zniknął.

– No niby prawda – przyznał ostrożnie Oskierko.

– Bo pan podejrzewa, że to z powodu obrazu z Najświętszą Panią doszło do morderstwa.

– W rzeczy samej – przyznał policjant.

– I nie rozumie pan, o co się rozchodzi z tym obrazem?

– Chyba musiał być cenny.

– To ja dam panu taki fakt, że ten obraz trafił do kościoła na początku Wielkiej Wojny, przywieziony przez żołnierza wracającego z frontu jako wotum za cudowne ocalenie. Tak przynajmniej mówili wszyscy, co ten obraz widzieli. Ale ja odkryłem, jaka jest prawda.

– Czyli że nie wotum, czy jak?

– I tak, i nie. Jakiś czas temu porządkowałem papiery, bo ksiądz Warguła kazał mi je przejrzeć, bo ja znam niemiecki, a proboszcz nie znał, a były to papiery jeszcze po niemieckim proboszczu Hoppe. No i ksiądz Warguła dał mi te sterty papierów, jakichś rachunków, listów i kazał dokonać selekcji, posortować na te, co są ważne ze względu na parafialne sprawy, i te nieistotne, co je można wrzucić do pieca. No i podczas tego przeglądania natrafiłem na list z czternastego roku, adresowany do księdza Hoppe, który wysłał z Belgii pewien kapitan...

Ksiądz podszedł do sekretarzyka, otworzył go kluczem, jednym z kilkunastu, które przyniósł ze sobą, by móc otwierać drzwi i szafy uznane przez policjanta za niezbędne do otwarcia. Przez chwilę przerzucał teczki, aż w końcu natrafił

na tę właściwą. Rozwiązał tasiemki i zaraz wydobył z niej pożółkłą kopertę.

– Proszę, oto ten list. – Oddał go Oskierce, który zajął miejsce przy stole ustawionym na środku pokoju. Policjant wziął papier, otworzył kopertę i wydobył pisany odręcznie dokument. Przez jakiś czas wpatrywał się w nie, by po chwili odłożyć je na blat.

– I co pan o tym myśli? – zapytał z nadzieją w głosie ksiądz.

– Bardzo ciekawe, bardzo ciekawe – potwierdził aspirant i uśmiechnął się, maskując w ten sposób zmieszanie. Nie mógł przecież się przyznać przed tym młodym duchownym, że on ani w ząb nie rozumie po niemiecku. – A co z tego wyjdzie, to zobaczymy – wyjaśnił i zaraz poprosił, żeby ksiądz zostawił go samego, bo teraz będzie musiał wszystkie kwestie przemyśleć. Oczywiście spotkał się z pełnym zrozumieniem, bo w końcu list zawierał niezmiernie sensacyjną treść, z którą oszołomiony policjant musiał teraz się zmierzyć.

Pięć minut później Oskierko, nieświadom treści dokumentu, spał już rozłożony wygodnie na księżej kanapie. Od razu znalazł się w objęciach Olgi Długoleckiej i za nic nie potrafił się z nich wyrwać.

[34] Piosenka wykonywana przez Hanke Ordonównę, gwiazdę polskich scen teatralnych i kabaretowych, od 1930 roku.

[35] *Onkel* (niem.) – wujek.

[36] Bromberg – niemiecka nazwa Bydgoszczy, obowiązująca oficjalnie do odzyskania niepodległości.

[37] *Katzenjammer* (niem.) – kociokwik, kac.

[38] *Femme fatale* (franc.) – kobieta fatalna, przynosząca mężczyźnie same kłopoty.

[39] Klunkry (gwar.) – przedmioty, bagaże, pakunki bez określania ich konkretnych nazw.



# Rozdział VIII

## Poznań

Godzina 3.15 w nocy

Anastazy Olkiewicz czuł się winny. Przecież gdyby był bardziej zdecydowany i stanowczy, to ta łachudra nie miałaby najmniejszych szans na ucieczkę. A tak co, będzie poruta i wszyscy jego policyjni kumple będą go sobie pokazywać palcami. Bo nikt przecież nie powie w Dyrekcji Policji, że zatrzymany i podejrzany uciekł Oskierce, mimo że to on był formalnie odpowiedzialny za śledztwo. Wszyscy będą gadać, że to Olkiewicz go nie dopilnował. Widział już oczyma wyobraźni roześmiane gęby kolegów, którzy klepią go w plecy i mówią: „Stary, nic się nie martw. Przecież każdemu mogło się to zdarzyć”.

No dobrze. Rozumiał, że każdemu, ale czemu akurat jemu? W końcu był policjantem z wieloletnią wysługą. Zaczynał tuż po wojnie na Lubelszczyźnie, potem wrócił do Poznania, ale przez cały czas był w policji. I swoje obowiązki pełnił nienagannie, a nawet można powiedzieć, że wyróżniająco. Bo przecież o tej sprawie z zamordowaniem córki hrabiego Bołkońskiego, którą rozwiązywał komisarz Maciejewski z Lublina, pisały nawet gazety. I to nie były jak pisały, ale dobrze się wyrażały o Maciejewskim, ale i o nim jako

człowieku, który dopomógł śledczemu w rozwiązaniu zagadki kryminalnej[40]. A teraz on, zasłużony i doceniany przez przełożonych, prasę i opinię publiczną funkcjonariusz, staczał się na samo dno rozpacz, zastanawiając się, czy aby sobie nie strzelić w łeb.

– Panie Feliksiak, daj no pan jeszcze jedno piwo! – zawołał głośno, ale nie musiał przebijać się przez gwar rozmów ludzi siedzących w knajpie U Okonia. Niewielu już ich było, a ci, którzy dotrwali do tej pory, nie mieli zbyt wielu chęci do rozmów. Niektórzy patrzyli tępych wzrokiem przed siebie, wbijając spojrzenie w ścianę, albo w resztki niedopitego w kuflu piwa. Czas radosnego biesiadowania, klepania się po plecach, trącania się szkłem i przyrzekania sobie dożgonnej przyjaźni skończył się już ładnych kilka godzin temu. Teraz byli biesiadnicy zastanawiali się nad sensem życia, jeśli jeszcze w ich zamoczonych alkoholem głowach w ogóle kołatały się jakieś myśli. Te o egzystencji własnej i ich rodzin zmuszały ich do melancholii i dopicia tego, co można było dopić, a jeśli się miało w kieszeni jeszcze parę groszy, to do zamówienia ostatniej, pożegnalnej kolejki.

– Poszedłbyś pan już do domu. – Przypominający wychudzonego ptaka właściciel baru Feliksiak postawił przed Anastazym kufel. Olkiewicz spojrzał na niego nieco rozwodnionym wzrokiem. Przetarł oczy wierzchem dłoni, ale na niewiele się to zdało. Obraz cały czas był niewyraźny. Przypomniawszy sobie, że tak mu się zdarzało już wcześniej, szczególnie w chwilach, gdy za dużo wypił. A dziś pił już od ładnych kilku godzin, bo zanim dotarł do knajpy Feliksiaka, to jeszcze opróżnił całą butelkę wódki znalezionej w kuchni zabitego proboszcza. Musiał jakoś uporządkować myśli, a na nerwowe rozedrganie najlepsza jest właśnie wódka. Więc kazał



gospodyni dać sobie butelkę i wypił ją w czasie, kiedy na miejscu pracowała ekipa techniczna, zabezpieczająca zwłoki i pomagająca Oskierce dojść do siebie. Aspirant najbardziej w tej niespodziewanej szarży aresztowanego mordercy ucierpiał. O ile Olkiewicz dostał tylko bykiem w brzuch, to Oskierko został uderzony w głowę. Gnojek chwycił w biegu patelnię i przyłożył nią w łeb stającemu na drodze oficerowi tak mocno, że ten stracił przytomność. Anastazy podniósł się niemal natychmiast, ale na pogoń było już za późno. Strzelił jeszcze z okna w plecy zbiega, lecz po tym ciosie w brzuch, rękę miał niepewną i chybił. A szkoda, bo gdyby tego łachudrę odstrzelił, to już by było po sprawie i nie byłoby takiego wstydu z tą ucieczką. A tak musiał się zmierzyć z jutrzejszymi docinkami kolegów, mimo że zrobił, co mógł.

Wybiegł na ulicę i pognął za uciekinierem, ciągnąc za sobą jeszcze dwóch posterunkowych. Gonili go do Zwierzynieckiej, ale przy zoo wskoczył do jadącego tramwaju i tyle go widzieli. Z tramwajem nie mógł się ścigać nawet najlepszy policjant. Była pewna szansa, że uciekiniera ktoś zatrzyma, bo był w kalesonach i zakrwawionej koszuli, a dodatkowo jeszcze śmierdział pomyjami i odchodami, ale niestety rozpułynał się jak we mgle. Anastazemu, który odprowadzał tramwaj bezsilnym spojrzeniem, zdało się nawet, że na przystanku pomiędzy ogrodem zoologicznym a niemieckim konsulem ktoś ubrany na biało wysiadł i gna do budynku konsulatu. Ale nie, to przecież niemożliwe, żeby w konsulacie chował się taki obszcymurek, myślał Anastazy. Wrócił więc na Szamarzewskiego, mając nadzieję, że Oskierko już oprzytomniał i weźmie sprawy w swoje ręce.

– Pan szanowny życzy sobie zdjęcie? – Usłyszał jakiś głos, ale nie bardzo wiedział, skąd dochodzi.

– Jakie zdjęcie, do cholery? – zapytał, ale nie miał pojęcia, kogo pyta. I wtedy usłyszał naciąganie migawki i charakterystyczne pstryknięcie.

– O, i piękna fotografia gotowa. Jeśli pan zamówi, to może już odebrać ją jutro w godzinach popołudniowych w naszym zakładzie, tutaj naprzeciwko. O, widzi pan, tam po drugiej stronie ulicy nasz szyld „Fotograf A. Ziółkowski i syn”? Ja jestem właśnie syn, a A. Ziółkowski to mój szanowny ojczulek. Pan szanowny wygląda jak Eugeniusz Bodo i Adolf Dymśa w jednym. Aż szkoda by było nie wywołać takiego zdjęcia, bo to takie będzie piękne, że na wystawę do zakładu można je wystawić jako reklamę naszego atelier.

Olkiewicz nie odpowiadał, tylko zdawał się wsłuchiwać w zachwalanie jego fotogeniczności przez młodego adepta sztuki fotograficznej. Ale tak naprawdę zainteresowało go coś zupełnie innego. Zaczął się mocno zastanawiać nad perspektywą, z jakiej robi się te zdjęcia.

– A pan robisz fotki? Znaczy czy z tej, czy z tamtej strony ulicy?

– Może być z każdej, gdzie pan tylko chcesz.

– A robisz je codziennie?

– Taka robota, a reklama dźwignią handlu. Robi się, a klient, jak przyjdzie raz zakupić, to się wróci do nas. Tak go dobrze obsługujemy.

– Przez cały dzień?

– No tak z przerwami na sikanie i wie pan... Ale o co się rozchodzi tak dokładniej? Bo my możemy zrobić każde zdjęcie, co je se klient zamówi. Mój tatuś to robił zdjęcia Poznania z aeroplanu...

- Czyli że cały dzień fotografujecie, co tu się na ulicy dzieje?
- No nie, co się dzieje, ale ludzi, co idą.
- Ale nie wszyscy chcą mieć zdjęcia wywołane?
- Nie. - Chłopak pokręcił głową. - Ludzie pieniędzy nie chcą wydawać, to trzeba ich przekonać, jak szanownego pana, i wtedy...
- A co, jak kto nie kupi zdjęcia?
- Nasza strata. Kliszy dużo idzie. Ale codziennie się wywołuje taką kliszę i zapisuje, z jakiego dnia, żeby klient, jak się zadecyduje...
- Można zobaczyć te klisze, zez... zez niedzieli?
- A niby z jakiej paki? - Dopiero teraz młodemu fotografowi zainteresowanie tego faceta wydało się co najmniej dziwne.
- A z takiej. - Anastazy wyciągnął z kieszeni blachę. - Zdjęcia z południa.
- O, z południa to jest najwięcej, bo wtedy akurat wiara drałuje do kościoła, to się pstryka na potęgę. Wszyscy odpiardoleni jak na wesele, w wyglancowanych trzewikach, a babeczki z falą na głowach albo w kapeluszach berlińskich...  
Spotkanie z fotografem doprowadziło Olkiewicza do sensacyjnego odkrycia.
- Wywołajcie mi te dwa zdjęcia na jutro, z jak największą ostrością na tych dwóch facetów, co tu stoją przy tym aucie, i żeby było widać rejestrację - polecił ojcu fotografowi i jego synowi. Obaj ochoczo potwierdzili chęć współdziałania z policją, a stary fotograf obiecał, że jutro rano duże odbitki trafią do Dyrekcji Policji w kopercie na nazwisko szanownego pana Olkiewicza.

Teraz, siedząc w knajpie U Okonia, Anastazy czuł nieco satysfakcji z tego swojego odkrycia, bo być może dzięki

zdjęciom doprowadzi do ujęcia zleceniodawcy kradzieży obrazu i zabójstwa księdza. Ale była to łyżka miodu w tej beczce dziegciu. Bo zanim miód się pojawi na łyżce, rano wszyscy będą gadać o nim i o ucieczce aresztanta.

– Co mówisz? – Spojrzał na Feliksiaka, który zerkał na niego z troską. – Jak się napiję, to pójdę – stwierdził i przyłożył kufel do ust, popijając małymi łydkami. Większych łyków nie mógł zrobić, bo jeszcze na domiar złego przypałała mu się czkawka. Dopiero dzięki niej zrozumiał, że to chyba już najwyższy czas, by skończyć biesiadowanie. Wstał więc od stolika, przytrzymując się oparcia ławy. Założył na głowę swój czarny kapelusik i już chciał udać się godnym krokiem do wychodka na tyłach knajpy, gdy naraz zderzył się z Leonem Kaźmierczakiem.

– A ty co se myślisz, do cholery, że można tak wpadać na uczciwego człowieka! – Oburzony Olkiewicz odepchnął go od siebie, ale Kaźmierczak rozejrzał się nerwowo, chwycił go za rękę i pociągnął do najbliższego stolika, akurat do tego, gdzie stało jeszcze jego niedopite piwo.

– Panie Anastazy, jak dobrze, że pana widzę.

– A bo co?

– Co się stało? – odezwał się Feliksiak, który na widok zdenerwowanego Leona natychmiast wyszedł z baru. Znał zwyczaje członków swojej szajki i wiedział, że zawsze po udanym skoku wracają tu razem, żeby opić udaną akcję. Powrót samotnego Leona mógł zwiastować nieszczęście.

– Tolek i mój brachol aresztowani są. Była wsypa, wzięli nas na gorąco w chacie. Mi się udało dać dyla, ale oni siedzą jak nic.

– Czyli że co mam zrobić? Wypuścić ich? – zdziwił się Olkiewicz, ale jeszcze bardziej zdziwiło go, że przeszła mu

czkawka. Znał Tolka Grubińskiego od dzieciństwa, bo razem chodzili do powszechniaka i wychowywali się tu obok, na Mostowej, ale przecież nie mógł pójść i powiedzieć komuś tam w policji, żeby go wypuścili.

– Pan nie da rady – powiedział Feliksiak. – Za chudy jesteś pan w uszach. Tu może zaradzić tylko komisarz Fischer – stwierdził i pokiwał smutno głową. Potem podreptał do bufetu, by po chwili wrócić z butelką wódki i trzema kieliszkami. Musieli się naradzić, jak tę sprawę ugryźć i co zrobić, żeby szef złodziejskiej bandy wyszedł jak najszybciej z aresztu, bo bez niego cały ich złodziejski interes rozsypie się jak domek z kart.

## Bydgoszcz

Godzina 6.30 rano

Obudziło go łomotanie do drzwi. Nie pukanie, ale walenie mocne i zdecydowane. Przez chwilę nie wiedział, co się dzieje i gdzie jest. Nie wypił wczoraj dużo, ale jednak daleko mu było do pełnej trzeźwości i jasności spojrzenia na otaczający go świat. A ten, z którym miał teraz do czynienia, składał się z dwóch elementów – ciemności, bo kotary w oknie były starannie zasłonięte, no i z łomotania do drzwi.

– Co się tam dzieje, do cholery?! – zawołał poirytowanym tonem, ale nie wyszło to zbyt przekonująco, bo głos miał zdarty jak stara gramofonowa płyta.

– Otwierać, policja! – wyjaśnił znacznie bardziej zdecydowanie ten zza drzwi.

– Policja? – powiedział sam do siebie zdumiony. Nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się, żeby policja budziła go w tak niemiły sposób. – Zaraz wstaję! I grzeczniej tam, bo ja też jestem z policji! – odpowiedział i zapalił lampkę nocną. Teraz dopiero rozejrzał się po pokoju. Jego spodnie leżały rzucone byle jak na krzesło. Marynarka spadła na podłogę, a trzewiki stały równo ustawione pod stołem. Powinien w zasadzie się wykapać, ogolić i dopiero potem wpuszczać tego natrętnego policjanta. Właściwie to co on sobie, do cholery, myśli, żeby budzić go o takiej porze... Właśnie, jaka to pora? Wziął z nocnego stolika swoją omegę w srebrnej kopercie, otworzył ją i spojrzał na cyferblat. Była szósta trzydzieści. Czyli miał jeszcze przynajmniej dwie godziny spania, a tymczasem ktoś go budził i to nie wiadomo z jakiego powodu. Włożył szybko spodnie, naciągnął szelki na ramiona i bosy podszedł do drzwi.

– Czego chcecie? – zapytał na wszelki wypadek.

– Proszę otworzyć, to się pan dowie, panie policjant!

Zapiął rozpiorek i pomyślał, że głupio tak paradować przed obcym człowiekiem bez butów. Więc cofnął się i wzuł trzewiki. Na szczęście były dobrze rozchodzone i udało mu się je wsunąć bez użycia łyżki do butów. Zresztą i tak nie miał jej ze sobą. Potem popatrzył krytycznie na swoje obute stopy z odsłoniętymi kostkami. No cóż lepiej tak, niż prezentować się jak chłop przed wejściem do kościoła.

Zdjął łańcuch, złapał za klamkę i nacisnął. Drzwi ustąpiły. Najwidoczniej wczoraj zapomniał zamknąć je na klucz. Chyba był już bardzo zmęczony podróżą i wieczornym pijaństwem. A swoją drogą, ciekawe, jak wygląda dziś Żychoń. On przecież wyłopał dwa razy więcej od niego i w domu jeszcze zapewne poprawił jakimś kieliszkiem czy dwoma...

Za drzwiami zobaczył dwóch policjantów na służbie z paskami czapek zapiętymi pod brodą. Niższy, o pokaźnym brzuchu, podwójnym podbródku i z sumiastymi wąsami pod nosem, przyłożył dwa palce do daszka i ruszył do środka, przeciskając się między wiszącym na ścianie lustrem a zdeorientowanym gospodarzem.

– Pozwólcie no tutaj! – zawołał za siebie. W drzwiach natychmiast pokazał się portier, ten sam, który zapisywał go do księgi gości.

– Czy rozpoznajecie tego człowieka? – zapytał portiera.

– A i owszem, czemu nie. Jak trzeba, to rozpoznaję.

– Trzeba – wyjaśnił krótko gruby przodownik.

– To w takim razie tak, to właśnie ten pan – potwierdził chłopak.

– Czy pan, to się jeszcze okaże. – Policjant spojrzał groźnie na Fischera. Ten w dalszym ciągu nie bardzo rozumiał, co to za zamieszanie wokół niego. Ale przodownik zaraz mu to wyjaśnił. Zrobił to z całkiem poważną miną, a Antoni pomyślał w pierwszej chwili, że to jakiś żart przygotowany przez Żychonia i Rybackiego.

– Chodzi o zastrzelonego Niemca, który mieszkał naprzeciwko. Czy to pan go zastrzelił?

Fischer z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Co to za żarty? Przodowniku, na co wy sobie pozwalacie? Jestem policjantem.

– A ja Dziewicą Orleańską! – zadrwił szkieł. – To w takim razie pokażcie swoją blachę.

Fischer wzruszył ramionami. Po co mu blacha? Nie zabrał jej z domu. Przecież nie była mu tutaj do niczego potrzebna.

– Nie zabrałem. Nie przyjechałem tu służbowo...

– Co ten tu człowiek, podający się za policjanta, zgłosił do księgi meldunkowej w kwestii zawodu? – Powiedziawszy to, przodownik wskazał palcem na portiera.

Ten spojrział w górę, jakby musiał się namyślić, ale uśmiechnął się, bo zaraz sobie przypomniał.

– Ten tu człowiek podał, że jest urzędnikiem.

– Czyli nie policjantem?

– Urzędnikiem.

– Czyli że albo kłamiecie teraz, albo nakłamaliście we wpisie – rzucił oskarżycielskim tonem.

– Słuchacie, przodowniku, jestem komisarz Fischer z Poznania.

– O, Fischer! Ten tam zabity to Niemiec, a człowiek, który z nim rozmawiał ostatni, ma niemieckie nazwisko. Przypadek? Nie sądzę.

– O czym wy, do cholery, mówicie?

– O tym, że wasz sąsiad, co miał numer naprzeciwko, nie żyje. Został zabity z zimną krwią w swoim pokoju. A ostatnią osobą, z którą rozmawiał, był właśnie pan.

– Co? Böhm nie żyje? To niemożliwe.

– Patrzcie się, posterunkowy – zawołał przodownik do drugiego policjanta, który stał cały czas w progu, odcinając prawdopodobnemu zabójcy drogę ucieczki. – Ha, ha! Nic nie powiedziałem, jak się ten Niemiec nazywał. Czyli nie zaprzecza pan, że się znaliście? Dla mnie wszystko jasne. Sprawa morderstwa za chwilę się wyklaruje. No powiedzcie, jak to było. – Znów wskazał na portiera. Ten odchrząknął, jakby szykował się do przemówienia, i zaraz zaczął swoją opowieść:

– To było tak, że wczoraj około północy ten tu pan wszedł do hotelu już nieco podchmielony, bo odprowadzał swoich kolegów, z którymi pili przy stoliku na antresoli. I jak już



wrócił, to się spotkał z tym Niemcem, co leży tam zabity. I akuratnie się spotkali na wprost mojego kontuaru, tom wszystko widział, jak rozmawiali, ale o czym, to nie dosłyszałem już. Ale potem ten tu pan poszedł do numeru na górę, a ten drugi poszedł do bufetu, żeby się jeszcze napić. Ale w bufecie nie leją już wódki o tej porze, bo bufet jest zamykany o północy. No to ten Niemiec, znaczy pan Böhm, musiał namówić barmana, żeby mu sprzedał na wynos i za chwilę już wracał z dwoma kieliszkami i flaszką koniaku. I przyszedł do mnie, żeby zapytać, w którym pokoju mieszka jego kolega, pan Fischer, co z nim rozmawiał, boby chciał iść do niego i zrobić mu niespodziankę. No to ja widziałem akuratnie, jak rozmawiali obaj, to mu podałem, że dokładnie naprzeciw niego mieszka pan Fischer, i on poszedł. Znaczy się chyba do... tutaj.

– I co pan na to? – Policjant spojrzał na Fischera, marszcząc przy tym groźnie brwi.

– Owszem, znam pana Böhma i jestem wstrząśnięty jego śmiercią. Ale fakt, że się znamy i że rozmawialiśmy w nocy, nie czyni jeszcze ze mnie mordercy.

– A macie broń? – zapytał zniecierpliwiony gruby przodownik.

– Broń? – Fischer się zdziwił, ale tylko na sekundę. Owszem miał broń. Zawsze jeździł w podróże z niewielkim browniingiem.

– Jako policjant mam broń, to chyba...

– Ma broń! – zawołał od drzwi ten, który je zabezpieczał.

– Ręce do góry! – krzyknął gruby.

– Na kolana, bo będę strzelał! – wołał ten od drzwi, mierząc do Fischera z mausera, którego zdjął z ramienia, i wycelował w komisarza. Nie zarepetował broni, więc nie miałby szansy

wystrzelić. Tymczasem przodownik próbował bezskutecznie odpiąć kaburę z pistoletem.

– Nie strzelajcie, bo tu niewinni ludzie zginą! – wydarł się przerażony portier, po czym uniósł ręce ku górze i opadł na kolana.

– Posterunkowy, nie machajcie tym karabinem, bo sobie jeszcze krzywdę zrobicie – rzucił komisarz, chwytając mausera za lufę. Szarpnął nim mocno i policjant wypuścił broń z rąk. Potem przeładował ją sprawnie i skierował karabin na mocującego się z kaburą przodownika.

– Zostawcie ten pistolet, przodowniku, bo nie będzie wam potrzebny. Wy też, posterunkowy, nie róbcie niczego, co by mogło doprowadzić do niepotrzebnego zamieszania. A teraz mnie posłuchajcie, zakute łby, bo nie mam ochoty wam więcej powtarzać! Jestem komisarz Antoni Fischer z Dyrekcji Policji w Poznaniu. Jestem też kierownikiem poznańskiej grupy pościgowej zajmującej się łapaniem najgroźniejszych przestępców. Mojego znajomego nie zamordowałem, ani nawet nie miałem wobec niego morderczych myśli. Ale skoro już doszło do zbrodni, to może warto by było, żebym rzucił okiem na to, co się tam wydarzyło, bo być może będę wam mógł służyć radą i pomocą, skoro już tu się pojawiłem przypadkowo.

Dwaj mundurowi spojrzeli na siebie. Chudy wzruszył ramionami, bo w końcu co on mógł? Gruby popatrzył na Fischera, a potem zapytał podejrzliwie:

– Naprawdę jest pan z policji?

– Tak jest.

– To znaczy się... panie komisarzu, przodownik Wiesław Lisek melduje się na służbie. – Wyprężył się i zaszalutował. Nie było co dalej brnąć w podejrzenia i przesłuchiwanie, skoro był

na miejscu oficer śledczy, i to z grupy pościgowej. Oni już się najlepiej znali na morderstwach i przestępcach. I skoro jest tu, to niech teraz on się martwi, myślał Lisek w sumie nawet zadowolony, że może ciężar tego dochodzenia na samym początku przekazać komuś wyższemu stopniem do chwili, aż na miejsce przyjadą ich śledczy z Bydgoszczy. Wtedy temu poznaniakowi podziękuję się grzecznie za pomoc, ale śledztwo poprowadzą już nasi bydgoszczanie, analizował. Bo jak wiadomo powszechnie, najlepsi policjanci są w Bydgoszczy... No może jeszcze w Lublinie jest ten Maciejewski ponoć całkiem niezły, ale za dużo chleje, we Lwowie Popielski też dobry, choć dziwkarz, a i w Warszawie mają niezłych, takiego Strasburgera chociażby, ale to w końcu stolica, więc tam wszystko jest najlepsze.

## Poznań

Godzina 8.10 rano

– Anastazy, słyszałem, że ci uciekł jeden szuszwol – powiedział na powitanie dyżurny podoficer Ludwik Pasternak, siedzący za wysokim kontuarem w holu Dyrekcji Policji. Olkiewicz spojrzał na niego spode łba, a potem mruknął coś pod nosem, czego Pasternak nie usłyszał, ale mógł się domyślić, że to nie było nic miłego. Na wszelki wypadek jednak odpowiedział, bo okazja była przednia móc bezkarnie dokuczyć koledze:

– Nie mogłeś gnoja chociaż odstrzelić? Teraz by było mniej kłopotu, bo wiara będzie musiała po mieście łązić i zelówki zdzierać za jakimś szuszwolem.

– Ciesz się, że ty możesz siedzieć, a o innych się nie martw, bo za chodzenie po mieście chyba policji państwo płaci. A od siedzenia na dupie to hemoroidy się robią. Możesz się jeszcze wysrać? – rzucił Olkiewicz na odchodne i chciał ruszyć na schody, którymi musiał się dostać na drugie piętro. Pasternak go jednak powstrzymał.

– Tu jest jakaś koperta dla ciebie. Zdjęcia żeś se zrobił do albumu rodzinnego?

Anastazy wziął z ręki dyżurnego przesyłkę, ale nie skomentował kolejnych złośliwości. Nie było na to czasu, a tego gnojka jeszcze sobie przyuważy w odpowiednim momencie i mu odpłaci.

Pobiegł do pokoju służbowego wywiadowców. Tam bowiem w szafie miał swój mundur z dystynkcjami przodownika. To, co zamierzał zrobić, wymagało munduru i pomocy Oskierki. Liczył, że aspirant jest już w pracy, bo zazwyczaj przychodził o tej porze gotowy do nowych wyzwań.

W pokoju wywiadowców nie było nikogo. Czuć było tylko dym papierosowy, a to oznaczało, że któryś z kolegów jest na miejscu, ale zapewne poszedł parzyć sobie kawę do służbowej kuchni. Anastazy chętnie napiłby się kawy, ale nie miał czasu na odpoczynek. Musiał się spieszyć, żeby zdążyć przed posiedzeniami sądu. Bo jeśli Grubińskiego postawią rano przed sędzią, to jako człowiek złapany na gorącym uczynku może od razu zostać wsadzony na trzy lata. A wyroku odwołać się już nie da. Chodziło więc o to, żeby wyprzedzić wymiar sprawiedliwości i ukrećć sprawie łeb.

Gdyby był na miejscu Fischer, to sprawy wcale by nie było. On wykonałby jeden telefon i Grubińskiego z tym jego Kaźmierczakiem wywaliliby z aresztu na Młyńskiej na zbity pysk. No ale komisarz jeździł sobie gdzieś po świecie, więc on

musiał teraz wziąć sprawy w swoje ręce. Potrzebny był mu jeszcze tylko Oskierko dla uwiarygodnienia historii, która obmyślił wraz z Feliksiakiem.

Otworzył szafę, w której on i jego koledzy przechowywali swoje mundury, bo nigdy nie wiadomo przecież, czy w trakcie służby nie trzeba będzie wystąpić oficjalnie.

Odnalazł swój, chwycił wieszak i powiesił go na drzwiach szafy. Przebrał się w ıście ekspresowym tempie, mimo że bluza mundurowa jakoś nie bardzo chciała na nim się dać zapiąć. Przez moment myślał, że może pomylił mundury, ale sprawdził dokładnie i okazało się, że to rzeczywiście ten jego, o czym świadczyły doskonale przyszyte patki na kołnierzu i pagony na ramionach. Jego żona potrafiła szyć jak mało kto.

Na koniec założył wysokie buty i już był gotowy do wyjścia. Potrzebny mu był tylko jeszcze Oskierko. Pobiegł więc do pokoju na drugim końcu korytarza, ale nie było tam nikogo. Przeklął pod nosem i wrócił do siebie.

Usiadł przy biurku, otworzył szufladę i wyciągnął z niej kartkę papieru. Z marynarki wydobył zdjęcia, które dostał od fotografa. Miały wielkość pocztówek, więc było na nich widać wszystko to, co potrzeba. Był tam więc ten pieprzony uciekinier, obok niego jakiś facet w ciemnym garniturze i najważniejsze – automobil z wyraźnymi tablicami rejestracyjnymi.

Wsunął fotografie do koperty, a potem na kartce wyrwanej z notatnika napisał ołówką list do Oskierki.

*Szanowny Pan Oskierko Walenty asp.*

*Od Olkiewicz Anastazy przod.*

*Wew związku z tym, że nie mam czasu i nie mogę czekać, bo Tolek Grubiński siedzi we Młynie, muszę się udać jego uratować, bo go wsadzą*

*z wyrokiem, czego by nie chciał W.P. Komisarz Fischer. A że pana aspiranta nie było pod ręką, muszę sam iść sprawy załatwiać, czyli że panu pozostawiam fotografie uliczne, na których widać tą łachudrę, czyli Lehmana, z jakimś gościem, jak mu ten Lehmann wręcza obraz ukradziony w niedzielę w samo południe, bo robił je syn fotografa Ziółkowskiego, a gość odbiera i samochód, co tam stoi, to jest jego, bo nim przyjechał. Dlatego trzeba by sprawdzić, do kogo on należy, co pan aspirant na pewno da se radę zrobić, a ja już nie mam czasu i muszę lecieć, bo jak Grubiński dostanie wyrok, to się go nigdy w życiu już nie wyciągnie.*

*Kłaniam się z uszanowaniem.*

*Olkiewicz A.*

Włożył list do koperty, zakleił ją i wsunął do kieszeni, by zostawić w biurze przepustek. Już chciał wyjść, gdy naraz przypomniał sobie jeszcze o czymś. Podeszedł do telefonu i poprzez centralę poprosił o połączenie z Kółkami Rolnymi, żeby o aresztowaniu Tolka powiadomić Mikołajewskiego. Odebrał Zielonka, który powiedział, że nie ma żadnego z szefów. Więc Olkiewicz wyjaśnił mu, co dzieje się z Tolkiem, powiedział, że idzie załatwiać jego zwolnienie, a gdyby nie załatwił, będzie dzwonił. Na wszelki wypadek wolał się zabezpieczyć, żeby o jego samowolnej akcji wiedział ktoś znacznie bardziej wpływowy od niego. A taką osobą był niewątpliwie prezes Mikołajewski.

Pięć minut później siedział już w tramwaju jadącym przez Ratajczaka na Wildę.

Gdyby wyszedł chwilę później, spotkałby się z Oskierką, bo ten właśnie pojawił się w pracy. Nie wyglądał kwitnąco. Oczywiście miał podkrążone z niewyspania, a do tego jeszcze ten bandaż na głowie, przez który policyjna czapka niezbyt dobrze leżała.

– Panie aspirancie! – Starszy posterunkowy Pasternak wychylił się znad kontuaru. Oskierko się odwrócił.

– A co tam?

– No nic, ino Olkiewicz zostawił dla pana list.

– Olkiewicz list? – zdumiał się oficer, bo znał Olkiewicza nie od dziś i wiedział, że z pisaniem u niego nie jest najlepiej. Ale zaraz to zdziwienie przekształciło się w zdenerwowanie. Coś się musiało stać istotnego, skoro Anastazy chwycił za ołówek.

– Coś mówił, kazał przekazać? – zapytał dyżurnego.

– Tak jest! – potwierdził podoficer. – Kazał przekazać list.

– Dobrze, dziękuję. – Oskierko włożył papier do kieszeni i poszedł na górę.

W pokoju młodszych oficerów, który dzielił z czterema innymi śledczymi, pachniało kawą, której dzbanek stał na niewielkim stoliczku. Jak zwykle rano parzyła tę kawę dla nich posługaczka Czerwińska. Kobieta obsługiwała kilkanaście pokoi śledczych, robiła panom oficerom kawę i chodziła po sprawunki, takie jak ciastka czy bułki. Oskierko pomyślał, że chętnie by coś zjadł, bo nie miał na to czasu wcześniej. Gdyby nocował w domu, byłby już po śniadaniu, a tak będzie musiał wydać niepotrzebnie pieniądze. Same kłopoty przez tę Olgę Długolecką. Ale nad nią będzie się zastanawiał później. Najpierw list.

Nalał kawy do filiżanki, usiadł przy biurku i szybko przeczytał krótką informację. Po chwili odczytał ją jeszcze raz, ale i tak nie zrozumiał, o co chodziło Olkiewiczowi z tym Grubińskim. Ciekawe za to były zdjęcia. Zrozumiał, że Olkiewicz dostał odbitki od ulicznego fotografa, który przypadkowo zrobił zdjęcia Jörgowi Lehmannowi podczas przekazywania obrazu. Naraz przypomniał mu się list, który dał mu do przeczytania wikary. Mówił, że jest tam jakieś

wyjaśnienie dotyczące pochodzenia tego malunku. Musi zaraz poszukać kogoś, kto mu przełoży to pismo na polski. Tylko trzeba to zrobić dyskretnie, żeby się nie rozniosło, że on ani be, ani me po niemiecku...

Drzwi do biura się otworzyły. Spojrzał tam, mając nadzieję, że do pracy przyszedł aspirant Legutko, z którym się kolegował. Ten nie robiłby ceregieli z tłumaczeniem. Na pewno wzięłby list i...

– A pan aspiryn to coś będzie jadł, bo ja po sprawunki idę? – zapytała posługaczka. – Bo jeśli tak, to na kartce mi zapisać, co i ile, bo za chwilę będę zbierać bejmy do kupowania...

– Pani Czerwińska! – zawołał za nią, gdy już się odwróciła, żeby wyjść.

– No co?

– A pani umie po niemiecku?

– Niby co?

– Normalnie, pisać i czytać.

– Łe no, panie, przecie ja z Poznania i do szkoły chodziła.

– A list byście mi przetłumaczyli?

– Długi?

– No nie za długi. Zwyczajny list.

– Dwa złote.

– Co?

– Jakby było na maszynie, to za złotówkę, ale jak jest ręcznie pisane, to dwa złote, bo trzeba się w bazgrołach wyznaczyć.

– Dobrze, zapłacę – zgodził się i pomyślał, że właśnie stracił całą gotówkę, za którą mógł mieć kilka bułek, dwa pęta kiełbasy i do tego jeszcze ze cztery drożdżówki, nazywane tu szneką z glancem.

– To pan pokaże ten list. – Podeszła do biurka i wyciągnęła rękę. Podał kartkę. Przez chwilę wpatrywała się w tekst,



a potem zaczęła czytać powoli zdanie po zdaniu.

Oskierko chwycił ołówek, żeby notować. I naraz poczuł, że dostaje gęziej skórki. To, co czytała Czerwińska, wydawało się tak niewiarygodne, że kilka razy kazał jej powtarzać. Ale w końcu, gdy przeczytała wszystko od początku do końca, musiał stwierdzić, że znalazł rozwiązanie zagadki morderstwa księdza Warguły i kradzieży tajemniczego obrazu. Tylko z kim miał się tą wiedzą teraz podzielić? Fischera nie było, Olkiewicz gdzieś przepadł, a jego najstarszy mentor, Seweryn Gil, najbardziej doświadczony wywiadowca i śledczy w jednej osobie, od trzech miesięcy był już na emeryturze. Na razie musiał więc zachować tę wiedzę dla siebie i skupić się na tym, czego dokonał Olkiewicz. Trzeba było sprawdzić, do kogo należało auto, które sfotografowano w niedzielę na ulicy Szamarzewskiego. A swoją drogą, ciekawe, kim był ten Szamarzewski? Nie słyszał nigdy wcześniej o generale o takim nazwisku, a jak wiadomo, ulice daje się tylko wybitnym dowódcom, no ewentualnie artystom.

## Bydgoszcz

Godzina 8.50 rano

– Jestem podkomisarz Roman Małecki – przedstawił się mężczyzna o niezbyt dobrze ogolonej twarzy, za to całkowicie pozbawionej włosów głowie, z okularami w czarnych oprawkach na nosie. Fischer, spoglądając na niego, zastanawiał się, czy to naturalna łysina, czy też jej właściciel golił głowę, by ukryć łysiejące miejsca. Niekiedy radykalne rozwiązania są zdecydowanie lepsze niż utrzymywanie fikcji za

pomocą sztucznie doklejanych tupecików. Na szczęście on nie miał problemów z włosami. Jego były gęste i mocne, więc obcinał je dla porządku w taki sposób jak dawniej w pruskiej armii, czyli na szczotkę. Dzięki tej krótkiej fryzurze nie istniał dla niego problem porannego czesania. Wystarczyło namoczyć włosy pod kranem, nastroszyć je ręcznikiem i był gotowy do wyjścia między ludzi.

Teraz na szczęście odbył już poranną toaletę, bo policjanci, którzy zabezpieczali miejsce popełnienia zbrodni, dali mu w końcu spokój i pozwolili, by doprowadził się do porządku. Ogolił się więc staranie, ubrał świeżą koszulę i w tym momencie rozległo się pukanie do drzwi.

Podkomisarz Małecki sprawiał wrażenie nieco zakłopotanego sytuacją. Podał dłoń Fischerowi, a ten uścisnął ją mocno, po czym zaprosił gościa do środka.

– Przede wszystkim przepraszam za to poranne nieporozumienie – zaczął od progu, ale Fischer tylko machnął ręką.

– Niech pan siada. – Wskazał krzesło przy niewielkim, okrągłym stoliku. – Nie będziemy przecież robić zagadnienia z nadgorliwości naszych podkomendnych. Wiemy obaj doskonale, że do policji trafiają ludzie pełni zapału, ale z możliwościami intelektualnym dalekimi od zadowalającego poziomu ćwierćinteligenta. Pracujemy z takim, a nie innym materiałem ludzkim i nie ma co narzekać. Może kiedyś dojdziemy do sytuacji, w której matura będzie cenzusem uprawniającym do pracy w policji, a na razie cieszymy się, jeśli nasz posterunkowy na jakimś zadupiu ma zaliczone trzy klasy powszechniaka, czyli umie pisać i czytać. No ale nie ma co dywagować o sprawach nieistotnych. Myślę, że trzeba zająć się tym, co naprawdę ważne w chwili obecnej.

– Najzupełniej się zgadzam, panie komisarzu. Jeśli można, tylko powiem, że w ubiegłym roku słuchałem pańskich odczytów na antenie Radia Poznań, więc tym bardziej czuję się zaszczycony, że osoba tak znana z fal eteru, o takim autorytecie, wyróżniła nas swoją obecnością i zgodziła się dokonać analizy śledczej.

– A co tam radio – odpowiedział skromnie Fischer, choć w duchu musiał przyznać, że Małecki mile go połechtał swoją wiedzą na temat jego odczytów. Rzeczywiście, co jakiś czas pisał dla radia referaty, które przed mikrofonem wygłaszał samodzielnie. Opowiadał w nich o sprawach bezpieczeństwa ulicznego, złodziejstwa kolejowego czy tramwajowego albo o chorobach wenerycznych, których nabawić się można poprzez kontakty z niezarejestrowanymi prostytutkami. Jednym słowem, były to tematy ważne, z którymi obywatele miewali do czynienia na co dzień, a on zwracał im uwagę na kwestie ostrożności i zapobiegliwości na każdym kroku. – W radiu dzielimy się swoją wiedzą na użytek publiczny, czyli nic wielkiego w zasadzie nie robię, ale jakby w prosty sposób kontynuuję swoją robotę policyjną.

– To chwalebne, panie komisarzu.

– Czyli że wy tu słuchacie poznańskiej rozgłośni? To mnie cieszy.

– No a jakże, przecie to dla nas najbliższa stacja radiowa. Dopóki u nas nie wybudują...

– Z tego, co wiem, bo czytałem na ten temat w „Tygodniu Radjowym”, to do trzydziestego piątego będzie pomorska rozgłośnia, ale chyba z siedzibą w Toruniu.

– W końcu Toruń to siedziba wojewódzkich władz, więc nic dziwnego, że tam ma być budowane radio pomorskie. A ja jako torunianin nie będę z tego powodu ubolewał – stwierdził

Małecki. Fischer dostrzegł lekki uśmiech na twarzy podkomisarza. Musiał chyba być lokalnym patriotą, bo wzmocnienie rangi jego miasta sprawiło mu wyraźną satysfakcję. Antoni nie miał zamiaru drażnić tematu, choć wiedział, że Bydgoszcz z Toruniem rywalizują o palmę pierwszeństwa w regionie pomorskim. Toruń miał wszak tradycję historyczną, a Bydgoszcz potencjał wielkomiejski. A do tego wszystkiego obu miastom przybywała silna konkurencja w postaci Gdyni.

– Ale nie o radiu przecież powinniśmy rozmawiać. – Jak zwykle konkretny poznaniak zawrócił rozmowę na właściwe tory, ucinając wzajemne uprzejmości.

– Pan znał zabitego? – Małecki również nie miał w zwyczaju krążyć. Od razu zapytał o istotną kwestię.

– Tak jest. To człowiek, który był jednym z oficerów sztabu mojego pułku podczas Wielkiej Wojny. Pan walczył podczas wojny? – zapytał bez jakichkolwiek intencji, po prostu z czystej ciekawości.

Małecki pokręcił głową.

– Ta Wielka mnie ominęła, bo gdy się kończyła, byłem jeszcze gimnazjalistą, ale na bolszewicką się już zaciągnąłem, gdy Korpus Konny Gaja wkroczył na Pomorze.

– Strach pomyśleć, co by było, gdyby te skurczybyki przeprowiły się tu do was, na drugą stronę Wisły. Mogliby pójść w górę, w kierunku Warszawy... No więc ten zabity Böhm, którego znam od dawna, przyjechał do Poznania na czele delegacji niemieckich handlowców. W Poznaniu zobaczyłem się z nim po raz pierwszy od osiemnastego roku. Byłem przekonany, że wrócił wraz ze swoimi do Berlina i proszę sobie wyobrazić, że wczoraj zastałem go w tym hotelu.

– Nie uprzedzał pana, że się wybiera do Bydgoszczy?

– Skąd. Wcale o tym nie rozmawialiśmy. Nie miałem więc pojęcia, że on się tu wybiera. Gdy go spotkałem wieczorem, miałem wrażenie, że obaj byliśmy zaskoczeni, ale być może on to zdumienie odegrał. Nie rozumiem tego. To jakaś przedziwna sytuacja.

– Czyli myśli pan, że ów zabity Niemiec przyjechał tu za panem? – domyślił się Małecki.

Wyczuł, co chodziło po głowie Fischerowi, ale ten nie mógł mu przecież zdradzić, w jakiej grze właśnie zaczynał uczestniczyć. Zresztą to wszystko, co działo się ostatnio, było niejako odklejone od racjonalnej rzeczywistości, do której komisarz był przyzwyczajony. Świat wywiadu jeszcze nawet nie uchylił mu swoich drzwi, ale już zaczynał go powoli osaczać. Musiał o tym koniecznie porozmawiać z Rybackim i Żychoniem. Oni niewątpliwie będą wiedzieli, co o tej sprawie morderstwa sądzić, bo on mógł mieć tylko pogląd typowo kryminalny. I taki też przekazał Małeckiemu.

– Tego nie powiedziałem, panie podkomisarzu. Więc nie będę się bawił w domysły. Jedyne, co mogę o sprawie powiedzieć, to fakt, że gdy wszedłem do pokoju, gdzie znaleziono zwłoki, przekonałem się, że Böhm został zastrzelony, siedząc w fotelu. Strzał padł z bliskiej odległości, z broni małokalibrowej. O bliskości przyłożenia świadczy fakt osmalenia koszuli na piersi nieboszczyka. Czyli gazy wylatujące z lufy przypiekły płótno. Dodatkowo mogę jeszcze powiedzieć, że morderca czegoś szukał w pokoju, ale to już pan sam zauważył po tym, że rzeczy pułkownika były porozrzucane.

– Tak, sprawdzamy właśnie ten cały bałagan.

– I jeszcze jedno moje spostrzeżenie, które może być przydatne, to fakt, że butelka koniaku była niemal pusta.

– Czyli że co?

– Portier zeznał, że Böhm kupił koniak w bufecie na dole i zamierzał pójść do mnie go wypić. Nie zdołał mnie obudzić i zasiadł do picia w swoim numerze. Lecz nie dałby raczej rady wypić tyle koniaku samodzielnie, więc osoba, która go odwiedziła, musiała, zanim dokonała egzekucji, pić z nim. A to potrwało jakąś godzinę, a może nawet dłużej.

– To możliwe, bo raczej nie pił duszkiem z butelki.

– Nie, Böhm był typem konesera, rozkoszującego się smakiem, więc na jeden kieliszek trzeba mu było przynajmniej kilkunastu minut. Zakładając, że przyszedł do pokoju po północy, proponowałbym sprawdzić, kto wychodził z hotelu około drugiej w nocy. Może portier coś widział.

– To cenna wskazówka – stwierdził z zadowoleniem Małecki.

– Choć mógł to być również mieszkaniec hotelu.

– Owszem, ale według mnie to ktoś, kto tu przyszedł na spotkanie, niespodziewane spotkanie, bo Böhm nie czekał raczej na nikogo, skoro chciał jeszcze ze mną wypić. Więc przyszedł do niego ktoś w nocy, a on go wpuścił. Czyli to albo dobry znajomy, albo...

– Kobieta – dopowiedział Małecki.

## Poznań

Godzina 9.40 rano

– A pan szanowny to za co siedzi wew więzieniu? – zapytał facet z pokaźnym brzuchem i małą głową na chudej szyi. Mężczyzna miał niegoloną od kilku dni twarz, co mogło świadczyć, że spędził tu już trochę czasu.

– Ja za co? – zdziwił się Grubiński. – To oczywiste, że za niewinność. Przez pomyłkę mnie aresztowali.

– A, to zupełnie tak jak mnie. Za zwykłą rozróbę, bo przecież nie za koziołki. Przecież nie można sprzedawać poznańskich koziołków, nie?

– Jak to sprzedać? – Tolek rzucił zaciekawionym spojrzeniem na współlokatora celi aresztu śledczego przy Młyńskiej, a ten podrapał się po szczeciniastej brodzie wyraźnie zadowolony, że wzbudził zainteresowanie współwięźnia.

– Bo pan szanowny to jest z Poznania? – zapytał.

– A i owszem, z Mostowej.

– Ano to pan wie dobrze, że koziołki to koziołki i nie można na nich zarabiać.

– Na koziołkach? A niby jak? Nie da się... – Zaraz jednak przypomniał sobie, że była pewna metoda zarabiania na pokazach koziołków. Trzeb było mieć tylko sprawne palce. Młodzi złodzieje właśnie tam często ćwiczyli się w obróbce gości. Juchta<sup>[41]</sup> pod ratuszem dobrze się sprawdzała, bo przyjezdni zastygali z głowami zadartymi do góry na widok trykających się koziołków. Takiego zapatrzonogo na ratuszową wieżę można było łatwo podejść i wyciągnąć mu z kieszeni portfel. No ale to była robota okazjonalna, o której nie można powiedzieć, że to zarabianie na koziołkach.

– No niby nie można. – Zaintrygowany Tolek siadł na pryczy i sięgnął po paczkę papierosów. Ciekawe, że odebrali mu pasek od spodni, sznurówki do butów, ale zostawili papierosy i nawet zapałki. Widać nie uznano go za potencjalnego podpalacza aresztu.

Wyciągnął paczkę w kierunku sąsiada, a ten skwapliwie przyjął poczęstunek. Z wyraźną przyjemnością zaciągnął się aromatycznym dymem z gauloises'a. Tolek lubił ten gatunek

i gdy była okazja, kupował te mocne papierosy, bo przypominały mu szczęśliwy czas nicnierobienia w twierdzy Boyen, kiedy to korzystał z uroków życia, pił włoskie wina, jadł belgijską czekoladę i palił francuski tytoń.

– Nie można, ale można. – Facet się uśmiechnął. – Jak ja se tak chodziłem po targowisku, co pod arkadami między starym a nowym ratuszem są i gdzie w razie deszczu chowają się chłopi, co sprzedają swoje produkty z wozów, przyuważyłem jednego drania, co przyjechał do Poznania po raz pierwszy i bardzo się wszystkiemu dziwił. A do tego jeszcze miał sporo pieniędzy, no tom se pomyślał, że można takiego skubnąć, bo jak jest całkiem zielony, to sam sobie winny, nie?

Tolek pokiwał głową, bo w końcu sam nie raz wykorzystywał naiwniaków.

– No to podeszłem do tego gościa i pytam, czy chce bilet na pokaz koziołków kupić. A on na to, że koziołki to on ciągle widzi, jak żrą trawę na rowie. A ja mu, że żywe, a nie mechaniczne. I że mu sprzedam po okazyjnej cenie za złotówkę, bo normalnie są po dwa złote. Kazałem mu przyjść za pięć dwunasta pod wieżę ratuszową i zawołałem tam jeszcze kilku moich znajomych, co siedzieli w knajpie Pod Daszkiem, bo im powiedziałem, o co chodzi. I jak my zobaczyli, że idzie, to dalej odstawiać przed nim cyrk. Stałem i zawołałem, że bilety na pokaz już można kupować, a ci moi zaraz się ustawili w kolejce i każdy wciska mi po dwa złote, a ja im opylam ze śmietnika wyjęte stare bilety tramwajowe. No i oni zadowolone kupują, no to do mnie ten bamber podszedł i też mu sprzedałem, tak jak powiedziałem, po okazyjnej cenie. No i po chwili było po wszystkim, bo obejrzał i był bardzo ucieszony. Ale widać było, że z niego lepszy cwaniak, bo przyszedł do mnie i zapytał, ile na takich



pokazach można zarobić. No to ja mu, że jak nic stówkę dziennie. No to on zapytał, czy nie potrzeba mi współnika. A ja mu na to, że nie mogę mieć współnika, bo ja jestem dzierżawca i od miasta dzierżawię zegar. No to on do mnie, że mógłby ode mnie dzierżawę odkupić. I co pan powiesz? Sprzedałem mu wieczorem w knajpie dzierżawę za dwieście złotych.

– I co? Tak po prostu kupił?

– Umowę na tydzień żeśmy podpisali, a następnego dnia policja go zgarnęła za sprzedawanie ludziom starych biletów tramwajowych, com ja mu dał, jak już zapłacił, ha, ha, ha!

– No a ciebie jak dopadli policjanci?

– Mnie? – Pokręcił chudą szyją. – Ja tak samo jak szanowny pan za niewinność. Bo przecież nie za koziołki. Mnie wsadzono za zwyczajną sprawę o pobicie, bo jak on wyszedł, to do mnie z pięściami. No to mu się wyklepało michę – wyjaśnił koziołkowy oszust.

Drzwi do celi otworzyły się i do środka wszedł klawisz, którego czapkę ozdabiała jedna belka.

– Który to Grubiński Anatol? – zapytał ostrym służbowym tonem.

– Ja, a bo co? – odpowiedział Tolek.

– Do wyjścia! – Machnął kluczami, wskazując drogę.

Grubiński poszedł posłusznie za strażnikiem. Ten kroczył przodem, a gdy podchodzili do jakichś zakratowanych drzwi, uderzał o nie trzymanymi w ręce kluczami. Wtedy pojawiał się inny strażnik, bez słowa otwierał przejście, przepuszczał ich i zamykał na powrót. Tolek pomyślał, że gdyby miał sztamę z tym gościem, co go prowadził, to ten bez problemów wyprowadziłby go z budynku. Ale na razie nie było co na to

liczyć. Trzeba było ze spokojem czekać na to, co przyniosą najbliższe godziny.

Dziesięć minut później i dwa piętra niżej zatrzymali się przed drzwiami, takimi, jak te do celi, w której siedział. Klawisz otworzył je i pchnął go do środka.

Wewnątrz panował półmrok, rozświetlany tylko przez maleńkie zakratowane okienko, przez które z trudem przecisnąłby się kot, gdyby miał jakiś uzasadniony powód, żeby wchodzić do takiego niezbyt nieprzyjemnego miejsca.

Zrobił trzy kroki do przodu i rozejrzał się zaintrygowany. W celi, bo to na pewno cela, nie było żadnego mebla, tylko cementowa podłoga i gołe ściany. Nie, zaraz, nie całkiem gołe. Na tej po prawej stronie było jakieś metalowe kółko zakotwiczone w tynku za pomocą grubej śruby. Takie, jakie jeszcze do niedawna można było spotkać przy ścianach starych domów, służące do wiązania konia, żeby nie odszedł, gdy woźnica szedł załatwiać sprawy. Chyba nie będą go tu wiązać...?

– No i kto zaszczycił nas swoją obecnością? – Usłyszał głos za sobą.

– Powiada, że się nazywa Jan Kowalski – odpowiedział drugi głos.

Odwrócił się, ale ci dwaj, którzy stali za nim, nie dali mu czasu na analizowanie sytuacji. Ten z prawej, mierzący prawie dwa metry, wielki jak stodoła klawisz, wyciągnął w jego kierunku solidną drewnianą pałkę.

– Łapy przed siebie! – zażądał tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Zrobił, jak mu kazali.

Drugi, niższy, ale też dobrze zbudowany, o twarzy buldoga, założył mu na nadgarstek obręcz kajdanek i szarpnięciem

przyciągnął go do ściany. Drugą obręcz przełożył przez koło dla koni i zatrzasnął na drugiej ręce. Nim zdążył się zorientować co, się dzieje, buldog opuścił mu spodnie w dół.

– No to teraz posłuchaj mnie, Kowalski – zaczął dobrotliwym tonem wyjaśniać ten wielki – powiesz nam wszystko po kolei, odpowiesz zgodnie z prawdą na każde nasze zapytanie i nic nie pokręcisz, bo jeśli zełgasz, to możesz być pewny, że przez najbliższy miesiąc nie będziesz chciał usiąść na dupie. Rozumiemy się?

Grubiński pokiwał głową.

– Jak się nazywasz? – zapytał goryl.

– Jan Kowalski.

Drewniana pałka przecięła powietrze i wylądowała z plaśnięciem na gołych pośladkach. Tolek poczuł rozdzierający ból, który jak piorun wbił się w niego i przeszył całe ciało. Jęknął głośno, ale zacisnął usta i nie wydał z siebie krzyku.

– No proszę, jaki ten Kowalski twardy – zdziwił się wielkolud.

– No to jeszcze jedno pytanie, drogi panie Kowalski. Co było na filmie w paczce z nabojami.

– Na jakim filmie? – zapytał i naraz zrozumiał, w czym rzecz.

– Otworzyliście niewywołany film? Wy pierdoleni durnie! Naprawdę któryś z was otworzył ten film przed wywołaniem? Kurwa, nie wierzę, jasna cholera, co za debile...

Przez moment dwaj policjanci patrzyli na niego z niedowierzaniem, bo raczej nie zdarzało im się, aby przesłuchiwany zarzucał im brak rozumu. Zazwyczaj prosili, aby przestać ich lać, ale ten był inny. Trzeba było więc sprawić, żeby zaczął zachowywać się jak wszyscy. A na to była tylko jedna metoda.

Wielkolud wziął zamach i uderzył pałką z całej siły. Tym razem ich więzień zachował się jak najbardziej prawidłowo, bo zawył z bólu, jak należało.

[40] Więcej w powieści *Kwestja krwi* Marcina Wrońskiego.

[41] Juchta (gwar.) – kradzież.



# Rozdział IX

## Poznań

Godzina 10.20 przed południem

Na Zwierzyniecką nie było daleko. Gdyby wybrał tramwaj, to od Dyrekcji Policji, w zależności, do którego by wsiadł, był to dystans trzech albo pięciu przystanków. Najbliżej było przez Święty Marcin, przez most Uniwersytecki i zaraz był przystanek przy zoo. Ale Oskierko wolał pieszą przechadzkę. Pogoda była całkiem przyjemna, więc po deszczowej nocy czuć było jeszcze ten przyjemny zapach wilgoci pomieszanej z aromatem kwiatów i traw na miejskich skwerach i klombach. Zresztą spacer przez miasto dawał mu dodatkowo czas na przemyślenie kilku kwestii. A było o czym myśleć, bo śledztwo, które prowadził wraz z Olkiewiczem, zbliżało się do szczęśliwego końca. Swoją drogą to ciekawe, gdzie ten Olkiewicz łązi, bo przydałby mu się teraz z tym swoim perfekcyjnym niemieckim i jeszcze znajomością miejscowych stosunków. A on, cóż, musiał posuwać się do przodu nieco po omacku i do tego jeszcze prosić obcych ludzi o pomoc. Jak choćby tę posługaczkę, która mówiła po niemiecku, jakby była Niemką. On nie znał niemieckiego, bo w Kongresówce, z której pochodził, nie było potrzeby nauki tego języka. Mówił za to po rosyjsku, bo uczył się go w szkole powszechnej i później

w gimnazjum. Tyle że ten rosyjski do niczego nie był mu teraz potrzebny. Ale za to niemiecki... Może trzeba by było zacząć się uczyć? Mógłby sobie przecież wynająć jakiegoś nauczyciela, a może nauczycielkę? Gdyby jeszcze do tego okazała się miła, ładna i zgrabna, to... Rozmarzył się trochę i zaraz przypomniało mu się, że w jego mieszkaniu zagnieździła się kobieta miła, zgrabna i w ogóle pełna tych wszystkich kobiecych wdzięków i powabów, a on uciekał od niej, obawiając się kłopotów. Dlatego postanowił, że musi przemyśleć kolejne działania z nią związane, idąc spacerowym krokiem przez miasto.

Mijał właśnie potężny Zamek Cesarski, zastanawiając się, dlaczego poznaniacy nie wyburzyli tak jawnego symbolu pruskiej dominacji nad miastem i polskimi mieszkańcami. W Warszawie był też taki symbol w postaci ogromnej cerkwi na placu Saskim. Ale warszawiacy rozebrali to, co się dało, a mury wysadzili w powietrze. I teraz plac był pusty i żaden ruski ślad nie ograniczał perspektywy. A tutaj był ten wielki zamek i jakoś nikomu nie przeszkadzał. Fischer powiedział kiedyś, że ludzie cywilizowani, Europejczycy, niczego nie burzą, tylko budują. W odróżnieniu od ludzi Wschodu, którzy niszczą wszystko na swojej drodze. Wspomniał o tym, gdy rozmawiali o wyburzeniu soboru w Warszawie, tak jakby tam nie było już cywilizacji, dodając jeszcze, że można było zrobić w tej cerkwi kościół wdzięczności za niepodległość, co bardziej by Ruskich bolało niż wyburzenie. A w Poznaniu, w zamku, mieszczą się polskie instytucje, z uniwersytetem włącznie, i dzięki temu w pruskiej budowli Polacy uczą się polskiej myśli naukowej.

Może Fischer miał i rację, ale zawsze to jednak zamek cesarza niemieckiego, myślał Oskierko, przemierzając plac, na

którym budowano jakąś bramę czy łuk tryumfalny, gdzie miał stanąć pomnik Chrystusa. Jeszcze niedawno stał tu pomnik Bismarcka, więc to akurat była dobra zmiana, bo niemieckiego kanclerza zastąpi polski Jezus. Czytał o tym w gazecie i popierał ten pomysł.

– Panie policjancie, a gdzie tu się idzie na banę?[42] – zapytała go jakaś kobiecina w czarnej bufiastej sukni i czarnej chustce na głowie. W rękach miała dwa wielkie kosze. Pewnie przyjechała sprzedać jakieś wiejskie towary i teraz pogubiła się w tym wielkomijskim labiryncie.

– Że co?

– No gdzie tu są bany? Znaczy się *richtung bahnhof* [43].

– Nie rozumiem.

– No jak to pan jesteś poznański szkieł, a po polsku nie rozumiesz? Ja muszę do Szamotuł jechać i nie wiem, gdzie bana odchodzi.

Oskierko rozłożył bezradnie ręce, ale naraz coś go oświeciło. Nie miał pojęcia, skąd ta myśl się wzięła, ale sprawiła, że zrozumiał, o co chodzi kobiecinnie, choć słów nie pojmował.

– Wy chcecie jechać pociągiem do Szamotuł?

– No przecie gadam.

– To musicie iść tam na prawo, na drugą stronę ulicy, i tam, widzicie, gdzie te młode drzewka posadzili, jest taka brukowana droga i ona wiedzie do dworca kolejowego. Znaczy się trzeba iść prosto.

– A to jo już wiem, teraz *recht*, a potem *gerade*[44] – przetłumaczyła sobie. – *Grüß Gott!*[45] – powiedziała na pożegnanie i ruszyła żwawo we wskazanym kierunku.

– I jak tu można pracować wśród tubylców, którzy mówią jakimś dialektem? – powiedział sam do siebie, odprowadzając przedstawicielkę tubylczego plemienia wzrokiem. Trzeba się



wziąć za naukę, bo nie wiadomo, ile jeszcze będzie trzeba tu siedzieć. Już powoli zaczął liczyć na to, że dzięki nienagannej służbie uda mu się w końcu wrócić do Warszawy. Może nie do swojego pułku, ale chociaż do stołecznej policji. Ale dziś zdał sobie sprawę, że ta wizja szczęśliwego powrotu oddala się od niego i niknie w kłębach pary, podobnie jak ten pociąg, co przejechał właśnie pod mostem i zniknął gdzieś tam w oddali.

Olga już raz złamała mu karierę, a teraz mogła to zrobić po raz drugi. Nie znaczy to, że go wyrzucą z policji poznańskiej. Tu Fischer na coś takiego nigdy by nie pozwolił, bo uważa go bardzo jako podwładnego i ocenia tylko i wyłącznie po efektach pracy. Zresztą często powtarzał, że go nie interesuje, kto z kim śpi i z kim pije wódkę. Grunt, żeby po łajdactwach i picciu w dobrym stanie stawiać się do pracy i swoje obowiązki wykonywać akuratnie.

No ale jeśli major Długołęcki dowie się, gdzie przebywa jego małżonka, gotów zrobić wszystko, żeby go zniszczyć, a jeśli nawet nie dosięgnie go w Poznaniu, to sprawi, że nigdy, przenigdy, nie wróci już do Warszawy. Musiał więc jak najszybciej rozwiązać problem pani majorowej.

Niestety, nic nie przychodziło mu do głowy. Żadne rozwiązanie nie było dobre. Pomyślał nawet, że może by wysłać Olkiewicza, żeby ten oznajmił jej, że aspirant Oskierko właśnie zginął na służbie. Ale jeśli ona by się o tym dowiedziała, to pewnie już nigdy by nie opuściła mieszkania. Tu trzeba czegoś innego, czegoś, co ją na zawsze zniechęci do jego osoby...

Coś mu naraz zaczęło świtać, ale jeszcze nie wiedział, co to może być. Było jakieś rozwiązanie, ale niezbyt ostre, niezbyt materialne, jak myśl, która za pośrednictwem weny spływa do głowy poety, a on musi ją teraz w sposób mechaniczny przelać

na papier. Gdyby siedział w tej chwili za biurkiem, może by nawet coś napisał, lecz nie miał pojęcia, co by to było...

Przeszedł Kaponierę i znalazł się na Zwierzynieckiej. Tuż za skrzyżowaniem z Mickiewicza stał rząd secesyjnych kamienic. Dwie pierwsze były porządnymi, dobrze utrzymanymi czynszówkami. Trzy kolejne prezentowały się znacznie bardziej wytwornie, ozdobione balkonami i loggiami oraz płaskorzeźbami o roślinnych motywach. Ta, do której zmierzał, ostatnia w rzędzie, z pseudowieżą zwieńczoną basztą z muru pruskiego, robiła świetne wrażenie. W tym reprezentacyjnym budynku znalazł siedzibę Konsulat Rzeszy Niemieckiej.

Oskierko był tu już raz w ubiegłym roku, kiedy komendant Lissowski kazał mu pójść i przeprosić niemieckiego dyplomate, nadradcę Gebhardta, którego on potraktował niezbyt przyjemnie, gdy ten chciał zgłosić zaginięcie wicekonsula von Pieskowa. Udało mu się wtedy wybrnąć jakoś z trudnej sytuacji, choć pamiętał, że wówczas, idąc tą samą drogą, co dziś, miał nawet myśli, by rzucić się pod tramwaj i zakończyć swój żywot, gdyż cała ta afera mogła zostawić niezmywalną plamę na jego honorze. Tak się nie stało tylko dlatego, że Fischer poprosił Gebhardta, by ten przyjął przeprosiny.

Dziś szedł do konsulatu bez obaw, bo umówił się na spotkanie z Johannem Alfredem von Vietzlebenem. Młodszym radcą konsulatu, którego poznał jakiś czas temu na uroczystości państwowej podczas składania wieńców z okazji odzyskania przez Polskę niepodległości.

Postanowił sprawdzić wiarygodność tłumaczenia listu znalezionego w dokumentach parafialnych u kogoś, kto zna niemiecki znacznie lepiej niż policyjna posługaczka. Do tego miał jeszcze jedną sprawę. Te zdjęcia, które otrzymał od

Olkiewicza. Sprawdził numery rejestracyjne ze szkłem powiększającym w dłoni i okazało się, że to rejestracja niemiecka. W tej sytuacji postanowił zapytać Vietzlebena, czy może wie, co to za auto, i czy przypadkiem nie zna tego człowieka, z którym rozmawia morderca.

– To auto rzeczywiście na niemieckich numerach – stwierdził Vietzleben, gdy już usiedli w jego biurze, popijając kawę i zagryzając ciastkami maślanymi. – Tak, to na pewno niemiecka rejestracja. Ale samochodu nie znam – stwierdził z pełnym przekonaniem. – A co do człowieka, to niestety też panu nie pomogę. Widzę go pierwszy raz w życiu.

– No trudno. – Oskierko machnął dłonią, jakby ta sprawa nie miała większego znaczenia. – To tylko takie tam przypadkowe kwestie. Bardziej mnie interesuje ten list. Proszę rzucić okiem. Mam już tłumaczenie, ale robiła je osoba, która mogła się pomylić, znaczy dla mnie niezbyt wiarygodna...

Podał list dyplomacie, a ten zaraz zagłębił się w treść. Po chwili spojrzął na policjanta i się uśmiechnął.

– To, jakby to ująć, raczej sensacja. Czy ma pokrycie w prawdzie? Znaczy ten obraz...

– Sprawdzamy to – odparł wymijająco Oskierko.

– Czy mógłbym ten list zatrzymać, na dzień, dwa...

– Niestety to dowód w sprawie.

– Ale chciałbym go dokładnie przetłumaczyć, żeby nie było żadnych wątpliwości, wie pan, w czym rzecz, żeby uniknąć jakichkolwiek dwuznaczności. Poza tym możemy spróbować dotrzeć do tego kapitana...

– Proponuję, żeby pan dał ten list sekretarce, niech przepisze go na maszynie słowo w słowo i będzie pan miał dokładną kopię.

– Po co fatygować sekretarkę. Ja sam to mogę zaraz zrobić – zadeklarował urzędnik i zaraz zasiadł do maszyny. Kwadrans później Oskierko wracał do Dyrekcji Policji z poczuciem dobrze wykonanej pracy. Co prawda, nie wiedział, kim jest tajemniczy człowiek stojący koło samochodu, ale przynajmniej miał pewność, że jutro Vietzleben da mu doskonałe tłumaczenie listu i być może jakieś informacje o jego autorze. Gdy Fischer wróci do Poznania, na pewno będzie dumny z jego pracy.

Wydobył z kieszeni tłumaczenie, zrobione przez Czerwińską za dwa złote. Z czymś takim nie mógł iść do komisarza.

*Księdzowi proboszczowi szacunek najwłaściwszy.*

*Bo jako że piszę z wojny w Belgii, gdzie w jednym kościele znalazłem święty obrazek z Maryjką i Dzieciokiem. I trzeba go było zabrać, żeby go nie rozpieprzyli, strzelając z kanony Francuzy. I ja jego przesyłam do księdza, żeby go przechował. Bo to jest obrazek bardzo piękny zrobiony przez malarza Pietera Bruegla, jego ojca, jak wrócił z Italii i go namalował, i się podpisał własnymi rękami, i jeszcze podpisał po łacińsku, co ksiądz tam pewnie se przetłumaczy, a potem zostawił w kościele. I oddaję go, żeby ksiądz go schował i żeby się modlił za moją duszę, bo mam chęć wrócić zdrowy i żywy.*

*hauptmann Klaus Richter*

## Bydgoszcz

Godzina 11.15 przed południem

– Nie wierzę w takie przypadki – stwierdził Żychoń, zapalając papierosa.

– Wyglądał bardzo wiarygodnie, jeśli chodzi o kwestie zaskoczenia, gdy żeśmy się spotkali na korytarzu hotelowym – wyjaśnił Fischer.

– Dobry agent potrafi zawsze wyglądać wiarygodnie – stwierdził Rybacki.

Siedzieli w trójkę w gabinecie mieszkania należącego do kapitana. Tak jak spodziewał się Fischer, poranne spotkanie zostało przełożone na godzinę późniejszą. Żychoń nie czuł się od rana zbyt komfortowo, więc poprosił Rybackiego, który dla odmiany był w doskonałej formie, by ten poinformował Fischera o lekkiej korekcie planów.

Gdy porucznik pojawił się w hotelu, od razu trafił na umundurowanego policjanta, który w drzwiach zastąpił szwajcara. Nie otwierał nikomu ani nie przenosił bagaży, a jedynie stał w holu i pilnował, aby nikt niepożądany nie wszedł do środka. Widać musiała mu sprawiać dużą przyjemność rola cerbera, bo mimo że był dość nikczemnego wzrostu, zatrzymywał ludzi władcym gestem przynależnym koronowanym głowom. Na widok krótko ostrzyżonego mężczyzny w lekkiej marynarce, spodniach za kolana i podkolanówkach okrywających łydki, wyciągnął rękę do przodu.

– Zakaz wchodzenia obcych indywidu... alno... indywidu!... zakaz wchodzenia jest!

– Co mi tu machacie, posterunkowy, łapami. Nie mam czasu na żarty – odpowiedział oficer.

– Żadne żarty, ale policyjna obława.

– Na kogo?

Policjant przez chwilę bił się z myślami. W zasadzie nie powinien nic mówić nikomu na temat tego, co się dzieje

w hotelu i co tu robi policja, ale człowiek w tych śmiesznych spodniach skauta nie sprawiał wrażenia kogoś, kto mógłby mieć coś wspólnego z morderstwem, więc w zasadzie mógł spróbować go nastraszyć tym, co się tutaj stało.

– Powiem panu w tajemnicy, ino tak między nami, że zabili tu w nocy jednego gościa. Znaczy zastrzelony z rewolweru prosto w serce. I teraz my, znaczy się policja, szukamy mordercy, ale marny jego los, bo go znaj...

– A ten zabity to kto? – przerwał mu Rybacki.

– A cholera go wie. Jakiś przyjezdny. Niemiec jakiś, bo niemieckie nazwisko miał...

Porucznik już dalej nie słuchał, odepchnął policjanta i ruszył biegiem w kierunku schodów. Niemieckie nazwisko, powiedział wartownik. To sprawiło, że pobiegł, modląc się w duchu, by nie chodziło o Fischera.

Po chwili był już na drugim piętrze. I wtedy potwierdziły się jego najgorsze obawy. Na korytarzu stało kilku policjantów w mundurach i jakieś osoby ubrane po cywilnemu. Dostrzegł wśród nich znajomego redaktora z „Dziennika Bydgoskiego” z zawieszonym na piersi dużym aparatem fotograficznym ze srebrną lampą błyskową. Widać, czekał tylko, by przedostać się przez policyjny tłum i pstryknąć fotkę z miejsca morderstwa, najlepiej z twarzą zabitego, bo takie najbardziej cenią sobie wydawcy, jak i czytelnicy. W końcu powiedzenie, że nic tak nie ożywia gazety, jak martwy trup, skądś musiało się wziąć.

Zobaczywszy Rybackiego, redaktor Felicjan Kurowski, otyły, czerwonolicy wielbiciel uciech stołowych i sybaryta, przyłożył dłoń do kapelusza i zastygł w bezruchu. Zaczął analizować sytuację, a jego instynkt reportera pozwolił mu natychmiast skojarzyć fakty. Połączył więc oficera Wojska Polskiego,

o którym wiedział, że zajmuje się sprawami tajnymi, z zabita w hotelu osobą. A to mu natychmiast zapachniało sensacją gazetową pod tytułem *Martwy niemiecki szpieg w hotelu Pod Orłem*.

– Panie poruczniku! – zawołał dziennikarz, gdy udało mu się doprowadzić do końca analizę, która przełożyła się natychmiast w myślach na brzęczącą monetę płynącą ze zwiększenia nakładu.

Rybacki ruszył przed siebie, uśmiechając się złowrogo, ale Kurowski nie dostrzegł ostrzeżenia w jego wzroku.

– Niech pan powie, czy to szpieg... – Nie zdążył dokończyć, bo Rybacki chwycił go za rękę, szarpnął mocno i zdecydowanie ku sobie, a gdy jego usta znalazły się na wysokości ucha dziennikarza, szepnął tak, by tylko on mógł dosłyszeć:

– Milczeć i ani słowa na ten temat. Tajemnica państwowa, jasne? Bo kula w łeb!

Reporter popatrzył na niego zdumiony, a nawet przestraszony, lecz nie doczekał się żadnych wyjaśnień. Domyślił się jednak, że zdjęć też nie powinien robić, bo porucznik wyrwał mu z lampy błyskowej żarówkę i rzuciwszy na podłogę, przydepnął butem. Kurowski miał co prawda jeszcze kilka takich żarówek, ale ostrzeżenie było całkiem jasne i konkretne. Zrozumiał, że nie będzie dziś artykułu o szpiegu. Tymczasem żołnierz w cywilu przeszedł przez kordon policyjny jak taran. Jeden tylko przodownik chciał go o coś spytać, ale Rybacki warknął jedno słowo „Dwójka!” i rozstąpiły się przed nim skały sezamu, tak że naraz stanął oko w oko z podkomisarzem Małeckim. Ten wcale nie był zdziwiony pojawieniem się porucznika.

– Długo pan kazał na siebie czekać.

– Jak to?

– Dzwoniliśmy już do kapitana Żychonia. Powiedział, że pan jest w drodze...

– No tak... – Kapitan mógł tak powiedzieć, bo przecież sam go wysłał do Fischera z prośbą o przełożenie spotkania.

– Kto go zastrzelił? – zapytał bez ogródek.

Małecki wzruszył ramionami.

– Albo to ja jestem jakiś prorok? Nie mam pojęcia. Dopiero zaczynam tu śledztwo.

– Jacyś świadkowie albo ślady?

– Świadców na razie selekcjonujemy, znaczy słuchamy wszystkich, którzy byli w hotelu, i wyławiamy tych, którzy mogą coś wiedzieć. A potem wydobędziemy zeznania. A co do śladów, to są zabezpieczane.

– A skąd pan wiedział, że trzeba było w tej sprawie dzwonić do kapitana Żychonia?

– No przecież to oczywiste, jeśli zabitym jest Niemiec.

Rybacki pokręcił głową.

– To nie Niemiec.

– Jak to? Według naszych informacji jak najbardziej...

– Oj, panie szanowny, pan jesteś doświadczony policjant, a nie wiesz pan, że nazwisko jeszcze nic nie znaczy. Można mieć nazwisko niemieckie, a być Polakiem w stu procentach, zwłaszcza tu u nas na zachodzie, gdzie niemieckie wpływy i lud niemiecki mieszały się przez wieki z polskim. To, proszę pana, jest polski policjant z Poznania. Pański kolega po fachu, do tego jeszcze komisarz, Antoni Fischer.

Podkomisarz Małecki przekrzywił lekko głowę, jednocześnie wpatrując się badawczo w twarz żołnierza. Zastanawiał się przez moment, czy ten tu stojący przed nim oficer wywiadu aby na pewno jest człowiekiem w pełni władz umysłowych. Oni tam w tym wywiadzie muszą przecież podlegać



nieprawdopodobnej presji psychicznej, bo cały czas walczą z wrogiem. Małecki jako wojenny weteran, który wstąpił do wojska na ochotnika, gdy bolszewicy podchodzili pod linię Wisły, rozumiał dobrze, na czym polega zmęczenie walką, wyczerpujące w równym stopniu fizycznie i psychicznie. A ci ludzie z wywiadu byli przecież na wojnie przez cały czas. Przez dwadzieścia cztery godziny na dobę walczyli z Niemcami, rozwiązując różne wywiadowcze szarady i równania z samymi niewidomymi. Więc mogło się takiemu porucznikowi coś w głowie pomieszać od tego nieustannego napięcia...

– Ależ nie, panie poruczniku. Pan się myli. To jest najprawdziwszy Niemiec.

– Polak, polski patriota, odznaczony krzyżem Virtuti Militari i bardzo zasłużony dla... – Rybacki zamilkł, gdy z otwartych drzwi pokoju po prawej stronie korytarza wyszedł jak najbardziej żywy komisarz Antoni Fischer. Polski patriota z wiśniową fajką w zębach, nie rozglądając się na boki, w pełnym skupieniu przemierzył korytarz wszerz i zniknął w drzwiach naprzeciwko. – To on, komisarz Fischer. To on żyje?

– Jak najbardziej. Niby dlaczego miałyby nie żyć? Jest w doskonałej formie. I to on właśnie prosił, żeby dzwonić do Żychonia i żeby pana tu przysłać, bo zabity to Niemiec, niejaki Böhm, którego komisarz dobrze zna...

Gdy godzinę później Fischer i Rybacki meldowali się w mieszkaniu Żychonia, kapitan ubrany był jeszcze w kwiecisty tużurek, założony bezpośrednio na podkoszulkę. Zaprosił ich do gabinetu, po czym podszedł do stolika, na którym stały butelki alkoholi.

– Któryś z panów ma ochotę?

Obaj jego goście pokręcili głowami. Żychoń nalał więc sobie nieco whisky do kryształowej szklanki, dolał do tego wody sodowej z syfonu, a potem usiadł w głębokim, klubowym fotelu.

– Wracając do meritum, jak powiadam, nie wierzę w takie przypadki, dlatego musimy za wszelką cenę dowiedzieć się, po pierwsze, dlaczego ten Böhm przyjechał tu za tobą, a po drugie, kto go zabił i dlaczego.

– Ktoś chciał uniemożliwić doprowadzenie sprawy do końca?  
– odpowiedział Fischer.

– Bzdura, nikt o tym, na jakim etapie jest werbunek, nie mógł wiedzieć. Ktoś taki, jak ten Niemiec, nie pochwaliłby się nikomu, jak daleko zaszedł, dopóki nie miałyby stuprocentowej pewności, że się udało.

– Czyli zastrzelono go z zupełnie innego powodu – domyślił się Rybacki. – Śmierć nie miała więc nic wspólnego z panem Fischerem.

– Na to wygląda – potwierdził Żychoń.

– Ale jego mocodawcy mogą to zinterpretować zupełnie inaczej – oznajmił Fischer.

– Że niby jak? – zapytał kapitan.

– Ano tak, że jedyną osobą, której mogło zależeć na śmierci Böhma, byłem ja. Przyjechał tu za mną, żeby mnie sprawdzić, czy jestem wiarygodny, a ja wyciągnąłem pistolet i go zastrzeliłem, wpadłszy w gniew.

Obaj wywiadowcy popatrzyli na siebie. Ten policjant rzeczywiście umiał wyciągać logiczne wnioski, jak wytrawny oficer wywiadu.

Poznań

Godzina 11.30 przed południem

Anastazy Olkiewicz może i był „za chudy w uszach”, jak sugerował właściciel knajpy U Okonia, ale na pewno nie brakowało mu obycia, które brało się z wiedzy o życiu i ludziach. Tę nabywał najpierw na swoim rodzinnym Chwaliszewie, czyli najbardziej bandyckiej dzielnicy Poznania, później na wojnach, od tej największej, poprzez wielkopolską, na bolszewickiej skończywszy, a w końcu w służbie policyjnej. Znał się na ludzkich charakterach i potrafił z ludźmi rozmawiać, a kiedy trzeba, także przekonać do swoich racji. A teraz przekonać musiał nie lada przeciwnika, ale samego podkomisarza Walczaka z komisariatu na Wildzie, żeby jak najszybciej zamknął śledztwo w sprawie niejakiego Grubińskiego, bo jego przedłużanie może się dla niego źle skończyć.

Od rana czekał, aż go Walczak przyjmie, ale ten nie śpieszył się, jakby był co najmniej komendantem wojewódzkim. Wpuścił go dopiero przed swoje oblicze po jedenastej.

– Więc powiadacie, przodowniku... – Spojrzał na szczerą, okrągłą twarz umundurowanego wywiadowcy, sondując jego fizjonomię w poszukiwaniu jakiejś nuty fałszu. – Jak wy się nazywacie właściwie?

– Anastazy Olkiewicz, przodownik i wywiadowca z grupy pościgowej komisarza Fischera.

Na dźwięk tego nazwiska Walczak drgnął. Znał Fischera, może nie osobiście, ale wiedział, co to za persona i że trzeba się z nim liczyć, bo zrobienie mu nieprzyjemności może odbić się czkawką. Dlatego powinien być ostrożny, żeby nie popełnić błędu. Tym bardziej że jeszcze przed kwadransem był

przekonany, że wkrótce wszyscy w Dyrekcji Policji będą o nim mówić jako o bohaterze, który wykrył bolszewicką jacejkę w Poznaniu. A do odkrycia doszło tylko dlatego, że posiadał umysł niezwykle przenikliwy i potrafił wyciągnąć wnioski z danych, które trafiały na jego biurko. A te były niezwykle interesujące i prosty, niezbyt bystry policjant mógł je przeoczyć, ale Walczak postanowił je wykorzystać.

Gdy tylko przyszedł do pracy, stawiał się u niego przodownik Wigura i zameldował, że w nocy zatrzymano na gorącym uczynku dwóch włamywaczy, a trzeci uciekł. Złapano ich dzięki stróżowi, który odkrył włamanie, a potem dyskretnie zawiadomił policję. Patrol pod dowództwem Wigury dopadł złodziei w okradanym mieszkaniu.

– Melduję, że żeśmy ich wygarnęli jak pisklaki z gniazdka.

– Ale jeden wam zwiął? – Walczak pokręcił głową z dezaprobatą.

– A srał go pies, panie komisarzu. Najważniejsze, co myśmy znaleźli przy nich.

– Co?

– Flepy i bejmy<sup>[46]</sup> były w worku, a prócz tego jeszcze naboje do parabelki. Cała paczka i prócz tych naboji jeszcze coś. Tam zamiast patrona jest taki rulon. – Wskazał na tekturowe pudełko, które położył na biurku. Może to być, że to jakieś szpiegowskie sprawki – wyjaśnił ściszym głosem, jakby się bał, że może go podsłuchać jakiś bolszewik. – Pan komisarz wiedzą, jak nam na kursach powiadali, żeby na takie różne podejrzanе rzeczy uważać, bo szpiegdy mogą być wszędzie...

– A może te kule to z tego mieszkania, co je obrabiali?

Wigura pokręcił głową.

- Może być, ale ten zatrzymany, co żeśmy przy nim to wszystko znaleźli, nic nie chce powiedzieć.

- Nie chce? No to zaraz zadzwoni się na Młyńską, żeby go trochę przycisnęli, ale najpierw zobaczymy, co tam miał w tej torbie...

No i podkomisarz sprawdził, żeby wszystko było jak najbardziej formalnie. Najpierw przeliczyli z Walczakiem pieniądze i okazało się, że było tego sporo, bo dwadzieścia pięć tysięcy złotych. Zrobili więc to, co należy, czyli uczciwie podzielili gotówkę. Połowę zabezpieczyli jako dowód w sprawie, do tego dorzucili papiery, bo akcjami i obligacjami lepiej się nie chwalić i trudno jest sprzedać bez pozostawiania śladów. To wszystko zapakowali do koperty, na której obaj się podpisali, poświadczając, że są to dobra odebrane włamywaczom. Drugą połowę pieniędzy podzielili natychmiast na dwie równe kupki. Jedna powędrowała do koperty, którą Walczak musiał zanieść komendantowi komisariatu, a druga połówka podzielona została znów na dwie części. Jedna dla Walczaka, a druga dla Wigury i jego ludzi, według uznania przodownika. Wszyscy więc byli zadowoleni, oprócz włamywaczy. Ale ich samopoczucie nie miało tu akurat żadnego znaczenia.

Podkomisarz otworzył pudełko z nabojami, wyjął z niego podejrzany rulon i rozwinął, żeby sprawdzić, co jest w środku. Była tam klisza fotograficzna. Zbadał ją pod światło, ale nic nie było widać, dlatego zapakował z powrotem w ten sam czarno-czerwony papier, a potem zamknął pudełko.

- No to niech ten juchciarz[47] nam wyjaśni, czy to jego klisza i czy jest szpiegiem, czy ją ukradł i szpiegiem jest właściciel mieszkania, bo tak mi się zdaje, że to raczej ten

ostatni, bo gdzieby taki złodziej mógł szpiegować kogoś, no chyba że własną dupę, he, he!

O pomoc poprosił kolegę z aresztu na Młyńskiej, a ten zaraz przekazał prośbę swoim ludziom, którzy rażno wzięli się do roboty, czyli przepytywania zatrzymanego na okoliczność włamania.

Nie czekając na wyniki przesłuchania, podkomisarz założył kurtkę mundurową, którą po wejściu do biura zawsze odwieszał do szafy z szacunku dla munduru, żeby ten nie gniótł się na krześle, zapiął pas na brzuchu i już chciał iść do komendanta Jabłońskiego, żeby mu przekazać kopertę i złożyć raport o domniemaniu namierzenia szpiegowskiej szajki, gdy naraz przypomniał sobie o tym przodowniku z dyrekcji, który czekał za drzwiami. Walczak jakby przeczuł, że jego obecność może mieć związek ze sprawę włamania. Ot, co znaczy policyjny nos, pomyślał, wysłuchawszy tego, co ten facet miał mu do powiedzenia.

– Więc jak powiadacie, że to jest współpracownik komisarza Fischera i na jego zlecenie dokonywał tego włamania? – Podkomisarz spróbował doprecyzować to, co w dość chaotyczny sposób przedstawił mu Olkiewicz. Ten pokiwał głową i jednocześnie rozłożył ręce w geście bezradności.

– To pan komisarz powiedział, a ja tylko przedłożyłem sugestywnie i sukcesywnie kwintesencję faktów dokonanych poprzez to *qui pro quo*. – Anastazy wyrzucił z siebie potok słów, których nauczył się kiedyś na pamięć i co do których wiedział, że może ich śmiało używać, bo i tak nikt nie zrozumie, o co mu chodzi.

– A czemu sam komisarz Fischer nie zadzwonił do mnie? – zapytał podchwytliwie Walczak.

– Gdyż w chwili obecnej komisarz Fischer bawi w Bydgoszczy w ważnych sprawach państwowych i nie ma czasu dupy sobie zawracać sprawami drobnymi, takimi jak złapanie jego człowieka na juchcie. Tam ma się spotkać z samym pułkownikiem Wieniawą. – Olkiewicz dorzucił bezczelne kłamstwo, dając do zrozumienia Walczakowi, że w sprawy ludzi wielkich tacy maluczcy jak on nie powinni się mieszać.

– No tak, zasadniczo. – Walczak wyprostował się na krześle.  
– Ale tymczasem sprawa włamania już jest w protokołach i w zeznaniach.

– Można napisać, że złodzieje uciekli, ale odebrało się im łup, albo że się zatrzymało podejrzanych... – zasugerował nieśmiało Olkiewicz. W ogóle wszystko to robił z pewną nieśmiałością, bo nie miał zielonego pojęcia, jaki efekt przyniesie jego interwencja. Na szczęście trafił na tego Walczaka, o którym wszyscy wiedzieli, że to oszust, łajdak i malwersant, ale jego stryj pracował w Warszawie, w Komendzie Głównej, więc był nie do ruszenia. Do takich ludzi przemawiały kwestie nieformalnych powiązań i układów, więc postanowił wyciągnąć Grubińskiego, powołując się na tego rodzaju zależności. Początkowo liczył, że zrobi to Oskierko, ale skoro gdzieś przepadł, musiał działać sam. I dlatego wybrał się na Wildę do Walczaka.

– Ale jest jeszcze coś – odezwał się podkomisarz, który już przeanalizował całą sytuację i wyszło mu, że lepiej będzie przysłużyć się Fischerowi, niż babrać się w jakimś śledztwie o politycznym podłożu. Niech on sobie weźmie te naboje i tego zatrzymanego, nie, dwóch zatrzymanych, i zapamięta, kto mu pomógł.

– Tak jest? – zapytał Anastazy, czując, że jest bliski osiągnięcia sukcesu negocjacyjnego.

– Ten przesłuchiwany początkowo mówił, że nazywa się Jan Kowalski, ale jak dostał wpieprz na Młyńskiej, to zdradził co nieco.

– Co na ten przykład?

– Że się nazywa Grubiński. Stąd wiedziałem, że o niego się rozchodzi właśnie, jak żeście tu przyszli i powiedzieli, że go szukacie. I on zeznał, że ten film, co myśmy przy nim znaleźli, znaczy się klisza fotograficzna, to ona była szczelnie zapakowana, a jak ja wziąłem ją do ręki, to była rozpakowana. I komu tu wierzyć, powiedzcie, przodowniku?

– Melduję, że zawsze wierzymy policjantowi, a nie jakimś szuszwolom! – potwierdził Anastazy zgodnie z oczekiwaniem oficera. I dlatego Walczak mógł uznać, że sprawa jest zamknięta. A Olkiewicz doszedł do przekonania, że jako negocjator jest dość skuteczny i wcale nie za chudy w uszach. Choć nie wiedział, o jakiej kliszy otwartej czy zamkniętej mówił Walczak. Grunt, że Grubiński za chwilę wyjdzie na wolność.

## Poznań

Godzina 1.10 po południu

– *Pardon*, czy ma pan ogień? – zapytał jakiś mężczyzna o niezbyt przyjemnej twarzy, przypominającej facjatę człowieka neandertalskiego. Oskierko czytał niedawno książkę o tych małopoludach, którzy zamieszkiwali kontynent europejski w czasach lodowcowych. Szczególnie zainteresowały go ilustracje przedstawiające typy fizyczne tych pierwotnych ludzi. Gdy dojrzał tego osobnika, pomyślał, że jednak ci



pierwotni nie wszyscy wyginęli, a niektórzy dotrwali do współczesnych czasów.

Tymczasem małpolud uśmiechnął się przyjaźnie, podnosząc do ust papierosa trzymanego w wytworny sposób pomiędzy dwoma palcami. Aspirant zaczął oklepywać się po kieszeniach mundurowej kurtki, ale zapalek nigdzie nie było. A miał przecież jeszcze niedawno, gdy był w restauracji Dekerta, którą nazywano dorożkarską, ponieważ wpadali tu dryndziarze na szybką wódkę i zagrychę. Ulica Święty Marcin, przy której mieściła się knajpa, była w tym miejscu dość szeroka, więc nie było problemu z zaparkowaniem dorożki i przywiązaniem konia do któregoś ze stalowych słupków, odgradzających chodnik od jezdni.

Oskierko przechodził tędy, wracając do pracy, ale że zapachniało mu pieczoną kiełbasą, nie mógł się powstrzymać. Wstąpił więc do środka, zamówił śniadanie, czyli polską pieczoną z cebulką, podawaną z chrzanem i chlebem, a do tego setkę wódki. A co, pomyślał, w końcu wykonał kawał dobrej roboty, więc mu się należało.

Zjadł więc dobrą kiełbasę, popił wódką, którą natychmiast musiał zapić oranżadą, a potem zapalił papierosa...

No tak, zostawił zapaliki na stole.

– Chyba zostawiłem zapaliki w restauracji – powiedział temu małpisonowi przepaszającym tonem, bo naraz zrobiło mu się głupio, że nie może temu sympatycznie uśmiechającemu się człowiekowi pomóc. Tamten zrobił minę świadcząca o rozczarowaniu i opuścił dłoń z papierosem.

– Nic się pan nie przejmuj, ja mam ogień – powiedział ktoś, kto stał za jego plecami. Oskierko odwrócił się. Facet wyglądał na dorożkarza. Miał na głowie czapkę maciejówkę i surdut

przypominający wojskowy uniform. Ale nie trzymał w ręku zapalek, lecz pistolet. Policjant natychmiast rozpoznał mausera C96.

– Czyś pan zwariował? – krzyknął Oskierko i chwycił za kaburę, w której miał swojego lugera. Ale nie zdążył nawet jej odpiąć. Neandertalczyk chwycił go za dłoń i szarpnął ku sobie, boleśnie ją wykręcając.

– Tylko spokojnie, człowieku, bo jak się będziesz szarpać, to ci się stanie krzywda – warknął mu do ucha małpolud. Ten drugi, w maciejówce, pchnął go w kierunku stojącej przy krawężniku dorożki.

– Wsiadaj i ani mru-mru. Pojedziemy na przejażdżkę.

Oskierko spróbował się wyrwać, ale nadaremno. Facet trzymał go mocno, a drugi pchał pistoletem, wbijając lufę boleśnie w plecy. W końcu udało im się go wepchnąć i wtedy policjant zdał sobie sprawę, że jeśli czegoś nie zrobi, to za chwilę wywiozą go gdzieś w nieznane i zabiją. Bo inaczej po co mieliby go porywać? Przecież nie jest jakimś milionerem, którego można porwać dla okupu. Za niego nikt nie zapłaci złamanego grosza. Nie może więc dać się wywieźć gdzieś za miasto czy nad rzekę, bo mogą go tam utopić.

Drynda ruszyła, gdy dorożkarz chwycił lejce i pognął batem konia. Oskierko siedział wciśnięty w kąt budy, niewidoczny dla przechodniów. Zresztą nie miało to żadnego znaczenia, bo ci na pewno by mu nie pomogli. Zwłaszcza w obliczu tego, że małpolud trzymał pistolet przystawiony do jego brzucha. Jeśli spróbowałby ucieczki, to ten typek na pewno by strzelił. Wyglądał bowiem na zdecydowanego i bezwzględnego mordercę.

– Czego ode mnie chcecie? – zapytał w końcu Oskierko, spoglądając na goryla. Ten nie odpowiedział, tylko wzruszył

ramionami, jakby to nie była jego sprawa.

– Zawieziemy cię na spotkanie – odezwał się w końcu dorożkarz, poganiając konia. Zaraz szarpnął lejcami z prawego boku i gniadosz posłusznie zaczął skręcać. Wjechali w ulicę Ratajczaka. – Ale najpierw oddaj list! – powiedział dryndziarz.

– Jaki list? – Oskierko udał głupiego, ale na nic się to zdało. Małpolud zaczął sprawdzać mu kieszenie i już po chwili miał w rękę to, czego szukał.

– Mam – powiedział zadowolony.

– Po co wam ten list? – zapytał policjant, choć wcale nie spodziewał się jakiejś sensownej odpowiedzi. Już domyślił się, w czym rzecz. Ktoś chciał, żeby tajemnica, którą kryło pismo, nie została ujawniona. Czyli obraz, który został ukradziony, musi być niezwykle cenny. A skoro mają list, to jego już do niczego nie potrzebują. Zaraz go w takim razie zabiją, a on zabierze ze sobą do grobu tajemnicę...

Ale nie zabili. Dryndziarz wyciągnął z kieszeni surduta brązową buteleczkę. Położył ją na koźle, a potem wydobyl chustkę. Otworzył butelkę i wylał jakiś płyn na materiał. Nim Oskierko zdążył się zorientować, co się dzieje, goryl chwycił nasączoną chustkę i przyłożył ją policjantowi do nosa. Ten poczuł mdły zapach, zakręciło mu się w głowie, a po chwili zaczął wpadać w jakąś czarną dziurę. Zasnął, zapominając o sprawach przyziemnych, o obrazie, a nawet o majorowej Długoleckiej, która siedziała w jego mieszkaniu, czekając z utęsknieniem na jego powrót. Dorożka tymczasem skręciła w lewo, podążając w dół Wałami Jagiellończyka, wzdłuż muru browaru Huggera.

Za nią skręciła kolejna dorożka, w której siedzieli dwaj podobni do siebie mężczyźni. Podobieństwo wynikało z faktu, że byli braćmi. Walek i Leon Kaźmierczakowie jeszcze przed

chwilą gościli się u Dekerta, opijając szczęśliwe wyjście Walka z aresztu śledczego. Zastanawiali się właśnie, czy Tolek również został zwolniony, i dlatego zamierzali się wybrać do jego domu na Garbarach. Ale najpierw trzeba było coś zjeść i wypić. No i w tym czasie do knajpy przyszedł znany im policjant Oskierko. Wiedzieli, że to bliski współpracownik Fischera, więc Leon pomyślał, że można by się od niego czegoś dowiedzieć. Ale nie wypadało tak zwyczajnie podejść do stolika, przy którym zasiadł policjant. Gdyby ktoś zobaczył, że gadają ze szkiełem, zaraz mogłoby się rozejść, że są policyjnymi kapusiami. Dlatego poczekali, aż Oskierko zje i wypije, po czym wyszli za nim na ulicę. Postanowili, że wciągną go do którejś bramy, ale nie zdążyli. Dwaj faceci napadli na policjanta i wrzucili go do dorożki. Kaźmierczakowie błyskawicznie podjęli decyzję. Wskoczyli do wozu, który stał przy krawężniku, i kazali gnać dryndziarzowi za dorożką, w której jechał policjant ze swoimi porywaczami.

– Ale co zrobimy, jak będziemy wiedzieć, gdzie go zawieźli? – zapytał Leon.

Walek się nie odezwał, bo nie znał odpowiedzi. Ale zdawał sobie sprawę, że wiedza na temat porwania może okazać się bardzo cenna dla policji, a być może i dla ich szefa.

– Trzeba będzie powiedzieć Tolkowi – stwierdził. – On już będzie wiedział, co zrobić.

Dorożka z porywaczami wjechała w Rybaki i po chwili zatrzymała się tuż za skrzyżowaniem z Kwiatową.

## Bydgoszcz

Godzina 1.20 po południu

– To chyba gdzieś tu. – Małecki wskazał piętrowy budynek na Bocianowie. Dom wyglądał dość nędznie, bo spod odpadających płatów tynku wyłaziły placki ceglanego muru, wzmacnianego drewnianym belkowaniem. Na pierwszy rzut oka rudera nadawała się do wyburzenia albo generalnego remontu, ale kto by zawracał sobie głowę takimi szczegółami? Właściciel zapewne zarabiał na wynajmie zbyt mało, żeby móc cokolwiek przeznaczyć na prace remontowe, i zostawało mu się tylko modlić, żeby chałupa się nie rozpadła, bo straci comiesięczny dochód. Mieszkańcy podobnie. Mogli prosić wszystkich świętych o opiekę, żeby dach nie spadł im na głowę i nie pogrzebał ich żywcem.

– I kto to jest niby? – zapytał Fischer.

– To jest ten młody człowiek, co był w nocy na dyżurze w hotelu. Jeśli miałbym obstawiać, to teraz właśnie odsypia nockę, więc powinien być w domu – wyjaśnił podkomisarz.

– No dobrze, ale gdzie tu logika zdarzeń? Dlaczego akurat on? – pytał Fischer, któremu Małecki nie zdążył jeszcze wyjaśnić swoich intencji. Gdy Antoni wrócił do hotelu po rozmowie z Żychoniem i Rybackim, podkomisarz czekał na niego w pokoju zastrzelonego Böhma. Fischer chciał wejść do swojego numeru, ale dostrzegł, że drzwi naprzeciwko są otwarte i na wszelki wypadek tam zajrzał. Zobaczył w fotelu, gdzie jeszcze niedawno siedział trup, rozpartego policjanta z głową odchylną do tyłu i otwartymi szeroko ustami. Wydawał z siebie chrapliwy oddech, świadczący o tym, że jego dusza w tej chwili przebywa w innym wymiarze. Wyglądał jak człowiek próbujący za wszelką cenę złapać haust czystego powietrza, więc Fischer nie miał innego wyjścia, jak tylko mu pomóc. Chwycił go za ramię i potrząsnął mocno. Małecki

natychmiast otworzył oczy. Dojrzaawszy nad sobą pochylonego komisarza, zamknął najpierw usta, a zaraz potem pojawił się na nich szeroki uśmiech.

– Czekałem właśnie na pana komisarza szanownego.

– O, to miłe. A z jakiegoż to powodu? Już pan znalazł mordercę?

– No prawie. Przeprowadziwszy szybką analizę świadków, już wiem, kto wie wszystko i kto nas doprowadzi do celu. Zapraszam do samochodu. Podjedziemy sobie kawałek stąd. Zapewne będzie pan chciał też zadać kilka pytań delikwentowi.

Komisarz nie miał nic do roboty, bo umówili się z Żychoniem dopiero na późne popołudnie, żeby omówić strategię, więc z ochotą przystał na propozycję Małeckiego. Wolał to niż siedzenie w numerze i analizowanie wydarzeń. Na analizy jeszcze przyjdzie czas, a teraz chciał działać. Zamierzał porozmawiać z personelem i może niektórymi gośćmi, bo rano dostał w tej sprawie plenipotencje od Małeckiego. Ale okazało się, że ten młody policjant potrafił pokierować sprawami i pójść w odpowiednim kierunku. No więc jeśli on coś znalazł, to trzeba było z tego skorzystać.

– Dlatego on – zaczął wyjaśniać Małecki – że to jest nasz jedyny świadek, który dużo widział. I zgodnie z logiką obstawiłem, że chłopak może być zwornikiem tych wszystkich informacji, co żeśmy zebrali.

Fischer słuchał, spoglądając przez szybę policyjnego, nieoznakowanego opla na tę nędzną kamienicę po drugiej stronie ulicy. Przyszło mu do głowy, że mogłaby posłużyć za tło do filmu o wątku kryminalnym. Uśmiechnął się do swoich myśli. Bodo robi jakieś głupie filmy o czerwonym błaznie, które nie mają nic wspólnego z rzeczywistością, ale gdyby się

rozejrzał wokół siebie, od razu znalazłby wiarygodne kryminalne intrygi. Tyle że, aby takie odnaleźć, trzeba prawdziwych mistrzów pióra, a nie wyrobników poszukujących kiepskiej i taniej sensacji...

– O, idzie nasz wywiadowca. – Małecki przerwał te rozmyślenia, wskazując palcem na niepozorną postać w kraciastym kaszkiecie i kamizelce założonej na koszulę bez kołnierzyka. Mężczyzna wyszedł z kamienicy, obrzucił ulicę obojętnym spojrzeniem, a potem wyciągnął z kieszeni kapciuch z tytoniem i sprawnie skręcił papierosa. Włożył go do ust i zapalił. Uczyniwszy to, odszedł spokojnym, leniwym krokiem bezrobotnego, któremu nigdzie się nie śpieszy, bo już zapomniał dawno, czym jest wyjście na zmianę w fabryce.

– Poszedł, czyli w mieszkaniu jest delikwent. – Podkomisarz otworzył drzwi i wyszedł z samochodu. Kilku wyrostków, którzy stali na chodniku, przyglądając się automobilowi z zaciekawieniem, odeszło nieco na bok, by przepuścić policjantów, przede wszystkim tych dwóch w mundurach, groźnie wyglądających wąsaczy, budzących respekt. Fischer, stanąwszy przy aucie, rozejrzał się na boki, sprawdzając okolicę. Ulica robiła kiepskie wrażenie, choć od centrum było stąd zaledwie kilka minut jazdy samochodem. Taka proletariacka enklawa, zastawiona jedno- lub dwupiętrowymi kamienicami o kiepskiej kondycji. Typowe czynszówki, w których ludzie walczą o każdy dzień życia jak żołnierze na wojnie. Nikt tu do nich nie strzela, ale trwa walka o każdy kęs chleba, może mniej krwawa, lecz równie zaciekła, jak w okopach.

Mundurowi poszli przodem, za nimi ruszyli obaj oficerowie. W bramie śmierdziało szczynami, na schodach kiszoną kapustą, gotowanymi kartoflami i trudną do określenia

zgnilizną. Po chwili cała czwórka zatrzymała się przy mieszkaniu na pierwszym piętrze.

Małecki wskazał palcem drzwi, a dwaj podoficerowie zareagowali tak, jakby wszystko mieli wcześniej ustalone. Jeden zapukał mocno i zdecydowanie. Gdy nie usłyszeli odzewu, zrobił to jeszcze raz, tak na wszelki wypadek, a może dla usprawiedliwienia tego, co nastąpiło po chwili. Bo gdy tym razem nikt się nie odezwał, ten drugi policjant, postawny i solidnie zbudowany, odsunął się nieco od drzwi i uniósłszy nogę, kopnął w drewno poniżej zamka. Widać musiał mieć wprawę w forsowaniu takich niezbyt solidnych zabezpieczeń, bo skrzydło otworzyło się z trzaskiem.

Weszli do środka. Przez moment rozglądali się po zagraconej kuchni, by zaraz zniknąć w kolejnym pomieszczeniu, które musiało być sypialnią. Fischer chciał iść za nimi, ale Małecki go powstrzymał.

– Dajmy delikwentowi czas, panie komisarzu – powiedział, uśmiechając się porozumiewawczo. Poznaniak od razu zrozumiał, w czym rzecz. Widać tu, w Bydgoszczy, pracowało się według starych metod, preferujących wstępną obróbkę zatrzymanego. Zmiękczenie miało swoje zalety, choć Fischer stosował łagodną perswazję, która, jego zdaniem bardziej, przystawała do dwudziestowiecznego ducha czasu i idei humanizmu.

Małecki wyciągnął z kieszeni papierośnicę i otwartą podsunął Fischerowi. Nie było czasu na nabijanie fajki, więc ten przyjął poczęstunek.

– Mamy akurat chwilę, żeby spokojnie wypalić – wyjaśnił podkomisarz i rozejrzał się po kuchni. Było tu brudno i nieprzyjemnie, więc nawet nie próbowali usiąść przy stole. Po chwili z pokoju sypialnego doszły do nich okrzyki, jęki



i odgłosy głuchych uderzeń. Coś tam się stłukło i spadło z łoskotem na podłogę. Na twarzy Małeckiego malowała się kompletna obojętność. Widać mimo młodego wieku był człowiekiem, który już zdążył się przyzwyczaić do policyjnych sposobów działania i nie miał nic przeciwko ich stosowaniu.

Fischer też stał obojętny, bo nie miał zamiaru wprowadzać tu swoich porządków ani kogokolwiek pouczać. Patrzył przez okno w dół ulicy, gdzie stał samochód, którym przyjechali, pilnowany przez miejscowych łobuziaków. Za ich plecami zebrała się już grupka starszych, których, jak to zwykle bywało, zwabiła policyjna akcja. Zawsze to coś ciekawego, co może urozmaicić codzienną monotonię.

Jego codzienność ostatnio aż za bardzo obfitowała w intrygujące wydarzenia. I nie chodziło tu wcale o zabitego Böhma, choć to jeden z ważnych elementów układanki. To, co działo się wokół niego samego, było tak niezwykle, że w zasadzie poddał się wartkiemu prądowi i nurt porwał go ze sobą. Najpierw delegacja niemiecka, która wybiera go na swojego przewodnika, potem Mikołajewski przewiduje, że będą go chcieli zwerbować do współpracy. Propozycja współdziałania dla dobra obu krajów rzeczywiście pada, a on odczytuje ją jako zawołaną zachętę do przejścia na drugą stronę. Podobnie interpretuje słowa Böhma Mikołajewski. Dlatego prosi go, żeby pojechał do Bydgoszczy przedyskutować te kwestie z Żychoniem, dowódcą placówki wywiadowczej Zachód.

– Śmierć twojego kontaktu komplikuje nam sprawy – powiedział dziś kapitan w swoim mieszkaniu – jednak podejrzewam, że pojawi się wkrótce ktoś, kto przejmie jego obowiązki i będzie się starać skontaktować z tobą w ich

imieniu. Powinieneś więc mieć się na baczności i meldować o wszelkich próbach kontaktów Mikołajewskiemu. Ja, będąc na ich miejscu, najpierw skierowałbym podejrzenia w twoim kierunku, dlatego potrzebne jest szybkie znalezienie mordercy i postawienie go przed sądem.

Drzwi od sypialni się otworzyły i stanął w nich ten wysoki policjant. Miał rozpięty pod szyją kołnierz kurtki i podwinięte do łokci rękawy. Wyglądał tak, jakby przed chwilą przestał rąbać drewno.

– Panowie pozwolą, bo ten tam chce już gadać całkowicie dobrowolnie.

Podkomisarz uśmiechnął się szeroko i radośnie do Fischera, jakby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem?”, po czym wskazał mu drzwi. Antoni wszedł do pokoju. Na podłodze leżał zwinięty w kłębek goły mężczyzna. Z trudem w obitej i posiniaczonej twarzy rozpoznał portiera, tego samego, który przyjmował go do hotelu i później nad ranem opowiadał o tym co, się działo w nocy.

– Większość spraw kryminalnych ma proste wytłumaczenie. Trzeba tylko wiedzieć, kogo pytać – stwierdził Małecki. – To tylko w powieściach wszystko jest niepotrzebnie rozkładane na czynniki pierwsze, podczas gdy prawda leży na wyciągnięcie ręki. – Wskazał na leżącego u jego stóp człowieka. – Gdy się odpowiednio uderzy, to nożyce odzywają się natychmiast.

Pochylił się nad chłopakiem i spojrzał w jego przestraszone oczy.

– To co, powiesz nam całą prawdę? – zapytał łagodnym, spokojnym, można by powiedzieć nawet, przyjaznym tonem. Portier skinął głową na znak zgody.

– No to opowiedz nam, mój drogi, kto w nocy był w hotelu i dlaczego nam nic o nim nie powiedziałeś?

– Bo się bałem... że mnie zabije... – wyjęczał i zamknął oczy, jakby chciał sobie przypomnieć każdy szczegół tego, co kilka godzin temu zdarzyło się Pod Orłem.

– W takim razie, skoro już chcesz z nami współpracować, pomożesz naszemu rysownikowi zrobić portret – zdecydował Małecki, rozprostowując plecy. Przeciągnął się, jakby dopiero wstał z łóżka, a potem zadowolony zwrócił się do Fischera: – No i widzi pan, drogi komisarzu, że my tu, w Bydgoszczy, też potrafimy pracować efektywnie.

Fischer pokiwał głową. Rzeczywiście, ludzie Małeckiego byli bardzo skuteczni i musiał przyznać, że znali się na robocie.

[42] Bana (gwar.) – pociąg.

[43] *Richtung Bahnhof* (niem.) – kierunek dworzec kolejowy.

[44] *Rechts, geradeaus* (niem.) – w prawo, prosto.

[45] *Grüß Gott* (niem.) – szczęście Boże.

[46] Flepy i bejmy (gwar.) – papiery, dokumenty i pieniądze.

[47] Juchciarz (gwar.) – złodziej.



# Rozdział X

## Poznań

Godzina 1.30 po południu

Prezes Feliks Mikołajewski podniósł się z łóżka i rozejrzawszy się po sypialni, stwierdził ze zdziwieniem, że nie jest sam. Ciekawe, pomyślał, kim też może być ta urocza blondyneczka o twarzy anioła, która leży obok z buzią wtuloną w poduszkę? Przez chwilę wpatrywał się w nią, ale za nic w świecie nie mógł sobie przypomnieć, w jaki sposób owa niewiasta znalazła się u jego boku. Co ciekawe, wcale nie ona była przyczyną tego, że się obudził. Ze snu wyrwało go coś zupełnie innego.

Usiadł na łóżku, jeszcze raz spojrzął na złotowłosą, cicho posapującą dziewczynę, potem odkrył nieco pierzynę, by przekonać się, że jej piersi są dokładnie takie, jakie lubił, czyli duże i jędrne, a to go nieco uspokoiło. Bo fakt ten oznaczał, że mimo niewątpliwego upojenia alkoholem nie zaprosił do swojej kawalerki pierwszej lepszej panny, ale osobę, która robiła całkiem korzystne wrażenie wizualne i na dodatek jeszcze wypełniającą swoimi kształtami formę ideału kobiecej urody, który był mu najbliższy.

Wiedział już, jak wygląda, ale nic poza tym. Na bliższe poznanie zapewne jeszcze przyjdzie czas, kiedy z jej pomocą wypełni luki w pamięci, ale na razie musiał się dowiedzieć...

Właśnie, nie bardzo wiedział, czego powinien się dowiedzieć. Może zacząć od tego, jaki jest dziś dzień... Nie, to kwestia drugorzędna, najpierw trzeba sprawdzić godzinę.

Wstał z łóżka i po cichu, by nie zbudzić pięknej nieznajomej, przeszedł z sypialni do salonu. Ten wyglądał, jakby przeszła przez niego wichura. Wszędzie walały się porozrzucane elementy garderoby, tak męskiej, jak i damskiej. Rozbita butelka po szampanie leżała na podłodze obok kieliszka z utraconą nóżką i kryształowej popielniczki, której rozsypana zawartość dopełniała obrazu zniszczenia.

Spojrzał na zegar wiszący na ścianie, ale wskazówki zatrzymały się na godzinie czwartej piętnaście, wahadło zaś tkwiło nieruchomo, oznajmiając swoim bezruchem, że czas popłynął do przodu, zostawiając je samemu sobie.

Gdzieś musi być zegarek ręczny, domyślił się, widząc, że tu właśnie nastąpiło zdjęcie ubrań. Swojej ulubionej doxy nawet po pijanemu nie rzucał byle gdzie. Musiał ją położyć w miejscu łatwym do namierzenia. Zaczął więc uważnie przeglądać pobojuwisko.

– Jest! – ucieszył się na widok skórzanego paska zapiętego na drewnianej nodze stojącej lampy. Jednak jestem przewidujący, pomyślał z uznaniem o swoim umyśle, który nawet w oparach alkoholu potrafił znaleźć najlepsze rozwiązanie. Bo o ile garderoba zdjęta została w pośpiechu i zapewne pod wpływem kobiecego seksapilu partnerki, o tyle zegarek znalazł się tam, gdzie nie miał się prawa uszkodzić ani zagubić.

Zdjął go z tymczasowego miejsca, spojrzał na cyferblat i zrobił wielkie oczy. Sprawdził strzałkę sekundnika, czy aby na pewno się porusza. Biegła wokół tarczy jak zwykle. Wskazówki pokazywały, że południe minęło półtorej godziny

temu i czas śniadania oddalił się bezpowrotnie, a większość ludzi w kraju przygotowywała się właśnie do zbliżającego się obiadu. On natomiast stracił już możliwość zjedzenia jajecznicy na boczku popitej kawą z mlekiem. Zanim dotrze do najbliższej śniadalni, choćby tej na Matejki, to już będzie po czasie i kuchnia śniadaniowa zostanie zamknięta. Zresztą, czy miałby w ogóle szansę na dotarcie gdziekolwiek z tą piękną panią w jego łóżku. Wiadomo bowiem nie od dziś, że zanim taka delikatna osoba się ubierze, musi minąć trochę czasu. Takiej nie wystarczy, tak jak jemu, tylko włożyć głowę pod kran, włosy nastroszyć ręcznikiem i szybko się ogolić. Ona musiała jeszcze coś zrobić z tymi pudrami i szminkami, no i w ogóle coś tam jeszcze, co robią kobiety, by wyglądać pięknie, myślał, szukając w stertach ubrań czegoś, co nadawałoby się do włożenia. Bieliznę trzeba było wrzucić do kosza na brudy, a więc pod uwagę można było brać jedynie spodnie. Znalazł je i już chciał zakładać, gdy naraz usłyszał dzwonek telefonu. Właśnie, to ten dzwonek wyciągnął go z objęć Morfeusza, podczas gdy jego duch cały czas jeszcze znajdował się w Moulin Rouge na Kantaka. O, w końcu coś sobie przypomniał. Był wieczorem na dancingu...

Dzwonek brzęczał metalicznie, wbijając się ostro w mózg, więc trzeba było temu zaradzić. Ze spodniami w ręce poszedł do gabinetu, chwycił słuchawkę i opadł na miękki fotel przy biurku.

– Mikołajewski, słucham – rzucił do słuchawki nieswoim, mocno sfatygowanym głosem.

– Kapitan Feliks? – zapytał Zielonka, którego natychmiast zidentyfikował po głosie rześkim i radosnym, choć nieco niepewnym w chwili zapytania. Zdaje się, że jego podwładny go nie rozpoznał.

– Gadaj, Zielonka, co tam masz, bo ja trochę jestem...  
hmm... jakby to powiedzieć, zaziębiony.

– Tak jest, wyraźnie słyszę chrypkę. Musiał pan kapitan śpiewać na wietrze.

– Bzdury, wczoraj wiatru nie było – odburknął, choć nie miał zielonego pojęcia, czy był, czy nie. Nie przypominał sobie też, żeby śpiewał. Za to na pewno tańczył, bo czuł ból zmęczenia w nogach. Podobny do tego, który pojawia się, gdy człowiek po dłuższej przerwie wsiądzie na konia.

– Wiatru nie, za to wichura przeszła.

– Tak? Chyba miałem mocny sen, bo nic nie usłyszałem.

– Nikt nie usłyszał. Wichura była w Poznaniu, a jej ofiarą stała się znana nam osoba handlarza cementem.

Mikołajewski przez chwilę wpatrywał się w portret marszałka wiszący na ścianie vis-à-vis biurka, ale ze skupionego oblicza naczelnika niewiele dało się wyczytać. On również nie wiedział, o jakiego pieprzonego handlarza cementem może chodzić Zielonce. Już dawno nakazał swoim podwładnym, by w czasie połączeń telefonicznych nie używali nazwisk i określeń wprost identyfikujących obiekt rozmowy, więc Zielonka postępował zgodnie z rozkazem. Zaraz, handlarz cementem? Naraz przyszło olśnienie. To przecież jego współpracownik Grubiński odprawił trzy wagony do Niemiec.

– Co jest z nim? – zapytał w końcu rzeczowo.

– Puszka sardynek.

– U nas czy dalej? – zapytał, mając na myśli, czy aby jego człowiek nie wpadł w Niemczech, bo jeśli tak, to byłby problem.

– Sardynki nasze w najlepszym gatunku, prosto z młyna.

– Chwała Bogu! – ucieszył się Mikołajewski. – Ale nic poważanego, mam nadzieję? Znaczy sardynki nikogo nie



zeżarły? – Wolał się upewnić, że sprawa nie ma zbrodniczego wymiaru.

– Na szczęście chodzi tylko o otwieranie puszki.

– No to dobrze. Za chwilę się tym zajmę, zadzwonię, gdzie trzeba, tylko daj mi zebrać myśli.

– Nie trzeba myśleć. Już sprawa załatwiona. Jeden znajomy szkieł już interweniował i znalazł kluczyk do puszki i powiadomił nas o sprawie, więc mogłem odebrać rybkę. Sardynka już płynie do pana.

– Za ile będzie?

– Za chwilę. Dlatego dzwonię do pana prezesa, żeby uprzedzić. Już pół godziny dzwonię – oznajmił z wyrzutem, a Mikołajewski uświadomił sobie, że skoro tak jest, to Grubiński może stać właśnie pod drzwiami...

W tym momencie usłyszał dźwięk dzwonka dobiegający z korytarza. Zaklął pod nosem.

– Co? – zapytał Zielonka.

– Cicho, już jest. Czołem!

Odłożył słuchawkę na widełki i wstał, aby pójść otworzyć, ale przypomniało mu się, że jest całkowicie goły, nie licząc zegarka, który zdążył założyć na rękę. Znowu zaklął. Przystanął na chwilę, by wciągnąć spodnie. Nagi tors raczej nie wystraszy Grubińskiego.

Podszedł do drzwi i otworzył je zdecydowanym ruchem. Na progu dojrzał swojego zastępcę Pikułę podtrzymującego Tolka Grubińskiego. Złodziej wyglądał tak, jakby właśnie przed chwilą bawił się granatem. Jego twarz przypominała befsztyk tatarski tuż przed podaniem, oczy były ledwie widoczne, ukryte za sinymi wałkami opuchlizny, do tego prawy łuk brwiowy był pęknięty, a sącząca się z niego krew zabarwiła intensywną czerwienią połowę białej koszuli. Jednym słowem,

wyglądał jak narodowa flaga po odparciu bolszewickiego ataku. Mimo wszystko jednak grymas na opuchniętych wargach nie był oznaką bólu, ale radości.

Zwariował, przeszło gospodarzowi przez głowę, ale nie wypowiedział tego na głos. Na wszelki wypadek zwrócił się jednak do Pikuły wprowadzającego Grubińskiego przez próg.

– Co mu się stało?

– Przewrócił się na schodach – wyjaśnił porucznik.

– Ano to go dajcie do sypialni. Trzeba go obmyć i opatrzyć – zdecydował i wskazał drzwi na wprost, zupełnie zapominając, że śpi tam złotowłosa. Weszli do środka i wtedy uświadomił sobie, że popełnił *faux pas*. Ale ku jego zdumieniu nikogo tam nie było. Zdziwił się, ale nie miał czasu głębiej się nad tym faktem zastanawiać. Naciągnął na pierzynę grubą narzutę, a Pikuła ostrożnie ułożył na niej Grubińskiego.

– Trzeba wezwać lekarza, żeby go zszył i w ogóle. Zaraz zadzwonię...

– Nie trzeba. – Usłyszał kobiecy głos dochodzący z drzwi prowadzących do salonu. Odwrócił się. Stała w nich piękna kobieta ubrana w jego własny szlafrok, wpatrzona w pobladłego Grubińskiego. – Zaraz go obmyję i opatrzę. Przygotuj mi, z łaski swojej, miskę z gorącą wodą i ręczniki. Masz w domu jodynę? Pewnie nie masz. To w takim razie pan niech idzie do apteki na rogu Grunwaldzkiej i Matejki i poprosi o bandażę, jodynę, nić chirurgiczną i igłę do zszycia drobnej rany. Wszystko to tam pan dostanie. Proszę pamiętać, do drobnej rany, czyli cienką igłę i cienką nić. Najlepiej niech pan powie, że do pękniętego łuku brwiowego.

Pikuła natychmiast poderwał się gotowy do działania. Dostał polecenie i jak rasowy żołnierz zamierzał je wykonać.

Zaraz, ale... Mikołajewskiego zdumiała ta kobieta. I w zasadzie, co ona sobie myślała, żeby wydawać rozkazy...?

– Jeśliby nie była za gruba, to blizna nad okiem mogłaby być później niezbyt elegancka, a tak zaszyje się jak u krawca – wyjaśniła. – No, nie stój tak, Feliksie. Czy chcesz, żeby twój znajomy się wykrwawił? Już szykuj wodę...

– Ale... w zasadzie... to tak w ogóle...

– Nic się nie martw. Poradzę sobie. Jestem wykwalifikowaną pielęgniarką i studentką ostatniego roku medycyny. Chirurgię urazową praktykowałam już na drugim roku. No dalej, bierz się do roboty – ponagliła go i przysiadłszy na skraju łóżka, zaczęła ostrożnie zdejmować Grubińskiemu marynarkę.

Mikołajewski poszedł posłusznie do kuchni grzać wodę, zastanawiając się, skąd w jego domu wziął się ten anioł, który nawet nie miał imienia.

## Bydgoszcz

Godzina 1.50 po południu

Kapitan Żychoń ubrany w mundur z pasem głównym i koalicijką przechodzącą przez pierś wyglądał jak żywa reklama służby wojskowej. Na jego twarzy nie było widać śladu zmęczenia. Przyjemnego wrażenia nie psuły nawet lekkie cienie pod oczyma, które wyglądały na efekt zapracowania, a nie ogólnego pijackiego osłabienia organizmu. Oficer chodził w tę i z powrotem, przemierzając wzdłuż i wszerz duży pokój mieszkania należącego do Ekspozytury Numer 3 Oddziału II Sztabu Głównego Wojska Polskiego. Fischer i Rybacki zajęli miejsca na fotelach.

– Chciałem, żebyś przyjechał do Bydgoszczy, by w spokoju przygotować cię do roli, jaką mógłbyś odegrać w naszych planach, tym bardziej że Niemcy sami się tobą zainteresowali – mówił Żychoń, zaciągając się papierosowym dymem.

– Zapominasz, że to Mikołajewski sprytnie im mnie podsunął.

– Mądrze zrobił. Przecież ty osobiście znasz tego Hitlera. A to niebagatelna kwestia. Jeśli i on cię pamięta, to możemy to wykorzystać. Tym bardziej że nie wiemy, co mu w głowie siedzi, a wszystko wskazuje na to, że to człowiek, z którym należy się liczyć. Jego partia rośnie w siłę i kto wie, czy za jakiś czas pan Hitler nie zostanie kanclerzem Rzeszy. A wtedy my będziemy mieć człowieka, który nie jest mu obojętny. A swoją drogą, to prawda, że uratowałeś mu życie?

Fischer machnął ręką.

– Wiecie panowie, jak to jest na wojnie, raz ty ratujesz, a za chwilę ratują cię. Ja do niedawna myślałem, że on się nazywa Hytler, dopiero jak w prasie zaczęto o nim częściej pisać, to skojarzyłem fakty...

– No więc sam widzisz. Mikołajewski trafnie ocenił sytuację. Możesz się nam bardzo przydać i dlatego chciałem, żebyś nas odwiedził, abyśmy mogli przekazać ci nieco naszej wiedzy na tematy wywiadowcze. Mam na myśli kwestie szyfrowania meldunków, przesyłania ich w bezpieczny sposób, do tego kwestie pracy operacyjnej w terenie, pozyskiwania współpracowników, no i wiele innych detali, które są niezbędne w naszej działalności.

– Chcecie ze mnie zrobić agenta?

– Pan już niejako jest agentem – rzucił z uśmiechem Rybacki. – W końcu współpracuje pan z Mikołajewskim od dawna. Do tego jest pan również żołnierzem, który przysięgał

bronić ojczyzny. A to, co my robimy, to przecież nic innego jak obrona...

– Armaty umilkły, przerwano ogień, ale wojna trwa nadal – wszedł mu w słowo Żychoń. – Mimo że nie strzelamy do siebie na ulicach. Choć zdarzają się takie wypadki jak ten wczorajszy, czyli zabicie niemieckiego szpiega, który zamierzał cię zwerbować. To nam komplikuje wszystko. Musimy więc coś Niemcom dać i to jak najszybciej, bo stracimy możliwość prowadzenia rozgrywki z tobą w roli głównej.

– Mamy dokładny opis podejrzanego, albo w zasadzie możemy powiedzieć mordercy, i teraz wystarczy go tylko znaleźć. Już za chwilę będą o nim wiedziały wszystkie patrole w mieście, a rysopis dostaną też wszyscy wywiadowcy. – Rybacki był optymistą.

– Nie byłbym taki pewien, drogi panie. Ten człowiek to tak naprawdę nikt. – Fischer wolał jednak gasić ten optymizm. Prawda była taka, że nie potrafił sobie nawet dokładnie wyobrazić tej postaci. Według słów portiera był to człowiek nędznie ubrany, w marynarkę i spodnie koloru czarnego, do tego w pasiastą koszulę bez kołnierzyka i dodatkowo szarą czapkę, po poznańsku i bydgosku nazywaną lujówką, a w centralnej Polsce kaszkietem. Nie miał żadnych charakterystycznych cech na twarzy poza faktem, że była szczupła, a nawet chuda, o mizernym wyglądzie. Nie nosił wąsów ani brody, więc te szczegóły również nie dawały większej szansy na identyfikację. Jedyną cechą charakterystyczną, która mogła w jakiś sposób pomóc śledczym, to fakt, że człowiek ten oddychał ciężko i co chwilę pokasywał. Mógł więc być chory na suchoty.

Wszedł do hotelu wieczorem i od razu skierował się do recepcji. Siedzący za kontuarem Jakub Blumsztajn chciał go

wyrzucić, bo nie wyglądał na potencjalnego gościa, ale raczej na kogoś, z kim mogą być kłopoty. I nie pomylił się. Mężczyzna podszedł do niego, uśmiechnął się krzywo, a potem wyciągnął z kieszeni rewolwer.

– Tu jest taki jeden Niemiec, co się, nazywa Böhm, taki okrągły i dobrze ubrany, więc gadaj mi zaraz, w którym numerze mieszka, bo jak się pomylisz albo coś przekręcisz, to zastrzelę cię jak psa, na miejscu. No dalej, bo nie mam czasu!

Blumsztajn, chcąc nie chcąc, podał mu numer pokoju, a uzbrojony mężczyzna kazał się tam prowadzić. Gdy podeszli na miejsce, kazał mu wleźć do szafy na miotły i wiadra do mycia podłóg i tam go zamknął. Po chwili Blumsztajn usłyszał pukanie do drzwi, a potem jakąś wymianę zdań i nic więcej. Jakieś pół godziny później rozległ się strzał, a zamknięty portier mało nie umarł ze strachu, gdy przez drzwi usłyszał głos bandyty:

– Jak komuś o mnie powiesz, to wrócę, znajdę ciebie, twoją rodzinę i wszystkich zabiję, a ciebie na samym końcu, żebyś się jeszcze zdążył zmartwić, gdy ci będę zabijał matkę, obdzierając ją ze skóry.

Jakub Blumsztajn co prawda nie miał już matki, ale i tak był na tyle przerażony, że postanowił nie mówić niczego policji. Zmienił zdanie dopiero pod wpływem perswazji dwóch policyjnych osiłków, którzy wywlókłszy go z łóżka, spuścili mu łomot. Zdecydowanie bardziej przestraszył się ich niż tego mordercy.

– Trzeba dać im jasny sygnał, że ich człowiek zginął przypadkiem, a dwa, że nie masz nic wspólnego z tą śmiercią – stwierdził Żychoń.

– No przecież nie wyślemy im na ten temat telegramu do Berlina. – Policjant stanął najwyraźniej przed ścianą, której nie potrafił przebić.

– Telegramu nie. Ale na szczęście są inne sposoby, które mogą sprawić, że do przeciwników dotrze informacja dokładnie taka, jaka chcemy, by do nich dotarła – powiedział kapitan, sięgając po papierosa. Powoli zabrał się do zapalania, wiedząc doskonale, że obaj oficerowie czekają z niecierpliwością na to, co ma do powiedzenia. W końcu wypuścił dym nosem, spojrzał na Rybackiego, by zaraz przenieść spojrzenie na Fischera. – Panowie, zdaje się, czytają niemiecką prasę? – zapytał.

– To naturalne. W prasie, szczególnie tej niepowiązanej z rządem, czyli w brukowcach, można znaleźć wiele interesujących informacji. Takie czytanie gazet, studiowanie ogólnodostępnych źródeł ma w światku wywiadowczym nawet określoną nazwę – zaczął wyjaśniać Rybacki, który już zrozumiał, o co chodzi jego szefowi. – To się nazywa biały wywiad. Ale to dla wywiadowców alfabet, podstawowa wiedza. Przekona się pan jeszcze...

– Czyli Niemcy też czytają nasze gazety? – przerwał mu dość bezceremonialnie Fischer.

– Oczywiście – potwierdził Żychoń. – To jest bardzo dobre zagranie, dające nam nieco czasu na przygotowanie kolejnych posunięć – podsumował Żychoń i zadowolony sięgnął do biurka po butelkę koniaku. Wydobył też dwa kieliszki. Rybacki nie pijał w godzinach służbowych, a Fischera nawet nie zapytał. Ten dobrego koniaku raczej nie odmawiał.

Poznań

Godzina 2.40 po południu

– Z całej rolki zdjęć niewiele udało się odtworzyć. – Pikuła rzucił na stół cztery fotografie. Dwie z nich były w połowie naświetlone i odczytanie wykresów i napisów było praktycznie niemożliwe. Dwie ostatnie, zachowane ze zniszczonego filmu, wyglądały niemal idealnie, bo naświetlone zostały tylko ich górne krawędzie. Na jednej z nich widać było rzuty bryły budynku przypominającego swoim wyglądem mały wiejski domek o dwuspadzistym dachu. Na kolejnej architektoniczny rysunek wyobrażający wizualizację całego projektu. Można było na nim dostrzec największy budynek właściwy, mniejszy od niego budynek gospodarczy, do tego jeszcze jakąś wieżyczkę przykrytą dachówkami, która mogła być stacją transformatorową, i w końcu pawilon o prostym dachu, z którego wyrastał maszt. Gdyby nie on, wszystko to wyglądałoby jak zagubione w lesie małe gospodarstwo albo leśniczówka. Jeśliby tam jeszcze postawić drewnianą stodołę, nikt nie domyśliłby się wojskowego przeznaczenia tego obiektu.

Mikołajewski, pochylony nad stołem, przyglądał się fotografii z lupą w dłoni.

– Kiedy będą duże odbitki? – zapytał podwładnego.

– Powiedziałem fotografowi, że mają być na jutro. Przyniosłem tylko te małoobrazkowe, żebyś mógł rzucić na nie okiem i wiedział mniej więcej, czym dysponujemy.

– No to już widzę. – Kapitan pokiwał głową. – Mamy cholernego pecha. Raz, że Grubiński zabrał przesyłkę ze sobą, a dwa, że wpadł na robocie. I do tego jeszcze nadgorliwi policjanci, którzy wkładają swoje brudne paluchy nie tam,



gdzie trzeba. Jednym słowem, nieszczęśliwy splot wydarzeń. Ale tak bywa. Teraz musimy się zastanowić, co dalej.

– Dalej, porównajmy te fotografie z tymi, które były w aparacie naszego przemytnika z Międzychodu – powiedział Pikuła i na blacie położył drugą kopertę. Mikołajewski rozłożył odbitki, przez chwilę się w nie wpatrywał, a potem przeniósł wzrok na te ze Schneidemühl.

– Pod Międzychodem mamy już wybudowany obiekt, a tam pod Piłą taki sam, tylko w planach. – Mikołajewski zauważył całkowite podobieństwo. – Czyli mamy najprawdopodobniej dwie stacje radiolokacyjne. Do tej pierwszej nie mamy i nie będziemy mieć wstępu, ale druga jeszcze nie zaczęła się budować...

Na chwilę zamilkł. Wstał z fotela i z niezapalonym papierosem w ustach zaczął się przechadzać po pokoju. Naraz przystanął ze wzrokiem wbitym w podłogę, po czym podniósł palec wskazujący ku górze i uśmiechnął się szeroko.

– I to jest nasza szansa! – powiedział pewnym głosem. – Musimy wiedzieć o tej budowie wszystko, o ścianach, oknach, a potem o sprzęcie, jaki tam będą instalować. Jednym słowem, trzeba wszystko prześwietlić jak rentgenem.

– Najważniejsze, że mamy w ręku tego oberfeldwebla z Schneidemühl, który zrobił zdjęcia. Jak będzie trzeba, każemy mu robić kolejne. – Pikuła wiedział, co mówi. Ten Niemiec już im się nie wyślizgnie. Facet oddał im raz przysługę, więc nie ma najmniejszej szansy wycofać się ze współpracy.

– Nie wyślizgnie nam się, to jest prawda – zgodził się ze swoim współpracownikiem prezes. – Ale nam nie chodzi o to, żeby on co chwilę robił zdjęcia poszczególnych etapów budowy. Owszem, do zdjęć się jeszcze przyda. Jak na ten przykład oni

tam w Pile dostaną jakieś nowe uzbrojenie czy coś takiego. Wtedy niech fotografuje. Ale teraz trzeba go zmusić do współpracy... hm, że się tak wyrażę, w szerszym zakresie. Cholera, przydałby się Grubiński, żeby pojechać do Niemiec.

– W tym stanie nigdzie nie pojedzie – rzucił kategorycznie Pikuła.

– Pojadę, gdzie trzeba – zawołał słabym głosem z drugiego pokoju Tolek, który najwyraźniej doszedł już do siebie po zabiegu zaszycia łuku brwiowego przeprowadzonym przez nową znajomą Mikołajewskiego.

– Musimy się spotkać z tym intendentem pułku ze Schneidemühl – stwierdził kapitan, bo naraz wpadł na pomysł, który pozwalał im zdobyć zdecydowaną przewagę nad Niemcami. Do jego realizacji potrzebni mu byli tylko pewni ludzie. – Zaproponujemy mu interes życia. A jeśli jest to taki drań, jak go opisywał Grubiński, to przystanie na wszystko i jeszcze będzie nam wdzięczny, że dajemy mu szansę się obłowić. A tymczasem to my upieczemy dwie pieczenie na jednym ogniu. Zarobimy i zdobędziemy bezcenną wiedzę.

## Poznań

Godzina 2.50 po południu

Leon i Walek Kaźmierczakowie postanowili się rozdzielić. Jeden z nich miał zostać na miejscu i sprawdzać, czy porywacze wykonają jakiś ruch, a drugi pójść do Tolka Grubińskiego opowiedzieć mu o wszystkim. Mieli nadzieję, że wyszedł już z aresztu i dotarł do domu albo do gospody U Okonia. Bracia nie mogli sami interweniować i uwolnić

policjanta, bo nie byli uzbrojeni, w przeciwieństwie do ludzi, którzy go uprowadzili.

Leon został więc na Rybakach, bo tam w kamienicy pod numerem dwunastym był przetrzymywany policjant. Udało mu się nawet ustalić, że trzymają go w mieszkaniu na pierwszym piętrze. Walek pojechał dorożką na Garbary do mieszkania Tolka. Nie zastał go jednak w domu. Kryśki i dzieciaków też nie było. Do sprawdzenia została jeszcze gospoda. Doszedł do wniosku, że w najgorszym przypadku muszą tę akcję przeprowadzić sami.

– A po co ci pistolety? – zapytał Feliksiak, mierząc go uważnym spojrzeniem. Właściciel knajpy przechowywał broń, tak na wszelki wypadek, w skrytce pod barowym kontuarem.

– No żeby ich tam wystraszyć.

– Ilu ich jest?

– Dwóch.

– Jakies dwie łachudry porywają na ulicy szkieła i to jeszcze oficera, co pracuje z Fischerem, to znaczy, że świat stanął na głowie.

– No niby tak, więc no, ten, musimy tam wejść i go odbić – próbował przekonać Felisiaka, ale nie za bardzo mu to wychodziło z tej prostej przyczyny, że nie miał żadnej konkretnej koncepcji, ale jej śladowy zarys. Pomysł na odbicie policjanta wyglądał obiecująco tylko do momentu, kiedy obaj Kaźmierczakowie stanęliby na progu mieszkania. No a później jakoś to będzie, myślał Walek, ale tego już nie powiedział głośno, żeby go Feliksiak nie obśmiał. Ten jednak potraktował sprawę poważnie.

– Musimy poczekać na Tolka. On powinien tu się pojawić, chyba że najpierw pójdzie do chaty.

– W chacie go nie ma. Byłem tam.

– To trzeba czekać. Jak przyjdzie, to coś się wymyśli.

W końcu szkiełom jesteśmy coś winni.

– W jakim sensie?

Feliksiak przestał ścierać blat kontuaru i narzucił sobie ścierkę na ramię.

– Ano tak, że wypuścili was obu, bo w waszej sprawie się wstawił Olkiewicz. Znasz go przecież.

– Olkiewicz Anastazy? A czemu się wstawił?

– Bo wy żeście dali dupy i ktoś musiał was wyciągnąć, bo Fischer gdzieś wyjechał, a nie było czasu na kombinowanie. Jakbyście stanęli dziś przed sądem, to za gorący uczynek od razu by was zapakowali do mamra na trzy lata.

– Panie ober, daj no pan jeszcze jedną ćwiartkę i piwo! – zawołał od stolika jakiś podchmielony grubas o czerwonej, naznaczonej kropelkami potu twarzy.

– Już się robi, panie inżynierze – odpowiedział mu Feliksiak, choć nie miał pojęcia, jaki zawód wykonuje mężczyzna. Dobrze chyba trafił w branżę, gdyż dumny inżynier uśmiechnął się szeroko i mocno klepnął w ramię siedzącego obok kolegę.

Feliksiak wziął do ręki butelkę wódki, zdjął kapsel, nalał piwa do kufła i wyciągnął z przeszklonej części lady talerz z kotletami mielonymi. Wiedział, że inżynier na pewno nie zaprotestuje i kupi klopsy na zagryzkę. Skoro został tak nazwany, to nie będzie się liczył z kilkoma złotymi.

Zaniósł wszystko na stół i wrócił za kontuar.

– Piwa się napijesz? – zapytał Walka. Ten zastygł w bezruchu oparty o blat.

– A co mam innego do roboty? – rzucił cierpko. Rzeczywiście nie mógł nic zrobić, skoro Feliksiak kazał mu czekać, aż przyjdzie Tolek

Ale nie przyszedł Tolek, tylko ktoś inny. Anastazy Olkiewicz ubrany w policyjny mundur wyglądał tak, jakby za chwilę miał kierować ruchem na skrzyżowaniu. Brakowało mu tylko pałki i białych mankietów. Podszedł do szynkwasu i od razu wskazał na kran do piwa.

– No to, panie Feliksiak, kto jest za chudy w uszach? Stawiasz pan piwo za przysługę, bo oba dwa już wyszli z Młyna. – Powiedziawszy to, klepnął Kaźmierczaka w ramię.

– A gdzie Tolek? – zapytał Olkiewicza Feliksiak.

– A jest, jest wypuszczony. Pojechał po niego do aresztu człowiek kapitana Mikołajewskiego... – Ugryzł się w język. Oni nie musieli przecież wiedzieć tego, co wiedział on, że Tolek współpracuje z Mikołajewskim w kwestiach wywiadowczych. Dlatego gdy załatwił jego zwolnienie, natychmiast zadzwonił do kapitana, by powiadomić, że Tolek wychodzi.

– Niby że kto pojechał?? – Feliksiak nie znał wszystkich wywiadowczych kontaktów Tolka, więc ta informacja nic mu nie powiedziała.

Olkiewicz machnął ręką.

– Ale na co on wam jest teraz potrzebny? Przyjdzie nie dziś, to jutro. Najważniejsze, że już nie siedzi.

– Bo jest pilnie potrzebny, żeby odbić waszego kolegę – wyjaśnił Feliksiak.

Olkiewicz spojrzał na niego jak na wariata.

– Co pan pieprzysz, panie Feliksiak. Jakiego kolegę? I jak odbić?

– Powiedz panu przodownikowi – polecił Walkowi.

– Bo oni porwali tego aspiranta Oskierkę!

– Co ty bredzisz? Jak to, jacy oni?

– Byli my u Dekierta w dorożkarskiej z Leonem, żeby się napić za wyjście z mamra, i był tam też Oskierko, no to my go

chcieli zapytać się o Tolka, ale dopiero jak wyjdzie, żeby nie było poruty, no wiecie, że gadamy ze szkielem.

– A teraz to z kim niby gadasz? – zauważył Olkiewicz, ale zaraz kazał Walkowi wrócić do tematu. – I co z nim?

– Takie dwa szuszwole go napadły i mieli pistolety, to my im nie mogli wpruć, bo gdzie z gołymi łapami na uzbrojonych. No to żeśmy wzięli dorożkę i za nimi. A oni na Rybaki pojechali, tam gdzie taka gęba brodata nad bramą jest wmurowana, a w suterynie jest skład z chlebem i bułkami.

– Wiem, gdzie to jest – przerwał mu Olkiewicz. – Ale mogli gdzieś wyjść czy zabrać go gdzie indziej.

– To będziemy wiedzieli gdzie, bo został tam na straży Leon. I jakby co, ma za nimi iść. Ale widzi mi się, że nie po to aspiranta tam przywozili, żeby go zaraz wywozić.

– Dobra, to ja zaraz będę organizował jakąś pomoc czy coś.

– My pomożemy – zadeklarował Walek. – Byle nam Feliksiak dał wiadomo co.

– Ja nic nie wiem i nic nie widziałem. – Anastazy wymownie odwrócił się od szynkwasu z piwem w dłoni. Niech ten Feliksiak da im, co tam ma dać, i trzeba lecieć. Tylko zastanawiał się, o co w tym wszystkich chodzi. Oskierko porwany? Przecież to się w głowie nie mieści. Żeby na policjanta napadać w biały dzień. No chyba że to się rozchodzi o ten zaginiony obraz. Czy Oskierce udało się ustalić, kto jest na tych zdjęciach? Być może zidentyfikował tego gościa w garniturze, a on kazał go porwać. A jeśli tak, to mogą Oskierkę chcieć zabić.

Odwrócił się i dostrzegł wyraz zadowolenia na twarzy Walka Kaźmierczaka. Feliksiak ścierał blat bufetu, jak gdyby nigdy nic, choć ten wcale nie wymagał polerowania.

## Bydgoszcz

Godzina 3.30 po południu

Redaktor Felicjan Kurowski czuł się dość kiepsko. Dlatego wybrał się do restauracji U Sikory przy Grunwaldzkiej na kieliszek wódki i kotleta siekanego z bułką na zagryzkę, a kto wie, może i nawet dwa kieliszki. Mieszkał niedaleko stąd, na Okółu, więc z knajpy miał do domu dwa kroki i właściwie czuł się tutaj tak, jakby jedną nogą był już w sobie. Wszedł do Sikory, żeby przemyśleć wszystko, co mu się dziś od rana przydarzyło, i w ogóle zastanowić się nad sensem życia. Jego kiepskie samopoczucie nie brało się ani z głodu, pragnienia czy niezbyt przyjemnej dusznej aury. On czuł się źle z powodu sensacyjnego tematu, który przeszedł mu koło nosa. Temat był, można by powiedzieć, wybuchowy, a on mógł na nim zrobić wielką karierę, bo zapewne inne gazety z całej Polski przedrukowałyby ten jego artykuł o szpiegach i szpiegowskich porachunkach w hotelu Pod Orłem. Czekał przez całe swoje dziennikarskie życie na taką okazję, a gdy ta przyszła, okazało się, że nie ma w sobie tyle siły, by się sprzeciwić, zawalczyć i postawić tym wywiadowczym siepaczom.

Niech no tylko w jakimś ciemnym zaułku wpadnie mu w ręce ten Rybacki, to on mu już pokaże, wystrzela go po pysku, a ten padnie na kolana i będzie go błagał o przebaczenie. Jednak wtedy on będzie twardy jak skała, bo jego serce nie zna litości i nie ma pobłażania dla takich typów.

W restauracyjnej sali było kilkanaście okrągłych stolików, pokrytych białymi obrusami, w tym zaledwie cztery zajęte.

Przy jednym z nich stał kelner, pan Waldek, który spisywał zamówienie od dwóch mężczyzn ubranych w garnitury. Pewnie kupców, którzy przyszli tu pogadać o interesach. Przy dwóch innych siedzieli znani Kurowskiemu amatorzy mocniejszych trunków, którzy mieli za co pić, bo jeden był emerytowanym oficerem i dostawał w związku z tym godziwą emeryturę, a drugi, niejaki Ogiegło, był poetą piszącym do miejscowych gazet. A że uważano go w mieście za wielki talent i mimo przekroczonej trzydziestki ponoć cały czas dobrze się zapowiadał, dlatego był drukowany, co przekładało się na pełny portfel. Redaktor Kurowski też był drukowany codziennie, ale nie miał takich dochodów jak ten chudy i długowłosa rymokleta.

Emerytowany żołnierz siedział odwrócony do sali plecami i kontemplował widok za oknem, który nie należał do najciekawszych, bo przedstawiał jezdnię i domy naprzeciwko, poeta zaś zatopił tępe spojrzenie w otwartym tomiku wierszy, ale nie czytał, bo redaktor Kurowski jako uważny dziennikarz zauważył, że nie przewracał kartek, a tylko patrzył, sącząc wódkę z dużej szklanki. W chwili, gdy przeniósł wzrok na dwóch kupców, naraz drzwi restauracji się otworzyły i do środka wszedł nowy klient. Wszystkie spojrzenia gości powędrowały ku przybyłemu, jakby był jakąś oczekiwaną niecierpliwie personą.

Niczyjej uwagi jednak nie przyciągnął na dłużej ten człowiek w popielatym garniturze i słomkowej panamie. Niczyjej prócz Kurowskiego, który aż jęknął na widok wchodzącego. W Bydgoszczy jest ponoć dwieście pięćdziesiąt knajp, restauracji i barów, a ten musiał wejść akurat do mojej, pomyślał dziennikarz.



Przez moment miał jeszcze nadzieję, że Rybacki go nie zauważy, ale ta okazała się być płonną. Oficer, dostrzegłszy go, natychmiast skierował się do jego stolika.

– O, bardzo się cieszę, że pana widzę, panie redaktorze szanowny.

– Czyżby? – zdziwił się Kurowski.

– Jak najbardziej. Bo to, że pan tu jest, pozwoli mi zaoszczędzić czasu.

– W jakim sensie?

– W takim, że nie będę musiał pana szukać jutro, ale mogę od razu najmocniej przeprosić.

Dziennikarz rozejrzał się po sali, jakby poszukiwał adresata przeprosin, bo nie bardzo mógł sobie wyobrazić, że ten arogancki żołnierz naprawdę chce mu złożyć wyrazy ubolewania.

– Pozwoli pan, że się przysiędę?

– Proszę – zgodził się bez specjalnego entuzjazmu. – A cóż to się stało? Czyżby zmienił pan zdanie na temat tego, co działo się dziś rano w hotelu? – zapytał z lekką drwiną w głosie, spoglądając na poważną i skupioną twarz żołnierza.

– Tyle się stało mianowicie, że *errare humanum est*<sup>[48]</sup> – stwierdził Rybacki, uśmiechając się lekko. Skinął zaraz na kelnera, a ten natychmiast podszedł do stolika.

– Czym mogę szanownym panom usłużyć? – zapytał drobny mężczyzna w białej kamizelce założonej na białą koszulę, z wywiniętym ku górze z dwóch stron wąsem. Patrząc na niego, człowiek mógł odnieść wrażenie, że to jakiś admirator postaci cesarza Rzeszy Niemieckiej Wilhelma II, który od pewnego czasu już cesarzem nie był, ale prostym holenderskim arystokratą. Kelner nie wyglądał na arystokratę,

bo ci rzadko kłaniali się w rozmowie z obcymi, a już na pewno nie donosili im niczego do stolików.

– Daj pan ćwiartkę białej wódki i dwa kotlety schabowe na ciepło, z kartoflami i mizerią. Może być mizeria, panie redaktorze?

Kurowski skinął głową na znak, że jak najbardziej, zdziwiony, że temu wojakowi zależy na jego opinii. W ogóle wszystko to wyglądało dość dziwnie, więc postanowił mieć się na baczności, bo gdzieś tu musiał kryć się jakiś podstęp.

– To najpierw proponuję wypić na zgodę – zaproponował oficer, rozlawszy wódkę, którą postawił na stole kelner.

– Przyznam, że nadal nie rozumiem...

– A co tu rozumieć, panie redaktorze. Trzeba wypić i zapomnieć. Tam na górze, w tym hotelowym korytarzu, nie myślałem racjonalnie, rozumie pan, myślałem, że tam zginął mój kolega, więc nie chciałem, żeby ktoś naruszał jego pośmiertną prywatność. Ale teraz na zimno, gdy wszystko już przekalkulowałem i sprawdziłem wszystkie za i przeciw, postanowiłem przekazać panu wszelkie niezbędne informacje w tej sprawie, żeby panu zadośćuczynić krzywdę, jaką mu wyrządziłem.

– Cóż to znaczy?

– A tyle znaczy, że kotlety schabowe mają tu podobnież prima sort. Tak przynajmniej mówią ci, co się znają. Ja się nie znam, bo w zasadzie jestem jaroszem.

– Jak to? – zdziwił się Kurowski.

– Ano tak, że mięsa nie jadam, no chyba że jakaś specjalna okazja, kiedy nie wypada odmówić.

– Tak jak dzisiaj? – wypytywał redaktor.

– Nie, dziś jest zwyczajna okazja. A kotleta zamówiłem specjalnie dla pana.

- Ale ja mam już. - Wskazał na swój talerz ze schabowym.
- Zje pan dwa. Mnie wystarczą kartofelki i mizeria.

Nadział swojego schabowego na widelec i przeniósł go na talerz dziennikarza. Ten nie zaprotestował. Widać uznał, że takie zadośćuczynienie za krzywdę mu się po prostu należy. W końcu był od tego oficera znacznie postawniejszy i miał przy tym zdecydowanie większy brzuch, a to oznaczało także większe potrzeby.

Rybacki znów sięgnął po butelkę, nalał dziennikarzowi, ale sobie już nie. Złapał kieliszek i udał, że pije.

- No, panie Felicjanie drogi, za spotkanie, na przeprosiny, żeby do nieporozumień nie dochodziło. Na zdrowie. A, właśnie, à propos tych nieporozumień, to jak mogę panu powiedzieć wszystko, jak było po kolei od początku do końca, kto został zabity i w jakich okolicznościach, i dlaczego.

- Naprawdę? Powie mi pan, co i jak?

- Powiem, oczywiście.

- Całą prawdę?

- Tyle, co wiem.

- A co pan wie?

- Wiele, ale nie ode mnie się pan dowiedział. - Rybacki uczynił wymowny gest milczenia, przykładając sobie palec do ust. Dziennikarz pokiwał głową ze zrozumieniem. Wszak dobrze wiedział, że nie wolno zdradzać swoich informatorów, więc zamierzał w tej kwestii milczeć jak grób. Wyciągnął z kieszeni notes i zaczął wpisywać najistotniejsze dane w miarę, jak porucznik mówił i mówił. Pół godziny później Kurowski już wiedział, że do jutrzejszego porannego wydania „Dziennika Bydgoskiego” będzie miał mocną czołówkę.

# Poznań

Godzina 3.50 po południu

Oskierko otworzył oczy, bo przed sekundą wydawało mu się, że się topi. Rzeczywiście był całkiem przemoczony, a po twarzy spływała mu woda. Uświadomił sobie, że jest w jakimś obcym miejscu i leży na podłodze ze skrępowanymi rękoma. Nad nim pochylał się porywacz, ten podobny do małpy.

– Już nie śpi – powiedział i poklepał policjanta po twarzy.

– No to w takim razie posadź go na krzesło. – Usłyszał jakiś głos, który wydał mu się znajomy.

Małpolud chwycił go pod ramiona i pociągnął w górę, po czym popchnął Oskierkę w kierunku mebla. Policjant usiadł posłusznie, zastanawiając się, co z tego wszystkiego wyniknie i czego od niego chcą ci ludzie.

I wtedy go rozpoznał. Na starym, mocno zniszczonym fotelu pod ścianą ozdobioną pomarszczoną i odłóżającą bordową tapetą siedział Jörg Lehmann, człowiek, który zabił księdza, a potem udało mu się uciec.

– Z twoich dokumentów wynika, że nazywasz się Oskierko – rzucił Lehmann i zakaszłał. Widać było, że ma trudności z oddychaniem, a mówienie sprawia mu ból.

– Tak się nazywam – potwierdził.

– No i pan Oskierko przegrał rozgrywkę ze zwykłym malarzem. Bo ja, panie Oskierko, jestem malarz pokojowy. Ale od pewnego czasu nie pracuję w zawodzie. Wszystko przez ten cholerny kaszel.

– Czego ode mnie chcecie?

– O, nic wielkiego. Chcieliśmy tylko, żebyś pan nam powiedział wszystko, co pan wiesz o obrazie. No i kto jeszcze

ma tą wiedzę. Ale myślę, że to już niepotrzebne, bo wszystko masz pan w tych swoich papierach, znaczy wszystkie dowody są tu. – Stuknął palcem w fotografię leżącą obok niego na niewielkim stoliku kawowym. Dopiero teraz Oskierko zauważył, że jest tam jego dowód osobisty, list otrzymany od wikarego i zdjęcia uliczne, na którym widać Lehmana i jakiegoś mężczyznę.

Naraz rozległo się pukanie do drzwi. Serce Oskierki podskoczyło do gardła. To może być odsiecz, pomyślał. Ktoś musiał widzieć, jak go porywają na ulicy, i zawiadomić policję. I teraz policja ruszała do ataku, żeby go uwolnić...

– Macie go, jak się domyślam? – Dobiegł do niego głos, który już dziś słyszał. Ale czy to możliwe? Przecież Johann Alfred von Vietzleben, młodszy radca konsulatu Rzeszy Niemieckiej w Poznaniu, nie mógł zlecić jakimś opryszkom porwania go. I w ogóle skąd niby miał znać tego bandziora Lehmana?

– No siedzi tam z Jörgiem – powiedział ktoś, kto był w pomieszczeniu za drzwiami. To pewnie ten dorożkarz, który miał eter i go uśpił.

– No, panie aspirancie, znów się spotykamy. Bardzo się cieszę, że tak szybko. Proszę sobie wyobrazić, że przetłumaczyłem ten list dla pana. Ale nie wiem, czy panu się przyda ta wiedza.

– To pan kazał mnie porwać? – rzucił oskarżycielskim tonem policjant.

– No cóż, drogi panie, znalazł się pan w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. Niestety, śledztwo pańskie mogłoby przynieść sporo szkód stosunkom polsko-niemieckim, więc nie możemy sobie pozwolić...

– Jakie stosunki? Chodzi wam o obraz Bruegla? To dzieło jest warte majątek. Więc chodzi wam o pieniądze. Dlatego

zginął ksiądz.

– Jakby się nie bronił, to nic by mu się nie stało – rzucił Jörg. – Uparty klecha.

– Tak, to prawda, że ksiądz był przypadkową ofiarą tego napadu. Gdyby się nie wtrącał, toby żył. A przecież nie miał prawa do tego dzieła. To obraz, który został przejęty i uratowany przez armię niemiecką i jako łup wojenny jest własnością Niemiec. My tylko odbieramy to, co nam się należy.

– Czyli ten ze zdjęcia to jest jednak pana kolega? – domyślił się Oskierko.

– Kolega? Ależ nie, to tylko pewien zachłanny głupiec. Pan Böhm miał odebrać obraz i zawieźć go do Niemiec. Ale połakomił się i postanowił go ukraść. Lecz nie wiedział, że jego były podwładny Lehmann nie ma zamiaru mu odpuścić. Pojechał jego śladem i odzyskał to dzieło. Pokaż ten obraz, przyjacielu – radca poprosił Lehmann. Ten wstał, podszedł do dębowego kredensu, otworzył drzwiczki i wydobył opakowany w szary pocztowy papier obraz. Delikatnie odwinął go i podał von Vietzlebenowi.

– Piękna robota – pochwalił dzieło dyplomata, wpatrując się w oblicze Matki Boskiej trzymającej na kolanach niezbyt urodzive dziecko. Przez chwilę potrzymał go jeszcze, a potem oddał Jörgowi.

– No więc ten list, który ma pan w oryginale, jest mi potrzebny, bo on niejako potwierdza autentyczność dzieła i praw do niego nabytych przez armię niemiecką. Z listu wynika, że kapitan Klaus Richter zabrał ten obraz z belgijskiego kościoła, ratując go w ten sposób przed zniszczeniem w trakcie działań wojennych. Obraz został zawieszony do Poznania i złożony w depozycie w kościele garnizonowym. Kapitan Richter niestety zginął jakiś czas po

tym zdarzeniu, ale byli świadkowie, którzy wiedzieli, gdzie obraz się znajduje. Obecny tu Jörg Lehmann służył pod kapitanem wraz z porucznikiem Böhmem. Obaj znali tajemnicę obrazu. Więc gdy Böhm przyjechał do Poznania, stojąc na czele delegacji handlowej...

– Komisarz Fischer! – wykrzyknął policjant. – Tak, już wiem, skąd znam to nazwisko. Fischer mówił, że jego były dowódca Böhm przyjechał do Poznania i on go będzie oprowadzał po mieście. Nie uda się wam niczego zatuszować. Zabijając mnie, niczego nie zyskacie, bo Fischer połączy wszystkie tropy. To najlepszy policjant w Poznaniu. Nie uda się wam. Fischer przyciśnie tego Böhma i będzie po sprawie!

– Böhma już nikt nie przyciśnie, he, he! – Lehmann zaśmiał się i natychmiast znów dopadł go atak kaszlu.

– No właśnie – potwierdził Vietzleben. – Nasz przyjaciel już nikomu niczego nie powie, podobnie jak pan, panie Oskierko. Niekiedy nie warto wiedzieć zbyt wiele, bo nadmiar wiedzy może okazać się śmiertelną dawką. – Panowie, zabieram obraz, list i zdjęcie, a z panem się żegnam i raczej nie powiem „do zobaczenia”.

Oskierko, któremu już nie raz śmierć zaglądała w oczy, wyprostował się na krześle, spojrzał na niemieckiego dyplomata i się uśmiechnął.

– Gdybym miał w ręku szablę, inaczej byś śpiewał, bydlaku! Dyplomata zaśmiał się głośno.

– Wy, Polacy, tylko do tego się nadajecie, do rąbania szablą. Nie ma w was ani odrobiny finezji.

– Lepiej szablą rąbać niemieckie łby, niż lizać francuskie tyłki!

– Żałosne. Finezja godna...

– Pruskich koszar! – rzucił Oskierko i tym razem to on się roześmiał.

– *Adieu!* – Vietzleben zmełł w ustach przekleństwo i ruszył w kierunku wyjścia.

Anastazy Olkiewicz przyłożył ucho do drzwi, żeby posłuchać, co się tam dzieje. Leon Kaźmierczak, który stał na czatach, zameldował mu, że jest tam w tej chwili czterech porywaczy, bo dwóch doszło i wszyscy są w mieszkaniu. Ich było trzech i mieli za sobą element zaskoczenia. Więc powinno się udać. Tylko jak to zrobić, żeby rzeczywiście ci w środku się przestraszyli? Najlepiej byłoby wpaść tam z krzykiem i porozstawiać ich po kątach. Kaźmierczakowie mieli tak jak on lugery, które dostali od Feliksiaka. Sprawiali też wrażenie ludzi, którzy wiedzą, jak się obchodzić z bronią.

Wyciągnął swój pistolet i wskazał lufą drzwi. Bracia potwierdzili, że rozumieją, w czym rzecz. Anastazy zmówił szybko zdrowaśkę na wszelki wypadek, potem położył dłoń na klamce, ale nie zdążył jej nawet przycisnąć. Drzwi otworzyły się, a w progu stanął młody, dobrze ubrany mężczyzna, w panamie na głowie. Zdziwiony popatrzył na Olkiewicza, jakby chciał powiedzieć, że przecież nie wzywał policji. Ale przodownik błyskawicznie otrząsnął się zaskoczenia. Pchnął młodzieńca i wpadł do środka. W kuchni był jeszcze jeden człowiek. Chudzielec ubrany w surdut wyglądał jak dorożkarz. W jego dłoniach pojawił się browning, z którego wymierzył w policjanta. Jednak nie zdążył pociągnąć za spust, bo jednym celnym strzałem w pierś położył go Leon Kaźmierczak. Z drzwi wiodącej z kuchni do pokoju wynurzył się wielkolud o małym wyglądzie. Ten uzbrojony był w parabelkę. Olkiewicz nie dał mu najmniejszej szansy. Od razu pociągnął za spust,



dla pewności trzy razy. Wszystkie trzy kule trafiły mężczyznę w korpus. Zdziwiony osunął się na kolana, a z jego ust popłynęła strużka krwi. Po sekundzie upadł z łoskotem, uderzając głową w drewnianą podłogę.

Olkiewicz ruszył do pokoju, ale osadził go w miejscu głos człowieka, którego zdążył poznać wcześniej. Jörg Lehmann stał na środku pokoju, tuż obok krzesła, na którym siedział Oskierko. Człowiek, który uciekł Olkiewiczowi, teraz mierzył z pistoletu w głowę aspiranta.

– Lepiej rzuć broń, gnoju! – rzucił ostro Olkiewicz.

– Nic z tego. To ty i twoi ludzie grzecznie odłóżcie pukawki. Bo jeśli nie, to zlikwiduję tego chłoptasia. No dalej, odkładaj spluwę!

– Jeśli myślisz, że stąd dasz radę wyjść, to się mylisz. Dom jest otoczony przez policję. Mysz się nie prześlizgnie.

– Rzuć pistolet! – krzyknął Lehmann i chyba zrobił to zbyt głośno, bo zakaszłał gwałtownie. Przyłożył dłoń do piersi, jakby chciał w ten sposób powstrzymać atak. Ale nic to nie dało. Charczący kaszel go dusił, więc na chwilę stracił kontrolę nad tym, co działo się w pokoju. Pistolet przytknięty do głowy aspiranta odsunął się wraz z zaciśniętą na nim dłonią.

Olkiewicz był zbyt doświadczonym policjantem, aby nie wykorzystać takiego daru losu. Pociągnął za spust, biorąc na celownik głowę. Musiał mieć pewność, że strzał natychmiast pozbawi życia bandziora. I tak się rzeczywiście stało. Głowa Lehmann'a eksplodowała, ale palec na spuście jego lugera drgnął i broń wypaliła. Kula z bliskiej odległości trafiła Oskierkę w ramię. Policjant krzyknął z bólu, jednak nie stracił przytomności. Przez chwilę rozglądał się wokół, jakby nie

wiedział, co się z nim dzieje. Uspokoił się, gdy podszedł do niego Olkiewicz.

– Tak to jest, panie aspirancie, że raz na wozie, raz pod wozem. Raz nam uciekł, ale już po nim. – Wskazał na leżące na podłodze ciało bandyty. – A i pana drasnął, ale to w ramię, to nic nie powinno się z taką raną dziać. Zaraz opatrzę i zatamujemy krwotok.

– Skąd wiedzieliście, gdzie mnie szukać? – zapytał drżącym głosem Oskierko.

– Kaźmierczaki, ci od Tolka Grubińskiego, zobaczyli, jak pana porywają na Świętym Marcinie, no i postanowili działać.

– Dziękuję. Chcieli mnie tu zabić. A ten dyplomata...?

– Ten w kapeluszu to dyplomata? He, he! Chłopaki, dajcie no go tutaj! – polecił Olkiewicz. Leon Kaźmierczak złapał za kołnierz von Vietzlebena, który skrył się za piecem w kuchni. Wepchnął go do pokoju, ale cały czas trzymał rękę na jego karku, tak na wszelki wypadek.

– To jest Johann Alfred von Vietzleben, młodszy radca konsulatu Rzeszy Niemieckiej w Poznaniu – wyjaśnił Oskierko. A trzyma obraz ukradziony z plebanii.

– To własność Rzeszy Niemieckiej! – zawołał dyplomata. – Składam oficjalny protest!

– A protestuj sobie do woli. – Olkiewicz wyjął mu pakunek z rąk. – Na razie jesteś złapany na miejscu przestępstwa porwania i próby zabicia polskiego policjanta, więc zaraz się przeflancuje ciebie do Młyna, żebyś zobaczył, jak smakuje chleb w polskim areszcie.

Sięgnął do paska, gdzie miał przytroczone kajdanki, i wprawnie skuł nimi przeguby Niemca.

– Przypilnujcie go, żeby se nie poszedł gdzie – polecił Kaźmierczakom, a ci zaraz, na wszelki wypadek, powalili

Niemca na ziemię, bo wiadomo, że taki leżący raczej nigdzie nie pobiegnie.

Anastazy tymczasem zabrał się do rozcinania więzów krępujących ręce Oskierki. Ostrożnie zdjął mu rękaw kurtki mundurowej, odciął podanym mu przez Leona sprężynowcem rękaw koszuli, po czym tym kawałkiem materiału związał miejsce, gdzie wbiła się kula.

– Trzeba do szpitala – zdecydował.

– Mam prośbę – odezwał się Oskierko.

– Że niby co?

– W moim mieszkaniu jest pewna dama. Zagnieździła się.

– I co, trzeba ją wykurzyć?

– Tak, ale na tyle skutecznie, żeby już więcej nie przyjechała.

– Jak?

– Pójdziecie do niej i zrobicie przeszukanie w sprawie o szpiegostwo. Przestraszy się i będzie zwiewać gdzie pieprz rośnie. Która dama chciałaby mieć do czynienia ze szpiegiem.

– Wedle rozkazu, panie aspirancie – przytaknął zadowolony Anastazy, przytrzymując Oskierkę, by ten nie upadł podczas wstawania. Leon wziął go pod ramię, a Walek zajął się wyprowadzaniem dyplomaty. Asysta była potrzebna, bo oprócz stromych schodów trzeba było jeszcze pokonać tłum mieszkańców zwabionych strzałami. Wyszli, żeby sprawdzić, co to za sensacja wydarzyła się w ich domu, i z ciekawością spoglądali na wychodzących z mieszkania, starając się zapamiętać jak najwięcej szczegółów, by mieć potem co opowiadać swoim krewnym i znajomym.

Olkiewicz podszedł do stolika, podniósł z niego obraz, odwinął papier i spojrzał na smutne oblicze Matki Boskiej.

– I za taki malunek tyle ludzi poszło do piachu? – powiedział do siebie zdziwiony. Naraz coś przykuło jego uwagę. Spojrzał

na Matkę Boską i na jej szyję. Miała na niej łańcuszek z krzyżem. Jak to, zdziwił się? To znaczy, że ona od początku wiedziała?

Przeniósł spojrzenie na twarz Jezusa.

– Wiedziała, że ofiara jest twoim przeznaczeniem?

Zawinął obraz, wsadził go pod pachę i ruszył przed siebie.

[48] *Errare humanum est* (łac.) – błędzić jest rzeczą ludzką.



# Epilog

Środa

5 sierpnia

Droga kolejowa między Bydgoszczą a Poznaniem

Godzina 7.30 rano

Fischer zjadł właśnie bułkę z szynką, popił oranżadą i zastanawiał się, czy by nie zdrzemnąć się odrobinę. W końcu musiał wstać dziś dość wcześnie, bo przed piątą. Pociąg, którym właśnie wracał do Poznania, wyjeżdżał bowiem pięć minut po szóstej. O tej porze restauracja hotelowa była jeszcze nieczynna, więc dzień wcześniej przygotowano mu prowiant na drogę w postaci pięciu bułek, pięciu jabłek, czterech flaszek oranżady i ćwiartki wódki w zakręcanej, podróżnej butelce. Oczywiście dóbr tych było aż za wiele, ale przecież nie mógł nic zostawić. Tym bardziej że rano zawsze czuł się głodny. Dlatego zaczął śniadanie zaraz, jak tylko wsiadł do przedziału. Teraz skończył trzecią bułkę i do Poznania miał jeszcze spory zapas wiktuałów zapakowanych w specjalną płócienną torbę z napisem „Hotel pod Orłem Bydgoszcz”.

Włożył pustą flaszkę od oranżady do torby i zawiesił ją na wieszaku obok siebie. Było tam sporo miejsca, bo na jego kanapie nikt prócz niego nie siedział. Naprzeciw tylko jechały

dwie osoby, przypuszczalnie małżeństwo w wieku zbliżonym do matuzalemowego. Kobieta wyglądała jak egipska mumia, a jej małżonek jak łysy kapłan Ozyrysa, odprowadzający ją w zaświaty.

Wróciła jednak do świata żywych, gdy dojrzała reklamę hotelu na torbie. Nachyliła się natychmiast do ucha swojego partnera i zaczęła coś szeptać. Ten otworzył oczy, które chwilę wcześniej przymknął, uciekając od monotonii podróży w sen, i popatrzył najpierw na torbę, a potem na Fischera. Coś jednak było nie tak z ostrością obrazu, bo sięgnął do kieszeni na piersi, wydobyl okulary w drucianych oprawkach, założył je na nos i popatrzył znowu. Przez moment badał oba obiekty, człowieka i pakunek, podczas gdy staruszka cały czas mu coś opowiadała. W końcu sięgnął po gazetę, otworzył ją na pierwszej stronie, popatrzył na jakąś fotografię, znów na Fischera, by w końcu odkaszląć.

– Szanowny pan był przypadkiem w Bydgoszczy? – zapytał starzec.

– A... tak... – odpowiedział Fischer wyrwany z zamyślenia.

Był właśnie z powrotem w swoim hotelowym pokoju zajęty pakowaniem, gdy do drzwi ktoś delikatnie zapukał. Godzina była dość późna, więc nie spodziewał się żadnych gości. Poszedł otworzyć, przekonany, że to ktoś z obsługi hotelowej. Zdziwił się, bo w drzwiach stał porucznik Rybacki.

– Czyżbyśmy o czymś zapomnieli? – zapytał Fischer, wpuszczając go do środka.

– Bynajmniej. Myślę, że wszystko mamy omówione dość dokładnie – stwierdził żołnierz, rozsiadając się w fotelu. Fischer zajął miejsce naprzeciwko, po drugiej stronie stolika kawowego. Rybacki sięgnął do torby, którą przed chwilą

postawił koło siebie na podłodze, i wydobyl z niej butelkę martella.

– Nie możemy się zegnać, nie wypiwszy strzemiennego – powiedział, mrugając jednym okiem. Fischer rozłożył ręce w geście, który mówił, że nie zamierza się opierać. Wstał z fotela i podszedł do niewielkiej komódki, gdzie na platerowej tacy stały odwrócone do góry dnem szklane literatki.

– Niestety, nie mają tu w pokojach kieliszków do koniaku – wyjaśnił, stawiając szkło na blacie stolika.

– Nie będziemy przecież robili zagadnienia z nieistotnych kwestii – stwierdził porucznik. – Przyszedłem, bo pomyślałem sobie, że warto wypić na pożegnanie. Tym bardziej że nie mieliśmy okazji porozmawiać więcej, jak tylko o sprawach służbowych. A tu chciałoby się i o powstaniu, i o wojnie z bolszewikami. Ale co tam, stare dzieje. Zostawimy to na następny raz.

Otworzył butelkę korkociągiem z własnego scyzoryka, rozlał bursztynowy płyn i uniósł szklaneczkę ku górze.

– Za spotkanie, komisarzu, i za dalszą owocną pracę.

– Za pomyślność. I myślę, że powinniśmy przejść na ty – zaproponował Fischer.

– Z przyjemnością – odparł Rybacki, po czym wypili do dna.

– Stary dobry martell – stwierdził policjant zadowolony.

– Wiem, że lubisz szczególnie ten koniak.

– Zrobiliście rozpoznanie na mój temat? – zażartował komisarz.

– Oczywiście. Na tym polega nasza praca. Nikt przypadkowy nie może współpracować z nami, bo byłaby to nonszalancja połączona z głupotą.

– I czego się o mnie dowiedzieliście?

– Że można ci ufać i że można na tobie polegać.



– I co z tego wynika?

– W tej sytuacji zaczynamy tworzyć coś w rodzaju siatki ludzi, z którymi będziesz współpracował. Trochę to zajmie, ale musi to być grupa zaufanych osób, które pozwolą dotrzeć tam, gdzie wcześniej nikomu się nie udało.

– Wychodzisz z założenia, że Niemcy się do mnie odezwą – stwierdził z pewnym powątpiewaniem Antoni.

– Odezwą się na pewno – zapewnił go Rybacki, nalewając ponownie koniak do szklanek. – Nie wypuszczą z rąk takiego łakomego kąska. Jestem o tym przekonany.

Wypili do dna i wtedy porucznik poderwał się z fotela.

– Wystarczy tego dobrego. Musisz się wyspać przed drogą...

Fischer również wstał.

– Powiedz mi jeszcze coś, Marcinie – zatrzymał odchodzącego, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Po co w zasadzie wezwaliście mnie do Bydgoszczy? Szkolenie szyfrowe i wprowadzenie w inne kwestie szpiegowskie zajęło nam zaledwie dwie godziny. Prawie niczego nowego się nie dowiedziałem.

– Ale myśmy dowiedzieli się wszystkiego.

– Czyli czego?

– Tego, czy się nadajesz. Trzeba było spojrzeć ci w oczy jak przyszłej kochance.

– I co w nich wyczytaliście?

– Że można na ciebie liczyć.

Rybacki uścisnął dłoń Fischerowi i wyszedł z pokoju. Ten zamknął drzwi, wrócił do stolika i nalał sobie jeszcze jedną porcję koniaku. Pomyślał, że dzięki temu będzie mu się lepiej spało, a poza tym trudno było się oprzeć temu ulubionemu trunkowi.

Niemal natychmiast usłyszał pukanie do drzwi. Pomyślał, że porucznik o czymś zapomniał. Wstał i poszedł otworzyć. Chciał rzucić jakimś żartem o zapomnieniu własnego ogona, ale uśmiech zamarł mu na ustach i zastąpiło go zdumienie.

– Mogę wejść? – zapytała pianistka Anastazja Marks.

– Ale ja...

Położyła mu palec na ustach.

– To nie to, co myślisz, mój drogi – powiedziała nienaganną niemczyzną. Chciałam porozmawiać o sprawach niedokończonych, o których nie skończyłeś rozmawiać z Richardtem Böhmem. – Możesz mi nalać koniaku? – zapytała, siadając w fotelu...

– Bo tu jest taka fotografia z hotelu, na której, zdaje się, pan szanowny stoi i jeszcze policjant z Bydgoszczy, który, proszę sobie wyobrazić, jest stryjecznym bratem męża naszej córki, która nazywa się po mężu Małecka.

– Owszem, to podkomisarz Małecki był tam... Zaraz, czy w gazecie jest artykuł?

– Jak najbardziej – potwierdziła kobieta. – Jest i jeśli to pan jest na zdjęciu, to musi się pan nazywać Fiszer. Hipolicie, pokaż panu gazetę.

Antoni wziął „Kurier Bydgoski” w dłonie i popatrzył na pierwszą stronę. Ujrzał stworzoną przez rysownika twarz bandyty spoglądającego morderczym wzrokiem, a poniżej zdjęcie, na którym obaj z Małeckim stoją na hotelowym korytarzu.

*Morderstwo w hotelu Pod Orłem*

*Do zbrodni doszło w nocy z poniedziałku na wtorek. Przystępca, którego portret pamięciowy wykonany przez rysownika pokazujemy poniżej, dostał się nocą do hotelu i sterroryzował nocnego portiera pistoletem.*

Potem pośpieszył na górę, gdzie w jednym z pokoi spał niemiecki przedsiębiorca Böhm R., który przyjechał do Bydgoszczy w interesach. Nie wiadomo, jak to się stało, że Niemiec otworzył drzwi bandycie. Dość powiedzieć, że musiał mieć do niego ufność, bo policjanci znaleźli w pokoju pustą butelkę po koniaku, tę samą, która Böhm zakupił w bufecie, udając się do swojego pokoju późnym wieczorem. Oznacza to, że musiał się znać z bandytą i czekać na jego odwiedzinę, co zdaniem policji tłumaczy fakt wpuszczenia go do numeru. W pewnej chwili musiało dojść do sprzeczki między pijącymi, która skończyła się strzałem oddanym prosto w serce. Niemiec zginął na miejscu, a morderca uciekł. Na swoje nieszczęście trafił na rozbudzonego gościa z numeru naprzeciwko. Mężczyzna próbował zatrzymać bandytę i stoczył z nim walkę na pieści, jednak przestępca udało się zbiec mimo wysiłków bohaterskiego sąsiada. Ten oddał jeszcze za uciekającym dwa strzały z rewolweru i być może nawet go trafił, ale przestępca zbiegł.

Trzeba tu dodać, że owym bohaterem, który próbował pojmać bandytę, był policjant z Poznania Fiszer A., komisarz, który przyjechał do nas w ważnych sprawach służbowych. To właśnie dzięki jego spostrzegawczości i umiejętności zapamiętywania przestępczych facjat udało się stworzyć portret pamięciowy zabójcy. Rysunek ten bardzo wiernie oddaje rysy przestępca, co potwierdził nocny portier Blumsztajn J., i dzięki temu morderca zostanie zapewne bardzo szybko ujęty.

Dawno w Bydgoszczy nie notowano takiego dramatu. Bo przecież porachunki bandyckie rzadko mają tu miejsce. Wiadomo bowiem, że policja radzi sobie całkiem nieźle ze wszystkimi tymi godnymi pożałowania przestępcami, którym mogłoby się wydawać, że żyją w państwie bezprawia. „Już dawno przekonali się o tym, że tu policja jest skuteczna i zna się na swojej pracy jak mało gdzie” – powiedział nam Matecki R., podkomisarz, który nadzoruje śledztwo w sprawie morderstwa niemieckiego przemysłowca. Podkomisarz jest przekonany, że już niedługo bandyta wpadnie w policyjne ręce, a co za tym idzie trafi przed oblicze sprawiedliwości, a sąd wymierzy mu karę wprost proporcjonalną do zbrodni, której dokonał. Morderca musi się więc liczyć

*z tym, że już niedługo dostarczy pracy panu Maciejowskiemu, który przyjedzie do nas specjalnie z Warszawy.*

*Autor: Felicjan Kurowski*

Komisarz złożył gazetę na pół i oddał właścicielowi.

– I co? – zapytał ten z nadzieją na rozwinięcie morderczej opowieści.

– Tak, to rzeczywiście ja w tym artykule. Tyle że nazwisko pomylili. Moje pisze się z niemiecka przez „sch”.

– No tak, hi, hi. Ci młodzi to jednak nic nie wiedzą. – Starzec się zaśmiał. *Fischer Fritz fischt frische fische!*<sup>[49]</sup> – dodał bardzo zadowolony z siebie.

## Schönlanke Poniedziałek 10 sierpnia

Godzina 5.30 po południu

Właściciel dworcowego baru August Böckstiegel nie lubił tracić pieniędzy, a każda chwila, kiedy nie zarabiał, była oczywistą stratą. Tak jak teraz, gdy jego restauracja została zamknięta i nie przyjmowała żadnych klientów. Nawet tych stałych, którzy codziennie przychodzili tu na piwo i kiełbaski. Niestety, pół godziny temu musiał odprawić z kwitkiem swojego starego kumpla Hermana Paschke. Ten zdziwił się niepomnie, widząc na drzwiach kartkę z napisem „Zamknięte”. Przychodził tu zawsze po zakończonej zmianie w biurze ekspedycji kolejowej, żeby po dobrze wykonanej

pracy napić się i zjeść. Ale dotąd jeszcze nie zdarzyło mu się trafić na zamknięte drzwi.

Zajrzał przez szybę i dostrzegł przez nią, że w lokalu jednak coś się dzieje. Właściciel siedział przy jednym ze stolików i najspokojniej w świecie gawędził sobie z jakimś żołnierzem. To znaczy, że z tym zamknięciem to nie do końca prawda, pomyślał Paschke i zastukał w drzwi. Böckstiegel spojrzął w jego kierunku, machnął ręką, a potem podniósł się i podszedł do wyjścia. Przekręcił klucz, ale nie otworzył drzwi na oścież, więc kolejarz, który już zrobił krok naprzód, stanął zdumiony.

– Ale o co chodzi? Przecież...

– Dziś już nieczynne – wyjaśnił mu spokojnym tonem Böckstiegel.

– Jak to?

– Ale jutro będziemy mieć otwarte od rana. Przyjdź rano.

– No ale dlaczego?

– Mamy inwentaryzację – wyjaśnił i zaraz zamknął drzwi, zostawiając zdumionego kolejarza samemu sobie. Ten postać jeszcze chwilę, w końcu splunął pod nogi i odszedł rozżalony. Co go mogła obchodzić jakaś inwentaryzacja? Mogli robić, co chcieli, inwentaryzować i kontrolować, ale żeby z tego powodu zamykać bufet i nie dać ludziom pracy możliwości zwilżenia gardła? To był prawdziwy skandal, który spowodował, iż Paschke odchodził spod drzwi knajpy z mocnym postanowieniem, że jego noga nigdy więcej tam nie postanie.

Böckstiegel z żalem patrzył, jak oddala się jego wierny klient, ale nie mógł nic zrobić. Wytyczne, które dostał, były jasne. Lokal ma być zamknięty, żeby można było w spokoju pogadać o interesach. A te przedstawiały się obiecująco, więc nie zamierzał na temat tego polecenia dyskutować. Jeśli chcą,

żeby tak było, niech im będzie. Może i straci te parę marek na zamknięciu restauracji, ale zyska znacznie więcej na handlu.

Böckstiegel wrócił do stolika, przy którym siedział jego gość ze Schneidemühl, popijając wolno piwo.

– Mam nadzieję, że przywiozłeś pieniądze? – zapytał.

– Właśnie przeprowadzam takie transakcje, że pieniądze będą. Tyle ich będzie, że wystarczy za ten cement do zapłacenia, i nie tylko – odparł chełpliwie oberfeldwebel Klutschka. – Nic się nie martw. Załatwimy ten interes, a potem w ciągu dwóch tygodni spłacę co do grosza ciebie i ich. Sprzedaję właśnie zupełnie nowe skarpety, kalesony, gacie, podkoszulki, chusteczki, koce... Wszystko jak spod igły. Jeden handlarz z Breslau bierze towar na pniu i płaci gotówką. Wyobraź sobie, ile dostanę za dziesięć tysięcy sztuk... Ten cement przy tym to nic. Wszystkich się spłaci, a ciebie do tego interesu też dopuszczę. Muszę gdzieś składować te rzeczy przed odbiorem, więc pomyślałem sobie, że tu, w Schönlanke, byłoby dobrze. Ode mnie będą przyjeżdżać ciężarówki, a ty zorganizujesz bazę przeładunkową, żeby można było stąd ekspediować towar prosto do Breslau.

– Od kiedy chcesz zacząć? – zapytał rzeczowo restaurator.

– W przyszłym tygodniu mógłbym wysłać pierwszą partię.

– To się da zrobić. Mam tu taki magazyn... – Böckstiegel przerwał, bo znów ktoś zaczął dobijać się do restauracji. Już chciał pokazać natrętowi wała, nawet nie wstając z krzesła, ale w tym momencie zauważył, że jeden ze stojących przy drzwiach mężczyzn jest zbyt porządnie ubrany jak na zwykłego podróżnego. Domyślił się więc, że przyjechali ci, na których czekał. Wstał, żeby wpuścić gości. Otworzył drzwi i od

razu dostrzegł swojego znajomego. Z bliska Anatol Grubiński, z którym robił interesy od dawna, nie wyglądał jednak zbyt korzystnie. Owszem, ubrany był jak zawsze nienagannie i bardzo sztywnie, ale jego twarz była jakaś opuchnięta, a oczy ukryte pod ciemnymi okularami.

Böckstiegel uśmiechnął się szeroko.

– Czekamy, czekamy na szanownych panów. Dzień dobry, panie Anatolu, i panom. Cóż to się stało z pańskim obliczem?

– Tak mi się gęba wykrzywia, jak mi się pieniądze w portfelu nie zgadzają – rzucił przybysz. Wszedł pierwszy, a za nim wkroczyli dwaj pozostali. Jeden o wyglądzie niezbyt imponującym, niewysoki, z brzuchem świadczącym dobitnie o zamiłowaniu do piwa i parówek, w ledwo dopinającej się marynarce i meloniku na głowie. Drugi znacznie wyższy, o atletycznej sylwetce, w popielatym garniturze z londyńskiej wełny. Ten na głowie miał kapelusz o szerokim rondzie, przypominającym te z filmów o kowbojach z Dzikiego Zachodu. W ręce trzymał bambusową laseczkę, o prostej rączce z kości słoniowej. Od razu widać było, kto w tej grupie jest najważniejszy.

– A to są nasi inwestorzy – powiedział Tolek, nie wymieniając nazwisk swoich znajomych. Ci uścisnęli rękę restauratora i dali się poprowadzić do stolika specjalnie przygotowanego dla całej piątki. Nakryto go porządnym białym obrusem w czerwone pasy, a na nim ustawiono puste talerze, szklanki i kieliszki.

– Panowie będą uprzejmi usiąść. To jest właśnie mój znajomy, pan oberfeldwebel Klutschka. Czy można podać piwo? Po podróży warto przepłukać gardła. Panowie zostają u nas w Schönlanke na nocleg? Jeśli tak, to polecam hotel Waltera Krampa.

– Daj piwa – przerwał mu Tolek. – A na noc nie zostajemy. Przyjechaliśmy tylko sfinalizować nasze sprawy i wracamy pierwszym pociągiem do Kreuz. Odchodzi za godzinę i dziesięć minut.

Restaurator pobiegł do bufetu, by po chwili wrócić do stołu z pięcioma kuflami w rękach. Postawił je przed gośćmi i sam usiadł na ostatnim wolnym krześle.

– To może wypijemy za spotkanie? – zaproponował.

Wypili w milczeniu, a gdy odstawili naczynia na stół, Tolek Grubiński zwrócił się do żołnierza:

– Jak tam nasze interesa, kolego Klutschka?

– Bardzo dobrze. Wszystko rozwija się w dobrym kierunku. I w ciągu dwóch tygodni będą pieniądze i pewnie kolejne zamówienia...

– Cieszy mnie to bardzo, ale w interesach liczy się wiarygodność. A nie jest wiarygodnym ten, kto nie płaci za dostarczony towar, tylko opowiada, co będzie za jakiś czas.

– Ale panowie, wy musicie zrozumieć, że to jest armia. Ona bierze od dostawców towar, a potem płaci, z opóźnieniem płaci, ale zawsze jest wypłacalna.

– Znamy doskonale tę instytucję, panie Klutschka – odezwał się po niemiecku ten postawny mężczyzna, który po zdjęciu kapelusza okazał się krótko, po wojskowemu obcięty blondynem. Dopiero teraz niemiecki podoficer uświadomił sobie, że gość musi być wojskowym i osobą, która na wojsku zna się równie dobrze, jak on.

– No właśnie, więc panowie wiedzą...

– Wiedzą – wszedł mu w słowo blondyn – że odroczone terminy płatności nie wynikają z polityki armii, ale lewych interesów prowadzonych przez intendentów, handlujących wszystkim, czym się da, od mundurów po amunicję.



– Ależ, drogi panie, to jest... – Intendent zrobił się czerwony na twarzy. Chciał jeszcze coś dodać, ale nie bardzo wiedział co. Ten facet rzeczywiście znał się na rzeczy.

– Niech się pan nie unosi, panie Klutschka. – Mężczyzna włożył do ust sfatygowaną wiśniową fajkę i zapaliwszy ją, ciągnął dalej: – Znamy armię i zdajemy sobie sprawę, jak to wszystko wygląda od środka. Dlatego właśnie tu jesteśmy. Bo wiemy dobrze, że można z intendentem robić interesy.

– Nasz intendent potrafił sprzedać nawet groch na grochówkę i dzięki temu grochówka zmieniała się w kartoflankę – przypomniał sobie ten mniejszy o wyraźnie zarysowanej łysinie. Klutschka natychmiast zauważył, że mężczyzna też mówi po niemiecku bez jakichkolwiek obcych naleciałości. Więc ci ludzie, z którymi miał robić interesy, to Niemcy z krwi i kości. Nieco mu to ulżyło, bo trochę martwił go fakt, że plany stacji nasłuchowej sprzedał Polakom.

– Więc skoro interesy są możliwe, proponujemy wspólny interes, który opłaci się wszystkim – dokończył blondyn.

– Czyli jaki? – zainteresował się żołnierz.

– Sprawy budowy, którą rozpoczyna właśnie pańska jednostka pod Schneidemühl, powierzy pan firmie, którą reprezentuje nasz znajomy, obecny tu pan Anastasius Olke.

– Wywołany przedsiębiorca uśmiechnął się szeroko i skłonił, żeby nie było wątpliwości, że to o nim mowa.

– To firma budowlana z Posen – wyjaśnił Olke.

– Ale nam nie wolno zatrudniać firm zagranicznych. – Podoficer zrobił strapioną minę.

– Właśnie otwieramy skład w Schönlanke – dodał na wszelki wypadek przedsiębiorca.

– To zmienia postać rzeczy – ucieszył się podoficer. – Tylko jedna kwestia. Chodzi o ludzi. Wojsko korzysta ze swoich

zasobów ludzkich do wszelkich prac.

– Pan Olke nie ma jeszcze personelu w nowej placówce, więc chętnie skorzysta z pańskich ludzi jako robotników. Jednak majstrowie będą jego pracownikami.

– Tak, to zrozumiałe – potwierdził podoficer, któremu ta wizja zaczęła się nawet podobać. Choć na razie jeszcze nie dostrzegał w niej jakichś konkretnych korzyści. A przecież miał poważne plany do zrealizowania w postaci piwiarni na Nowym Rynku.

– Więc, jeśli panowie pozwolą, nakreślę teraz strukturę naszego wspólnego przedsięwzięcia. – Mężczyzna odłożył zgasłą fajkę na talerzyk, uważając, by nie pobrudzić obrusu. Spojrzał na zebranych, a ci wyrazili aprobatę, kiwając głowami.

– Pan Grubiński zajmuje się dostarczaniem bardzo tanich towarów budowlanych z Polski, które kupuje od niego pan Böckstiegel za jedną czwartą rynkowej ceny, płacąc gotówką. Pan Böckstiegel sprzedaje je panu Olke za połowę rynkowej ceny. Pan Olke z materiałów buduje wszystko to, co zleci pan Klutschka, który płaci mu za materiały i robociznę sto procent ceny rynkowej z pułkowej kasy. Pięćdziesięcioprocentową nadwyżkę panowie Olke i Klutschka dzielą się po połowie.

– To jest perpetuum mobile! – stwierdził z uznaniem Böckstiegel. A co pan ma z tego?

– No cóż, dziesięć procent od każdej transakcji.

– Ależ to jest genialne. Możemy w ten sposób budować wszystko i zarabiać na tym grube pieniądze. Słyszałem, że niedługo ma rozpocząć się budowa żelbetonowych umocnień wzdłuż granicy. Ktoś te bunkry będzie musiał budować. Panowie, wielka przyszłość przed nami. – Klutschka był najwyraźniej zachwycony planem, który przedstawił ten...

Wyglądał na oficera, dowódcę o ogromnym autorytecie i co ważniejsze umiejętności tworzenia strategii...

– Pan wybaczy, ale jaka będzie pana rola w tym wszystkim? – zapytał Böckstiegel.

– Ja będę to wszystko nadzorował – oświadczył blondyn.

– Proszę mi wybaczyć śmiałość – odezwał się Klutschka. – Jak mamy się do pana zwracać?

– Nazywam się... – Blondyn przerwał na sekundę i omiół spojrzeniem wszystkich siedzących. – Nazywam się Adler, Anthon Adler.

Na peron pierwszy wtoczył się wolno, sapiąc, dysząc i zgrzytając hamulcami, pociąg ze Schneidemühl do Kreuz. Odjechać miał za pół godziny, więc piątka wspólników miała jeszcze sporo czasu, by zjeść parówki i popić je doskonałym miejscowym piwem. A restaurator Böckstiegel był bardzo zadowolony, bo za chwilę, gdy jego goście odjadą, będzie mógł otworzyć restaurację dla wszystkich gości. A to oznacza, że wcale tak dużo dziś nie straci.

Cerekwica, maj 2023

[49] *Fischer Fritz frischt frische fische* (niem.) – rybak Fryc łowi świeże ryby.



# Podziękowania

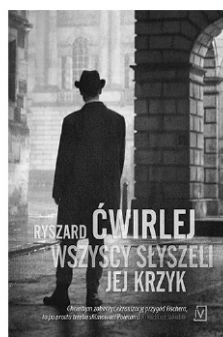
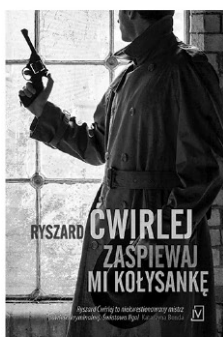
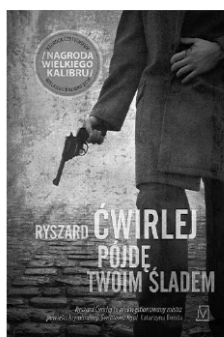
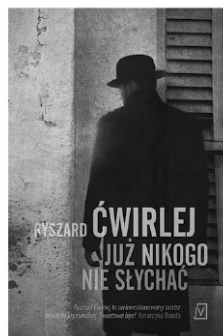
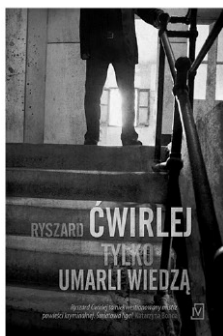
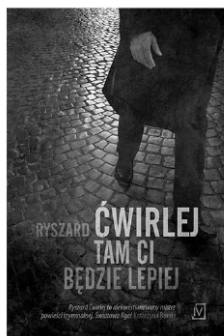
Bardzo dziękuję panu Marcinowi Rybackiemu, który użyczył swojego imienia i nazwiska bohaterowi tej powieści. Pan Marcin wziął udział w aukcji, podczas której wylicytował nazwisko bohatera książki, a wylicytowana kwota zasiliła konto Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Marcin Rybacki namówił mnie, by komisarz Fischer odwiedził Bydgoszcz. Był też moim przewodnikiem po tym mieście. To właśnie dzięki niemu bydgoskie sceny mogłem umieścić w konkretnej rzeczywistości, a nie w wymyślonych dekoracjach.

Jest też jeszcze jeden bohater Orkiestrowy. Pan Piotr Pikuła kilka razy brał udział w moich aukcjach na rzecz WOŚP i kilkakrotnie je wygrywał. W moich powieściach międzywojennych występował już aspirant Pikuła, który z policji przeszedł do wywiadowczej spółdzielni kapitana Mikołajewskiego i został wiceprezesem Kółek Rolnych.

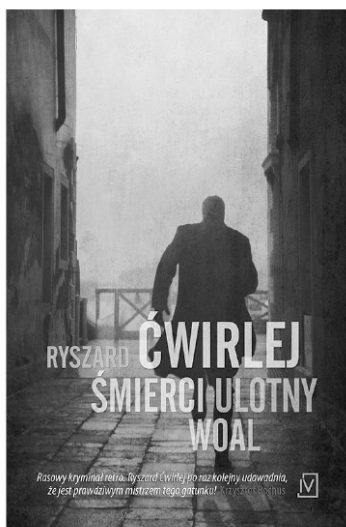
Obu panom kłaniam się nisko i dziękuję za wielkie serce.

Dziękuję również pani Annie Sikorskiej, która pomogła mi uporać się z pewną łacińską sentencją, kluczową ze względu na akcję książki.





**POZNAJ  
BESTSELLEROWĄ  
SERIĘ  
KRYMINAŁÓW  
RETRO!**







# MAM KRYMINALNY CHARAKTER

Jeśli masz go i ty, koniecznie sięgnij po nasze  
kryminały i thrillery.

RYSZARD  
**ĆWIRLEJ** NIEBIAŃSKIE  
OSIEDLE

PRZEMYSŁAW  
ŻARSKI **GRZĘZAWISKO**

BARTOSZ SZCZYGIELSKI *nieodwracalnie*

**HANNA GRĘŃ** ZŁY WYBÓR



[www.wydajenamsie.pl](http://www.wydajenamsie.pl)



# Spis treści

[Prolog](#)

[Rozdział I](#)

[Rozdział II](#)

[Rozdział III](#)

[Rozdział IV](#)

[Rozdział V](#)

[Rozdział VI](#)

[Rozdział VII](#)

[Rozdział VIII](#)

[Rozdział IX](#)

[Rozdział X](#)

[Epilog](#)

[Podziękowania](#)

[Polecamy również](#)